# Czas Zatrzymany

## Fotografie z dawnych lat z terenów Nowej Huty i okolic oraz wybór tekstów

Redakcja
ADAM GRYCZYŃSKI



# CZAS ZATRZYMANY

Fotografie z dawnych lat
z terenów Nowej Huty i okolic
oraz wybór tekstów

Redakcja
**ADAM GRYCZYŃSKI**

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

*„Naród, który traci pamięć, traci sumienie."*

*Zbigniew Herbert*

*ISBN 978-83-8832-66-6*

## Słowo wstępne

**Pierwszym** powodem wydania tego albumu była chęć rozprawienia się z najbardziej absurdalnym mitem jaki kiedykolwiek wymyślono o Nowej Hucie. O tym, że powstała na terenach piaszczystych ugorów i nieużytków. Mitem o ubóstwie i zacofaniu mieszkańców podkrakowskich wsi: Bieńczyc, Czyżyn, Mogiły, Krzesławic, Pleszowa, Grębałowa i Luboczy, na których potem wybudowano socjalistyczne miasto i kombinat metalurgiczny. W ten sposób usiłowano usprawiedliwić falę wywłaszczeń na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ludziom odbierano ziemię, a ówczesne władze państwowe i polityczne uparcie wmawiały, że były tu tylko nieurodzajne zagony, galicyjska bieda i stare chłopskie chaty, które należało wyburzyć pod zabudowę nowych osiedli. Takich argumentów używała propaganda PRL-u, lecz na skutek długotrwałej indoktrynacji społeczeństwa jej echa odbijają się do dziś. Wioski spotkała zagłada, a rachunek krzywd nigdy nie został sprawiedliwie spłacony. Ludzi, którym za ojcowiznę i urodzajną ziemię płacono jak za garnitur czy zegarek na rękę, skrzywdzono nieprawdopodobnie. Bezlitosne decyzje Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie w sprawach wywłaszczeń były ostateczne, zaś odwołania od orzeczeń o odszkodowania rozpatrywano negatywnie. W tym kontekście sentencja Zbigniewa Herberta: „Naród, który traci pamięć, traci sumienie" – nabiera dziś szczególnego wyrazu i znaczenia.

Zbiór fotografii i dokumentów ilustruje przejmujące losy pokolenia, najpierw tragicznie doświadczonego na frontach I wojny światowej przez austriackiego i rosyjskiego zaborcę, a częściowo pozbawionego dachu nad głową, gdy w pasie przyfortecznym „Twierdzy Kraków" zobowiązano właścicieli do wyburzenia domów na żądanie władz wojskowych. Późniejsze dwudziestoletnie odrodzenie gospodarcze i kulturalne przerwał koszmar okupacji niemieckiej i gehenna niewinnych ludzi. Pacyfikacje, aresztowania, deportacje i egzekucje były na porządku dziennym. Za udział w podziemnej walce, tajnym nauczaniu i ukrywaniu Żydów groziła śmierć. Krzesławicki fort i Grębałów pozostaną symbolem pamięci narodowej, gdyż są uświęcone przelaną krwią kilkuset młodych polskich patriotów, przewożonych tam z krakowskich więzień i rozstrzeliwanych. Rzeka naszych traumatycznych wspomnień jest głęboka... W pierwszych latach po zakończeniu wojny, gdy toczyła się w całym kraju walka o jego przyszłość – z góry skazana na porażkę, prześladowaniami dotknięto ludzi związanych z Batalionami Chłopskimi, Armią Krajową, działaczy opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego i wielu innych. A kiedy zwykłym ludziom mogło się wydawać, że nadszedł wreszcie upragniony okres w miarę spokojnego życia – zadano kolejne ciosy. W atmosferze wewnętrznych rozterek i podejrzliwości wymuszano dramatyczne wybory i decyzje. Tutejsza ludność znów wystawiona została na bolesną próbę, tym razem w imię socjalistycznego eksperymentu.

Album jest świadectwem tych właśnie przemian, jest wkładem w poznawanie okresu najnowszego i dorobku wsi wchłoniętych przez urbanistycznego molocha. Nie można zapomnieć, iż wielu zapłaciło za nadejście „nowego" wysoką cenę. Inni pozbawieni swoich ojcowizn musieli rozpocząć życie od nowa. Byli przesiąknięci miłością do Boga i Ojczyzny, kultywowali tradycje narodowe, obywatelskie, ludowe, religijne i rodzinne. Stanowili kłopotliwą zaporę dla systemu i dlatego system ich

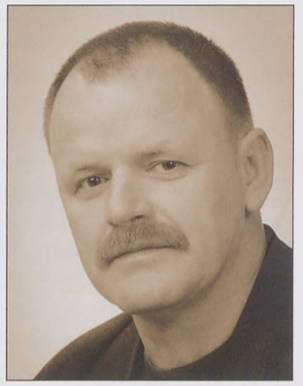

niszczył. Dokonano na nich zamachu, ale nikt dotąd nie oddał im należnej sprawiedliwości. Chciałem pokazać, że zanim zbudowano Nową Hutę, kwitła tam gospodarka i kultura, żyli wartościowi ludzie. Może dzięki temu damy im i ich rodzinom choć odrobinę moralnej satysfakcji, bo oni byli tu wcześniej – oto **drugi** powód przygotowania albumu.

Oglądając setki zdjęć i dokumentów sprzed 1939 r. odkrywałem, że już wtedy mieszkańcy podkrakowskich wsi posiadali całkiem sporą wiedzę i kulturę, które pozwoliły im świadomie kształtować swoją przyszłość. Poziom materialny był – jak wszędzie – zróżnicowany. Obok wielu zamożnych i zaradnych rodzin żyli także ludzie ubodzy, nieraz w skrajnej nędzy. Ale pomimo ciężkiej pracy, trudnych warunków i wyrzeczeń mieli plany i marzenia, które potrafili realizować. Chętnie włączano się w nurt życia zbiorowego zakładając różne stowarzyszenia, zespoły i komitety, co pogłębiało ich własną integrację.

W tutejszych wsiach organizowano wiece i zgromadzenia wyborcze. Istniała lokalna solidarność, ale były też przeciwstawne „obozy", skupione najczęściej wokół miejscowych przywódców. Niektórzy z nich osiągali dość wysoką pozycję społeczną. Jedni sympatyzowali z ruchem ludowym, inni z obozem sanacyjnym, większość jednak zajęta była codzienną pracą i w życiu politycznym nie uczestniczyła.

Z dzisiejszej perspektywy powinniśmy sprawiedliwie ocenić fakty i wydarzenia sprzed dziesięcioleci. A mówią one, że z Czyżyn, Bieńczyc lub Mogiły można było już sto lat temu wygodnie dojechać pociągiem do Krakowa, w dodatku znacznie szybciej niż dziś w godzinach szczytu. Popularna droga kocmyrzowska – tradycyjny szlak dostaw warzyw na rynek krakowski – miała poważny wpływ na aktywność gospodarczą i urbanizację terenów, przez które przebiegała. Rzeczą normalną było wysyłanie młodzieży do krakowskich gimnazjów i uczelni. Działały m.in. Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i odrębne Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej oraz Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici", które dla uświetnienia lokalnych uroczystości zawiązywały zespoły taneczne i teatralne. Działały chóry i orkiestry. Młodzież chętnie uczestniczyła w kursach ogrodniczych, pszczelarskich, gotowania i szycia, stolarskich i wyprawiania skórek. W Bieńczycach jeszcze przed I wojną światową istniało Towarzystwo

Gimnastyczne „Sokół", dla którego zbudowano tu specjalny budynek do ćwiczeń. Był tam również tzw. „dworek", gdzie kwitło życie religijne i kulturalne. Młodzież wystawiała nie tylko „jasełka", inscenizowano także sztuki teatralne Aleksandra Fredry i Michała Bałuckiego. Uczono pieśni ludowych i tańca. Co zamożniejsi szyli bądź zamawiali tradycyjne stroje krakowskie, które długo potem przechowywano, by zakładać je w czasie wesel, odpustów, procesji, dożynek i festynów. Strój dodawał splendoru gdy nadeszły święta kościelne lub państwowe. Mężczyźni zakładali wtedy czerwone „krakuski", białe sukmany, niebieskie kaftany, a białe koszule zapinali pod szyją na „guz" czyli spinkę, wkładali spodnie w biało-czerwone paski i buty z cholewami do kolan. Kobiety wyróżniały się przepięknymi, barwnymi gorsetami, które w stylistyce „pleszowsko-lubocko-grębałowskiej" po mistrzowsku wykonywała zgodnie z rodzinną tradycją Maria Chmiel z Pleszowa. Widzimy ją na zdjęciu z ok. 1920 r. wraz z czwórką dzieci, spośród których dziewczęta poszły w jej zawodowe ślady, zaś chłopcy dzięki profitom pochodzącym z gorseciarskiej profesji zdobyli wyższe wykształcenie. Oprócz gorsetów ze złocistymi cętkami przywdziewano białe bluzki z szerokimi rękawami, zakładano czerwone korale, wzorzyste spódnice w kwiaty i wysokie buty. Po sposobie w jaki wiązano chusty na głowach można było odróżnić panny od mężatek. W każdej niemal parafii i wiosce istniały różnice w detalach stroju.

Popularny był zwyczaj fotografowania członków rodziny, znajomych i najbliższego otoczenia, dzięki czemu możemy teraz odtwarzać minioną rzeczywistość. Sporo zebranych zdjęć świadczy o dużej wrażliwości na uroki krajobrazu. Przy jazie nad rzeką Dłubnią, na mostkach, łąkach i nieopodal kopca Wandy młodzież miała swe ulubione miejsca zabaw, zmagań sportowych i spotkań, przeradzających się niekiedy w późniejsze trwałe związki. Dość często urządzano wycieczki do Ojcowa, Wieliczki, Zabierzowa i Zakopanego. Niektórzy jeździli nawet do Warszawy i nad morze. Pielgrzymowano gremialnie do Sanktuariów w Mogile, Czernej, Kalwarii Zebrzydowskiej i na Jasną Górę do Częstochowy. W ciężkich czasach wielkiego światowego kryzusu zdołano wybudować piękny kościół, kaplice, szkoły, ochronki dla dzieci, domy ludowe. Były wielkie nowoczesne młyny wodno-parowe, stacje kolejowe, urzędy pocztowe, składy towarów i warsztaty rzemieślnicze, funkcjonowały prywatne i spółdzielcze sklepy. Prowadzono liczne akcje charytatywne, organizowano zbiórki, działała tzw. Kasa Stefczyka, pomagająca chłopom w rozwiązywaniu problemów finansowych. Ze składek kupowano książki i zakładano w szkołach biblioteki. W Bieńczycach był Klub Sportowy „Tęcza", a w Czyżynach – Amatorski Klub Sportowy. W 1918 r. zlokalizowano tam lotnisko, najpierw wojskowe, potem także cywilne. W niektórych wsiach przed 1939 r. działały koła Związku Nauczycielstwa Polskiego, Kółka Rolnicze i oddziały Ochotniczej Straży Pożarnej. W wielu domach znajdowały się radioodbiorniki, rowery i motocykle, było też kilka samochodów. W dworskich gospodarstwach używano lokomobili, młockarni i innych nowoczesnych maszyn rolniczych, były stawy rybne oraz szklarnie. Zakładano hodowle koni, które darzono tu ogromnym sentymentem, zwłaszcza w Mogile, Czyżynach i Pleszowie. We dworze w Wadowie na początku dwudziestego wieku istniały nawet korty tenisowe. Na zdjęciu z 1905 r. widzimy tam trójkę rodzeństwa: Władysława, Jadwigę i Józefa Cieślewiczów. Najmłodszy Józef zginął na wojnie w 1915 r., Władysława zamordowano w Katyniu. Pamięć o takich faktach uświadamia krwawe żniwo, które tak boleśnie odcisnęło się na naszej polskiej rzeczywistości...

Nie tylko do lokalnej historii przeszło kilka osób, pochodzących z tego terenu: Franciszek Ptak z Bieńczyc – rolnik oraz właściciel sklepu i karczmy, był posłem do Sejmu Krajowego we Lwowie, zaś jego żona Marcjanna z Szafrańskich była ceniona przez Stanisława Wyspiańskiego za szczerą krytykę jego utworów. Oboje uczestniczyli w premierze „Wesela", byli przyjaciółmi młodopolskich artystów, a jednemu z nich, malarzowi Józefowi Krasnowolskiemu po ożenku z piękną wiejską dziewczyną – Salomeą z Turbasów, ofiarowali chałupę z ogródkiem. Kazimierz Cieślewicz i Jan Ciepiela – wójtowie gminy Mogiła – organizowali życie społeczne gminy, a major Jan Kotyza, nauczyciel i działacz Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, w czasie wojny był komendantem Batalionów Chłopskich na powiat krakowski. W Pleszowie i okolicach niezwykle żywa była tradycja kosynierów kościuszkowskich i ruchu ludowego, w którym zasłynęli członkowie rodziny Gajochów, a zwłaszcza Piotr i Jan. W okolicznych wsiach uczyli i wychowali całe pokolenia znani i pamiętani do dziś nauczyciele: Franciszek i Jan Twarogowie, Kazimierz Łowczowski, Józef Celiński i Franciszek Marszałek. W Ruszczy u księdza dziekana Leona Katany przebywał kardynał Adam Sapieha i wizytator papieski Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. Do Pleszowa i Mogiły przyjechał latem 1929 r. na gospodarską wizytację Prezydent RP Ignacy Mościcki. Czy jest możliwe, aby te prominentne osoby wizytowały zacofane wioski? To raczej wątpliwe. W okresie międzywojennym w okolicznych wsiach było sporo domów murowanych i krytych dachówką, która coraz bardziej wypierała strzechy, a niemal przy każdym domu była studnia i „sławojka". Sąsiedztwo Krakowa pozytywnie oddziaływało także w sferze zatrudnienia: wiele osób pracowało w fabryce Zieleniewskiego na Grzegórzkach, w odlewni żeliwa Klimka i Zakładach Farmaceutycznych „Wandera" na ul. Mogilskiej, ponadto we młynach na Wieczystej i w warsztatach remontowych na lotnisku w Rakowicach. Wyjeżdżano do pracy w odległych fabrykach Centralnego Okręgu Przemysłowego. Praktykowano i zdobywano zawody: ślusarza, montera, blacharza, kowala, stolarza, cieśli, murarza, zduna, kaflarza, krawca i szewca. We wsiach byli młynarze, rymarze, dorożkarze, wozacy, piaskarze, rzeźnicy i masarze. Istniała zatem zwarta sieć usług i rzemiosła użytkowego skoncentrowanego na stosunkowo niewielkim obszarze. Z tutejszych mieszkańców wywodzili się również księża, adwokaci, lekarze, prokurator, inżynierowie, rolnicy i nauczyciele. W instytucjach państwowych byli zatrudnieni wojskowi, policjanci, pocztowcy i strażacy.



Wysoka była też kultura rolna, której sprzyjała żyzna gleba (iły krakowieckie) doceniona już w poprzednich tysiącleciach przez liczne plemiona osadników np. Celtów. Od 1222 roku, gdy biskup krakowski Iwo Odrowąż sprowadził do Mogiły Cystersów, przeobrażane okolice zaczęły tętnić nowym życiem. Zakon oprócz krzewienia wiary i oświaty nieustannie unowocześniał swoje uprawy, obiekty gospodarcze i przemysłowe (młyny, tartaki, folusze, huty), co oddziaływało na okoliczne wsie, których „metryki" sięgają zresztą czasów sprzed lokacji Krakowa (1257 r.). W ostatnich dziesięcioleciach XIX w. i na początku XX chłopi nie bali się wprowadzania innowacji, przez co poprawiały się jakość i poziom ich życia. Osuszano podmokłe grunty powiększając areały, w tym łąki i błonia. Idąc za przykładem wykształconych, zawodowych dzierżawców z rolniczym przygotowaniem (należał do nich inż. Kazimierz Cieślewicz, syn Wincentego, ogrodnika u Cystersów), zaczęto stopniowo przechodzić z dotychczasowej uprawy zbóż na warzywnictwo (kapusta, pomidory, rabarbar) i sadownictwo (jabłonie, grusze, nowe odmiany śliwek i czereśni). W Bieńczycach przed wojną istniały wielkie plantacje truskawek, gdzie dla osiągnięcia wyższej ceny skupu specjalizowano się w ich wczesnych odmianach. W Czyżynach zbudowano Zakład Uprawy i Fermentacji Tytoniu. Tytoń kontraktowano potem w całej okolicy, a instruktorzy dbali o jego właściwą uprawę. Istniały też hodowle jedwabnika morwowego, a w Grębałowie majątek Kapituły Krakowskiej dzierżawiła znana firma hodowli roślin „Freege". Dzisiaj, gdy narzekamy na rozdrobnienie polskiego rolnictwa, uznając za gospodarstwo rolne grunt o powierzchni 1 hektara, warto przypomnieć, że przed 1939 r. kilkuhektarowe gospodarstwo w Bieńczycach było kwalifikowane jako drobne. To wszystko nie pasuje do wizerunku ciemnej, zacofanej podkrakowskiej wsi.

**Trzecim** powodem powstania albumu jest to, że wsie położone na wschód od Krakowa miały znacznie mniej szczęścia do popularyzacji niż sąsiadujące z nim od zachodu Bronowice. „Ludomania" Włodzimierza Tetmajera, Lucjana Rydla, a szczególnie Stanisława Wyspiańskiego poprzez „Wesele" i jego późniejszą ekranizację dokonaną przez Andrzeja Wajdę, mocno rozsławiła je w Polsce, a przecież po wschodniej stronie Krakowa w minionych latach też żyli znani ludzie i miały miejsce ważne wydarzenia. Nawiasem mówiąc słynne słowa Czepca – „Ptak ptakowi nie jednaki, człek człekowi nie dorówna, dusa dusy zajrzy w oczy, nie polezie orzeł w gówna..." rozpoczynający sceniczną dyskusję polityczną, odnosi się właśnie do wspomnianego wcześniej Franciszka Ptaka z Bieńczyc. Każde polskie dziecko zna legendę o bohaterskiej Wandzie, „co nie chciała Niemca". Skacząc do Wisły utopiła się, a w miejscu gdzie wyłowiono jej ciało, usypano kopiec – mogiłę, od którego wzięła swą nazwę wieś Mogiła. Na szczycie kopca stanął później pomnik zaprojektowany przez Jana Matejkę. W tutejszym klasztorze cysterskim w okresie renesansu tworzył wybitny polski malarz, zakonnik Stanisław Samostrzelnik, później zaś zlecenia wykonywał Tomasz Dolabella, jeden z głównych twórców malarstwa barokowego w Polsce, nadworny artysta Zygmunta III Wazy. W tejże Mogile rozgrywała się akcja śpiewogry „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale" Wojciecha Bogusławskiego – twórcy polskiej sceny narodowej, a pobyt Cypriana Kamila Norwida na kopcu Wandy był inspiracją do napisania poświęconego jej poematu. W kwietniu 1794 r. odbył się przemarsz wojsk Tadeusza Kościuszki z Krakowa do Racławic, którego pierwszy etap prowadził przez Mogiłę, Pleszów, Wadów do Kocmyrzowa. W Pleszowie do niedawna stała jeszcze kamienna ławka a ponad nią widniał napis: „W tym miejscu w 1794 roku Tadeusz Kościuszko odpoczywał wraz ze swym wojskiem i był uroczyście witany przez ludność Pleszowa". Wiedząc o tym przemarszu nie wzbudzą zdziwienia zdjęcia wykonane tam 140 lat później, podczas obchodów rocznicy Bitwy pod Racławicami, świadczące o niezwykle żywej pamięci tamtego wydarzenia wśród mieszkańców, wspólnie przebierających się podczas parad i przedstawień w historyczne stroje. Poza rocznicami uroczyście obchodzono, koniecznie z banderią krakusów – święta państwowe, ludowe i kościelne. W sąsiednich wsiach także pielęgnowano tradycje kosynierów racławickich, a zwłaszcza w Luborzycy, gdzie do dziś przechowuje się wspomnienie o tym, że Kościuszko nocował tam w chłopskiej chacie, choć dwór stał obok. W czasie powstań narodowych przewożono z tych okolic broń dla powstańców, a po ich upadku osiedlali się tutaj ludzie, którzy w obawie przed represjami musieli uchodzić z Królestwa Polskiego. Przekraczając granicę między zaborami rosyjskim i austriackim, uciekinierzy mogli liczyć na pomoc tutejszej ludności.

Pod koniec XVIII w. majątek ziemski w Krzesławicach dzierżawił współtwórca Konstytucji 3 Maja – Hugo Kołłątaj, działacz polityczny i reformator ustroju Polski. W pobliskich Krzysztoforzycach tworzył Piotr Michałowski – najwybitniejszy malarz polskiego romantyzmu. Tam powstały jego słynne dzieła: „Samosierra" i „Napoleon", malował ponadto obrazy gloryfikujące dawne zwycięstwa i powstanie listopadowe. Artysta posiadał spory majątek ziemski, a w nim konie, które też były jego ulubionym tematem obok postaci wiejskich parobków, chłopów i starców. Przypomnieć wypada, że w 1845 r. w Igołomii przyszedł na świat Adam Chmielowski, znany obecnie jako Św. Brat Albert, który zanim odkrył swe prawdziwe powołanie był także obiecującym malarzem. Stoi tam nadal zabytkowa kuźnia, która stała się tłem słynnego cyklu rycin Artura Grottgera „Polonia – 1863". Jan Matejko w 1876 roku zakupił za pieniądze uzyskane ze sprzedaży obrazu „Batory pod Pskowem" wieś Krzesławice wraz z uroczym dworkiem nad Dłubnią. Dobudował do niego pracownię i odtąd wykorzystywał dworek jako letnią rezydencję. Mistrz namalował tam wiele dzieł, w tym znany obraz „Kościuszko pod Racławicami", do którego pozowali mu okoliczni chłopi. Ufundował też stojący do dziś niewielki budynek Szkoły Powszechnej, zaś sąsiednie Bieńczyce dzierżawił brat artysty – Zygmunt.

Z Bieńczycami po ożenku mocno związał się także wspomnieny wcześniej młodopolski malarz Józef Krasnowolski, utrwalając w swoich dziełach tutejsze

krajobrazy, chaty, kapliczki i ludowe obyczaje. Jego wesele odbyło się 5 listopada 1902 r. w chacie panny młodej. Choć nie tak głośne jak bronowickie, zgromadziło krakowski świat artystyczny z Leonem Wyczółkowskim na czele i przeszło do rodzinnej legendy. Malarz wielokrotnie portretował również swoją piękną żonę i jej siostrę Wiktorię oraz wielu innych mieszkańców Bieńczyc, których możemy teraz zobaczyć na obrazach i dziesiątkach zachowanych kart pocztowych, stanowiących reprodukcje jego prac. Postać Józefa Krasnowolskiego i jego twórczość, ukazująca miejscowy koloryt sprzed stu lat są ważne dla naszej kultury narodowej i zasługują na większą popularność.

Album ilustruje tylko pewien wycinek historii kilku wsi, od schyłku XIX w. po lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku, kiedy to nieopodal prastarego opactwa cysterskiego wyrosły baraki i namioty junaków z Brygad Służby Polsce, budujących tu nowe osiedla.

Oglądając pierwsze nowohuckie panoramy Stanisława Senissona wykonane latem 1949 r. warto sobie w tym miejscu przypomnieć znamienne słowa Jana Pawła II, jakie wypowiedział 9 czerwca 1979 r. podczas homilii w czasie Mszy Św. odprawionej przed opactwem OO. Cystersów w Mogile: „Kiedy w pobliżu Krakowa powstawała Nowa Huta – olbrzymi kombinat przemysłowy oraz nowe wielkie miasto: nowy Kraków – może nie uświadamiano sobie, że powstaje ono przy tym Krzyżu. Przy tej relikwii, którą wraz z prastarym opactwem cysterskim odziedziczyliśmy po czasach piastowskich".

Dziś, gdy Nowa Huta stała się modna, trzeba znacznie uważniej spojrzeć na jej przeszłość i depozyt poprzednich mieszkańców – to **czwarty** powód ukazania się niniejszej publikacji.

Historia i zmarli upominają się o swą pamięć, która jest miarą kultury narodu. Sięgając do niej odsłaniamy korzenie, wyrażamy symbol wdzięczności dla tych, którzy swoim życiem tworzyli podłoże wzrastania następnych pokoleń. Ich doświadczenie, praca i miłość tworzyły podstawy naszej egzystencji. To, czy pozostaniemy obojętni, czy będziemy się z nimi utożsamiać, zależeć będzie od naszej wiedzy, sumienia i wrażliwości. Te cechy zadecydują, czy zebrane tu fotografie okażą się tylko kolejnym zbiorem ciekawostek, czy żywym świadectwem przeszłości budzącym głębsze emocje. Zdjęcia i dokumenty jakie znalazły się na wystawie i w albumie, nie były wcześniej pokazywane. Przechowywano je do tej pory w prywatnych archiwach. Dzięki nim można będzie przywołać i odkryć intymną atmosferę towarzyszącą tamtej codzienności. Starsze pokolenia rdzennych mieszkańców odnajdą w nich odbicie swego dzieciństwa i młodości, nowe zaś dowiedzą się czegoś więcej o świecie swych ojców. Pomysł tego przedsięwzięcia „chodził za mną" i dojrzewał przez wiele lat. Pierwsza myśl o takiej akcji zaświtała jeszcze na studiach pedagogicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie zetknąłem się w latach siedemdziesiątych z prof. Tadeuszem Gołaszewskim i jego „Kroniką Nowej Huty". Nie rozwinęła się jednak na tyle głęboko, aby wyjść poza dokumentację fotograficzną zabytkowych obiektów i skierować moje zainteresowanie na ludzi, którzy wtedy jeszcze żyli i mogli się okazać skarbnicą cennych wiadomości.

W latach 1983-2006 organizowałem w Nowohuckim Centrum Kultury i poza tą placówką kilka plenerów i ponad dwadzieścia wystaw indywidualnych i zbiorowych o tematyce nowohuckiej. Obecnie jeszcze mocniej zdeterminowało mnie „uczulenie" na historię, zmotywowała obserwacja upływającego czasu, a także pytania o sens życia i cenę, jaką przyszło zapłacić pierwotnym mieszkańcom za podjęte odgórnie decyzje.

Znaczenie miał również fakt, że obok wielotorowych, wartościowych inicjatyw dotyczących Nowej Huty pojawiły się również działania pewnych środowisk i jednostek traktujących ją nie jako obszar wspólnego dobra, lecz trampolinę własnych karier i interesów, gdzie dla sentymentów nie ma miejsca.

Punktem zwrotnym w zainteresowaniu przeszłością Nowej Huty był obchodzony w 1999 r. jubileusz jej 50-lecia, ale wówczas dawnych mieszkańców wsi zniszczonych pod zabudowę socjalistycznego miasta także potraktowano marginalnie. Dlatego właśnie w akcji „Czas zatrzymany" najważniejsza jest tamta, odchodząca generacja, ona nieustannie przypomina, że trzeba się spieszyć. W sukurs przyszła cyfrowa technika zapisu i obróbki obrazu, bez której trudno byłoby – zwłaszcza w terenie – reprodukować stare zdjęcia, a potem je obrabieć. Cieszy odnajdywanie niemal kompletnych zbiorów archiwalnych zdjęć np. Zdzisława Łabędzia z Luborzycy czy Władysława Bochenka z Bieńczyc. Dzięki temu zobaczymy, jak przebiegało uczestnictwo w życiu religijnym, obrzędy i obchody świąt kościelnych, poznamy też niepublikowane dotąd zdjęcia przedstawiające Karola Wojtyłę.

Ogrom pozyskanego materiału nie pozwolił dotychczas na jego dokładną selekcję, gdyż z pozoru banalne i niewyraźne zdjęcie może mieć kapitalnie znaczenie uzupełniając w konkretnym aspekcie inne zbiory, co już nieraz empirycznie stwierdziłem. Reprodukuję zatem i przechowuję większość archiwalnych fotografii które mi udostępniono. W ten sposób w ciągu roku cyfrowy zbiór zdjęć osiągnął już kilka tysięcy i wciąż się powiększa. Powróćmy jednak do głównego toru myśli. Otóż punktem wyjścia była próba przywołania nostalgicznego klimatu tamtych czasów i obrazu epoki, utożsamianej ze światem wartości tak bezwzględnie odrzuconych przez system. Pokazany wizerunek oznacza opowiedzenie się właśnie za owymi wartościami – to **piąty** powód podjęcia pracy nad albumem.

**Szósty** powód jest taki, że upływ kilkudziesięciu lat od wykonania fotografii może zatrzeć nie tylko przedstawiony obraz, ale i pamięć o ludziach, którzy na niej występują. Dlatego trzeba te ślady starannie utrwalać i zapisywać. Teraz. Natychmiast. Zdjęcia zyskują wtedy na wartości dokumentalnej, a „okruszki pamięci" stają się przez to cenniejszym zapisem. Niestety, sporo miejsc i postaci ze zdjęć pozostaje nadal niezidentyfikowanych, a wiedza o innych jest więcej niż skromna. W większości trudno jest także dokładnie określić czas wykonania oraz autorów fotografii. Ze smutkiem uświadamiam sobie te mankamenty,



lecz pozostaje przecież nadzieja, że czytelnicy i widzowie pomogą je częściowo usunąć, dlatego wszelkie sugestie, sprostowania i nowe materiały przyjęte będą z wielką wdzięcznością. Dochodzi tu jeszcze kwestia krótkiego czasu przygotowania i realizacji tego projektu, opartego głównie na pracy społecznej entuzjastów i zaangażowaniu ludzi dobrej woli dzięki którym książka ta mogła powstać. Ona nie powinna niczego zamykać, lecz wybiegając daleko poza doczesność, otworzyć możliwości głębszej refleksji nad przeszłością. Dobrze jej służą zgromadzone w drugiej części artykuły, opracowania i wspomnienia. Korelacja tekstów ze zdjęciami pozwoli w wielu aspektach lepiej przybliżyć historię tych ziem i związanych z nią ludzi. Mam jednak i tę świadomość, że ich wybór jest propozycją, która tematu wcale nie wyczerpuje. To ograniczenie może budzić pewien niedosyt, lecz chodzi tu raczej o przywołanie ogólnego klimatu tamtej epoki, niż o „inwentaryzację świata", co i tak byłoby skazane na porażkę.

Może kiedyś zadanie to wypełni monografia dotycząca terytorium obecnej Nowej Huty w czym okaże sie pomocny zebrany tu materiał wizualny?

Starałem się pogrupować go w ten sposób, aby fotografie wzmacniały się wzajemne poprzez inspiracje, uzupełnienia i porównania, by dobrze ze sobą współbrzmiały tworząc poszczególne kategorie: portret w atelier, portret w plenerze, chrzty, dziecięce zabawy, ochronki i szkoły, młodość, śluby i wesela, moda, rozrywka, praca, pory roku, starość, ostatnie pożegnania, lata wojny, wydarzenia, krajobraz, obiekty zabytkowe.

W przyjęciu tej ogólnej koncepcji kierowałem się bardziej wiedzą o fotografii jako medium oraz własną intuicją, niż ścisłą chronologią wydarzeń czy miejsc skąd pochodziły zdjęcia, a uzasadnieniem dla tego rodzaju zabiegów była chęć podkreślenia uniwersalności tematów oraz moja fascynacja fenomenem ludzkiego życia wpisanego w historię społeczeństw. Poszukując analogii pewnych sytuacji, miejsc i zdarzeń ilustrujących miniony świat mieszkańców dawnych wsi, chciałem przez to mocniej zaakcentować wspólnotę ich losu, przeżyć i doświadczeń. Pokazać, że oni wszyscy są tym światem.

Rozproszone, a często uszkodzone i zdziesiątkowane zbiory bardzo utrudniały tą realizację. Ocalone pamiątki, którym dane było przetrwać wojny, różne kataklizmy dziejowe lub niefrasobliwość poprzednich właścicieli, zasługiwały na podjęty wysiłek. Fotografie odnalezione w domowych archiwach i zakamarkach ukazały w całej swej złożoności i masie ważne pierwiastki emocjonalno-poznawcze, tworząc z takich maleńkich skrawków przeszłości ciekawą, różnorodną mozaikę. Poruszając się dość intensywnie w świecie archiwaliów zauważyłem, że zaczęły one ponownie żyć własnym życiem. Zdjęcia przenosząc magicznie ponad czasem aurę tamtych lat zaczęły opowiadać o tajemniczych ludzkich sprawach: szczęściu, miłości, rozterkach i dramatach. Od narodzin aż po śmierć. Ukazały pojedyncze epizody, ale również wielowymiarowe sekwencje pozwalające prześledzić fragmenty życiorysów np. Jana Jędrszczyka, Jana Ciepieli, Jana Bochenka, Józefa Osiadłego, Józefa Turbasy, Marii i Jana Kotyzów z Bieńczyc, rodziny Kazimierza Cieślewicza z Czyżyn, rodziny Klęków z Mogiły, rodziny Franciszka Twaroga i Piotra Partyły z Luboczy, Stanisława i Jana Gajochów z Pleszowa czy Władysława Walerjana. z Krzesławic.

Im dłużej śledzę ich losy – w miarę powiększania zbioru o kolejne zdjęcia pochodzące z różnych źródeł – tym więcej pojawia się związków pomiędzy pozornie oderwanymi zdarzeniami. To fascynujące! Rozpoznaję coraz więcej ludzi, których od dawna już nie ma, lecz żyją na ocalonych fotografiach, a te przecież nie odróżniają świata żywych od świata umarłych. Teraz można to lepiej zrozumieć. Subiektywne odczuwanie bardzo osobistych opowieści, jakie wyłaniają się ze zdjęć i dokumentów, klarowniej przemawia do wyobraźni, niż historie całych zbiorowości, które w swej masie wydają się przez to mniej realne.

**Siódmy** powód opracowania albumu „Czas zatrzymany" określiła funkcja przypieczętowania przyjaźni i międzyludzkich więzi, jakie towarzyszyły mojej pracy nad tym projektem. Chciałem mianowicie utrwalić choćby maleńki rąbek owej spontanicznej przestrzeni setek indywidualnych i grupowych spotkań, dla których pretekstem były stare fotografie – „katalizatory" ludzkiej pamięci. Przywołując ukryte w głębi duszy tęsknoty za światem dzieciństwa i młodości, budowały pomosty między współczesnością a przeszłością. Często spotykały się przy nich nawet wielopokoleniowe rodziny, ponieważ ta akcja rozbudziła wśród młodszej generacji – co szczególnie cenne, autentyczne zainteresowanie życiem ich przodków. Pochylając się nad zdjęciami i patrząc wstecz, łatwiej im będzie ogarnąć przebyty dystans po to, by unikając zwodniczych ideologii, lepiej i mądrzej budować swą przyszłość. Być może pokonają bierność, ominą życiowe zasadzki i lęk przed pustką – w każdym razie otrzymują możliwość wyboru dodatkowych zainteresowań.

Te dygresje pedagogiczne nieprzypadkowo pojawiają się w okresie gdy od lat toczy się w Polsce jałowy dyskurs o reformie szkolnictwa, szczególnie zaś jego funkcji wychowawczych i patriotycznych. Jeśli budujące rezultaty tej akcji pozwolą komuś na niewielką modyfikację programu szkolnego i uwzględnienie w nim fotografii, utrwalania za jej pomocą własnego otoczenia i spisywania związanych z tym wiadomości – będę miał satysfakcję.

Album „Czas zatrzymany" ukazuje „małą ojczyznę" w bogactwie odcieni jakie odmalowały jej historyczny fresk, gdzie przeszłość dawnych włodarzy tych dóbr odnajduje w nim symboliczną kwintesencję. Pamiętajmy, że na ochronę resztek tego zabytkowego dziedzictwa i środowiska naturalnego nigdy nie jest za późno. Lecz nie chodzi tu o budowanie „skansenu" wartości duchowych i materialnych. Idzie o coś znacznie więcej: o naszą przyszłość i o to, kim naprawdę będziemy? Ale to zależy od tego, w jakie cechy zostaną wyposażeni przez rodzinę, szkołę, kościół i otoczenie nasi następcy. Czy górę u nich weźmie zainteresowanie światem i jego problemami czy nihilizm? Egoizm czy empatia?

Warto tu wspomnieć o Franciszku Twarogu – nauczycielu z Luboczy. Jego głęboki patriotyzm, wspaniałe dzieła

i szlachetna postawa życiowa na tle ogólnego obrazu współczesnego społeczeństwa mogą się wydawać wprost nierzeczywiste. Pozostały jednak trwałe efekty jego pracy czyli wartości, które przez ponad pół wieku wszczepiał swoim wychowankom kształtując ich osobowość. One zaś, przekazywane innym, wciąż procentują. Jego wiedza, talent, praca, uczciwość i odwaga pokazały, co to znaczy prawdziwie kochać ojczyznę i mądrze jej służyć.

Młodzi ludzie powinni mieć autorytety, poznawać dogmaty i zobaczyć budujące przykłady, lecz cóż z tego, skoro w tej dziedzinie tak wiele zniszczono, a proces destrukcji narasta. Pogłębia go zwątpienie, kryzys, brzydota budownictwa i chaos gospodarki przestrzennej, które zbyt mocno przysłaniają przykłady godne naśladowania, a nie trzeba udowadniać, że wzrastanie w określonym środowisku determinuje przyszłe cechy jego mieszkańców.

Nowa Huta dla wielu wciąż pozostaje niezabliźnioną raną na sercu i ziemi. Ale to już się stało. Nie odwrócimy zdarzeń sprzed półwiecza. Możemy natomiast utrwalić obraz wyłaniający się ze starych fotografii i opowieści sędziwych mieszkańców dawnych wsi. Wypada to zrobić głównie dla nich oraz przez pamięć o tych, którzy już odeszli. Powtarzając za Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim, chcemy ten miniony świat „ocalić od zapomnienia" również dla następnych pokoleń, bo młodym trudno jest uświadomić sobie, jak ważne dla człowieka są jego korzenie. Gdy jednak przychodzi wiek dojrzały, pojawia się tęsknota za przeszłością i przykra świadomość, że coś zostało zagubione, stracone bezpowrotnie.

Akcja odtwarzania za pomocą fotografii i wspomnień historii Czyżyn, Bieńczyc, Mogiły, Grębałowa, Luboczy, Pleszowa i innych wsi nie jest skierowana przeciwko dzisiejszym mieszkańcom Nowej Huty. Wśród nich są przecież liczni potomkowie rdzennych mieszkańców tych okolic, którzy niekiedy z entuzjazmem – właściwym młodym ludziom po przeżyciu koszmaru okupacji – uczestniczyli w tworzeniu nowej rzeczywistości. Chciałbym, aby budowniczowie Nowej Huty, którzy przybyli tu kiedyś z całej Polski i ich potomkowie oglądając ten album nie traktowali ukazanej w nim historii jak przykrego wyrzutu sumienia, o którym najlepiej zapomnieć. Pragnę też, aby pierwotni mieszkańcy byli dumni ze swoich przodków, ich dorobku i przeszłości, aby odzyskali własną tożsamość i przestali być „nowohuckimi Indianami" – oto **ósmy** powód dla którego zrobiono ten album.

Trzeba też spojrzeć na teraźniejszość. Sprzężenie między szeroko pojętą tradycją a promocją miasta, może przyczynić się do wzrostu atrakcyjności Nowej Huty.

Może służyć partnerskim kontaktom oraz współpracy krajowej i zagranicznej. Liczę na to, że ciężar gatunkowy zebranych tu archiwaliów przechyli szalę we właściwą stronę i pozwoli kontynuować tę akcję dla dobra ogółu. Miałbym szczerą satysfakcję, gdyby pokazany tu fragment zapomnianego dziedzictwa najmłodszej siostry Krakowa – Nowej Huty, miał wpływ na wzbogacenie jego oferty kulturalnej i turystycznej. Być może album zadanie to ułatwi – to był **dziewiąty** powód jego edycji.

Wszyscy, którzy brali udział w projekcie „Czas zatrzymany" pokazali, że warto było zrobić coś dla innych ludzi a zarazem dla siebie – z potrzeby odkrywania prawdy, miłości, piękna i śladów zagubionej przeszłości oraz dlatego, że żyjemy w mieście wyjątkowym, gdzie można czerpać korzyści nie tylko z supermarketów i stali, lecz także z jego rodzimej tradycji i kultury – oto **dziesiąty** powód powstania tej książki.

## Podziękowania

Oddając w ręce czytelników tę publikację, pragnę wyrazić moje głębokie podziękowanie dla wszystkich osób, którzy udostępnili swe zbiory, autorów opracowań, współpracowników, sponsorów oraz. przyjaciół. Bardzo dziękuję Wam za to, że kolejne edycje wystaw i album „Czas Zatrzymany" mogły w ogóle zaistnieć. Bez Waszej pomocy i zaangażowania nie byłoby to możliwe.

Gorące przyjęcie wystawy przez widzów dowiodło, że ta praca była komuś potrzebna. Za to wszystko serdecznie dziękuję:

Prezydentowi Miasta Krakowa – prof. Jackowi Majchrowskiemu, Wiceprezydentowi Krakowa Henrykowi Bątkiewiczowi, Dyrektorowi Nowohuckiego Centrum Kultury – Ferdynandowi Nawratilowi, radnym z Porozumienia Dzielnic Nowohuckich, radnemu Miasta Krakowa – Maciejowi Twarogowi, radnym XII Dzielnicy: Franciszkowi Nowakowi i Stanisławowi Walczakowi, radnemu Jerzemu Połomskiemu, Dyrektorowi Ośrodka Kultury w Nowej Hucie – Małgorzacie Jezutek, ks. proboszczowi Stanisławowi Wajdziakowi z Pleszowa, ks. proboszczowi Stanisławowi Dolasińskiemu z Luboczy, prof. Halinie Florkowskiej-Francić z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Janowi Franczykowi – redaktorowi naczelnemu „Głosu – Tygodnika Nowohuckiego", Marii Herzog-Majewskiej – redaktor naczelnej „Biuletynu Fotograficznego", red. Marcie Sinior z portalu „Fotopolis", red. Katarzynie Kobylarczyk z „Dziennika Polskiego", red. Annie Gorol-Kaszewskiej z Telewizji Kraków, red. Beacie Kowalik z „Lodołamacza", red. Marcinowi Baniakowi z Radia Kraków, red. Renacie Radłowskiej z „Gazety Wyborczej", red. Monice Frenkiel z „Gazety Krakowskiej", red. Krzysztofowi Wołodźko, redakcji magazynu „Kraków", redakcji magazynu „Obywatel", Januszowi Lirskiemu ze Związku Polskich Artystów Fotografików, prezesowi Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego – Władysławowi Klimczakowi, Janowi Oberbekowi, Andrzejowi Rogowi, Ryszardowi Kosibie, Mieczysławowi Marcowi, Wiesławowi Pyczkowi, Leszkowi Dziedzicowi, Jolancie Wcisło, Jurkowi Kujawskiemu „Szpinakowi", Jerzemu Ridanowi, Marii Zderkowskiej, Hannie i Józefowi Pociechom, Elżbiecie i Marianowi Dzikowskim oraz ich dzieciom: Marcie i Jankowi, Zofii Zyburze, Marii i Ewie Nowak, Helenie Gawin, Elżbiecie Stefańskiej, Władysławowi Bochenkowi, Władysławie i Janowi Salwińskim, Irenie i Zbigniewowi Ciepielom, Janinie i Andrzejowi Ptakom, Teresie Stochel, Piotrowi Krasnowolskiemu, Marii i Weronice Kosieradzkim, Irenie Borowiec, rodzinie śp. Eugenii Cygan, Antoniemu Łapajerskiemu, Józefowi Hajto, Stefanowi Żelichowskiemu, Joannie Kasznik, Marii Kornas, Annie Adamczyk, Annie Kozłowskiej, Annie Adamskiej, Marii Suder, rodzinie Gajochów z Pleszowa, rodzinie Partyłów z Luboczy, Józefowi, Jerzemu i Dorocie Turbasom, Lucynie i Tomaszowi Turajowi, Barbarze Morawskiej-Nowak, Alicji i Wincentemu Cieślewiczom, Marii Jarząbek, Andrzejowi Świerczewskiemu, Emilii Cuber, Józefie Kalembie, Marii Szopie, Grażynie Dubiel, Kornelii Gnat, Natalii Mrowcy, Zofii Cecudze, Elżbiecie Nowak, Monice Kozub, Marii Czyż, Katarzynie Majzerowicz, Stanisławie Słowik, Kazimierzowi Malcowi, Stanisławowi Królowi, Alicji Grzesiak, Janinie Kurzeji, Antoniemu Pituchowi, Czesławie Kapeli, Marii Bętkowskiej, Marii Płatek, Krystynie Raźny, Barbarze Łach, Marii Sendorek, Marii Frankiewicz, Wiesławowi Gawlikowi, Andrzejowi Kotyzie i rodzinie śp. Jana Kotyzy, Antoninie Ludwig, Marianowi Wójcikowi, Julianowi Kubali, Józefie Stankiewicz, Zofii Gerhardt, Annie Maciąg, Eugeniuszowi Bartoszkowi, Jadwidze Broszkiewicz, Aleksandrze Kaczmarczyk, rodzinie śp. Zdzisława Łabędzia, Helenie Słabońskiej, Marii Radoszek, Aleksandrze Erbert, Mateuszowi Wyżdze, Henrykowi Bugajskiemu, Barbarze Barbackiej, Jadwidze Skibie, Barbarze i Stanisławowi Misiakom oraz swoim najbliższym współpracownikom z NCK: Annie Bubuli, Grzegorzowi Boniowskiemu, Markowi Norkowi, i Maciejowi Siudmakowi.

Pragnę też gorąco podziękować mojej kochanej rodzinie: żonie Oli i dzieciom: Ewelinie i Kamilkowi za to, że dzieląc się ze mną swoimi uwagami na temat zdjęć, byli pierwszymi, wdzięcznymi obserwatorami i recenzentami mojej pracy, zwłaszcza, że tak często odbywała się w miejscu i czasie przeznaczonym właśnie dla nich. Dziękuję im również za to, że byli przy mnie wówczas, kiedy ich potrzebowałem. To miało ogromny wpływ na realizację projektu „Czas zatrzymany" i ostateczny kształt albumu.

*Nowa Huta, listopad 2006* *Adam Gryczyński*

*Email: gryczynski@poczta.onet.pl*



*Nowa Huta z lotu ptaka od strony południowo-wschodniej, fot. Adam Gryczyński, maj 1999 r.*

# Mogiła





*Klasztor OO. Cystersów, lata 20. XX w.*



*Alumni z klasztoru OO. Cystersów w Mogile, rok 1951. W pierwszym rzędzie w środku stoi opat mogilski – o. Augustyn Ciesielski. W czasie, gdy robiono to zdjęcie, nieopodal wznoszono już pierwsze budynki nowohuckich osiedli. Cystersów do Mogiły sprowadził biskup Iwo Odrowąż już w 1222 r. Oprócz praktyk religijnych, zajmowali się przemysłem, rzemiosłem, uprawą ziemi i przetwórstwem płodów rolnych oraz krzewili oświatę. Byli także pionierami hutnictwa i górnictwa a w Mogile jako pierwsi wprowadzili budowle z cegły.*



*O. Augustyn Ciesielski /1909-1968/, Prezes Polskiej Kongregacji Cystersów, opat mogilski*



*Brat Andrzej Kolasa /1916-1981/ z ministrantami kościoła klasztornego OO. Cystersów, rok 1938*



*Dożynki u OO. Cystersów, rok 1938. Z przodu Opat Robert Kuchar i administrator Rudolf (?) Jamica. W drugim rzędzie od lewej m.in.: Wojciech Żelichowski /pomocnik ko-wala/, Kazimierz Sadowski, Jan Michalski, Stanisław Mazanek /kowal/, pan Nowak /polowy, karbowy/.*



*Uroczystości pogrzebowe księdza prałata Wojciecha Siedleckiego, dziekana dekanatu mogilskiego, 30.04.1935 r., fot. Foto-Expres*



*Wnętrze kościoła Św.Bartłomieja pochodzącego z roku 1466 i zaliczanego do najcenniejszych zabytków średniowiecznej architektury drewnianej w Polsce, 30.04.1935 r.*



*Procesja w Mogile, lata 30. XX w.*



*Procesja w Mogile, lata 30. XX w.*



*Most na Wiśle, ok. 1915 roku*







*Odpust w Mogile, lata 40. XX w.*



*Rodzina Świdrów z Bieńczyc, ok. 1933 roku*



*Rodzina Ciepielów z Bieńczyc*



*Przy beczkach Piotr Skiba, Julian Dynia i Adam Skiba, rok 1937*



*Rodzina Szutów z Dojazdowa*



*Rycina z lat 20. XX w. przedstawiająca od strony południowej zabudowania młyna wodnego na tle klasztoru OO.Cystersów.*



*JózefChwastek,ok.1915 roku, Poli, fot. C. Righetti Pittore Fotografo*



*Rodzina Karola Żabińskiego /1857-1911/, młynarza z Mogiły, ok. 1890 roku*



*Dokument pergaminowy z 7 listopada 1728 roku, wystawiony przez klasztor OO.Cystersów w Mogile jako akt przyznania Stanisławowi Krzepczyńskiemu, jego żonie Reginie i sukcesorom statusu dzierżawców.*



*Apolonia z Żabińskich Chwastkowa /1889-1980/ i jej mąż Józef Chwastek /1887-1955/ przed prowadzonym przez nich przyklasztornym młynem wodnym, ok. roku 1917*




*Przed bramą młyna przyklasztornego stoją córki jego właścicielki – Salomei Żabińskiej: Zofia, Maria i Apolonia, ok. 1915 roku*





*Maria z Żabińskich Morycowa /1886-1963/, córka Karola i Salomei Żabińskich, ok. 1910 roku*

*Salomea z Ciepielów Żabińska /1866-1932/, Prowadziła wraz z mężem Karolem Żabińskim przyklasztorny młyn wodny w Mogile, fot. M.A. Olma w Krakowie, ok. 1905 roku*





*Zofia Żabińska (1903-1993), córka Karola i Salomei Żabińskich, ok. 1910 roku*



*Apolonia z Żabińskich Chwastkowa z mężem Józefem Chwastkiem. Zdjęcie wykonane 20 listopada 1912 roku w atelier E. Zamboni w Poli*



*Apolonia Hora-Dyniowa i Franciszek Dynia, lata 30. XX w.*



*Rodzina Kazimierza Rogozińskiego, ok. 1890 roku*



*Rodzina Horów z opatem mogilskim o.Wincentym Stanowskim,ok.1894 r.*



*Rodzina Stefańskich z Mogiły, lata 30. XX w.*



*Pani Makułowa z dziećmi, pocz. .XX w*



*Karolina i Jan Stalmachowscy, rok 1907*



*Pani Rosołek, pani Broda /żona sołtysa/ i pani Nowak, lata 30. XX w.*



*Ks. Józef Zastawniak z parafianami, lata 30. XX w.*





*Aniela Dynia-Skibowa, ok. 1919 roku*



*Jadwiga Skiba, lata 30. XX w.*



*Maryla i Franciszek Feretowie, rok 1943*



*Mieczysława z Sewerynów i Wilhelm Dyniowie, rok 1929*



*Wilhelm Dynia ze swoim samochodem, lata 30. XX w.*



*Rodzina Dyniów, lata 30. XX w.*





*Wycieczka szkolna dzieci z Luboczy pod kopcem Wandy, lata 20. XX w.*




*Józefa i Apolonia Klęczanki przed stacją kolejową, 1940 r.*



*Józefa Klęka z kolegą, w tle kopiec Wandy, rok 1940*



*Jaz na Dłubni, w środku stoi Józef Klęka z Mogiły, ok. 1940 roku*



*Józef i Elżbieta Klękowie, ok. 1940 roku*







*Odbudowa spalonej stodoły w folwarku cysterskim przy ulicy Klasztornej, rok 1938*



*Żniwa na polach cysterskich /ponad 500 ha/. Na pierwszym planie w kapeluszu stoi Wojciech Żelichowski.*





*Rodzina Żelichowskich przed domem folwarcznym przy ulicy Klasztornej.*



*Rozpoczęcie budowy Nowej Huty, lipiec 1949 roku, fot. Stanisław Senisson*







*Widok z kopca Wandy na Nową Hutę, lata 50. XX w.*



*Stara chałupa, lata 50. XX w., fot. Roman Wesołowski*



*Fot. Jerzy Suberlak*



*Po prawej inż. Jan Aniola, dyrektor Przedsiębiorstwa „Nowa Huta", 1949 r.*



*Ok. 1950 roku. Fotografia z archiwum „Biprostalu"*

# Bieńczyce



*Franciszek Ptak /1859-1936/, poseł na Sejm Krajowy, rolnik, właściciel karczmy, przyjaciel artystów*



*Marcjanna Ptakowa z Szafrańskich /1864-1947/*



*Franciszka Halikowa z Ptaków /1890-1911/, fot. Józef Sebald*



*Zofia z Jędrszczyków i Stanisław Ptakowie, 1921 r.*



*Obchody 3 Maja w Bieńczycach, w tle dom Franciszka Ptaka, lata 30. XX w.*




*Od lewej: Tadeusz Krawczyk, Józef Krawczyk i Andrzej Ptak ze sztandarem PSL, lata 50. XX w.*





*Zofia Turbasa z Biernacików, żona Jana, matka Józefa, Jana i Władysława, pocz. XX w. Posiadała najpiękniejsze korale w okolicy.*



*Jan Turbasa, pocz. XX w.*



*Macieja Zięba – był wspominany jako lubiany przez dzieci wujek „Fontaś", który po powrocie z Krakowa częstował je cukierkami, 2 połowa XIX w., fot. Ignacy Krieger*



*Rodzina Kotyzów, lata 30. XX w.*




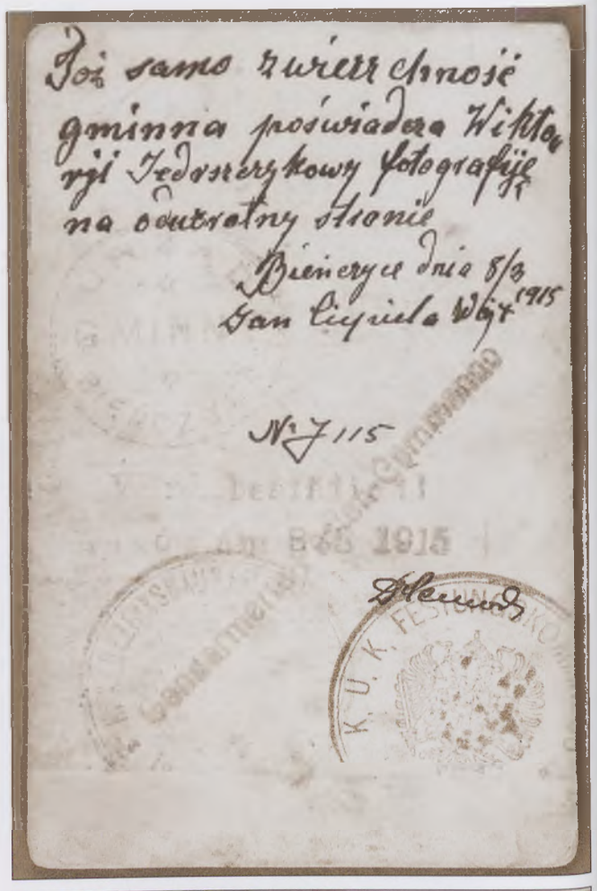
Toż samo zwierzchność
gminna poświadcza Wiktorji Jędrszczykowy fotografiję
na oddzielny stronie
Bieńczyce dnia 8/3 1915
Jan Ciepiela Wójt
№ 7115
Gendarmerie
K. U. K. FESTUNGSKOMMANDO

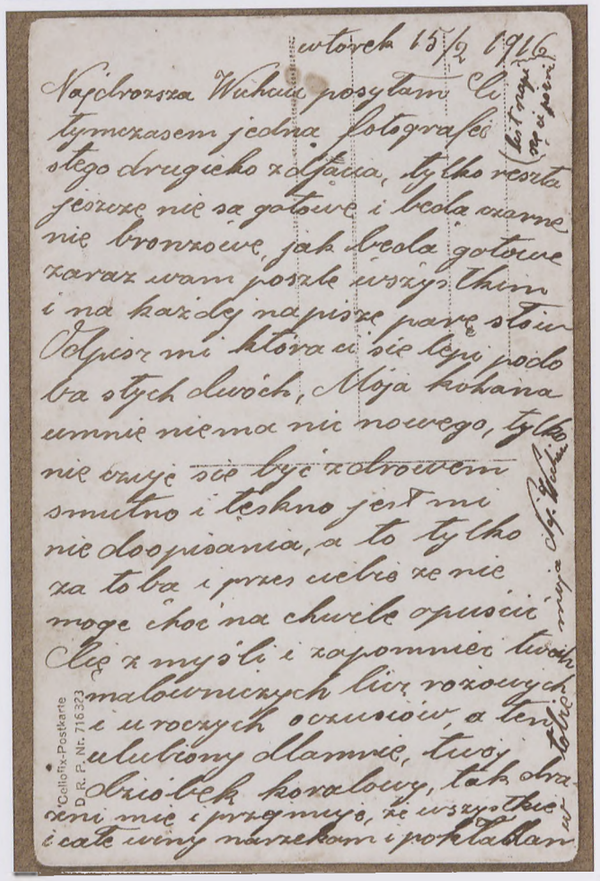
wtorek 15/2 1916
Najdroższa Wiktuciu posyłam Ci
tymczasem jedną fotografię
stego drugiego zdjęcia, tylko reszta
jeszcze nie są gotowe i będą czarne
nie bronzowe, jak będą gotowe
zaraz wam poszlę wszystkim
i na każdej napiszę parę słów
Odpisz mi która ci się lepi podo
ba stych dwóch, Moja kochana
u mnie nie ma nic nowego, tylko
nie czuję się być zdrowem
smutno i tęskno jest mi
nie do opisania, a to tylko
za tobą i przez ciebie że nie
mogę choć na chwilę opuścić
Cię z myśli i zapomnieć twoich
malowniczych lic różowych
i uroczych oczusiów, a ten
ulubiony dla mnie, twój
dzióbek koralowy, tak dra
żni mię i przyjmuję, że wszystkie
i całe winy narzekam i pokładam
w tobie moja Najd. Wiktuciu
(list napiszę ci później)
Cellofix-Postkarte
D. R. P. Nr. 716323


Kochający Cię wiernie
Twój Jędrek





Wiktoria z Turbasów i Jan Jędrszczykowie z synem Idzim, ok. 1915 roku



*Podpis z tyłu zdjęcia: Delegacja S.M.P. Bieńczyce na pogrzeb... /fragment nieczytelny/; Ciepiela, Raszowski, Łach; Kotyza, Wrzesiński, Salwiński; Krawczyk, Nawara; Kraków, dn. 28 VI 1927*



*Jan Bochenek, ok. 1915 roku*



*Młodzież szkolna przed kościołem w Raciborowicach, rok 1933*





*Katarzyna Salwińska /1900-1969/ z kuzynką Marią Salwińską, rok 1915*



*Katarzyna i Józef Osiadłowie z dziećmi: Marią, Józefem i Julianem, rok 1927*



*Franciszek Ciepiela, lata 20. XX w.*



*Bieńczycki sadownik, lata 30. XX w.*



*Stanisław Mazanek, kowal i mechanik, lata 30. XX w.*





Obora w majątku dworskim, lata 20. XX w.

Dwór w Bieńczycach, lata 20.XX w.



Żniwa w majątku dworskim w Bieńczycach, lata 20. XX w.





Kobiety najęte do pracy w majątku dworskim w Bieńczycach, lata 20. XX w.



Młocka w majątku dworskim w Bieńczycch, lata 20. XX w.





Młocka w majątku dworskim w Bieńczycach, lata 20. XX w.



Stawy w Bieńczycach, lata 20. XX w.





Mieczysław Świerczewski z synem Andrzejem, lata 20. XX w.














*Bieńczyce, lata 30. XX w., fot. Jan Kotyza*









*Jan Ciepiela z Bieńczyc, wójt gminy Mogiła, lata 40. XX w.*







*Dzieci z ochronki mieszczącej się w „dworku", lata 30. XX w.*



*Rodzeństwo Cieślewiczów: Izabela, Wincenty i Maria, lata 30. XX w.*



*Dzieci przed szkołą w Bieńczycach, lata 30. XX w.*



*Rodzeństwo Jędrszczyków: Zofia, Helena i Zbigniew, lata 20. XX w.*





*Zawodnicy Klubu Sportowego „Tęcza", lata 30. XX w.*



*Młodzież z Bieńczyc, lata 30. XX w.*



*„Damy i Huzary" Aleksandra Fredry w wykonaniu młodzieży z Bieńczyc.*
*Od lewej: Zofia Zybura, Józef Bochenek, Mieczysław Ptak, Maria Jędrszczyk, Wanda Jędrszczyk; w górnym rzędzie: Genowefa Bruzda, Julia Ptak, ?, Zofia Biernacik, ?, Zofia Hajdecka, Jan Bochenek, Zofia Celińska, Józef Zybura, Józef Osiadły, rok 1946*



*Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej w Bieńczycach, lata 30. XX w.*



*Orkiestra z Bieńczyc, lata 30. XX w.*



*Chór męski S.M.P. Bieńczyce na występach w Krakowie, rok 1931*





*Trzeci od prawej w pierwszym rzędzie Kazimierz Cieślewicz – wójt gminy Mogiła, lata 30. XX w.*



*W środku Jan Ciepiela – wójt gminy Mogiła z sołtysami, rok 1942*






*Dyrektor szkoły w Bieńczycach – Józef Celiński w czasie manifestacji szkolnej, sierpień roku 1939*



*Zofia Zybura na czele pochodu Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej z Bieńczyc, lata 30. XX w.*





*Rodzina Zyburów, lata 30. XX w.*



*Rodzina Jędrszczyków, lata 30. XX w.*



*Rodzina Ciepielów, lata 30. XX w.*



*Rodziny Bochenków i Jędrszczyków, lata 50. XX w.*



*Przed stacją kolejową w Bieńczycach, lata 30. XX w.*








*Szopkarze z Bieńczyc, lata 30. XX w.*



*Połowy ryb w stawach bieńczyckiego dworu odbywały się raz w roku, zazwyczaj przed Wigilią Bożego Narodzenia. Na zdjęciu najęty przez Helenę Cieślewicz rybak p. Ziółek z Krzesławic, obok stoi Walenty Fima. Pan Ziółek trzyma 10 kg karpia, stoją na lodzie dużego stawu, przed nimi złożone sieci. Lata 20. XX w. Opis zdjęcia: Andrzej Świerczewski*



*Kulig, lata okupacji*



*Na torach od lewej: Jan Bochenek, Władysław Walerjan i Józef Turbasa, lata okupacji*




*Bimber z bańki. Od lewej: Józef Turbasa, ?, Józef Osiadły, Jan Bochenek, Władysław Walerjan i młodszy brat Józefa Turbasy, lata okupacji*



Maria Kotyzowa, lata 40. XX w.



Maria Kotyzowa, lata 40. XX w.



Kąpiel w balii





Maria Kotyzowa z dziećmi nad Dłubnią, lata 30. XX w.





Maria i Jan Kotyzowie z dziećmi, lata 50. XX w.





Bieńczyce, lata 30. XX w.



Dom rodziny Trznadlów /wcześniej Ražnych i Franczaków/, lata 30. XX w.



Maria z Trznadlów i Kazimierz Stefańscy, 17 lipca 1945 roku



Rodzina Stefańskich, pierwszy z prawej u dołu Mikołaj Trznadel, rok 1948



*Widok z okna mojego pokoiku kawalerskiego (w starych dworskich oficynach w Bieńczycach) na staw i okolice. Na horyzoncie po lewej stronie zdjęcia widoczny „zarys" fortu Zesławice z czasów zaborów i I wojny światowej. Widoczne również 2 budynki mieszkalne, w których m.in. były mieszkania pracowników radiostacji „nasłuchowej" II Oddziału W.P. (do 1939 r.). Sama radiostacja była zlokalizowana na sąsiednim wzgórzu po zachodniej stronie fortu.*

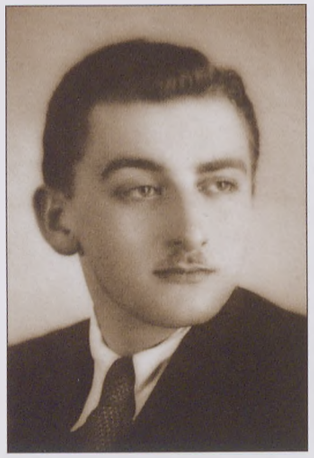

*W czasie II Wojny Światowej fort w Zesławicach (Dlubni) był wykorzystywany jako punkt nadawczo-odbiorczy radiostacji Armii Krajowej, z której były wysyłane i odbierane tajne – szyfrowane – raporty do dowództwa W.P. w Londynie, dotyczące spraw wojskowych oraz ogólnej sytuacji w kraju. W pewnym okresie (dokładnie nie pamiętam) w 1944 r. dowództwo okręgu AK wydało dowódcy batalionu „Pająk" w Bieńczycach, porucznikowi Janowi Kotyzie pseudonim „Wiktor", rozkaz uruchomienia i zabezpieczenia w wyżej wymienionym miejscu stacji. Ten z kolei polecił mnie osobiście zabezpieczyć stację nadawczą w czasie jej nadawania i ewentualnego transportu. Do moich zadań należało: obserwowanie przestrzeni powietrznej, ponieważ byliśmy stale poszukiwani przez niemiecki samolot rozpoznawczy (Fieseler Storch), jak i przestrzeni lądowej przed patrolami „Waffen SS" i Gestapo, które to jednostki bardzo „pracowicie" poszukiwały naszej stacji.*

*Fort Zesławice dzięki swojemu położeniu dawał bardzo dobre możliwości obserwacji w czasie pracy stacji.*

*Miałem również polecenie zapoznania się z obsługą stacji – czego nie zdążyłem w całości zrealizować z powodu przerzucenia stacji na inny teren. Po jakimś czasie stacja do nas wróciła. Radiotelegrafistą był p. Nakielski + 1 osoba NN.*

***Andrzej Świerczewski***









*Uroczystości prymicyjne O. Bogumiła Salwińskiego. Na zdjęciu po prawej trzeci od lewej prymicjant – Władysław Salwiński (późniejszy opat mogilski), jedyny syn Franciszka i Małgorzaty z domu Kaszowskiej, przyjął imię zakonne Bogumił, 29 listopada 1953 roku.*



*Chałupa w Bieńczycach, lata 50 XX w., fot. Jerzy Suberlak*



*Ksiądz Jan Mróz z młodzieżą z Bieńczyc, 1937 r*



*Uroczystości prymicyjne księdza Franciszka Ciepieli w Bieńczycach, lata 30. XX w.*



*Raciborowice, początek XX w.*







*Jan Szczupak z Mistrzejowic, lata 20. XX w.*



*Franciszka Szczupak z domu Chytra, lata 20. XX w.*



*Siostry Maria Walczak „Karolczykowa" z domu Krawczyk i Salomea Krawczyk, lata 60. XX w., fot. Władysław Bochenek*

# Czyżyny



*Mieszkańcy Czyżyn, lata 30. XX w.*



*Rodzeństwo Doboszów, lata 20. XX w.*



*Piotr Tynor /1878-1963/*








*Ostatni wójt Czyżyn Jan Malinowski /1876-1945 r./*




*Stacja kolejowa Czyżyny, początek XX w.*



*Stacja kolejowa w Mogile, początek XX w.*



Stanisław Radoszek , ok. 1915 roku



Marianna /1905-1991/ i Jan /1891-1957/ Szklarczykowie.



Przed szkołą w Czyżynach, stoją od lewej:
Józef Sliwiński, Władysław Hajto, ?, Wojciech Tyrka, Jan Zbroja, ksiądz kanonik Antoni Góralik, b. wójt Jan Malinowski, ?; lata 30. XX w.





Dwór w Czyżynach, lata 20. XX w.



Staw w Czyżynach i zabudowania gospodarcze majątku dworskiego, lata 20. XX w.



Maria i Izabela Cieślewiczówny w samochodzie marki Citroen
przed dworem w Czyżynach, lata 30. XX w.



Izabela Cieślewicz w szklarni majątku dworskiego
w Czyżynach, lata 30. XX w.



*Franciszka Hajto z domu Śliwińska, lata 20. XX w.*



*Władysław Hajto, lata 20. XX w.*



*Rodzina Franciszki i Władysława Hajto z Czyżyn, rok 1934*





*AKS „Czyżyny" w okresie okupacji*



*W Zakładach Monopolu Tytoniowego w Czyżynach, lata okupacji*



*Amatorski Klub Sportowy „Czyżyny". Zawodnicy i działacze, 1946 r.*



*Koło Sceniczno-Ludowe „Oświata" w Łęgu, 21 maja 1934 r.*



*Procesja z obrazem Matki Boskiej, w tle dom Makowskiej, lata 30. XX w.*



*Procesja Bożego Ciała idąca ul. Kościelną, lata 50. XX w.*



*Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego w kościele p.w. Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 11 października 1936 roku*





*Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego w kościele p.w. Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 11 października 1936 roku*



*Ksiądz Arcybiskup Metropolita Krakowski Adam Sapieha podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego w kościele p.w. Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 11 października 1936 roku*



*Koło Ministrantów przy kościele p.w. Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, rok 1941*

# Pleszów



*Kurs Sąsiedzki Kół Młodzieży Wiejskiej „Wici", rok 1936*



*Dom rodzinny Piotra i Józefy Gajochów, lata 30. XX w.*



*Katarzyna i Walenty Gajoch z Pleszowa-Kujaw, lata 30. XX w.*





*Jan Gajoch /1900-1968/, syn Walentego, rok 1911*



*Józef Gumul od Kaspra z Pleszowa, 19 listopada 1911 roku*



*Maria Chmiel z dziećmi, szyła najpiękniejsze gorsety w okolicy, lata 20. XX w.*



*Katarzyna Gajoch z d. Buczek z Kujaw, lata 20. XX w.*



*Helena z Gajochów i Wojciech Jarzynowie, luty 1920 roku*





*Wyjazd na ślub Heleny Gajoch z Wojciechem Jarzyną, luty 1920 roku*



*Rodziny Gajochów i Jarzynów, rok 1920*



*Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici" z Pleszowa, lata 20. XX w.*



*Józef Salwiński, organizator grupy legionistów z Pleszowa w latach 1914-1918, ok. 1915 roku*



*Wiktoria Stefańska z d. Salwińska z Pleszowa-Kujaw, lata 20. XX w.*





*Panny z Pleszowa, w ludowych strojach, lata 20-30. XX w.*



*Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici" z Pleszowa jako uczestnicy „Wesela Krakowskiego" filmowanego przez amerykańską ekipę w lutym 1931 roku. Od lewej: Józef Gajoch, syn Piotra – od Snopa, Jan Gajoch, syn Kazimierza – Śliwka, Maria Partylanka, Julia Gumulówna, Jakub Stefański, Wilczek z Kujaw, Maria Nowak, Stefan Cygan, Józef Wójcik, Franciszka Walczak, Katarzyna Perlik, Wincenty Walczak, Stanisława Wójcik (Ptak), Maria Pyrlik (Świder), Jakub Broda, Józef Pyrlik, Katarzyna Baran, Stanisław Gajoch (brat Józefa), Józef Kot. „Nowożeńcy": Jan Partyła i Honorata Cygan.*



*Chałupa z Pleszowa, lata 30. XX w.*



*Parada z okazji święta ludowego w Pleszowie, lata 30. XX w.*





*Procesja w Pleszowie, w środku ksiądz proboszcz Antoni Góralik, lata 50 XX w.*



*Parada z okazji święta ludowego w Pleszowie, lata 30. XX w.*



*Przed wsią przy historycznej „Ławeczce Kościuszkowskiej" powitały Prezydenta I. Mościckiego gospodynie pleszowskie z dziedziczką A. Kotkowską. Od prawej: M. Szywalska, K. Gajochowa, W. Partylanka, p. Kotkowska z córką, K. Perlikowa, K. Gajochowa, M. Perlikówna, K. Gębalanka*






*W imieniu młodzieży Ziemi Krakowskiej wiązankę kwiatów wręczyli: Maria Partylanka i Józef Gajoch z Pleszowa, 28 lipca 1929 roku*

*Karta z księgi pamiątkowej Kółka Rolniczego w Pleszowie z wpisem Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego*






*Pielgrzymka mieszkańców Pleszowa, Grębałowa i Luboczy na Jasną Górę, Częstochowa, październik 1935 roku*



*Zdjęcie ślubne Zofii z Tynorów i Jana Gajocha, 26 czerwca 1937 roku*

# Grębałów



*Anna z domu Jeleń i Jan Florkowscy, ok. 1915 roku*
*Małżeństwo to zostało wysiedlone ze zburzonego w czasie działań wojennych Grębałowa i zamieszkało na Wieczystej. Aby dojechać do pracy na własnych polach w Grębałowie, musieli posiadać dokumenty, które okazywali strażom austriackim w okolicach fortu.*



*Rozalia z Gajoszków i Walenty Florkowscy, początek XX w.*



*Panna Krawczykówna z Grębałowa, lata 20. XX w.*





*Maria Łach /Raźny/, 1932 rok*



*Jan Kot, służył w latach 1933-35 w Rakowicach w 8. Pułku Ułanów im. Księcia Józefa Poniatowskiego, ok. 1935 roku*



*Pani Podobińska z domu Baus z córką Julią i wnukami, rok 1939*



Ekipa budowlana Jakuba Bębna /stolarza, cieśli i skrzypka/ z Grębałowa, lata 30. XX w.



Strona z albumu rodzinnego Marii Płatek przedstawiająca mieszkańców Grębałowa z lat 30. XX w.



W saniach Jan Florkowski z żoną Marią i jej koleżankami, lata 40. XX w.



Wesele Stefanii z Pituchów i p. Ziółkowskiego, lata 30. XX w.





Spotkanie rodzinne Kotów, Adamskich, Podobińskich i Rusinki, rok 1956



Dożynki w Grębałowie, w środku siedzi Franciszek Twaróg, rok 1957



Irena Kot z wieńcem dożynkowym, rok 1957



Panny z Grębałowa, 25 sierpnia 1957 roku

# Lubocza



*Jan Partyła z Luboczy, rok 1900*



*Rodzina Kotów, ok. 1890 roku*



*Wesele Katarzyny z Walczaków i p. Nowaka, lata 20. XX w.*





*Rodzina Partyłów, lata 30. XX w.*



*Marcin Cygan, sołtys, rolnik i kołodziej z Luboczy, ok. 1915 roku*



*Jan Pietruszka z kolegą z wojska, ok. 1915 roku*



Rodzina Nowaków z Luboczy, lipiec 1925 roku



Na koniu siedzi Piotr Partyla, lata 30. XX w.



Piotr Partyla /drugi od lewej/ ze szwagrami, lata 30. XX w.



Genowefa z Walczaków i Piotr Partyłowie, 15 sierpnia 1945 roku



*Franciszek Twaróg urodził się w roku 1891 w Łuczanowicach. Był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego. Najpierw pracował w szkołach w Branicach i Mogile, a od 1917 roku w Szkole Powszechnej w Luboczy, której był długoletnim kierownikiem. W 1934 ufundował dla tej szkoły sztandar. Organizował Ochotniczą Straż Pożarną oraz budowę Domów Ludowych w Luboczy i Grębałowie, a także elektryfikację wsi. W 1954 roku został usunięty ze szkoły za odmowę zdjęcia krzyża. Do pracy w szkole przywrócono go po protestach mieszkańców Luboczy. W latach 1955-1964 jako emeryt uczył jeszcze w Szkole Podstawowej na Wzgórzach Krzesławickich. Pozostawił cenną „Kronikę" szkoły w Luboczy. Zmarł w roku 1968 w Nowej Hucie.*



Franciszek Twaróg przed budynkiem Szkoły Powszechnej w Luboczy



Teresa z d. Starkel i Franciszek Twarogowie, fot. Jadwiga Modlińska, rok 1918



Dzieci na podwórku, od lewej: Jagusia Ciesielska, Stasiu Twaróg, Marysia Twarożanka i Władzia Krupianka, lata 20. XX w., fot. Jadwiga Modlińska



*Ochronka w Luboczy prowadzona przez Siostry Norbertanki za Zwierzyńca, lata 30. XX w.*







*Wincenty Broś z Luboczy, lata 30. XX w.*



*Klub Sportowy „Luboczanka", rok 1951*



*Uroczystość pożegnania dyrektora szkoły w Luboczy – Franciszka Twaroga, lata 50. XX w.*

# Wadów



Pałac w Wadowie, ok. 1900 roku



Maria z Miklaszewskich i Józef Cieślewiczowie z dziećmi: Władysławem i Jadwigą, ok. 1900 roku



Salon w Wadowie, ok. 1900 roku



Święcenie pokarmów przed pałacem w Wadowie, ok. 1900 roku





Marianna i Józef Walczakowie z Wadowa, rok 1907



Dożynki w Czulicach, pośrodku mieszkańców siedzi dziedziczka tych dóbr – hrabina van Wollen, rok 1931



Rodzeństwo Cieślewiczów na korcie tenisowym w Wadowie, stoją od lewej: Władysław /został zamordowany w Katyniu w 1940 roku/, Jadwiga i Józef /zginął na wojnie w 1915 roku/, zdjęcie wykonano ok. 1905 roku




Władysław Walczak z Wadowa na skonstruowanym przez siebie motocyklu, rok 1935



Józef Walczak z wnuczkami, Wadów

# Ruszcza



*Ksiądz Leona Katana (stoi w środku, w pierwszym rzędzie) pośród księży i mieszkańców Ruszczy. Ksiądz Leon Katana był dziekanem dekanatu mogilskiego, a zatem pozostali księża to być może proboszczowie z sąsiednich parafii. Dziewczyna stojąca pomiędzy nim a strażakiem to Barbara Ciesielska, siostra opata mogilskiego o. Augustyna Ciesielskiego, lata 20. XX w.*

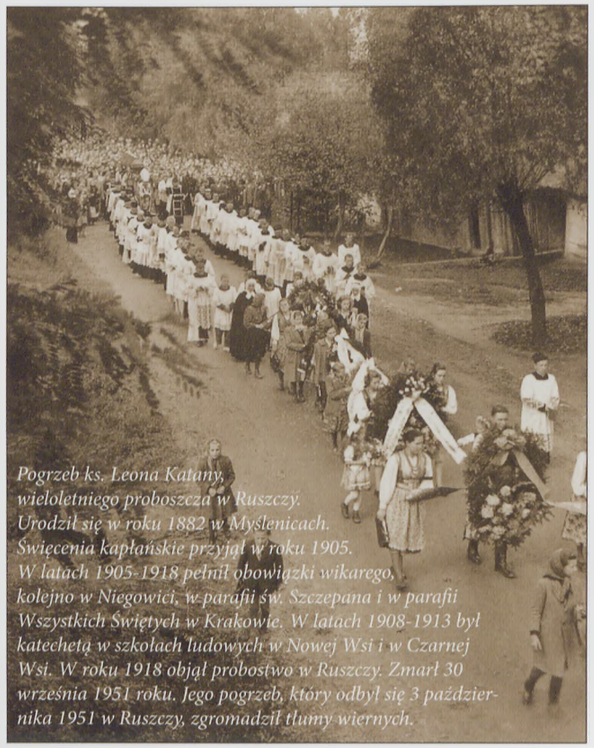

*Pogrzeb ks. Leona Katany, wieloletniego proboszcza w Ruszczy. Urodził się w roku 1882 w Myślenicach. Święcenia kapłańskie przyjął w roku 1905. W latach 1905-1918 pełnił obowiązki wikarego, kolejno w Niegowici, w parafii św. Szczepana i w parafii Wszystkich Świętych w Krakowie. W latach 1908-1913 był katechetą w szkołach ludowych w Nowej Wsi i w Czarnej Wsi. W roku 1918 objął probostwo w Ruszczy. Zmarł 30 września 1951 roku. Jego pogrzeb, który odbył się 3 października 1951 w Ruszczy, zgromadził tłumy wiernych.*

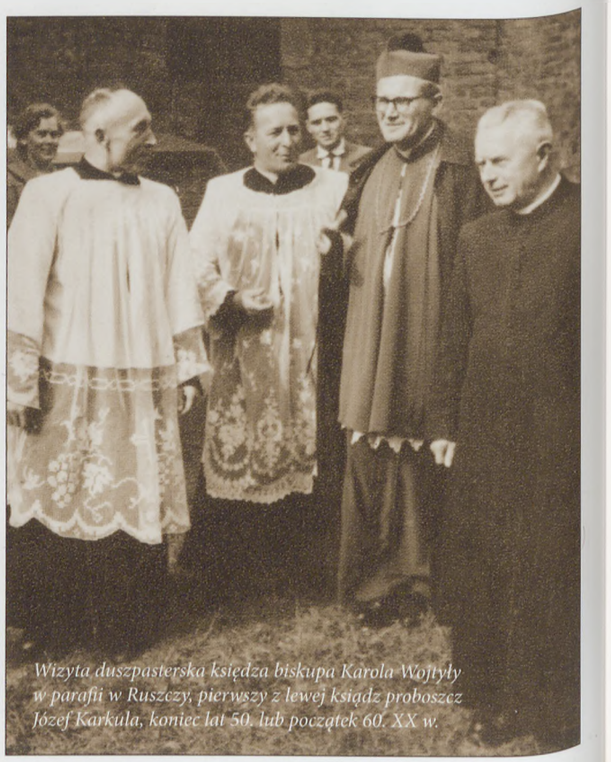

*Wizyta duszpasterska księdza biskupa Karola Wojtyły w parafii w Ruszczy, pierwszy z lewej ksiądz proboszcz Józef Karkula, koniec lat 50. lub początek 60. XX w.*



# Chałupki



*Z lewej Gienia Grodowska /11 lat/ z siostrą podczas uroczystości I Komunii Świętej. W tym samym roku dziewczynka upadając zraniła kolano, dostała zapalenia szpiku kości i zmarła. Została pochowana w Ruszczy w roku 1944.*



*Maria Dzieja, rok 1912*



*Wesele w Chałupkach, rok 1945*



*Przed szkołą w Chałupkach, lata 30. XX w.*



*Przed szkołą w Chałupkach, lata 40. XX w.*





*Dzieci z Chałupek, lata 20-30. XX w.*



*Wesele Marii z d. Adamskiej i Józefa Sendorów, Branice-Stryjów, ok. 1955 roku*



***Wesele w Branicach, lata 40. XX w.***

# Wolica



*Kawalerka z Wolicy, lata 40. XX w.*



*Panny i kawalerowie z Wolicy, lata 40. XX w.*



*Piaskarze i galernicy z Wolicy, lata 30-40. XX w.*





*Obowiązkowa dostawa bydła w Wolicy*
*/obok domu sołtysa, Józefa Sieji/, lata okupacji*








*Kurs gotowania w Wolicy, lata 30. XX w.*



*Śniadanie po I Komunii Świętej dzieci z Wolicy, rok 1943*



*Maria z Siejów i Aleksander Świętkowie, lata 30. XX w.*



*Rodziny Świętków, Siejów i Nazimków oraz księża: Fidelus i wikary Kuzka na podwórku Aleksandra Świętka z Wolicy, rok 1943*

# Kocmyrzów-Luborzyca



*Przed szkołą w Luborzycy po śmierci Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, rok 1935*



*Karol Dubiel, rok 1897*



*Budowa kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu, lata 30. XX w.*



*Budowa domu ludowego w Luborzycy, ok. 1934 roku*













*Zdzisław Łabędź /1925-2002/ syn Walentego, absolwent Szkoły Handlowej w Krakowie, pracował na kolei w Kocmyrzowie i Ruszczy odprawiając pociągi, z zamiłowania fotograf, rok 1944*








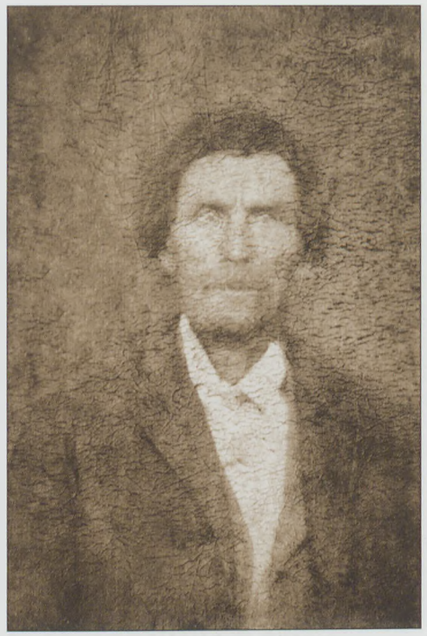

*Kazimierz Socha z Dojazdowa, rok 1915*



*Maria Socha, rok 1915*



*Anna /1883-1955/ i Walenty /1873-1958/ Łabędziowie z Luborzycy*



*Rodzina Zasiurów z Prus, rok 1942*




*Rodzina Łabędziów z Luborzycy, lata 40. XX w.*



*Przed chałupą Machników, Luborzyca, lata 50. XX w.*





*Rodzina Stefana Adamczyka z Luborzycy, rok 1952*



*Stacja kolejowa Kocmyrzów, ok. 1915 roku*



*Stacja kolejowa Kocmyrzów, ok. 1915 roku*




*Stacja kolejowa Kocmyrzów, lata okupacji*




*Stacja kolejowa Kocmyrzów, 14 września 1955 roku*





*Małżeństwo Broszkiewiczów z Kocmyrzowa, lata 30. XX w.*
























*fot. Zdzisław Łabędź*











*Krzyż misyjny w Luborzycy, lata 50. XX w.*





*Biskup Karol Wojtyła podczas wizyty duszpasterskiej w Luborzycy, rok 1963*

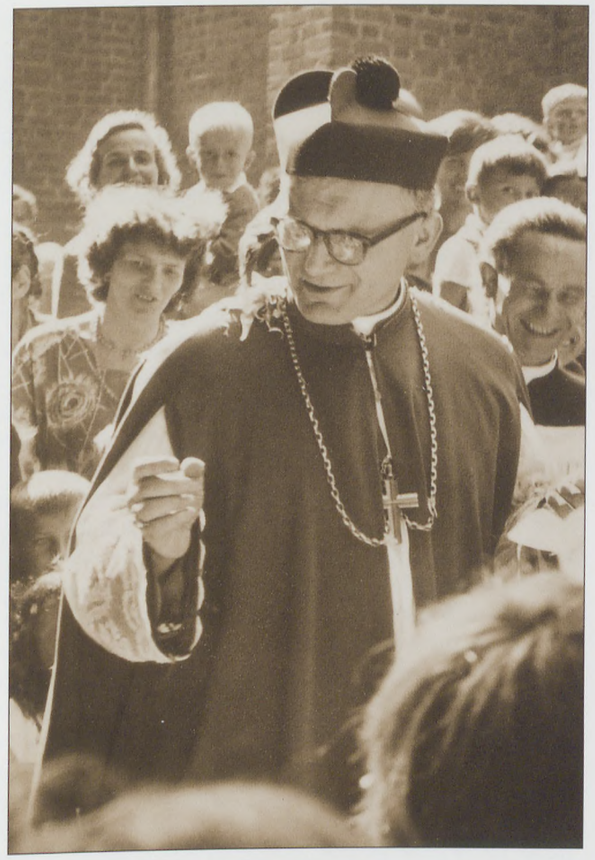

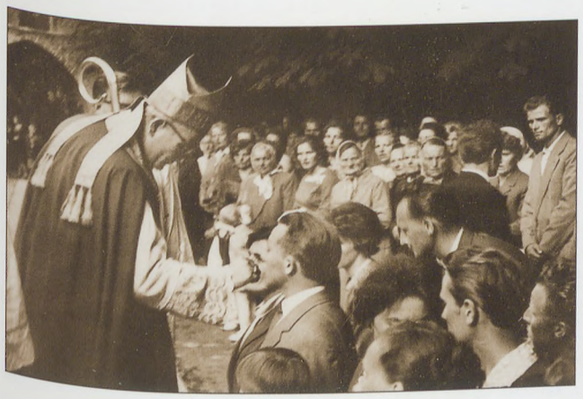







*fot. Zdzisław Łabędź*

***Bieńczyce,*** *kraino urocza,*
*Coś poezją była mej młodości,*
*Tyle łez moich widziałaś,*
*Ileś sercu przydała radości.*
*Zanurzałem stopy chłopięce*
*W twojej lessowej glinie,*
*Czy to wiatr pierwszy wyszeptał,*
*Że kiedyś zginiesz ?*
*Że znikną te łany pozłacane pszenicą,*
*Poskręcane wierzby, chat siwe ściany,*
*Polne drogi prowadzące donikąd,*
*Ścieżki wiodące zakochanych.*
*I ten wiosenny zapach ziemi,*
*Kwitnącej dzikiej róży, jabłoni,*
*Pestka po wiśni z cudzego ogrodu,*
*Jak bilet do szczęścia, zaciśnięta w dłoni.*

Bogactwo moich wspomnień z okresu bieńczyckiego dzieciństwa i młodości mogłoby starczyć dla stworzenia fabuły, dla „Mickiewiczowskich XXII ksiąg" i „Reymontowskich czterech pór roku". Na to jednak trzeba wielkich, którym natura dała talent, dla krzepienia serc rodaków. Ale przecież i maluczcy czują potrzebę oddania hołdu przeszłości, choćby tylko symbolicznie, przenosząc na tych kilka stron papieru to, co pozostało jeszcze w pamięci, niestety z każdym dniem ulegając stopniowemu zapomnieniu. Pożółkły liść spadnie z drzewa i nie pozostanie po nim wspomnienie.

Ale liść odrośnie wiosną na drzewie i będzie cieszył bogactwem zieleni. I choć znowu umrze jesienią, to będzie żył prawem kolejnego odrodzenia. Nie odrodzi się wieś, która zaginęła, ponosząc, jako jedna z wielu wsi ofiarę, dla powstania nowego miasta – Nowej Huty – która mówiąc szczerze, daje nam wiele radości, stając się naszą nową ojczyzną.

Nie sposób jednak zapomnieć i nie przekazać potomnym dla rozbudzenia ich rodowych ambicji o bogactwie, jakim mogły się szczycić Bieńczyce. Jestem w pełni świadom, że ten jakżeż skrótowy, historyczny przegląd tej wsi, wiarygodnie i z autentycznym kolorytem, może być odebrany głównie przez współcześnie żyjących.

Była to specyficzna wieś, od centrum królewskiego miasta Krakowa oddalona zaledwie siedem kilometrów . Docierał tu uroczysty głos dzwonu „Zygmunta", przeplatając się z echem pieśni „Jak długo na Wawelu, Zygmunta bije dzwon" oraz innej skocznej piosenki „Na Wawel, na Wawel, krakowiaczku żwawy".

Tutaj ciągle kultywowano stare, włościańskie tradycje, a bliskość miasta Krakowa pozwalała na asymilowanie się z jego kulturą, choć asymilowanie to następowało z niemałym dystansem, a może nawet i nieufnością do mieszczańskich tradycji. Wpływ miasta Krakowa był uwieńczeniem dla szeregu bardzo korzystnych czynników, pozwalających wsi na osiągnięcie tego, co stało się przedmiotem naszej dumy.

Optymalne warunki przyrodnicze to dar natury, właściwie wykorzystany przez naszych przodków. Przebogata swoją żyznością ziemia stwarzała korzystne warunki dla systematycznego wzrostu gospodarki rolnej, przy jakżeż chłonnym na owoce tej ziemi krakowskim rynku. To pod pomnikiem „Adasia" nasze babcie, prezentując się w ludowych strojach, sprzedawały krakowskim paniusiom towar, którego walory mogą odtworzyć jedynie nasze wspomnienia.

Płynąca środkiem wsi rzeka Dłubnia, której brzegi obustronnie porośnięte bogatą, łęgową roślinnością wraz ze swym leniwym nurtem wody, zabarwionej tym, co po drodze ukradła lessowym polom, stwarzała płuca tej wsi. Tak jak każda rzeka płynąca przez ludzkie osiedla, dawała korzyści gospodarczej natury, dla młyńskich kół siłę ich obrotu, zaspokojenie pragnienia dla domowej gadziny, dla gospodyń wodę, dla przywrócenia czystości zbrudzonej trudami pracy odzieży.

Dla Bieńczyc, oprócz przyrody, przychylna była również mówiąc dzisiejszym językiem, infrastruktura. W idealnie prostej linii, co na owe czasy było komunikacyjnym ewenementem, przez środek wsi przebiegała droga łącząca z Krakowem przebogaty rolniczo rejon proszowskiej ziemi.

Drodze tej nie można było nadać niechlubnej na owe czasy nazwy „polskiej drogi". Nie dzisiejszy asfalt, ale utwardzenie wapiennym tłuczniem stwarzał już pewien komfort przejazdu dla niezliczonej ilości konnych furmanek, wiozących do Krakowa płody rolne, a z powrotem tego co było przedmiotem miejsko-wiejskiej wymiany handlowej. Na drodze tej pojawiały się także pojazdy ziemskich właścicieli, ciągnione przez czwórkę koni. W tym miejscu muszę wspomnieć o poczciwej „Kocmyrzówce", nie wiem dlaczego nazwanej ciuchcią, bo była to kolej szerokotorowa, z przyzwoitą na owe czasy stacją osobowo-towarową w Bieńczycach. „Kocmyrzówkę" ośmieszano anegdotą, według której, do babci idącej obok torów, z sapiącego pod grębałowską górę pociągu maszynista krzyczy: „siadajcie babciu, szkoda nóg", na co ta odpowiada: „nie bede siadała, bo mi śpieszno do chałupy, stary czeko na obiod".

Piszący te słowa, w swoich wspomnieniach może powinien przemilczeć powody radości wynikające niekiedy z dwugodzinnego opóźnienia pociągu /trasa jazdy 7 kilometrów z 5 przystankami/, dającego szansę usprawiedliwienia nieobecności na dwóch pierwszych lekcjach matematyki w Gimnazjum św. Jacka w Krakowie. Jeszcze warto wspomnieć, że Bieńczyce od zachodniej strony graniczyły z lotniskiem w Rakowicach, jednym z pierwszych tego rodzaju obiektów w Polsce. Dawało to Bieńczycanom możliwość zapoznania się z bliskiego dystansu, prawie że na dotyk z tym, co inni mogli oglądać na tle przestworzy. Po zakończeniu II wojny światowej, jeszcze jako podrostki, siadaliśmy do pozostawionych przez Niemców za naszymi ogrodami Meserszmitów, demontując z nich wszystko , co mogło być użyteczne w domowym gospodarstwie, równocześnie zapoznając się z najnowszą na owe czasy samolotową techniką.

Dziś można się odnieść z szacunkiem dla naszych przodków, że nie zmarnowali szansy, jaką dała im natura, jak również warunki ekonomiczne, zwłaszcza szybko rozwijająca się po 1918 roku gospodarka odrodzonej, po wieloletniej niewoli Polski.

Ta stosunkowo niewielka społeczność, w pierwszych pięćdziesięciu latach XX wieku, była w stanie zabezpieczać wszelką podstawową na owe czasy użyteczność usługową, nie tylko dla własnych potrzeb, ale też i to w znacznym stopniu dla sąsiednich wsi. Użyteczność usługowa świadczona była również dla podróżującej przez Bieńczyce ludności. Spełniając rolę dzisiejszych planistów z uniwersyteckimi kwalifikacjami, nasi pradziadowie i ojcowie, ot tak na chłopski rozum podejmowali gospodarcze decyzje, szukając w koło godnych naśladowania wzorców. To właśnie ta wyżej wspomniana droga stała się głównym punktem gospodarczego zainteresowania. To przy niej zlokalizowano, wcześniej wodny, później parowy młyn z bocznicą kolejową, do której dowożono spoza wsi zboże do przemiału. Cieniem tego młyna były dwa inne, zlokalizowane na skraju wsi.

Sławetna droga, główny nerw Bieńczyc, mogła się poszczycić piekarnią, której wypieki stanowiły rarytas, po który ustawiały się długie kolejki mieszkańców nowego miasta, Nowej Huty, a nawet mieszkańców Krakowa. To przy tej drodze konkurowały ze sobą dwie masarnie /niepowtarzalny smak szynki i kiełbasy/, dwa sklepy, w których oprócz zakupów spożywczych, nici, mydła, nafty i gwoździ, można było podegustować w napojach alkoholowych, w tym własnej receptury, piwie, „krachli" – odpowiednik dzisiejszej coca-coli – i zagryźć śledzikiem. To przy tej drodze w dwóch kuźniach klepano lemiesze do pługów i podkuwano nogi nie tylko miejscowym karym i gniadoszom, które dla Bieńczycan spośród całego domowego inwentarza żywego, cieszyły się szczególnym uprzywilejowaniem w korycie i uprzęży.

Do zlokalizowanego przy młynie opałowego składu dowożono węgiel, tarcicę i niektóre materiały budowlane, których nabywcami byli mieszkańcy Bieńczyc, Dłubni, Mistrzejowic i Krzesławic.

Wiele brzęczącej monety w Bieńczycach zostawiali wracający z Krakowa w kierunku proszowskich wsi gospodarze, którzy po udanych w mieście transakcjach, właśnie tu zatrzymywali się, aby w rzece Dłubni napoić spragnione konie i zadać im obroku, dokonać ostatnich zakupów, też dla zaspokojenia potrzeb gardła, dla weselszego powrotu do domu.

W tych wspomnieniach nie można ograniczyć się do zobrazowania życia, jakie toczyło się przy tej głównej arterii wsi. Na to, co dziś stanowi podstawę dumy dla jeszcze żyjących, ale głównie dla potomnych, zapracowała społeczność rozrzucona przy ówczesnych ulicach – osiedlach : Wieś, Budzyń, Popilów, Szewska, Buciory, Zagościniec, Kępa. To tutaj tak wiele rodzin traciło swoje rodowe nazwiska, aby godzić się z ogólnie przyjętymi przezwiskami. Długa jest ich liczba, a oto oni: Garusy, Łaty, Gruchace, Zuchonie, Oleszczyki, Biernotki, Dziedzice, Chmielowscy, Samachy, Wielgusy, Wachy, Fornalczyki, Gacki, Rymarze. Nikt z dziś jeszcze żyjących nie jest w stanie wyjaśnić, co było przesłanką dla przypisania nowego określenia danej osoby. Można tylko przypuszczać, że przezwiska kojarzyły się z pewnymi charakterystycznymi cechami przezywanych rodzin. Bywało, że listonosz, człowiek miejscowy, nie mógł znaleźć adresata przesyłki kierowanej pod prawdziwym nazwiskiem, bo on adresata znał jako np. Garusa.

Opisane wcześniej przyrodniczo-ekonomiczne warunki, spowodowały znaczne zróżnicowanie struktury zawodowej wsi.

Dominującą była tu gospodarka rolna. Znaczna część przebogatej , czarnoziemnej rolniczej przestrzeni wsi, będącej własnością Kurii Biskupiej w Krakowie, wraz z zabudowaniami dworskimi pozostawała w użytkowaniu dzierżawców, o profesjonalnym, rolniczym przygotowaniu. Wysoki poziom tzw. agrokultury tego majątku stanowił pewien wzorzec dla pozostałych gospodarstw. Wśród nich była pewna ilość gospodarstw kmiecych, które mogły się poszczycić kilkunastoma morgami ziemi i licznym stadem inwentarza żywego. Należy wspomnieć, że pod koniec XIX wieku występowały tu znacznie większe, po kilkadziesiąt morgów pola, gospodarstwa kmiece, które z upływem czasu, w wyniku dokonywanych podziałów w wielodzietnych rodzinach, podlegały systematycznemu pomniejszaniu. Proces ten spowodował, że w okresie objętym wspomnieniami, przewagę stanowiły gospodarstwa średnie i małorolne, w których karmicielkami były dwie, czasem jedna krowa. Była też znaczna grupa bezrolnych, których źródłem utrzymania była praca wykonywana na wewnętrzne i nie tylko potrzeby wsi w zawodach krawca, szewca, stolarza, malarza, zduna.

Niemała grupa, szczególnie ludzi młodych dojeżdżała (wcześniej dochodziła) do różnych krakowskich zakładów pracy. Nobilitującą, jak na owe czasy, była praca w precyzyjnej mechanice na lotnisku w Czyżynach, a już do wyjątkowych należał jeden z młodych Bieńczycan, który na tymże lotnisku pracował jako zdolny konstruktor silników „latających dwupłatów".

Trudno nie wspomnieć o elitarnej grupie zawodowej, o lekarzu, położnej, świadczących pomoc o każdej porze dnia i nocy. Piszącemu wspomnienia znane są przypadki, kiedy to dla niesienia w nagłych przypadkach pomocy, nie wahano się wstać od weselnego stołu, czy też opuścić w najważniejszym momencie towarzyskiego spotkania. Można zadać pytanie, czy wynikało to ze składanej przysięgi Hipokratesa, czy innych, przyziemnych pobudek. Sądzę, że ważniejsza była ta pierwsza racja.

Do grona tej wiejskiej elity, należy zaliczyć nauczycieli, tych miejscowych i tych dojeżdżających z Krakowa. To dzięki nim, uczniowie kończący szkołę powszechną w Bieńczycach, nie doznawali kompleksów niewiedzy, rozpoczynając edukację w krakowskich średnich szkołach.

Ten komfort znakomitego przygotowania dla edukacyjnego, a później społecznego awansu, wynikał z jakżeż profesjonalnego na owe czasy przekazywania wiedzy, ale i wymagających sprawdzianów przyswajania nauki, a muszę tu wspomnieć, że były to jeszcze czasy stosowania kar cielesnych. Ból ręki, czy też „siedzenia" długo przypominał o konieczności nie tylko poprawnego zachowania, ale i odrobienia domowego zadania. Inną formą kary było pozostawanie po lekcjach w „kozie", skąd nie było wyjścia, dopóki nie przedłożono poprawnie napisanego zadania.

Trudno we wspomnieniach wymienić wszystkich nauczycieli, którym choć bezimiennie, należą się słowa



wdzięczności, ale nie można w nich pominąć kierownika szkoły pierwszych dziesiątków lat XX wieku, Kazimierza Łowczowskiego. Wspaniałego wiejskiego pedagoga, ale również aktywnego społecznika. To on jest ojcem bieńczyckiej inteligencji. Nie tylko tej dyplomem uznanej, która czasem bywa technokratyczna, mówiąc dzisiejszym językiem, komputerowo zaprogramowana, bez serca. Inteligencji w każdej dziedzinie życia, mechanika „złotej rączki" i rolnika kształtującego cudownie koronę jabłoni. Nasz niekwestionowany autorytet udowodnił, że poniżana niejednokrotnie w tym czasie społeczność wiejska, wrodzoną inteligencją nie ustępowała miejskim talentom, czasem ją przewyższała. Trzeba ją było odkryć, nadać jej właściwy kierunek, aby stanęła w równym społecznym szeregu. I to się Kazimierzowi Łowczowskiemu, nie tylko jako pedagogowi, udało. To on wzywał rodziców zdolnego dziecka /między innymi Dziadków piszącego wspomnienia/ mobilizując ich słowami: „Piotrze, Pawle, sprzedaj krowę, morgę pola i ślij twe dziecko tam, gdzie jego miejsce, a ono ozdobi koronę twojego rodu". W tych słowach próbuję się doszukać treści epizodu klasyki końca XIX wieku: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę...".

Tak pobudzone ambicje, systematycznie powiększały ilość młodzieży, która po ukończeniu szkoły podstawowej podejmowała naukę w krakowskich, średnich szkołach, niektórzy sięgali po uczelniane indeksy.

Ambicji tych nie ostudziła hitlerowska okupacja 1939-1945 r. Na „tajnych kompletach", w prywatnych bieńczyckich domach i częściowo w salach szkolnych, realizowano program gimnazjalnego i licealnego nauczania, w którym wykładowcami byli miejscowi nauczyciele oraz profesorowie przedwojennych szkół ukrywający się w Bieńczycach przed hitlerowskimi represjami za konspiracyjną, wyzwoleńczą działalność. Słuchaczami tajnego nauczania, oprócz bieńczyckiej, była również młodzież sąsiednich wsi. Może dziś nie wywoła reakcji grozy stwierdzenie, że zdemaskowanie tej działalności, mogło się zakończyć „wycieczką w jedną stronę do Auschwitz". Szczególne słowa uznania za organizację tajnego nauczania, ale przede wszystkim za odwagę i za ryzyko godzące w jego życie i jego rodziny, należą się kierownikowi szkoły w Bieńczycach od 1932 do 1967 roku Józefowi Celińskiemu.

Nie mogę pominąć imponującej postawy naszych bieńczyckich rodaków. Wszyscy o „tajnych kompletach" wiedzieli, ale nikt nie poszedł na lep okupanta, żeby donieść o zakazanej działalności. I jak się to ma do tego, co dzieje się w późniejszych czasach, czasach wykraczających poza okres moich wspomnień, co pozostawiam bez komentarza.

Ogólny opis wydarzeń związanych z tym, co wiąże się z walką o wiedzę i tytuły, można podeprzeć statystyką, bo to ona daje obraz tego, czym powiedzmy szczerze, chcą się pochwalić Bieńczyce. W okresie poprzedzającym powstanie Nowej Huty, szkoły wyższe ukończyły 42 osoby, w tym:

- 3 księży, z których jeden nosił biskupią tiarę, będąc opatem klasztoru O.O. Cystersów w Mogile,
- 3 lekarzy, jednego z nich doświadczenie zawodowe nie miało równych spośród lekarzy sąsiednich wsi,
- 6 inżynierów rolników, w tym dwoje liczących się genetyków hodowli roślin,
- 8 absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego – w tym m.in. Wydziału Prawa, Chemii, Geografii,
- 1 absolwentka Akademii Sztuk Pięknych,
- pozostali to absolwenci wyższych szkół technicznych i ekonomicznych, jakże przydatni dla rozwijającej się nowej polityczno-ekonomicznej rzeczywistości, w której niezależnie od naszej woli przyszło nam żyć.

Po 1950 roku, 2 Bieńczycan przywdziało profesorskie togi, wchodząc do uczelnianych władz Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Nie wymieniam tu wielu osób, które ukończyły szkoły średnie, zwłaszcza o profilu technicznym, na które po okupacji było również wielkie zapotrzebowanie.

A jeśli już tak barwnie, ale w miarę sprawiedliwie chcę przedstawić dorobek tej wsi, to dodam, że niewątpliwie jej okrasą, choć w środowisku wiejskim kontrowersyjną, była postać Franciszka Ptaka. Nie w profesorskiej todze, bez jakiegokolwiek tytułu, w kmiecej krakowskiej sukmanie, posłował do Galicyjskiego Sejmu we Lwowie. Oprócz pewnych zasług dotyczących wprowadzenia innowacji w dziedzinie gospodarki rolnej, jego to było zasługą, że ludowy zespół bieńczyckiej młodzieży prezentował „Krakowskie Wesele" przed samym, choć zaborcą, ubóstwianym „Cysorzem" Franciszkiem Józefem.

Każda społeczna jednostka, a w naszym przypadku wieś, oprócz tego, co stanowi zabezpieczenie życiowej egzystencji, w mniejszym lub większym stopniu podlega unormowaniom organizacyjnym, które wywołują poczucie więzi wspólnoty.

W całej rozciągłości dziejów wsi Bieńczyce, zdecydowany wpływ na społeczne życie i rodzenie się lokalnego patriotyzmu wywierał kościół i szkoła, z wyżej wymienionymi pedagogicznymi autorytetami. Początki zorganizowanego życia we wsi można przyjąć na lata 1912-1913, w których wybudowano obiekt „Sokół", będący ośrodkiem wychowania fizycznego młodzieży, ale i przygotowania jej w wojskowych drużynach sokolich, do mających nastąpić wyzwoleńczych spod niewoli wydarzeń. Jednak dla najbogatszych, jeśli chodzi o zorganizowane życie, należy zaliczyć okres po 1918 r. do roku 1950, tj. początku agonii Bieńczyc.

W tym czasie, z wyjątkiem hitlerowskiej okupacji, prężnie działają organizacje Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Stowarzyszenia Mężów, Stronnictwa Ludowego, młodzieżowego koła „Wici" i sportowego koła „Tęcza".

Organizacje czasem ze sobą skłócone, ale zawsze ich celem było patriotyczne wychowanie, nie zaniedbując wyszkolenia sportowego. Organizowanie teatralnych przedstawień, dożynek i szeregu innych imprez dawały ogółowi wsi zaspokojenie duchowych potrzeb, jakżeż emocjonalnie przez wieś przyjmowanych. Bieńczyce miały szczęście, a może to nie było przypadkowe, że istniały tu autorytety społecznego życia. Do takich niewątpliwie należeli Maria Halik-Kotyzowa i Jan Kotyza. Oprócz wielkiego zaangażowania w pracy z młodzieżą, do pracy tej byli profesjonalnie przygotowani.

Patriotyczne wychowanie dało pewne efekty, których w tych wspomnieniach nie wolno pominąć. Dwóch 15. letnich Bieńczycan, uczniów Gimnazjum św. Jacka w Krakowie, po sprzedaniu – poza wiedzą rodziców – książek na podróż do Lwowa, zasiliło szeregi „Orląt Lwowskich". Wojna z Ukraińcami pochłonęła śmiertelne ofiary starszych roczników.

Tablica na kościele „Arka" w Nowej Hucie upamiętnia nazwiska tych, którzy zginęli w czasie II wojny światowej. Zginęli w kampanii wrześniowej, w Katyniu, w Auschwitz, dokąd zostali zabrani w ulicznych łapankach. Lista ta jest niemała. Dla pełnego zobrazowania życia z okresu okupacji należy dodać, że pomimo wielkiego nasilenia różnych niemieckich oddziałów policyjno-wojskowych, w tym bezwzględnie działających jednostek „Gestapo" /na samo wspomnienie przechodzą mnie ciarki/ w Bieńczycach trwała praca konspiracyjna reprezentowana przez różne partyzanckie ugrupowania, głównie Armię Krajową i Bataliony Chłopskie.

Wydarzenia natury społeczno-polityczno-gospodarczej wspomnieniowego okresu nie zakłócały naturalnego rytmu życia. Umierali ci, dla których wybiła godzina, związki małżeńskie zawierali młodzi podejmując zadania coraz wyżej ustawianej życiowej poprzeczki. Tylko moje wspomnienia i tych niewielu jeszcze żyjących świadków mogą odtworzyć obraz weselnych uczt. Poprzedzał je korowód bryczek i dorożek wiozących młodych i weselników do parafialnego, Długoszowego Kościoła w Raciborowicach, gdzie młodzi mieli wypowiedzieć sakramentalne słowo „tak". Na trasie przejazdu, dziś z rozrzewnieniem mogę powiedzieć romantycznej drogi wijącej się wzdłuż rzeki Dłubni i przyległymi do niej łąkami, pan młody parokrotnie musiał dokonać okupu z tytułu utraty wolności na ustawionych przez jego kolegów „szlabanach". Okupem musiała być butelka, a pili ją koledzy , którzy jeszcze cieszyli się „wolnością". Brawurowe wyścigi weselnych pojazdów, z uszanowaniem zasady, według której nie wolno było wyprzedzać pojazdu wiozącego młodych. W domu gospodarzy wesela, zaproszeni goście, a w opłotkach niemal cała wieś, którą częstowano symbolicznie kieliszkiem wódki i kołaczem, co odbywało się przy otwartej kurtynie, dając świadectwo tej zażyłej, wiejskiej wspólnoty. Jakże doniosłym był obrzęd oczepin wprowadzający pannę młodą do grona mężatek, z nałożeniem pannie młodej czepca. Przy tej okazji weselnicy wrzucali na talerz datki, które miały nowożeńcom ułatwić pierwsze kroki w zawiązanym związku. Rodzaj rzuconego na talerz banknotu, który musiał być widoczny dla całej weselnej gromady, świadczył o kmiecej szczodrości. Wiele satyry zawierały oczepinowe przyśpiewki, obnażające niedoskonałości drużbów, starosty wesela i perspektywę przyszłego życia nowożeńców, zwłaszcza panny młodej, zdanej na rygory, których się mogła spodziewać ze strony teściowej.

Dopełnieniem wesela były tzw. przewoziny jednego z nowożeńców, do nowozakładanego rodzinnego ogniska. Na bryce ciągniętej przez ustrojone weselnie konie, które fantazyjnym zachowaniem dawały wyraz ważności chwili, były wiezione m.in. pierzyny, dzieża do pieczenia chleba, a za bryką często szła przyznana wianem krowa, smętnie patrząca w kierunku obory, którą opuściła lub beczące cielę odstawione od matki.

Warto jeszcze wspomnieć, że odbywały się czasami wesela w karczmie, które trwały kilka dni, z przerwami na wykonanie niezbędnych, gospodarskich czynności. Niech przedstawicieli młodego pokolenia nie bulwersują znane mi z opowiadania wspomnienia jednej z gospodyń, która urywała się z wesela, aby wsadzić chleb do pieca, z wyrobionego przez dzieci ciasta. Pięknie wyruszane bochny, do pieca wędrowały na łopacie, przy tanecznym ruchu bioder.

Rodziły się dzieci odradzając ludzki gatunek. Radość domów z okazji pierwszego kwilenia nowonarodzonego dziecka następowała przy czynnym udziale Katarzyny Doniec, dyplomowanej położnej. Z Bieńczycami i sąsiednimi wsiami, swoją jakżeż odpowiedzialną pracą była związana przez 35 lat. Bez względu na pogodę i porę dnia spieszyła , aby udzielić fachowej pomocy, nie tylko przy porodzie. A były to czasy, w których porody odbywały się w domu i czasem młodą matkę i dziecko należało otoczyć opieką przez wiele dni. Taki stan trwał do początku lat pięćdziesiątych, tj. do otwarcia w Nowej Hucie Szpitala im. Stefana Żeromskiego.

Może warto się jeszcze przyjrzeć życiu wsi w niedziele i święta, które zgodnie z wolą Stwórcy należy uszanować odpoczynkiem, choć przywilej ten ze względu na istniejącą w gospodarstwach rolnych specyfikę, nie mógł być przez wszystkich w pełni wykorzystany. Miejscem obowiązku wysłuchania mszy świętej, przez kilka wieków, był kościół parafialny w Raciborowicach i bliżej położony klasztor O.O. Cystersów w Mogile. Pomimo podjętych starań, nie udało mi się ustalić choćby przybliżonej daty powstania pierwszej kaplicy w „dworku", stanowiącym własność zakonnic, później Stowarzyszenia Dzieci Maryi. Zapis mojej pamięci sięga okresu 1934-1935 roku, według którego w kaplicy odprawiali nabożeństwa księża dojeżdżający z różnych parafii.

Do szczególnie uroczystych należały nabożeństwa odprawiane przez bieńczyckich „Prymicjantów". Droga świeżo wyświęconego księdza z jego rodzinnego domu do kaplicy była usłana kwiatami. W tej drodze towarzyszyła mu ubrana po krakowsku młodzież, miejscowy chór kościelny śpiewał nabożne pieśni, a po mszy świętej, w rodzinnym domu było przyjęcie, takie niemałe wesele.

Pierwotna kaplica, którą powiększono nieco w 1942 roku, mogła pomieścić część uczestników odprawianych nabożeństw. Znaczna ilość wiernych, niezależnie od pogody, na deszczu, w czasie ostrych zim, bez parasoli i nakryć głowy, stała pod gołym niebem, wydobywając ze swoich płuc głosy, które rozgrzewały całe otoczenie. Śpiewana na pasterce kolęda „Wśród nocnej ciszy", a na majówce pieśń „Chwalcie łąki umajone" są dla mnie niepowtarzalną wartością, nawet w konfrontacji z płytowymi, profesjonalnymi nagraniami tych pieśni.

Ktoś spyta: nawiedzony ? Ja sam nie wiem, co to za siła... A ta rewia mody i tych biednych okupacyjnych ubiorów i tych bogatych , dla wszystkich w ich pojęciu modnych, była emocjonalnym przeżyciem właśnie na drodze do kościoła, do „dworku", który był „bieńczyckim panteonem".





*Zdjęcie wykonano ok. 1910 roku obok domu Biernacików „Kubusiów" przy skręcie na Budzyń Znajdują się na nim dawni mieszkańcy Bieńczyc:*
*1. Józef Walczak „Pyrsiok" z Budzynia przy figurze*
*2. Wojciech Nawrocki, ojciec Władysława i Pazdalskiej*
*3. Jan Wścisło „Wach", zam. obok szkoły, ojciec Zofii Chodźko, Jana i Władysława*
*4. Katarzyna Ciepiela, siostra Franciszki Turbasowej z Ciepielów*
*5. Lendowa, matka Błażeja i Wiktorii, żony Wojciecha Waśko*
*6. Dziwiszowa, matka Jana, Józefa i Anny, żony Franciszka Ciepieli*
*7. Marcjanna Bochenek, matka Rozalii Merc i Katarzyny Krawczyk żony Józefa*
*8. Franciszka Turbasowa z d. Ciepiela, siostra Jana i Franciszka*
*9. Maria Sawicka, matka Jana Franciszka i Julii - później żony Zientary*
*10. Kotyzowa ze wsi, matka Marii, Piotra i Jana*
*11. Julia Salwińska z d.Jędrszczyk, matka Józefa Salwińskiego*
*12. Krupowa, żona Grzegorza, mówiło się o nim: „do Flajtra na Zagościńcu"*
*13. Ciepielowa, dawna akuszerka, matka Józefa Ciepieli, sekretarza gminy w Mogile*
*14. Magdalena Salwińska, żona Józefa, matka Franciszka, mówiło się: „do Chmielowskiego"*
*15. Maria Wilkówna, później żona Walentego Fimy*
*16. Katarzyna Kaszowska, matka pana Janka*
*17. Krawczykowa, żona dróżnika spod szkoły, matka Wincentego i Anieli*
*18. Ciepielowa – matka Stanisława, mówiło się „do Polowioka".*
*19. Franciszek Ciepiela „Landaus" – sobowtór cesarza Franciszka Józefa I*
*20. Jakub Krawczyk z Kąta, ojciec Andrzeja Krawczyka „Garusa"*
*21. Biernacikowa „spod Młyna", babcia Zofii Rojek*
*22. Feliks Zamojski – ówczesny wójt Bieńczyc, ojciec Józefa, Piotra, Julii i Bronisławy*
*23. Franciszek Bieżanowski, ojciec Franciszka i Salomei – żony Józefa Bochenka*
*24. Józefa Pszczoła „Rymarka", matka Józefa, Wincentego i Błażeja*
*25. Tomasz Marzec, ojciec Wiktorii Pszczoły i Błażeja*
*26. Jan Kotyza z Budzynia, ojciec Cebulowej, Możejkowej i Sławeńskiej*
*27. Jan Raźny „przy gościńcu", ojciec Jana, mówiło się „do Jacka"*
*28. Salwiński „Pagórek", ojciec Piotra, Andrzeja, Jana, Marii, Anieli i Katarzyny*
*29. Jakub Orda, ojciec Jana i Andrzeja*
*30. Barbara Biernacik „Wielguska z Popilowa", matka Franciszka i Barbary – żony Krawczyka*
*31. Biernacikowa z Budzynia, babcia Władysława i Mariana Biernacików*
*32. Maria Turbasowa „ze wsi", matka Józefa, Jakuba i Jana*
*33. Żylska z Budzynia z córką Marysią na rękach, później żona Siudka z Krzesławic*
*35. Jan Jędrszczyk, ojciec Józefa i Jana. Dziadek Jasia Jędrszczyka*
*37. Grzegorz Turbasa z Budzynia, ojciec żony Jana Bochenka*
*38. Maria Biernacikowa*
*39. Andrzej Zybura „obok Ulińskiego", ojciec Piotra*
*40. Jan Zięba „przy kaplicy" ojciec Jana, Franciszka i Fornalczykowej /Pyrlik/*
*41. Feliks Zamojski, ojciec Pawła i Feliksa*
*42. Biernacik „Mateusek przy Kubusiu od Batożnika"*
*43. Raźny „przy kaplicy" czyli „Dworku". W niniejszym opisie zachowano oryginalną pisownię za wyjątkiem przestawienia imienia przed nazwisko. Prosimy zwrócić uwagę na interesujące przydomki niektórych osób. Oryginał tego zdjęcia przed laty skopiował Władysław Bochenek oraz opisał go według informacji pochodzących od śp. Franciszki Turbasowej i Józefa Salwińskiego, a także innych mieszkańców „starych" Bieńczyc.*

Z chwilą powstania Nowej Huty i erygowania w Bieńczycach parafii, „dworek" stał się plebanią, ochronką i kościołem dla najbliższych osiedli. Na jego miejscu stoi dziś kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Polski „Arka".

W okresie od wiosny do jesieni, w niedzielne popołudnia Bieńczycanie szli na „łąki", gdzie łączyło ich towarzyskie życie, przy szumie wody spadającej na jazie, na rzece Dłubni, takiej bieńczyckiej Niagarze. To tutaj były rozgrywane sportowe imprezy, głównie mecze piłkarskie klubu „Tęcza". Tutaj odbywały się festyny, dożynki , także powiatowe. To tutaj po wypiciu paru piw wysączonych z „pipy" nabitej na

dębową beczkę, młodzieńcy załatwiali porachunki rywalizując o dziewczyny. A było o co walczyć, bo urodziwych dziewcząt w Bieńczycach nie brakowało, a o ich względy zabiegali także kawalerowie z sąsiednich wsi, którym czasem dostało się po grzbiecie.

Urok łąk przyciągał – głównie w okresie wiosny – z oduraczającym zapachem kwitnących traw.

W Noc Świętojańską, przy chóralnym śpiewie dziewczyny puszczały na Dłubni wianki.

W Zielone Świątki palono „sobótki". Cieszył się co niektóry gospodarz z buchających na ognisku płomieni, nie wiedząc, że palą się na nim sztachety z jego ogrodzenia, albo chrust na podpałkę do chlebowego pieca, przyniesione przez sprytnych naszych Janosików. Płomienie ogniska wzbogacały pieśni „Góralu, czy ci nie żal", sentymentalna dumka „Na zielonej Ukrainie", w czasie okupacji nieco ciszej śpiewane patriotyczne pieśni.

W maju i czerwcu, daleko się roznosił głos nabożnych litanii, śpiewanych czasem przez parę dziewcząt, przy przydomowych, umajonych kwiatami kapliczkach. Głos majówek dochodził nawet z odległej o około dwa kilometry wsi Dłubni. Czułe ucho mogło rozpoznać poszczególne głosy śpiewających dziewcząt. Cóż to było za powietrze.

Daleko też niósł w zimowe, świąteczne wieczory głos kolędników, co przy wygwieżdżonym niebie, siarczystym mrozie i iskrzącym od gwiazd śniegu, stwarzał bajeczną scenerię.

A jeśli już mowa o zimie, przypominając, że nie było w tym czasie telewizyjnego okienka i radiowej gałki do zmiany zakresu fal, może się rodzić pytanie, co ludzie robili w długie wieczory. Zawsze było coś do roboty. A to reperowanie zniszczonej odzieży, a to skubanie pierza, które odbywało się na zasadzie sąsiedzkiej pomocy, wzajemnie odrabianej. Ileż było przy tym śmiechu, a baby bajcząc, na ofiarach słownych ataków nie zostawiały suchej nitki.

Było i tak, że jedna z uczestniczek „wyskubku" czytała książkę, np. „Trędowatą" Mniszkównej, przy czym nie obeszło się bez łez u tych, które utożsamiały się ze Stefcią Rudecką.

Warto jeszcze dodać, że w okresie zimy, nadrabiano zaległości towarzyskich spotkań, tych rodzinnych i sąsiedzkich. Wiele było na tych spotkaniach zabawy i śmiechu, tym bardziej, że na miarę „czym chata bogata" raczono się poczęstunkiem, a abstynencja, głównie przy tego rodzaju okazjach nie była aż tak przestrzegana.

Bogatsze domy w okresie Świąt Bożego Narodzenia wpuszczały do domu starsze zespoły kolędnicze. Po odtworzeniu przy pomocy ruchomych figurek „szopki", przy muzyce miejscowego grajka, którego można było posadzić na piecu, bawiono się czasem do rana.

A ostatki, to wiadomo pączki. Znam przypadek położenia na stole pełnej słomianki pączków /to taki z warkoczy ze słomy zrobiony koszyk w którym wyrastało ciasto chlebowe/, druga słomianka pozostawała w komorze.

Dziwnie przy tym temacie budzą się moje mózgowe komórki, podpowiadając nowe wspomnienia. Do takich należą „prywatki" młodzieży. Nie na zasadzie wolnej chaty, bawiono się przy wędrującym po wsi jedynym patefonie, czasem z dokładnie zdartymi płytami, albo przy śpiewie, a śpiewać lubiono. Dla niektórych były to pierwsze kroki tanga, walca, czy modnego w tym czasie swinga. Rozmowy na prywatce często odbywały się przy pomocy „flirtu", takich kart, na których była wypisana treść tego, co chciało się wypowiedzieć. Kierując kartę do drugiej osoby, tej osadzonej głęboko w sercu, podawało się numer odzywki i czekało na odpowiedź tą samą drogą. Treść kart „flirtu" nie była pozbawiona dowcipu, czasem uszczypliwości, a czasem rozczarowania, z powodu braku przychylności. Była jeszcze zabawa w „listonosza", który przynosił listy, za umówioną ilość „stempli", które przyjmowano dyskretnie w drugim pokoju /o ile taki był/ z rumieńcem na twarzy.

I tak moja łódź wspomnień dobija do brzegu, rodząc pytanie, w jakim stopniu zawarta w nich treść zaspokoi ciekawość ewentualnych odbiorców. Samokrytycznie mogę stwierdzić, że to moje opracowanie, do którego przyznam się szczerze podszedłem z emocjonalnym zaangażowaniem, pomija wiele istotnych wydarzeń, które chciałbym zasygnalizować.

Z powodu braku bogatszych materiałów źródłowych, skrótowo podam, że nasze Bieńczyce, wywodzą się od słowa Bień, Bieniek /zdrobniałe imię od Benedykta/, rycerza, który był jednym z pierwszych właścicieli tej wsi .

Długo pozostawały ślady poboru gliny na wypalanie cegły, na budowę klasztoru i kościoła O.O. Cystersów w Mogile. Miejsce to nosiło nazwę „Glinik", położone przy Budzyniu, zachodniej części Bieńczyc, tam gdzie dziś stoją bloki osiedla „Złota Jesień".

Archiwa klasztoru O.O. Cystersów gromadzące materiały od początku XIII wieku, dzieło Długosza, budowniczego i pierwszego proboszcza kościoła w Raciborowicach /XV w./ oraz archiwa parafii św. Floriana w Krakowie, której nasza wieś stanowiła kiedyś tzw. beneficjum, czyli źródło utrzymania dla księży tej parafii, świadczą o wielowiekowej historii istnienia Bieńczyc.

Nie można pominąć milczeniem związku jednego z twórców Konstytucji 3 Maja i reformatora Uniwersytetu Jagiellońskiego księdza Hugo Kołłątaja z dworem w Bieńczycach. Może ktoś z potomnych, zdaję sobie sprawę, że przy wielkim nakładzie pracy związanej z badaniem archiwów pokusi się o uszczegółowienie historii Bieńczyc, aby pamięć o nich nie zaginęła.

W cieniu poprzedniego tematu, z pewnością pozostaje uzupełnienie pominiętej we wspomnieniach informacji, że w okresie międzywojennym Bieńczyce posiadały profesjonalnie szkoloną orkiestrę dętą. To ona grała na uroczystościach kościelnych, na wiejskich imprezach, pod domami obchodzących imieniny, szczególnie zasłużonych dla wsi mieszkańców, ale głównie dla fundatora orkiestry, właściciela parowego młyna Jana Lelity.

Skrótowe ujęcie obrazuje we wspomnieniach tragizm II Wojny Światowej, w czasie której z terenu Bieńczyc życie straciły 22 osoby. Pragnę zapewnić , że skrótowo przyjęta wzmianka, nie wynikała z próby zbagatelizowania tego tematu. Szereg rodzin ofiar w wielu przypadkach przez kilka lat czekało w niepewności i nadziei: a może wróci? Nie wrócili. Zainteresowanych szczegółami tej sprawy kieruję



do opracowania Jana Kotyzy z 1987 roku pt. „Mieszkali w Bieńczycach, zginęli za Ojczyznę w latach 1939-1945".

Korzystając z opracowania Jana Kotyzy podaję, że jeszcze podczas zaborów, wieś w ciężkich czasach ratowała się Kasą Reifeisena, która z chwilą odzyskania niepodległości przeobraziła się w bardziej polską Kasę Stefczyka, do której ze względu na miejscową obsługę ludzie mieli dużo zaufania.

Z inicjatywy Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet zorganizowano we wsi ochronkę – w jednym małym pomieszczeniu prywatnego domu, a jedynym posiłkiem dla dzieci był garnuszek kawy z mlekiem. Celem ochronki, oprócz odciążenia rodziców od obowiązku opieki nad dziećmi były również względy wychowawcze, przekazania tej pierwszej ogłady, której nie mogły się spodziewać w szeregu przypadkach, od na pewno uczciwych, ale prostych rodziców. Tak jak po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, Bieńczyce od pierwszych dni od wyzwolenia Krakowa spod niemieckiej okupacji w styczniu 1945 roku przystąpiły do reaktywowania życia z nadzieją, że będzie to powrót do tego, co było przed wrześniem 1939 r.

W pierwszej kolejności należało naprawić uszkodzenia domów, które powstały w wyniku detonacji minowanego przez Niemców pasa startowego lotniska w Czyżynach i zrzuconej przez Rosjan bomby w samo centrum osiedla przy szkole.

W wielu domach wyleciały wszystkie szyby, spadły dachówki z dachów, popękały ściany. Styczeń tego roku pogodowo nie był dla nas łaskawy, słupek rtęci schodził poniżej -20°C.

Krok po kroku, zresztą tak jak w całym kraju, życie zaczęło się normować. Rozpoczęły pracę zreaktywowane organizacje, głównie młodzieżowe, wróciły dożynki, sobótki, „Jasełka". Poszerzały swą działalność istniejące wcześniej usługi, powstawały nowe. Powstał też zakład fotograficzny, w którym główną klientelę stanowili „czerwonoarmiści", zwłaszcza ci, których piersi były zakryte medalami, może je sobie wzajemnie pożyczali. Gorzej było czasem z regulowaniem odpłatności za usługę, którą próbowano kwitować powiedzeniem : „ja tiebia oswobodił". Nie próbuję szerzej rozwijać tego tematu, bo nie on jest celem tego opracowania. Jednak muszę wspomnieć, że w tym „radosnym" życiu, już w pierwszych latach po wyzwoleniu, Bieńczycami wstrząsnęły aresztowania młodych ludzi. Mieli zastrzeżenia do nowej rzeczywistości. Mocą amnestii z więzienia wyszli nie wszyscy na własnych nogach, jednego z nich ojciec wyniósł na rękach. Pobyt w więzieniu znacznie mu skrócił życie.

Kończąc wspomnienia zadaję sobie pytanie, co ja przez napisanie ich chciałem osiągnąć ?

Cieszę się, że jeszcze zdążyłem zrealizować dawno podjęte zobowiązania pokazania tej wartości Bieńczyc, o których pamięć z biegiem czasu zanika. Może jest to spełnienie woli tych, którzy byli świadkami tych dobrych i tych złych dni Bieńczyc. Wyroki boskie nie pozwoliły im w formie pisanej przekazać tego, o czym tak barwnie opowiadali na rodzinnych, świątecznych spotkaniach. Chciałem przede wszystkim pokazać, że tak jak dziś Polska do Unii, tak do nowo utworzonego miasta Nowej Huty, tak okrzyczanego w tym czasie na całą Polskę, Bieńczyce wchodziły bez kompleksów, z godnym szczycenia się dorobkiem, w tym dorobkiem kulturowym. Pokazanie dorobku nie nam starym, dla których przeniesienie się wspomnieniami w tamte czasy może być przysłowiowym „przeżyjmy to jeszcze raz". Te słowa kieruję do potomnych.

Rozrzuceni, społecznie wymieszani, ci w tych starych i nowych domach „skansenu" i ci rzuceni do bloków, pomni przedstawionej historii Bieńczyc, nie odcinajcie się od korzeni, których nie macie powodów się wstydzić.

Heraklit z Efezu powiedział: „panta rhei" – „wszystko płynie". Życie wprowadza nową rzeczywistość, do której trzeba się dostosować, do nowej Ojczyzny, na rzecz której spłacono sowitą daninę – ziemię. Ziemię, która dla wielu była jedyną żywicielką, tę której orkę zaczynano znakiem krzyża, z którą jej właściciele emocjonalnie byli związani od wieków. Daninę przyjęto w majestacie prawa, a jakże, zgodnie z paragrafami dostosowanymi do tych przedsięwzięć prawnych przepisów. Za ziemię zapłacono 30 groszy /słownie: trzydzieści groszy/ za 1 $m^2$, co odpowiadało połowie ceny biletu jednorazowego przejazdu tramwajem. W dwóch przypadkach walczących o swoją ojcowiznę, jak Ślimak w „Placówce", siłą eksmitowano. Ślimak z okrutnymi Szwabami walkę wygrał, oni przegrali.

Co niektórzy uniesieni ambicją, przyznanych należności nie podjęli. Dziś za wartość 1 $m^2$ tego gruntu można dojechać nad morze i to pociągiem sypialnym.

Ojczyzny, której fundamenty, między innymi kładli wasi ojcowie, dziadkowie. Na wznoszonych murach bloków, symbolu miasta, któremu wbrew osiadłej tu od dawna społeczności, ale i tej napływowej z całej Polski, nadano imię miasta socjalistycznego, cegły kładli bieńczyccy murarze, rywalizując z przodownikami, ogłupiającego dziś można powiedzieć współzawodnictwa pracy. O dziwo te mury do dziś stoją.

Siadali za kierownicami ciężarowych samochodów, wożąc góry ziemi, a wobec początkowych niedostatków mechanicznego sprzętu, ziemię woziły konne furmanki, z niestety zamierających bieńczyckich i okolicznych wsi gospodarstw rolnych.

Warto wspomnieć, że ci miejscowi „budowniczy" pracowali na różnych, czasem odpowiedzialnych odcinkach tak ważnej w tym czasie państwowej inwestycji. Nie nastręczali tylu kłopotów z jakimi borykano się przy zabezpieczaniu warunków dla pracowników werbowanych z całej Polski. Odtwarzanie wspomnieniami historii, im dalej, tym większy wywołuje niedosyt, że coś się zapomniało, że może to nie tak było, że ktoś to widzi inaczej.

Próbując wyjść naprzeciw twierdzącym, że Bieńczyce i pozostałe wsie przez lokalizację na ich terenie „Huty" zyskały, bo to i mieszkania dla wywłaszczonych /na te czasy o wysokim standardzie/ i praca i rzekomy awans do ośrodka urbanizacyjno-przemysłowego, pozwolę sobie przedstawić na ten temat swoje zdanie. W wywodzie tym odrzucę oczywiście bzdurne propagandowe na ten temat informacje podawane w ogólnopolskim przekazie, według których „Hutę" budowano na szczerych piaskach, dobrze, że jeszcze nie mówiono, że panoszyły się tam wilki i niedźwiedzie.

Stracił Kraków, który musiał przyjąć te miliony ton związków niszczących stare jego mury. Inna jego niż hutnicza funkcja, historycznie bardziej ambitna, a te położone na wschód od niego tereny, łącznie z Bieńczycami, powinny być jego płucami.

Straciły Bieńczyce. Ich wcześniej opisane walory mogły być nadal podstawą egzystencji. A i ta kadra ludzi, różnego stopnia i kierunku zawodowego przygotowania, znalazła by swoje miejsce, zresztą tak jak to było przed powstaniem Nowej Huty.

Zarówno Bieńczycan mojego pokolenia, jak i tych późniejszych pokoleń pragnę zapewnić, że zawarte w tym skromnym opracowaniu wywody nie miały na celu poróżnienia połączonych w jedną Ojczyznę społeczeństw. Ten konglomerat ludzki, wywodzący się z różnych rejonów Polski, w późniejszym okresie czasu stanął w jednym szeregu walki, najpierw o budowę kościoła, potem o demokrację.

Może jeszcze wyjaśnię powody pokazania Bieńczyc w samych barwnych kolorach, a przecież życie przeplatają szarość, troski i beznadzieja, a nieobce są mu również niechlubne wydarzenia. We wspomnieniach z pełną premedytacją przyjąłem zasadę pokazania naszej historii, z tej dobrej strony.

Nad grobem mówi się o zaletach. A czy nie jest pogrzebową ta mowa o naszych Bieńczycach?

***Wiesław Pyczek***

## Dłubnia

Wieś Bieńczyce leży nad rzeką Dłubnią. Rzeka bierze swój początek w dawnym powiecie Olkuskim. Płynie następnie przez wsie Imbramowice, Iwanowice, Michałowice, Młodziejowice, Raciborowice, Batowice, Bieńczyce, Krzesławice i w Mogile uchodzi do Wisły. Dłubnia posiada stosunkowo duży spadek naturalny, dlatego powstał nad nią cały szereg młynów, które poruszane były prądem jej wody. Młyny są w Kończycach, Raciborowicach, dwa w Bieńczycach, jeden w Krzesławicach i cztery w Mogile.

Nie pozwolono – jak widać – marnować się wodzie i wykorzystywano jej energię od bardzo dawna. Najstarsze młyny w okolicy zakładali mnisi cysterskiego Opactwa w Mogile. Z czasem niektóre z tych młynów wodnych przekształcono na parowe. Takie młyny parowe były w Bieńczycach, Krzesławicach i Mogile. Młyny wodne służyły głównie chłopom jako młyny gospodarcze. Młyny parowe mieliły zboże dla miasta i dla wojska. W czasach zaborów przywożono pszenicę do młyna w Bieńczycach wagonami aż z Węgier.

Już od Michałowic rozciąga się nad Dłubnią szeroka dolina, która ze względu na podmokły charakter tworzy rozległe łąki. Łąki te położone w pobliżu Bieńczyc należały częściowo do dworu, a częściowo były własnością chłopów. W kilku miejscach nad rzeką znajdowały się stawy rybne zasilane wodą z Dłubni. W Bieńczycach na terenie dworu były trzy niewielkie stawy, obok zaś między „młynówką" a starym korytem rzeki były kiedyś dwa duże stawy, które jednak już za mojej pamięci były osuszone i należały do młyna. Uprawiane były jak normalne pola, zawsze jednak nazywano ten teren „stawami". Był staw także w Krzesławicach między dworem a młynem, którego właścicielem był kiedyś Kirchmajer (stryj generała). Właścicielem dworu był natomiast Jan Matejko, a po nim dawny ekonom Matejki, uczestnik powstania styczniowego Cybulski. Rozległe stawy znajdowały się na terenie Mogiły w pobliżu klasztoru i stanowiły własność Opactwa Cystersów. Za moich młodych lat też już były suche. Obecnie utarła się nazwa „suche stawy", na nich zbudowano stadion i halę sportową Klubu Sportowego „Hutnik".



Dla doprowadzenia wody do młynów kopano od głównego koryta rzeki boczne odgałęzienia – tzw. „młynówki". Obok starego koryta rzeki Dłubni taka „młynówka" płynie przez Bieńczyce. Między dworem a łąkami znajdował się wybudowany przez domorosłych cieśli „jaz" rozdzielający rzekę na dwie odnogi. Stara rzeka płynie dość głębokim jarem, obecnie uregulowanym. Młynówka zaś, zabierając większą część wody płynie sztucznie zbudowanym i obwałowanym korytem do młyna w Bieńczycach. Woda tej młynówki wykonawszy swą pracę w dawniej żydowskim, a obecnie państwowym młynie, płynie dalej, by za stacją kolejową, na tzw. „Anielówce" oddać część wody znowu do bocznego koryta, na którym stał mały, drewniany młyn, kiedyś własność Kirchmajera, a potem Kaczorowskiego. Ta mała odnoga zasiliwszy swą wodą młyn Kaczorowskiego płynie znowu głębokim jarem i wpada do starego koryta rzeki. W tym więc miejscu płynie „poczciwa" Dłubnia aż trzema korytami, a wszystko po to, by wykonać jak najwięcej pracy. Wymyślne i ciekawe urządzenie znajduje się poniżej młyna Kaczorowskiego a przed młynem w Krzesławicach. Ponieważ stare koryto rzeki znajduje się i tu w głębokim jarze i posiada bardzo mały spadek, pozostała część „młynówki", która nie została skierowana na młyn Kaczorowskiego płynie dalej i by nie tracić swego spadku, przepływa drewnianym korytem ponad starą rzeką, zasilając swą wodą staw, a siłą spadku obraca walce i kamienie młyna w Krzesławicach. Ta sama młynówka płynie dalej w kierunku Mogiły. Minąwszy opodal kopca Wandy szosę, poruszala kolejny młyn – dawniej Schindlera, a potem Klękowej – dziś już nieistniejący, uległ bowiem zburzeniu na skutek rozbudowanej w tym miejscu dwupasmowej jezdni.

Stare koryto Dłubni dzieli się koło młyna w Krzesławicach za pomocą jazu znowu na dwa strumienie. Jeden z nich porusza jeszcze jeden młyn w Mogile na tzw. „gwoździarni", drugi zaś płynie koło klasztoru, by poruszać położony obok niego drewniany młyn, dawniej własność Żabińskiego, a potem Chwastka. Jeszcze dalej za klasztorem na tzw. Kopańcu, koło Lasku Mogilskiego stoi młyn Lelity. Dopiero po wykonaniu tych wszystkich prac utrudzone wody Dłubni uchodzą – złączone znów w jedno koryto – do Wisły. Począwszy od szosy w Mogile główne koryto Dłubni jest obwałowane i wały te łączą się z wałami Wisły, chroniąc w ten sposób wieś przed zalaniem, kiedy Wisła wzbiera podnosząc równocześnie stan wody w Dłubni. Prócz poruszania młynów wody rzeki mają wielkie znaczenie dla mieszkającej nad nią ludności. Kiedy we wsi nie było studzien, albo było ich bardzo mało, wodę dla potrzeb gospodarczych czerpano z rzeki. Zresztą i później, kiedy pobudowano we wsi wystarczającą ilość studzien wodę do prania czerpano z rzeki, gdyż była „miękka". Woda w studniach, dla odmiany bardzo „twarda" nie nadawała się do prania, gdyż nie rozpuszczała mydła, za to była smaczna, zawierała bowiem dużo składników mineralnych, co nadawało jej równocześnie ową „twardość".

Kiedy nie było studzien i wodę do gospodarstwa trzeba było dowozić z rzeki, w wielu gospodarstwach, położonych z dala od rzeki były specjalne, niewielkie beczki umieszczone na małych podwoziach o niskich kółkach, lub w zimie na sankach, służące do dowożenia wody. Były to tzw. „jachtyle", zaprzęgano doń jednego konia.

Kobiety, zwłaszcza mieszkające bliżej rzeki, prały bieliznę w rzece. Do prania używano „kijanek". Później „kijanki" znikły zupełnie. Bieliznę gotowano i prano w domu w baliach. Rzeka służyła także do pojenia bydła i koni. W kilku miejscach istniały wodopoje, czyli miejsca, gdzie był łatwy dostęp do rzeki, tam pędzono bydło z pastwiska, by mogło ugasić pragnienie. Pojono także i pławiono konie. Rzeka była na ogół niezbyt głęboka, dlatego zwierzęta – zwłaszcza konie – można było pławić tylko w jej głębszych miejscach, gdzie woda konia zakrywała i koń musiał pływać. Były to tzw. „końskie doły".

W rzeczce zażywała kąpieli także ludność, oczywiście prawie wyłącznie w lecie. Ze szczególnym zamiłowaniem oddawała się kąpieli młodzież i dzieci. Dla starszych było osobne miejsce do kąpieli. Osobno kąpali się mężczyźni i oddzielnie kobiety. Nikt tych miejsc nie wyznaczał, lecz zwyczajowo utarło się, że tam kąpią się dziewczęta, a tam chłopcy. Dziewczęta przychodziły się kąpać głównie wieczorem. Nie używano w tych czasach oczywiście kostiumów kąpielowych. Dziewczęta kąpały się w koszulach, a chłopcy w stroju „adamowym"(stąd rozdział miejsc do kąpieli). Chłopcy wyrządzali dziewczętom różne psoty: a to puszczali na wodę sadze z komina, a to któryś podpływał z prądem wody i płoszył kąpiące się dziewczęta. Było wtedy wiele krzyku i pisku. Najczęściej zażywano kąpieli na jazie, lecz tam kapali się prawie wyłącznie starsi, dla dzieci było za głęboko, kapano się „pod młynem" i na „Wądalowym ogrodzie" oraz koło karczmy i „na Wielgusowym ogrodzie". Starsi wyszukiwali do kąpieli głębsze miejsca, właśnie „końskie doły", gdzie można było poskakać z brzegu do wody i popływać, zwykle „na pieska", gdyż innych sposobów pływania nie znano. Tylko wybrańcy mogli się kapać w dworskich stawach, gdzie woda stojąca była znacznie cieplejsza, ale gdzie nie wolno było wchodzić.

Rzeka co kilka lat wylewała. Działo się to zwłaszcza na wiosnę, kiedy topniały lody. Gdy woda wzbierała, „jazowy" podnosił stawidła na jazie i puszczał wodę do głównego koryta rzeki. Ratowało to tylko przed rozlaniem się „młynówki" na najbliżej położone sady i pola. Gdy woda była duża rozlewała się na łąki i na położone obok pola (tzw. „niwy"). Woda zalewała wtedy także odcinek niżej położonej szosy biegnącej wzdłuż rzeki. Samej wsi powódź nie robiła zwykle szkody, gdyż większość domów położona była znacznie wyżej od Dłubni.

W czasie wojen światowych były robione przygotowania do zalania łąk położonych na zachód od drogi fortecznej, koło Mistrzejowic i Dłubni. Do zalania jednak nie doszło

z tego powodu, że w 1914 r. Rosjanie nie zdołali przełamać umocnień, jakie stanowiły forty położone na wzgórzach, a w 1945 r. armia sowiecka wkroczyła do Krakowa szosą od Michałowic i od Zabierzowa, więc nie było potrzeby zalewania łąk.

Wprawdzie nasza Dłubnia nie była groźna rzeką, ale pochłaniała też swoje ofiary. Niedługo po I wojnie utonął w rzece kilkuletni chłopiec (Kaszowski), który przebywał z rodzicami w polu na niwie koło stacji kolejowej. Oddalił się od rodziców niezauważenie i wpadł do rzeki, wyłowiono go już martwego. W 1927 r. głośna była w Krakowie i okolicy sprawa zamordowania we wsi Dłubnia „pięknej Zośki", żony miejscowego chłopa o nazwisku Paluch. Chodziła do Krakowa, aby pozować malarzom, mąż był z tego niezadowolony, powstały między nimi kłótnie, które zakończyły się zamordowaniem i poćwiartowaniem kobiety, a następnie utopieniem poszczególnych części ciała w rzece. Odbył się proces, Paluch do morderstwa nigdy się nie przyznał, został jednak zasądzony na długoletnie więzienie.

Dzisiaj łąki leżące nad Dłubią są częściowo zasypane ziemią nawiezioną z różnych wykopów. W ten sposób podwyższono ich poziom i osuszono. Zbudowano na nich m.in. zajezdnię MPK i bocznicę kolejowa i urządzono różne magazyny dla nowopowstałej dzielnicy. Na części łąk powstały ogródki działkowe dla pracowników kombinatu.

### Jaz

Jazem nazywano urządzenie na rzece, które miało za zadanie zatrzymanie biegu rzeki i skierowanie części jej zasobów wodnych do koryta zwanego „młynówką". Każdy młyn wodny chcąc pracować musiał korzystać z takiej młynówki. Na rzece Dłubni w Bieńczycach był także taki jaz. Znajdował się na skraju łąk, rzeka bowiem oddzielała łąki i pola zwane niwami od wsi. Jaz leżał w pobliżu zabudowań dworskich, powstał wtedy, kiedy zbudowano we wsi młyn. Młyn był parowo-wodny. Do poruszania jego urządzeń służyła turbina wodna, ale posiadał także kotłownię i maszyny parowe i te były głównym źródłem energii.

Prawdopodobnie wtedy także na terenie dworu, tuż nad rzeką, powstały stawy. Były trzy i były położone wzdłuż rzeki. Przez sąsiadujące z dworem grunty Sebastiana Salwińskiego oraz Biernacika i Zybury prowadził rów, którym odprowadzano wodę ze stawów do „młynówki", już poniżej młyna. Nie pamiętam, żeby tym rowem płynęła kiedykolwiek woda ze stawów, ale w tym czasie stawy dworskie były już zaniedbane.

Jaz był zbudowany na zakręcie rzeki. Po wybudowaniu jazu „młynówka" stanowiła przedłużenie biegu rzeki tak, że jaz znalazł się na jej lewym brzegu. Nadmiar wody, który pozostawał po zapełnieniu „młynówki" płynął przez stawidła do starego koryta rzeki. Stawidła jazu odgrywały swoją role zwłaszcza w czasie, gdy woda w rzece wzbierała po długich deszczach lub gdy topniały na wiosnę śniegi. Wtedy stawidła podnoszono i wypuszczano część wody do starego koryta rzeki. Bywały jednak wypadki, że i otwarcie stawideł nie ratowało sytuacji. Kilka razy za mojej pamięci Dłubnia rozlewała się szeroko na okoliczne łąki i pola.

Także na lewym brzegu „młynówki" znajdowały się dwa duże stawy, już za mojej pamięci suche, które wykorzystywano pod uprawę.

Kiedy w roku 1924 Lelito odbudował spalony w czasie wojny młyn, zabrał się także do przebudowy jazu. Przebudową kierował sam uważając, że skoro zbudował młyn, poradzi sobie także z przebudową jazu. Sytuacja była o tyle skomplikowana, że należało najpierw skierować rzekę tak, by ominęła jaz, gdzie miały być prowadzone roboty. Wykopano zatem nowe koryto długości około stu metrów, które łukiem omijało jaz i miało wodę skierować do koryta młynówki. Kiedy nowe koryto było już gotowe, przegrodzono rzekę zaporą z drewna i ziemi, aby spiętrzoną wodę skierować do nowego koryta. Mimo kilkukrotnych prób nie udało się jednak tego dokonać, spiętrzona woda przerywała tamę. Wówczas budowniczowie wpadli na pomysł, by nowe koryto wykopać po lewej stronie Dłubni i skierować wodę do starego koryta, miało dno o wiele niżej. Tym razem próba była skuteczna, gdyż nie tzreba było budować tak wysokiej tamy jak poprzednio a spadek był większy. W czasie budowy jazu przez kilka tygodni „młynówką" nie płynęła woda i musiały przerwać pracę dwa niżej położone młyny, które korzystały z tej samej wody: w Bieńczycach na „Anielówce" i w Krzesławicach.



Poprzedni jaz, wykonany kilkadziesiąt lat wcześniej, zbudowany był wyłącznie z drewna. Nowy miał głębokie fundamenty oraz przyczółki, stopnie, po których spływała woda od stawideł, były betonowe betonu, stawidła pozostały jednak drewniane. Do obsługi jazu wyznaczono specjalnego pracownika („jazowego"), był nim w tym czasie Jan Biernacik z Bieńczyc. Jego głównym zadaniem utrzymywanie właściwego poziomu wody w „młynówce", a w razie grożącej powodzi podnoszenie stawideł (miał prawo



i obowiązek samodzielnie podejmować decyzje) i wypuszczać część wody do „starej rzeki". Głębokość rzeki koło jazu była większa niż w „młynówce", dlatego to miejsce wykorzystywano do kąpieli. Potężna górna belka łącząca dwa przyczółki jazu, na której wisiały stawidła, zastępowała kąpiącym trampolinę do skoków. Otoczenie jazu miało pewien urok, woda, drzewa, obok rozległe łąki, powyżej jazu drewniany mostek służący do przejazdu na łąki, zaś w górę rzeki, po jej prawej stronie stromo opadający brzeg i niewielka płaska równina pokryta krzewami i drzewami tzw. „podrzecza" była miejscem zbiórek, kiedyśmy próbowali organizować we wsi drużynę harcerską. Tam było również miejsce spotkań i spacerów zakochanych par. Po prawej stronie rzeki teren wznosił się lekko w górę, zaś naprzeciwko jazu była w tym wzniesieniu niewielka kotlinka, w której urządzano w lesie zabawy festyny i dożynki.

Wzdłuż starego koryta rzeki, którego brzegi porośnięte były drzewami i krzewami prowadziła (aż do szosy) ścieżka, która była wykorzystywana do spacerów. Już blisko szosy, naprzeciwko młyna, stało przy niej kilka domów, a ponieważ mieszkało tam dwóch szewców (Dziwisz i Cebula) zaczęto tę z czasem tę uliczkę nazywać „szewską".

### Kolej



Jak wykazał prof. J. Bogdanowski w swej pracy pt. „Warownie i zieleń twierdzy Kraków", krótkie linie kolejowe wybiegające z Krakowa w kierunku wschodnim do Wieliczki, Niepołomic i Kocmyrzowa miały nie tylko znaczenie dla ruchu pasażerskiego, lecz także dla celów wojskowych. Poruszające się na tych liniach w razie potrzeby pociągi pancerne, których baza tak w czasach austriackich, jak i w niepodległej Polsce znajdowała się w Niepołomicach, miały stanowić ruchome uzupełnienie fortów okalających Kraków. Linie te, zbudowane około 1900 roku, wybiegały poza łańcuch umocnień i miały wspomagać usadowionych w nich obrońców twierdzy.

Nam, mieszkańcom podkrakowskich wsi, kolej przede wszystkim ułatwiała komunikację z Krakowem. Mówiło się powszechnie, że odległość z Krakowa do Bieńczyc wynosi jedną milę, czyli około 7 km. Rozumiało się przez to odległość granic wsi od dworca kolejowego w Krakowie. Bliżej było do rogatki mogilskiej położonej obok 5-go bastionu (około 6 km.), zaś do granicy miasta koło młynów na Wieczystej było 4,5 km. Odległość koleją od dworca głównego wynosiła 11 km.

Pociągiem z Krakowa do Bieńczyc jechało się z dworca głównego przez stacje Grzegórzki, Dąbie i Czyżyny. Był też przystanek osobowy na Wieczystej. Czas przejazdu między Krakowem, a Bieńczycami wynosił około 30 minut. Za Bieńczycami w kierunku Kocmyrzowa były jeszcze przystanki osobowe w Grębałowie i w Prusach. Kocmyrzów leżał już na samej granicy austriacko-rosyjskiej. Dziennie kursowało tą linią kilka pociągów osobowych, jeździły także pociągi towarowe. W latach trzydziestych uruchomiono na tej linii wagon motorowy, który jeździł w godzinach o mniejszym ruchu pasażerskim. Był bardzo wygodny. Na drodze do Kocmyrzowa pociąg miał do pokonania ki-lka wzniesień o dość dużych różnicach poziomów. Lokomotywy były często stare, dochodziło do tego, że nieraz, zwłaszcza w zimie, pociąg wyjeżdżający z Grębałowa pod górę był wycofywany do stacji, by nabrać rozpędu. Kilka razy odbyły się na naszej linii kursy próbne „Luxtorpedy", jaka jeździła z Krakowa do Zakopanego, a to dlatego, że wzniesienia na linii były podobne, jak na linii zakopiańskiej.

Linia kolejowa z Krakowa do Kocmyrzowa miała długość 21 km. Z Czyżyn miała jeszcze dwukilometrowe odgałęzienie do Mogiły. Znaczenie linii kocmyrzowskiej podnosiły odgałęzienia do różnych fabryk i zakładów pracy: z Grzegórzek – do rzeźni miejskiej i fabryki Zieleniewskiego, z Dąbia – do Monopolu Spirytusowego, Fa-bryki Sygnałów Kolejowych i 5-go Dywizjonu Samochodowego, z Czyżyn – do Monopolu Tytoniowego i do wojskowych magazynów znajdujących się na polach między Czyżynami i Bieńczycami, a z Bieńczyc do młynów w Krzesławicach i Bieńczycach.

Największą stacją kolejową na linii był Kocmyrzów, zarazem stacja końcowa. Nabrał większego znaczenia po pierwszej wojnie światowej, gdy obok stacji normalnotorowej wybudowano stację kolejki wąskotorowej, która połączyła Kocmyrzów z Proszowicami, Kazimierzą Wielką, Skalbmierzem, Pińczowem i Miechowem. Kocmyrzów stał się stacją przeładunkową i ruch na linii do Krakowa przybrał na sile. Ruch osobowy na linii był dość duży. Dojeżdżali nią robotnicy do pracy w fabrykach, dojeżdżała młodzież szkolna szkół krakowskich, dojeżdżało wiele kobiet – pachciarek dowożących do Krakowa mleko i inne towary. Mieszkało w okolicy wielu kolejarzy, Którzy też dojeżdżali do pracy w Krakowie.

Jeszcze za czasów austriackich zawiadowcą stacji kolejowej w Bieńczycach był Józef Franta, dawny podoficer austriacki, po nim byli Augustyński, Molikiewicz, a w czasie wojny Guzik. Ludzie ci nie byli związani z życiem wsi. Ze względu na łatwość komunikacji ciążyli do miasta, gdzie od najmłodszych lat kształcili dzieci.

W okresie międzywojennym w Bieńczycach i okolicy chłopi masowo uprawiali truskawki. W sezonie zbiorów wagonami wysyłano je na Śląsk i do Zakopanego, a do Bieńczyc przyjeżdżały w niedziele pociągi załadowane amatorami tych smacznych owoców. W czasie okupacji hitlerowskiej kolej kocmyrzowska przewoziła wielu mieszkańców Krakowa udających się po zakup artykułów żywnościowych w okolice Proszowic i Kazimierzy Wielkiej. Dla przewożących nielegalnie mięso, tłuszcze, mąkę i inne towary bardzo dokuczliwy był niemiecki Bahnschutz i polska policja granatowa, rekwirujące kupiony nieraz za ostanie pieniądze towar. W pociągu kilkakrotnie doszło do strzelaniny i zamachów na funkcjonariuszy tych formacji. Dwukrotnie akcje takie wywołały odwet ze strony Niemców: raz w listopadzie 1943 roku koło stacji w Bieńczycach rozstrzelano 10 osób przywiezionych z Krakowa, a drugi raz w styczniu 1944 w Grębałowie 80 więźniów.

W okresie tak pierwszej, jak i drugiej wojny światowej mieszkańcy okolicznych wsi zaopatrywali się w węgiel głównie kupując go od kolejarzy i innych osób, które specjalizowały się w jego wykradaniu z pociągów. W umówionym miejscu maszynista zmniejszał prędkość i wyrzucano węgiel albo z lokomotywy, albo z wagonów. Podjeżdżały furmanki i zabierały węgiel. Nie obeszło się i przy tym bez tragedii. Niemcy dobrze wiedzieli o tym, że węgiel jest kradziony, dlatego co pewien czas wpadali na stację i próbowali wyłapywać ludzi zajmujących się dostawą węgla. Tak zginął młody, osiemnastoletni chłopak z Bieńczyc nazwiskiem Jan Świder, który wspólnie z ojcem zajmował się dostarczaniem węgla. Ktoś ich zdradził, przyjechali Niemcy, a nie zastawszy ojca zabrali syna. Przebywał na wartowni na dworcu głównym w Krakowie. Po pewnym czasie Niemcy go wypuścili i rzekomo uciekającego postrzelili kilkoma pociskami karabinowymi. Przewieziony do szpitala przy ul. Kopernika zmarł na skutek odniesionych ran.

W listopadzie 1943 roku została postrzelona przez Bahnschutz mieszkająca w domu obok stacji mieszkanka Bieńczyc Zofia Turbasowa. Zmarła potem w szpitalu w z powodu odniesionych ran.

**Szkoła**

Historia szkoły ludowej w Bie-ńczycach sięga swymi początkami lat pięćdziesiątych XIX stulecia. Najpierw – jak opowiadali starsi ludzie – uczono się w domach prywatnych. Potem powstał budynek szkolny. Był to drewniany, parterowy dom, który istniał do roku 1913, w którym ukończono budowę i otwarto nowy budynek szkolny, murowany i piętrowy. Na owe czasy był to najokazalszy budynek szkolny na całą okolicę. Posiadał pięć dużych sal do nauki z wielkimi oknami, kancelarię i mieszkanie dla kierownika szkoły. Obok szkoły znajdował się ogród, niewielki podworzec dla dzieci i zabudowania gospodarcze kierownika szkoły.




Od początku XX wieku do roku 1932 kierownikiem szkoły był Kazimierz Łowczowski. Odszedł na emeryturę w podeszłym wieku. Podczas długiego pobytu we wsi mocno się z nią związał. Był powszechnie lubiany i szanowany za swoją uczciwość i gotowość do pomocy miejscowej ludności. Wychował całe pokolenia młodzieży. Wielu ze swych wychowanków skierował do szkół średnich w Krakowie. Nie ograniczał się tylko do nauki w szkole, z młodzieżą starszą organizował przedstawienia i zajęcia świetlicowe. Brał udział w pracy społecznej wsi. Miał dwóch synów i trzy córki, które po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Krakowie były nauczycielkami. Najstarsza z nich, Zofia wyszła za mąż za mieszkańca Bieńczyc Jakuba Walczaka, który w wojsku dosłużył się stopnia majora, a po zakończeniu służby wojskowej był w Krakowie adwokatem. Syn Kazimierz został lekarzem, też związał się z wsią i jako lekarz oddawał wsi nieocenione usługi. Kierownik szkoły przeszedłszy na emeryturę zamieszkał w Krakowie, jednak z wsią utrzymywał stały kontakt.

Za czasów zaborów szkoła była czteroklasowa i nosiła nazwę szkoły ludowej. Dla młodzieży, która ukończyła klasę czwartą, dostępna była jeszcze nauka uzupełniająca, zwana także „niedzielną" z tego powodu, że początkowo odbywała się tylko w niedziele. Jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej uczono w klasach starszych języka niemieckiego. Po odzyskaniu niepodległości naukę języka niemieckiego zniesiono.



Obok kierownika szkoły pracowały za czasów Łowczowskiego nauczycielki: Maria Zielińska, Władysława Cholewowa, Maria Kozerówna oraz dwie córki kierownika szkoły – Zofia i Maria.

Następcą Łowczowskiego na stanowisku kierownika szkoły został Józef Celiński. Przyjechał do Bieńczyc w roku 1932 z powiatu pińczowskiego. Był kierownikiem szkoły bez przerwy aż do jej likwidacji w roku 1967. Równocześnie z likwidacją szkoły został przeniesiony na emeryturę. Również i on, sam pochodzący ze wsi pińczowskiej, związał się bardzo z Bieńczycami, pracował w różnych organizacjach społecznych i politycznych, jednak za swoje główne zadanie uważał zawsze pracę w szkole i wychowanie młodzieży. Za jego czasów szkoła uzyskała prawa pełnej szkoły siedmioklasowej. Również za jego kierownictwa dużo młodzieży podjęło naukę w szkołach średnich w Krakowie. Przez długie lata uczyli w szkole w Bieńczycach: Olga Kęskowa, Zofia Chrzanowa, Stachnikowa, Starachowiczówna (po mężu Łowczowska), Józef Buzała i Zygmunt Druciak, a po wojnie Maria Kotyzowa i Wolnikowa. Naukę religii prowadzili księża z Raciborowic.

W czasie wojny nauka w szkole prowadzona była, mimo różnych trudności, bez żadnej przerwy. Nauczyciele, choć tego nie było wolno, uczyli historii i geografii Polski. Przez krótki czas szkoła zajęta była na kwatery dla wojska niemieckiego, lecz i to nie przerwało nauki szkolnej. Nauka odbywała się wtedy w „dworku". Miejscowa ludność dawała datki na potrzeby szkoły – opał, pomoce szkolne oraz uzupełnienie wynagrodzenia dla nauczycieli. Szkoła była nie tylko przybytkiem nauki dla dzieci i młodzieży, ale także ośrodkiem pracy społecznej, w salach szkolnych odbywały się zebrania organizacji społecznych i młodzieżowych, urządzano przedstawienia.

W ramach tajnego nauczania, którym kierował Józef Celiński utworzono kilka zespołów. Nauka odbywała się częściowo w szkole, a częściowo w prywatnych domach. Zajęcia tajnych kompletów odbywały się między innymi w domach Osiadłych w Bieńczycach, Englischa w Mistrzejowicach, w mieszkaniu Kotyzów oraz we dworze. Młodzież, która miała rozpoczętą szkołę średnią przed wojną zdawała maturę, inni zdawali małą maturę, jeszcze inni ukończyli pierwszą lub drugą klasę gimnazjum i kontynuowali naukę po odzyskaniu wolności w szkołach państwowych. W kompletach tajnego nauczania uczyli Józef Celiński, Wincenty Choma, Maria Dziedzic, Jan i Maria Kotyzowie, Jan Rasak i kilka osób, które dojeżdżały z Krakowa.

Gdy już przed wojną szkoła uzyskała status siedmioklasowej, poziom nauki był całkiem zadowalający, wielu uczniów kontynuowało bez trudności naukę w szkołach średnich w Krakowie, wielu tak przed, jak i po wojnie, uzyskało wyższe wykształcenie.

Dużą rolę do spełnienia miała szkoła w Bieńczycach w pierwszych latach budowy Nowej Huty, kiedy powstały już w pobliżu wsi nowe bloki mieszkalne i zamieszkali w nich przybysze z różnych stron Polski, a nie było jeszcze na nowych osiedlach żadnej szkoły. Wówczas dzieci z tych osiedli uczęszczały do szkoły w Bieńczycach. Nauka w szkole odbywała się na dwie zmiany, szkoła liczyła około sześćset dzieci.

Po zlikwidowaniu szkoły budynek szkolny przebudowano i umieszczono w nim „Dom Dziecka". Wielkim kosztem przebudowany budynek niezbyt długo służył nowym zadaniom. Na skutek błędów popełnionych przy jego przebudowie władze oświatowe musiały przenieść „Dom Dziecka" do innych pomieszczeń, a w dwupiętrowym budynku umieszczono biura i magazyny.

**Dworek**

Miejscem, gdzie rozwijało się i kwitło życie kulturalne wsi był „dworek". Do pierwszej wojny światowej „dworek" był w posiadaniu S.S. Szarytek. Obok głównego domu stały zabudowania gospodarcze, stajnie, stodoła oraz ogród o powierzchni około hektara. Do „dworku" należało też kilka morgów pola, które zakonnice uprawiały. Siostry służyły ludziom lecząc i opatrując chorych. Główny budynek miał cztery duże izby oraz kuchnię i sień, a na poddaszu były dwa pokoiki. W jednym pokoju na parterze była urządzona kaplica. Kiedy do szkoły przyjeżdżał na naukę religii ksiądz wikary z Raciborowic, a było to zwykle w poniedziałki i czwartki, w kaplicy odprawiane były Msze Św. Pozostałe pomieszczenia w dworku zajmowały zakonnice.

W czasie pierwszej wojny światowej, gdy Bieńczyce zostały odcięte od parafii zasiekami z drutu kolczastego, w kaplicy odprawiał Msze Św. ówczesny wikary ks. Stanisław Czekaj, który przez kilka najtrudniejszych miesięcy mieszkał w Bieńczycach. Siostry urządzały też w kaplicy nabożeństwa majowe i czerwcowe, na które przychodziła głównie miejscowa młodzież. Później, gdy nie było już we dworku sióstr, odprawiała te nabożeństwa sama młodzież. W późniejszych latach wojny ksiądz wikary próbował zorganizować we „dworku" stowarzyszenie młodzieży. Z tego czasu pozostały zawiązki biblioteki dla młodzieży.

Siostry prowadziły dla dziewcząt Stowarzyszenie Dzieci Maryi. Członkinie tego Stowarzyszenia ubrane w krakowskie stroje chodziły na uroczystości kościelne do kościoła parafialnego, aby nosić obrazy i feretrony. Było to dla miejscowych dziewcząt duże wyróżnienie. Ponieważ posiadanie, nawet wówczas, kompletnego stroju krakowskiego było połączone z poważnym wydatkiem, dziewczęta do noszenia obrazów pochodziły głównie z zamożniejszych rodzin.

W latach pierwszej wojny światowej proboszczem w Raciborowicach był ks. Ludwik Płonka. Cieszył się bardzo dobrą opinią i sympatią wśród parafian. Zmarł w roku 1918 zakaziwszy się czerwonką, której epidemia grasowała wówczas w całej okolicy. Kiedy zakonnice opuściły Bieńczyce, ksiądz Płonka kupił dworek wraz z ogrodem i zabudowaniami gospodarczymi na własność Stowarzyszenia Dzieci Maryi i na to Stowarzyszenie został „dworek" zapisany w księgach hipotecznych. Od tego czasu dworkiem opiekował się Zarząd Stowarzyszenia. Na jego czele stały: Salomea Ciepielanka i Franciszka Ciepielanka, one zbierały owoce z istniejącego sadu oraz uprawiały warzywa, a za

uzyskane pieniądze utrzymywały dom w stanie zdatnym do użytku. Do roku 1928 dwie izby na parterze od strony wschodniej zajmował na mieszkanie komendant miejscowego posterunku policji państwowej Jan Sawka z rodziną.

Jesienią 1926 r. grupa uczniów szkół średnich pochodzących z Bieńczyc, a dojeżdżających do szkół w Krakowie, założyła Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej (SMP), którego centrala na diecezję mieściła się w Krakowie przy pl. Mariackim. Głównymi organizatorami Stowarzyszenia byli uczniowie wyższych klas gimnazjum Franciszek Ciepiela, Jan Kotyza, Józef Salwiński, Henryk Wrzesiński i Franciszek Nawara, oni też stanowili pierwszy Zarząd tego Stowarzyszenia. Początkowo zebrania odbywały się w pokoju, który służył równocześnie za zakrystię mieszczącej się w pokoju sąsiednim kaplicy. W roku 1928 zostały zajęte przez Stowarzyszenie dwa pokoje pozostałe po wyprowadzeniu się policjanta Sawki. W nich odbywały się zbiórki członków Stowarzyszenia, próby przedstawień teatralnych i inne spotkania młodzieży.



W roku 1931 staraniem Stowarzyszenia została wyburzona ściana dzieląca oba pokoje, z czego powstała salka o wymiarach 6x9 m. Kłopotu z wyburzeniem ściany było bardzo dużo, zwłaszcza, że zajmowała się tym sama młodzież pod kierownictwem ówczesnego prezesa Stowarzyszenia Józefa Ciepieli (Landaus). Przed wybiciem ściany trzeba było na strychu założyć grubą belkę i do niej przyśrubować belki poprzeczne (stragarze) sufitu. Udało się to zrobić. Radości było wiele. Można było teraz pomyśleć o zbudowaniu małej sceny do przedstawień i uniezależnić się w ten sposób od szkoły, której kierownik p. Kazimierz Łowczowski był zresztą bardzo dla młodzieży życzliwy, lecz ze względu na zajęcie sal szkolnych na naukę można było dotychczas urządzać przedstawienia wyłącznie w okresie ferii świątecznych, a praktycznie odgrywać głównie „Jasełka" na Boże Narodzenie.

W roku 1932 powstało w Bieńczycach także Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej i również znalazło swoje miejsce we „dworku", odbywając swoje zebrania głównie w sąsiadującej z główną salą kuchni. Powstanie Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej umożliwiło przygotowanie i urządzenie już ambitniejszych przedstawień, nie tylko jak dotychczas „Jasełek". Młodzież porywała się nawet na granie takich sztuk jak „Damy i huzary" czy „Zemsta" A. Fredry, „Klub Kawalerów" Bałuckiego i innych. Przygotowanie tak ambitych sztuk było mo-żliwe dzięki temu, że w Stowarzyszeniu Młodzieży tak Męskiej jak i Żeńskiej było wiele młodzieży uczęszczającej do szkół średnich, a nawet wyższych.

W roku 1932 przyszedł do Raciborowic młody wikary ks. Zbigniew Przeworski. Był tuż po święceniach, praktycznie z pracą społeczną nie miał dotychczas do czynienia, ale miał dużo dobrej woli i zapału do pracy. Niebawem związał się ze Stowarzyszeniem i Bieńczycami bardzo silnie. Założył także Stowarzyszenie w Raciborowicach, lecz do Bieńczyc przyjeżdżał, a nawet przychodził pieszo, bardzo często. Praca w obu bieńczyckich Stowarzyszeniach bardzo się ożywiła. Powstało (także z inicjatywy księdza Przeworskiego) Stowarzyszenie Mężów Katolickich. Istniały więc już cztery stowarzyszenia katolickie. Dla zaktywizowania pracy w Stowarzyszeniu Dzieci Maryi złożonego głównie ze starszych dziewcząt wprowadzono w jego szeregi młodsze dziewczęta ze Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej. Powodem troski i starań wszystkich czterech stowarzyszeń była przede wszystkim troska o mocno już nadszarpnięty zębem czasu „dworek". Wyremontowano ciągle zaciekający dach, założono nowe rynny, w załamaniach dachu kosze z blachy, podbetonowano sypiącą się zachodnią ścianę domu.

W roku 1933, w 250 rocznicę odsieczy wiedeńskiej, obok ścieżki prowadzącej do „dworku" posadzono młode drzewa owocowe, które ofiarował Wojciech Halik. Przy tej okazji odbyło się poświęcenie odnowionej przez Katarzynę Biernacikową przydrożnej kapliczki na Budzyniu, ufundowanej kiedyś przez jej matkę Turbasową. Proboszcz Jamróz wyraził zgodę na odprawianie przez wikarego raz w miesiącu Mszy Św. w miejscowej kaplicy. Zwyczaj ten utrzymywał się także za następców ks. Przeworskiego aż do wybuchu wojny w 1939 r.

W czasie okupacji, kiedy w parafii w Raciborowicach było dwóch wikarych, jeden z nich przebywał stale w Bieńczycach mieszkając we dworze, gdzie Helena Cieślewicz dawała mu mieszkanie i utrzymanie. Wówczas Msze Św. były odprawiane w kaplicy codziennie. W tym czasie zamieszkały we „dworku" zakonnice ze zgromadzenia S.S. Matki Bożej Miłosierdzia (Magdalenki) z Borku Fałęckiego. Prowadziły one przedszkole i współpracowały RGO, opiekując się biednymi, a po powstaniu warszawskim przybyłą na teren wsi ludnością z Warszawy. Przebudowana kiedyś salka służąca do przedstawień wykorzystywana była na przedszkole. Przez pewien okres, kiedy budynek szkolny zajęli Niemcy na kwatery dla wojska, „dworek" zamieniony został na szkołę, tu bowiem kierownik szkoły p. Józef Celiński przeniósł naukę szkolną, by nie dopuścić do przerwy w nauce.



W roku 1943 powstał w gronie osób związanych przed wojną z prasą katolicką pomysł, by wolną obecnie salkę do przedstawień zamienić na kaplicę. Przebywał wtedy w Bieńczycach ks. Józef Fudali. Postanowiono kaplicę powiększyć i zmodernizować. Najpierw, by zwiększyć wysokość kaplicy zerwano podłogę i wybrano ziemię. Następnie w miejscu jednego z północnych okien zrobiono drzwi wejściowe, bezpośrednio na zewnątrz, a nie jak poprzednio przez sień. W związku z tym powstała potrzeba zbudowania dodatkowych schodów. Wewnątrz kaplicy zamiast dotychczasowej podłogi z desek położono „terazzo" oraz z tego samego materiału wykonano metrowej wysokości boazerię. Karol Hajto, który wykonywał roboty murarskie, zaprojektował dobudowanie małego prezbiterium oraz zakrystii i tak powstała kaplica, która w niezmienionej postaci dotrwała do roku 1969, kiedy została zburzona w związku z budową nowego kościoła. W roku 1952 została powołana do życia przez ks. Arcybiskupa Eugeniusza Baziaka parafia w Bieńczycach. Pierwszym jej proboszczem był ks. Stanisław Kościelny, dotychczasowy kapelan Księdza Arcybiskupa Krakowskiego. Z jego inicjatywy dobudowano od północnej strony przed wejściem do kaplicy drewnianą przybudówkę o wymiarach 6 x 6 m, w której mogła się pomieścić część wiernych w czasie Mszy Św. i innych nabożeństw. Przybudówka służyła także jako salka katechetyczna do nauki religii dla młodzieży.

W latach 1965 do 1975 stanął na miejscu dawnego „dworku" i sąsiadującego z nim ogrodu nowoczesny kościół wraz z towarzyszącymi zabudowaniami.

**Parafia**

Bieńczyce należały do parafii w Raciborowicach. Była to parafia z długimi tradycjami, kościół gotycki pod wezwaniem św. Małgorzaty zbudowany został jeszcze przez Jana Długosza. Prócz Bieńczyc do parafii należało jeszcze trzynaście innych wsi. Łącznie parafia raciborowicka liczyła cztery tysiące dusz, z tego Bieńczyce liczące tysiąc mieszkańców stanowiły jedną czwartą parafii. Jak z tego widać, pozostałe trzynaście wsi liczyło razem trzy tysiące osób, były to więc wsie małe. Jakkolwiek Bieńczyce stanowiły jedną czwartą parafii, to jednak nasz związek z parafią, ze względu na dużą stosunkowo odległość – 5 km – od kościoła parafialnego, był bardzo luźny. Trzy momenty w życiu każdego parafianina zmuszały go do odwiedzenia parafialnego kościoła. Gdy się rodził, zawożono go do parafii, by go ochrzcić, potem zawierając związek małżeński „zanosił na zapowiedzi", a następnie brał ślub, o ile narzeczona była z tej samej parafii. Ostatnim wydarzeniem, który mieszkańców Bieńczyc sprowadzał do kościoła parafialnego, był pogrzeb.

W potocznej mowie słowa „Raciborowice" używało się bardzo rzadko, ze względu na jego skojarzenie z pogrzebem i cmentarzem. Ze względu na takie skojarzenia miało ono jakieś pejoratywne znaczenie, wywieźć kogoś do Raciborowic, znaczyło wywieźć go na cmentarz, pogrzebać go. Poza wymienionymi okazjami bieńczycanie chodzili do kościoła parafialnego na odpusty, w lipcu na św. Małgorzatę, na uroczystość Wszystkich Świętych, na groby, dziewczęta chodziły na Boże Ciało, aby nosić obrazy i feretrony. Jeszcze



*Kościół w Raciborowicach współczesnie, fot. Adam Gryczyński*

w latach tuż po pierwszej wojnie był zwyczaj, że proboszcz wydawał na Wielkanoc kartki do spowiedzi. Z każdej rodziny pobierała kartki jedna osoba, a potem penitenci oddawali je przy konfesjonale. W ten sposób proboszcz miał kontrolę, kto z danej rodziny nie był do wielkanocnej spowiedzi. Z czasem ten zwyczaj zaginął.

W okresie Bożego Narodzenia zwykle ksiądz wikary chodził po kolędzie. Tego zwyczaju nie zaniechano. Ksiądz wikary odwiedzał wszystkie domy, chodził w towarzystwie organisty, kościelnego i dwóch ministrantów. Ksiądz wikary modlił się, kropił mieszkanie, dawał do pocałowania pasyjkę, chłopcy kolędowali, organista pisał na drzwiach kredą K+M+B.

Był także zwyczaj chodzenia po tzw. „petycie". Jesienią po zbiorach, ksiądz wikary, organista i kościelny, każdy osobno, jeździli furmanką po wsi i zbierali, co kto dał. Najczęściej ludzie dawali snopki zboża lub wymłócone ziarno, co biedniejsi nie posiadający własnego pola dawali ofiarę pieniężną. Dla zbierających było to upokarzające, a zwyczaj ten był pozostałością dawnych zwyczajów, kiedy w ten sposób wierni łożyli na utrzymanie księdza i służby kościelnej. Jeszcze przed wojną w latach trzydziestych zwyczaj ten wygasł całkowicie.

Istniał przy parafii komitet parafialny, którego zadaniem była troska o sytuację materialną kościoła, utrzymanie dzwonnicy, cmentarza, ogrodzenia kościoła, itp. Przez pewien czas przewodniczącym komitetu był Jan Ciepiela z Bieńczyc. Między nim a ówczesnym proboszczem wynikł spór przy przebudowie zabytkowej dzwonnicy. Ciepiela, znany ze swych ambicji, kazał cieśli na dębowej belce wyrzeźbić swoje nazwisko jako budowniczego dzwonnicy. Proboszcz dowiedziawszy się o tym, kazał napis ściąć siekierą. Ciepiela pogniewał się o to na proboszcza. Potem konflikt został jakoś załagodzony.

Beneficjum parafialne stanowiły pola i łąki o obszarze ponad 70 morgów. Parafia posiadała zabudowania gospodarcze: stodoły, stajnie i ogród koło plebanii. W czasie swego pobytu w parafii raciborowickiej ks. Zbigniew Przeworski prawie własnym kosztem zbudował w Raciborowicach dom parafialny, w którym stowarzyszenia katolickie miały swoją siedzibę, była tam także salka do przedstawień.

Droga z Bieńczyc do Raciborowic prowadziła przez Mistrzejowice i Batowice. Za Mistrzejowicami biegła przez podmokłe łąki. Kiedyś była pokryta wapiennym kamieniem, jednak uległ on zniszczeniu, na drodze potworzyły się wyboje i doły pokryte grubą warstwą błota. Jazda wozem do kościoła, zwłaszcza po deszczu jesienią lub wiosną, stwarzała dodatkowe trudności. Pieszo wędrowało się do Raciborowic krótszą drogą polną przez Dłubnię i Zesławice. Jeśli któraś z trzech uroczystości rodzinnych wypadała w czasie roztopów jesiennych lub wiosennych dobrnięcie do parafii stanowiło poważny problem. Z tych wszystkich powodów ogół mieszkańców wsi chodził na niedzielne msze do Mogiły, do kościoła klasztornego OO.Cystersów. Droga do Mogiły była o wiele krótsza (około 2 km) i wygodniejsza. Proboszcz raciborowicki nie był z tego zadowolony, lecz nie miał wielkiego wpływu na tę sytuację. Olbrzymi kościół w Mogile mógł pomieścić kilka tysięcy ludzi, było więc wygodniej pod każdym względem. Do kościoła do Mogiły chodziło się pieszo. Starsi chodzili na mszę poranną, młodzież na sumę. Potem utrwalił się zwyczaj chodzenia na tzw. wotywę na godzinę $9^{00}$, szczególnie wśród miejscowej inteligencji. Zamożniejsi gospodarze jeździli do kościoła furmankami, nie tyle ze względu na odległość, lecz raczej dla pokazania się przed innymi.

W Mogile obok kościoła klasztornego jest także mały, drewniany kościół pod wezwaniem św. Bartłomieja. Do niego chodzili parafianie mogilscy, zaś do kościoła klasztornego głównie ci, którzy mieli daleko do swoich macierzystych parafii. W podobnej bowiem sytuacji jak Bieńczyce w stosunku do Raciborowic byli mieszkańcy wsi Krzesławice, Grębałów, a nawet Lubocza, należący do parafii w Pleszowie. I dla nich bliżej i po drodze było do kościoła w Mogile. Kościół mogilski zapełniał się wiernymi i pątnikami z całej okolicy, z Krakowa, a nawet z bardzo odległych miejscowości w czasie odpustu na podwyższenie Krzyża Św. we wrześniu. Odpust był każdorazowo wielkim wydarzeniem.

Kontakty z parafią w Raciborowicach stały się częstsze i żywsze w okresie międzywojennym, kiedy w Bieńczycach zaczęły działać Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, a potem Katolickie Stowarzyszenie Mężów, zwłaszcza od czasu, gdy wikarym został ksiądz Zbigniew Przeworski, który raz w miesiącu przyjeżdżał do Bieńczyc i wtedy odbywała się w kaplicy msza św. Zaczęto nawet organizować w kaplicy rekolekcje dla młodzieży: na uroczystość św. Stanisława Kostki dla chłopców i na święto Matki Boskiej 8 grudnia dla dziewcząt, potem także rekolekcje wielkopostne. Proboszczem w Raciborowicach na przełomie XIX i XX wieku był ks. Dziadkowiec, po nim Ludwik Płonka, który zmarł pod koniec pierwszej wojny światowej (ludzie wspominają go jako dobrego kapłana). Jego następcą został dawny katecheta gimnazjum Sobieskiego w Krakowie ks. Antoni Siuda, próbujący sił jako poeta. Lata pracy katechetycznej wywarły na nim pewne piętno, z parafianami nie umiał sobie radzić, aż w końcu z parafii zrezygnował i był potem kapłanem u zakonnic. W roku 1928 został proboszczem dawny wikary z katedry wawelskiej ks. Józef Jamroz, który był proboszczem przez czterdzieści lat.

W roku 1952, kiedy zaczęła się rozbudowywać Nowa Huta, Ks. Arcybiskup Eugeniusz Baziak ustanowił w Bieńczycach parafię pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Pierwszym jej proboszczem został mianowany ks. Stanisław Kościelny.

***Bieńczyce, 1981 r.*** ***Jan Kotyza***

***Fragmenty publikacji „Moje Bieńczyce".***
***Szkice z życia wsi mające na celu ochronić przed zapomnieniem wchłanianą przez wielkie miasto podkrakowską wieś.***



## Jan i Maria Kotyzowie z Bieńczyc




***Jan Kotyza.***
***Urodzony 7 stycznia 1909 r. Zmarł 30 kwietnia 1991 r.***
***Maria Kotyza, z domu Halik.***
***Urodzona 7 czerwca 1912 r. Zmarła 11 października 1963 r.***

Jan i Maria Kotyzowie urodzili się w Bieńczycach. Jan napisał w swoich wspomnieniach: „Tu urodziłem się, tu ukończyłem szkołę podstawową, stąd dojeżdżałem do gimnazjum i na studia, tu stawiałem pierwsze kroki w pracy społecznej w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, tu spędziłem lata okupacji, tu założyłem rodzinę, tu urodziły się wszystkie moje dzieci."

Bieńczyce, swoją (a wcześniej także rodziców) wieś pokochał i nigdy jej nie opuścił. W latach międzywojennych był komendantem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Towarzyszyła mu w tej pracy Maria Halik, później jego żona. Ich ślub odbył się 11 kwietnia 1940 r. w kościele parafialnym w Raciborowicach.

Jan Kotyza w 1940 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej organizując pluton, którego został dowódcą. W roku 1942, po nawiązaniu kontaktu z działaczami ludowego „Rocha", przeszedł z całym plutonem do Batalionów Chłopskich. Na terenie gmin Mogiła, Ruszcza i Zielonki zorganizował batalion złożony z czterech kompanii, który po scaleniu z Armią Krajową otrzymał kryptonim „Pająk". Do końca okupacji był jego dowódcą. W maju 1944 roku został mianowany komendantem Batalionów Chłopskich obwodu krakowskiego. Był równocześnie drugim zastępcą komendanta obwodu AK Kraków. Poważną rolę odegrał w organizowaniu i prowadzeniu tajnego nauczania zainicjowanego przez kierownika szkoły w Bieńczycach Józefa Celińskiego (i w tej pracy towarzyszyła mu Maria). Wiosną 1945 roku został powołany do Wojska Polskiego i jako dowódca plutonu i adiutant batalionu walczył pod Dreznem i w Bieszczadach. Po zdemobilizowaniu działał w PSL Stanisława Mikołajczyka, a następnie pracował zawodowo w szkolnictwie, spółdzielczości oraz Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

Jako jedni z pierwszych, wraz z Józefem Salwińskim, Franciszkiem Ciepielą (późniejszym księdzem) i Janem Krawczykiem – rówieśnikami Jana, Kotyzowie tworzyli w Bieńczycach atmosferę zainteresowania oświatą, kulturą i życiem społecznym. Stąd tak duże zaufanie młodszych ludzi towarzyszące Janowi Kotyzie i jego żonie w ciągu całego ich życia.

Maria zmarła przedwcześnie. Była matką siedmiorga dzieci: pięciu synów i dwóch córek. Pierwsze z dzieci urodziło się w roku 1941. Dwóch synów małżeństwa Kotyzów zmarło w wieku niemowlęcym.

Jan Kotyza zakończył życie w okolicznościach symbolicznych. Zasłabł w czasie pogrzebu jednego ze swoich podkomendnych wygłaszając mowę pożegnalną. Zmarł w drodze do szpitala. Było to 30 kwietnia. Dokładnie rok wcześniej zmarł inny jego podwładny z okresu okupacji, Jan Bochenek. Jemu też towarzyszył w ostatniej drodze.

Warto zacytować na zakończenie jeszcze jeden fragment wspomnień Jana Kotyzy: „Piszę te moje wspomnienia po to, by choć na papierze zostały po nich jakieś ślady. Może kiedyś znajdzie się lepszy bard i napisze historię wsi, w której kiedyś bujnie rozwijało się życie, a którą pochłonął moloch wielkiego przemysłu."





**Mój ojciec**

Występujący na części zdjęć mój ojciec Jan Bochenek urodził się w roku 1923 we wsi Bieńczyce. Dom rodzinny znajdował się na powtórnie obecnie zabudowywanej posesji przy ul.Fatimskiej 55, dzisiaj sąsiadującej z blokami os. Złota Jesień.

Wspomniany dom (zbudowany ponoć w 1905 r.) był pierwotnie własnością Jana Jędrszczyka i jego żony Wiktorii (z domu Turbasa). Jan Jędrszczyk, ojciec dwojga dzieci (Marii i Idziego) zginął w 1917 r. służąc w armii austriackiej. Wdowa poślubiła potem Jana Bochenka (później krakowskiego dorożkarza). Mieli trzech synów: Franciszka, Jana i Józefa.

Wspominając o Wiktorii warto podać ciekawostkę: jej starsza siostra była żoną znanego malarza młodopolskiego Józefa Krasnowolskiego. Wesele artysty uwidocznione na jednym z jego obrazów, według przekazów rodzinnych odbywało się we wspomnianym już domu. Na niektórych obrazach autorstwa Józefa Krasnowolskiego oraz malowanych w okresie I wojny światowej pocztówkach występuje podobno jego żona i właśnie siostra Wiktoria.

Jan Bochenek urodził się w roku 1923. Z okresu jego dzieciństwa zachowało się niewiele wspomnień, a na ich odzyskanie nie ma niestety wielu szans: nikt z piątki rodzeństwa już nie żyje. Z dokumentów (a także z opowieści ojca) wiadomo, że rodzice jego chcieli, aby zdobył wykształcenie. Tak też się stało: po zakończeniu okupacji i zdaniu matury został studentem, a potem absolwentem AGH. Tego faktu nie wymieniam jako wyjątkowego sukcesu ojca, ale jako coś w rodzaju historycznego zwornika między historią wsi podkrakowskiej podzieloną na okresy „przed" i „po" zbudowaniu Nowej Huty. Dzisiaj, kiedy wiemy już, że twierdzenia o zacofanej i ubogiej podkrakowskiej wsi i wykorzystanych pod budowę ugorach były propagandową bzdurą, inaczej możemy patrzeć na podobne losy. Losy młodych ludzi, którzy z jednej strony ze sporym entuzjazmem uczestniczyli w realizacji wyzwania, jakim było uprzemysłowienie kraju i gwałtowna aktywizacja społeczna chłopów (także odczuwana przez nich osobiście), z drugiej zaś zdawali sobie sprawę z brutalnego trybu wprowadzania „nowoczesności". Dla ojca, który w okresie okupacji uczestniczył w ludowym ruchu oporu (Bataliony Chłopskie) było jasne, że powojenna rzeczywistość nie jest wymarzonym ideałem: tuż po wyzwoleniu cudem uniknął rozstrzelania przez czerwonoarmistów, jako uczestnik ruchu ludowego musiał przełknąć wyrugowanie PSL z życia politycznego Polski. Późniejsze bezwzględne i zakończone groszowymi odszkodowaniami wywłaszczenia pod budowę Nowej Huty i stalinowskie represje nie pozostawiały złudzeń co do charakteru „władzy ludowej".

I tak już pozostało do końca życia mojego ojca: z jednej strony entuzjazm dla idei budowy nowej rzeczywistości, z drugiej niechęć i dystans do sposobu realizacji i sprawowania władzy. To rozdarcie sprawiło, że nie był w stanie zadbać o swoją karierę. W czasach „wielkiej budowy" honorowany i nagradzany, nie zdołał przełożyć swoich sukcesów zawodowych na materialne, na co zapewne wpływ najistotniejszy miał fakt, że odmówił zapisania się do partii komunistycznej. Pozostawił za to po sobie ślad w krajobrazie miasta kierując kiedyś np. budową kominów elektrociepłowni w Łęgu.

Dla mnie i mojej rodziny pozostał w pamięci jako człowiek, który nigdy, mimo zamieszkania w mieście, nie opuścił wsi. Z całym ceremoniałem rokrocznie przechodził na kilkuarowej działce sezon rolniczy. W domu najistotniejszym, prawie jedynym źródłem zaopatrzenia w jarzyny i owoce, była właśnie jego działka w Krzesławicach, naprzeciw dworku Jana Matejki. Nawiasem mówiąc, sąsiadowała z nieruchomością Władysława Waleriana, długoletniego i dożywotniego przyjaciela ojca (jest na kilku zdjęciach).

Olbrzymie znaczenie, do końca życia mojej babki Wiktorii, miał także rodzinny dom ojca. Babcia była osobą zamkniętą w sobie, ponoć prawie nigdy nie opuszczała posesji, nie była zaprzyjaźniona z sąsiadami. Synowie natomiast otaczali ją niemalże kultem (dziadek miał najwyraźniej w rodzinie mniejsze znaczenie). Przestrzegano uroczystych terminów: świąt i imienin babci. Przestrzegano także form: babcię należało całować w rękę (obowiązek dotyczył także dziewczynek), dzieci po otrzymaniu przygotowanych przez babcię zawczasu drobiazgów (cukierków, drobnych monet) musiały bawić się na podwórku lub w innym pomieszczeniu.

Nowa Huta wdzierała się stopniowo w życie domu w Bieńczycach. W ramach rozbudowy „podchodziła" coraz bliżej starego domu. Ostatnie lata swego istnienia stara, pochylona już chata, spędziła w towarzystwie pudełkowatych bloków mieszkalnych, zresztą w towarzystwie nienadzwyczajnym: najbliższy był blok z mieszkaniami dla osób z tzw. marginesu. Ostatecznie w opuszczonej i zrujnowanej chacie zamieszkali bezdomni. Potem spłonęła.



Ojciec właściwie nigdy nie przestał być chłopakiem z Bieńczyc. Chyba nie bardzo nawet się starał. W pewnym sensie tam w końcu wrócił. W 1990 r. rozpoczęłam w Bieńczycach na małej działce położonej kilkaset metrów od starego domu budowę własnego. Działkę dostał (odpłatnie, ale nie był to wielki koszt) ojciec, niestety, co stanowiło wtedy pewien zgrzyt, znowu na terenach komuś zabranych. Tym razem w ramach tzw. parcelacji. Zatem mój dzisiejszy dom stoi na dawnej ziemi rodziny Ciepielów (Landausów - taki mieli we wsi przydomek).

Parcelacja w Bieńczycach miała swoją dość bogatą i burzliwą historię. Teren miał być pierwotnie przeznaczony pod budownictwo wielomieszkaniowe (realizację nawet rozpoczęto, co widać w pobliżu kościoła Arka Pana). Jednak znaczną część udało się uratować przed zabudową, między innymi, a może głównie na skutek aktywności Andrzeja Ptaka. Istotę zdarzeń z tamtych lat może oddać taki dialog między moim ojcem a panią Heleną Ciepielą (żyjącą do dnia dzisiejszego):

Mój ojciec: – Cieszę się, że dostałem choć tyle za to, co zabrali ojcom.

Pani Helena: – Ale oddali ci z mojego, a ja ci nic nie zabierałam.

Ta rozmowa mogłaby sugerować konflikt. Ale nic takiego nie nastąpiło. Ciepielowie jakoś zaakceptowali naszą obecność, stawiając tylko warunek, że zbudujemy dla siebie dom, a nie zatrzymamy działki do dalszej sprzedaży z zyskiem.

Ojciec był najwidoczniej odbierany w dawnej wsi z sympatią. Nie twierdzę, że była powszechna, jednak nigdy nie spotykał się z niechęcią, sporo osób natomiast wyrażało się o nim (o czym przekonałam się także po jego śmierci) bardzo ciepło. Odczułam to zresztą dość wyraźnie w czasie budowy domu spotykając się z konkretną pomocą i życzliwością bliższych i dalszych sąsiadów.

Ojciec niestety nie dożył nawet dnia rozpoczęcia budowy. Zmarł 30 kwietnia 1990 r. a budowa rozpoczęła się 1 lipca tego samego roku. Nie żyją już też jego najbliżsi koledzy: Władysław Walerian, Józef Osiadły i Eugeniusz Hajto. Ze „starych znajomych" ojca (o których wiem) pozostał przy życiu Józef Turbasa (mistrz krawiecki, jego syn kontynuuje firmę rodzinną przy ul. Św. Gertrudy), na ul. Fatimskiej mieszka Jan Salwiński, którego, jak sam opowiada, Jan Bochenek (mój dziadek) wiózł dorożką do ślubu. W niedalekim sąsiedztwie mojego dzisiejszego domu mieszkają, jak dawniej, choć w nowych domach: wspomniana Helena Ciepiela, pamiętająca ojca rodzina Biernacików i Krawczyków. Dzięki nim ocaliliśmy już skrawki pamięci o dawnych latach, być może uda się ocalić jeszcze następne, jeśli organizowana ekspozycja spowoduje (na co liczę) kontakty z ludźmi, którzy pamiętają zdarzenia z lat 30-tych, 40-tych i 50-tych.

Pisałam te wspomnienia parę miesięcy temu wiedząc o wiele mniej o czasach dzieciństwa i młodości mojego ojca, o jego ukochanej wsi Bieńczyce, która formalnie już nie istnieje. Od tego czasu sporo się zmieniło. Nawiązałam bliski kontakt z bratową mojego taty (żoną jego brata - Franciszka). W czasie długich spotkań, na których zajmowałyśmy się opisywaniem zdjęć z jej albumów, przeniosłam się w lata jej młodości, a co za tym idzie w czasy młodości mojego taty. Zobaczyłam, jak żyli moi przodkowie, jak spędzali wolny czas, co ich interesowało. Opisałyśmy razem kilkaset zdjęć, o których ciocia opowiadała niekiedy bardzo szczegółowo, ubarwiając opowieści wieloma epizodami i anegdotami, które wydobywały się z jej pamięci na widok kolejnych fotografii. Poruszając się w świecie starych fotografii i dokumentów zauważyłam, że w pewnym momencie zaczęły one żyć własnym życiem. Odkryłam wiele powiązań między oderwanymi (ale tylko początkowo i pozornie) zdarzeniami.

## Ciocia Zosia

Zofia, córka Kazimierza i Wiktorii Zyburów, urodziła się 20 maja 1920 r. Miała siedmioro rodzeństwa, co w owych czasach nie było niczym szczególnym (dzisiaj mówi się o takich rodzinach, że są wielodzietne – trochę tak, jakby opisywano społeczną patologię). W rodzinie nie było biedy – rodzice mieli dość duże gospodarstwo.

Tata Kazimierz był bardzo zaradny i pomysłowy. W swoim gospodarstwie wprowadzał różne drobne, ułatwiające życie i pracę wynalazki. Był bardzo muzykalny, grał na kilku instrumentach. Dorabiał sobie grą w kilkuosobowej grupie grajków. Grali na weselach i innych uroczystościach rodzinnych. Potem grał także w orkiestrze, którą założył właściciel młyna Lelito (on też opłacał kapelmistrza kierującego orkiestrą). Lelito wybudował również salę taneczną, a mówiąc bardziej potocznie „tancbudę". Orkiestra grała w czasie wiejskich uroczystości i przygrywała do tańca na zabawach.

Ojciec Zofii grał w orkiestrze, a ona sama sprzedawała tytoń dla uczestników zabawy. Kupowała go w Mogile w domu Michała Fereta, gdzie na parterze znajdowała się trafika, czyli sklep z wyrobami tytoniowymi. Ponieważ była młodą dziewczynką, każdy kto kupował od niej papierosy kupował też specjalnie dla niej czekoladę, tak że po zabawie cały kuferek po papierosach miała wypełniony czekoladami.

Zofia uczyła się w szkole ludowej (powszechnej) w Bieńczycach, potem poszła do gimnazjum i szkoły średniej w Krakowie (dojeżdżała pociągiem). Bardzo często drogę tę (ok. 7 km) uczniowie pokonywali piechotą. Wędrówki te miały charakter pełnej żartów i śpiewów zabawy.

We wsi działała organizacja młodzieżowa: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Praca w stowarzyszeniu wypełniała czas młodym ludziom. Z okazji różnych uroczystości odbywały się we wsi zabawy i festyny związane ze świętami kościelnymi lub państwowymi i z ludowymi tradycjami. Szczególnie bogatą i barwną formę przyjmowały coroczne dożynki. Tańce i cały ceremoniał dożynkowy przygotowywała młodzież z dużym udziałem mojej cioci. Dla lepszego przygotowania do uczestnictwa w uroczystościach dożynkowych została nawet wysłana na kurs nauki tańca do Krakowa, a potem do Milówki i Gać. Jej stałym partnerem w dożynkowych tańcach był Karol Żylski.



Spotykano się również w domach z okazji imienin organizując zabawy w udziałem harmonisty Dziwisza, młodzież lubiła przebywać przy jazie zbudowanym na rzece Dłubni w związku z inwestycjami właściciela młyna, Lelity.

Życie kulturalne przybierało w Bieńczycach także formę niekoniecznie popularną nawet dzisiaj, w szczególności w społeczeństwach wiejskich. W świetlicy Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży organizowano przedstawienia teatralne, nie tylko popularne jasełka, ale także klasykę polskiego teatru, np. „Zemstę" Fredry. Młodzież spędzała też czas na zajęciach sportowych i wycieczkach, daleko odleglejszych, niż tylko do Krakowa. Działalność sportowa, wynikająca ze wzrostu świadomości i zainteresowań młodzieży w rezultacie kontaktów z Krakowem, doprowadziła do powstania w okresie międzywojennym Klubu Sportowego „Tęcza" posiadającego sekcję piłki nożnej i tenisa stołowego. Wcześniej bieńczycka młodzież miała możliwość uczestnictwa w zajęciach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", dla którego w początkach XX wieku zbudowano nawet budynek stojący do dzisiaj na rogu dzisiejszych ulic Cienistej i Kocmyrzowskiej.

Niestety, wybuchła wojna i najpiękniejsze lata młodości Zofii przypadły właśnie na ten okres. W Bieńczycach w czasie okupacji niemieckiej działało tajne nauczanie prowadzone przez dyrektora bieńczyckiej szkoły powszechnej Józefa Celińskiego. Był to największy ośrodek tajnego nauczania w zakresie liceum na terenie powiatu krakowskiego. Działał w nim zespół ludzi, którzy chętnie podjęli się pracy w tajnej oświacie – nauczyciele szkół powszechnych i średnich zarówno z najbliższej okolicy, jak i studenci i uchodźcy z ziem wschodnich i Warszawy. Liczba uczniów uczestniczących w tajnym nauczaniu była podobna, jak przed wybuchem wojny. W latach 1942-45 ośrodek liczył 47 uczniów podzielonych na 7 zespołów. Program nauczania był taki sam, jak przed wojną. Najprzyjemniejsze były lekcje historii z panem Celińskim – czasami odbywały się w polu w czasie robót polowych. Młodzież wiązała snopki, a nauczyciel mówił o historii Polski.

Ciocia w czasie okupacji pracowała z Zakładach Tytoniowych w Czyżynach. Ona i jej koledzy jeździli na tak zwany „wykup" (czyli skup tytoniu) do rolników uprawiających tytoń, głównie w okolice Pińczowa. W okresie letnim po zakończeniu pracy chodzili na nadwiślańskie plaże, gdzie kąpali się w czystej jeszcze wtedy rzece.

Młodzież bieńczycka była zaangażowana w pracę konspiracyjną w Batalionach Chłopskich. Dziewczęta brały udział w szkoleniach jako sanitariuszki. Pracowały w Zielonym Krzyżu. Ciocia była też łączniczką między batalionem BCh „Pająk", a komendą AK w Wieliczce. Ona i jej koleżanki roznosiły podziemne gazetki i szyły opaski dla oddziałów bojowych. Ciocia na rowerze bocznymi drogami przewoziła prasę konspiracyjna oraz dokumenty i meldunki. Brała udział w akcjach bojowych.

W tych niewesołych latach młodzież bieńczycka przeżywała swoje pierwsze miłości, oczarowania i rozczarowania. Na randki chodziło się głównie na łąki w okolice jazu. Tam było najładniej. Tam właśnie oświadczył się Zofii jej przyszły mąż Franciszek Bochenek.

Po zakończeniu okupacji mieszkańcy Bieńczyc chcieli kontynuować życie, do którego przywykli. Uczyli się, pracowali zawodowo i społecznie. Organizowali, jak przed wojną, uroczystości dożynkowe i przedstawienia. A potem... No cóż, to wszystko się skończyło.

Fotografie, które razem oglądałyśmy przemówiły i opowiadają teraz o barwnej społeczności. Społeczności, która pracowała, bawiła się, przeżywała dramaty i radości, która w końcu, jakkolwiek patetycznie to zabrzmi, była częścią, i to aktywną, polskiego państwa i narodu.

***Elżbieta Dzikowska***

*Zdjęcie nasąsiedniej stronie zostało wykonane w latach 30-tych ub. wieku w Mogile. Pośród kąpiących się w Wiśle jest pani Zofia Bochenek z d. Zybura od której pochodzi to zdjęcie. Fotografia przedstawia w tle parowiec pasażersko-handlowy „Światowid" zbudowany w 1895 r. w Schiffswerft Dresden-Neustadt w Niemczech. Miał wyporność 70 t. i wymiary: 37,7x4,0x7,6 m. Użytkowany przez kilku właścicieli w okresie I wojny światowej był zarekwirowany przez Rosjan a następnie Austriaków. W listopadzie 1918 r. został przekazany Ministerstwu Komunikacji w Warszawie a w 1922 roku posiadło go Towarzystwo „Żegluga Polska" SA Kraków. Dnia 8 maja 1925 roku poświęcił go na Wiśle abp Adam Sapieha. Rodzicami chrzestnymi byli prezydent Stanisław Wojciechowski i Maria Dąbrowska. Statek kursował na trasie Kraków – Korczyn (rejsy pasażerskie) oraz Oświęcim – Sandomierz (rejsy holownicze). Rozwijał prędkość 18 km/godz., miał dwa duże pomieszczenia pasażerskie pierwszej klasy na 60 osób i drugiej klasy na 100 osób. W 1935 r. został przebudowany w Stoczni Zieleniewskiego w Krakowie. W czasie II wojny światowej przemianowany na „Hans Frank". Później pływał w P.P. Krakowska Żegluga na Wiśle. Został złomowany w 1963 r.*





*Fotografia wykonana w 1946 lub 1947 przez nieznanego autora, przedstawia młodzież w tańcu, jaki odbywał się w czasie wiejskich dożynek w Bieńczycach. Pierwsza para to Karol Żylski i Zofia Bochenek, druga: Jan Bochenek / tata Elżbiety Dzikowskiej/ i Zofia Nawara, trzecia: Bronisław Dżuła i Maria Żylska oraz Zbyszek Pyczek /student medycyny, brat Wiesława/ z Janką Biernacik.*

*Dożynki poświęcone były tegorocznym zbiorom zbóż, gdzie wspólnie dziękowano za plony i proszono o jeszcze lepsze w roku następnym. Wróżono przyszłość, a po modlitwach i rytualnych obrzędach organizowano biesiady i występy artystyczne, potem z kolei następowała ogólna zabawa przy muzyce. Dożynki były świętem rolniczego stanu, połączonym z festynem i występami zespołów ludowych. W tamtych czasach zaspokajały one część duchowych potrzeb mieszkańców, ale stanowiły także manifestacją chłopskiej odrębności i dumy. Były organizowane po zakończeniu wszystkich najważniejszych prac polowych i zebraniu plonów, a głównie plonu zbóż. W Bieńczycach urządzano je 15 sierpnia, w święto Matki Boskiej Zielnej. Obchodzono je każdego roku, przerwane były tylko w okresie okupacji. Pierwsze dożynki po wojnie zorganizowano już w 1945 r.*

*Ceremoniom dożynkowym przewodniczyli wybierani corocznie: Starosta i Starościna dożynkowi. Przed wojną gospodarzem w Bieńczycach był wójt Jan Ciepiela. Organizowała je wówczas młodzież zrzeszona w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Żeńskiej i Męskiej, zaś po wojnie Koło Młodzieży Wiejskiej WICI.*

*Takim miejscem w Bieńczycach, gdzie zbierała się cała wieś by świętować, były łąki nieopodal jazu na Dłubni.*

*Najpierw gospodynie i gospodarze wnosili wieńce dożynkowe wykonane z kłosów zbóż. Wieńce miewały zwykle kształt wielkiej korony lub koła. Korowodowi z wieńcami idącemu przez całą wieś towarzyszyły przekazywane z pokolenia na pokolenie przyśpiewki, którym zazwyczaj dodawano aktualne zwrotki.*

*Wieniec dożynkowy utożsamiał wszystkie zebrane plony i urodzaj. Niosła go najlepsza gospodyni. Za nią postępował orszak chłopów i chłopek ubranych odświętnie w stroje krakowskie. Po złożeniu wieńców gospodarzowi dożynek rozpoczynała się gwarna biesiada, na której spożywano ciasta i wspaniałe kolacze, wypieczone wcześniej przez gospodynie.*

*Po biesiadzie były występy artystyczne: młodzież śpiewała i tańczyła na ludowo. Pierwszym tańcem był Krakowiak potem Mazur Kujawiak i Polonez. Par było kilkanaście. Oprócz wcześniej wymienionych osób na pozostałych fotografiach z tej serii występują jeszcze: Aleksandra.Kotyza, Janina Kaczmarczyk, Andrzej Ptak, Helena Krawczyk i in. Cały układ taneczny przygotowywała Zofia Bochenek, która wraz ze Zbyszkiem Pyczkiem była wysłana na kursy tańca do Krakowa. Pani Zofia ukończyła jeszcze kursy tańca w Gaciach i Milówce. Występy przygotowywano około miesiąca. Młodzież bardzo chętnie spotykała się w tym celu codziennie. Była to dla nich wspaniała przygoda i zabawa, którą z radością ale i nutą nostalgii wspominają do dzisiaj.*





*Dożynki w Bieńczycach, rok 1946 lub 1947*








Zięciaków. Do terenów „obsługiwanych" przez położną wchodziły następujące wsie: Grębałów, Mogiła, Lubocza, Prusy, Zastów, Krzesławice, Kantorowice, Dojazdów, Bieńczyce, Raciborowice. W 1928 roku Katarzyna i Franciszek przenieśli się do Bieńczyc. Zamieszkali w gospodarstwie Jakuba Jędrszczyka. Jako samodzielna położna pracowała w czasie okupacji, po wojnie była na etacie Wydziału Zdrowia w Dzielnicowej Radzie Narodowej i tym samym zaczęła „przynosić" dzieci na nowych osiedlach Nowej Huty. Podczas swej 30 letniej pracy pomogła przyjść na świat około czterem tysiącom dzieci. Była ogólnie znana, lubiana, bardzo szanowana. Ciepła, uczynna, wyjątkowa. Pracowała o każdej porze dnia i nocy, zawsze do dyspozycji matek i ich nowonarodzonych dzieci, które otaczała troskliwą opieką. Była ukochaną Babcią nie tylko dla swoich wnucząt, które oczywiście osobiście „odebrała", ale także dla wszystkich innych dzieci, które Ją tak nazywały. Za swą pracę odznaczona odznaką „Budowniczy Nowej Huty".

Zmarła 18 lutego 1972 roku mając 84 lata. Pochowana na cmentarzu Rakowickim spoczęła obok teściowej Katarzyny Doniec, męża Franciszka i syna Romana zmarłego w lutym 2006 roku.

W 1988 roku, w 100. rocznicę urodzin została odprawiona uroczysta msza św. w Kościele Arka Pana w Bieńczycach. Poniższy tekst został napisany na tę uroczystość.

**W stuletnią rocznicę urodzin Katarzyny Doniec**
**1888 – 1988**

## Katarzyna Doniec

córka Salomei i Jakuba Wójcików urodziła się 11 sierpnia 1888 roku w podkrakowskiej wsi Pleszów – Kujawy. Miała trzech braci : Jana, Józefa, Piotra i siostrę Marię. W młodości pracowała w gospodarstwie rodzinnym, nosiła na sprzedaż mleko do Krakowa, między innymi do domu Katarzyny Doniec, na ulicę Chodkiewicza, gdzie poznała jednego z synów właścicielki, Franciszka, który zakochał się z wzajemnością w Katarzynie. Ślub Katarzyny Wójcik i Franciszka Dońca odbył się w 1917 roku. Młodzi zamieszkali w domu rodzinnym panny młodej na Kujawach. W 1918 roku przyszła na świat córka Władysława, w 1920 roku urodził się syn Roman. W 1922 roku zamieszkali w Mogile. Katarzyna nauczyła się szyć na maszynie i zajmowała się krawiectwem damskim. Miała jednak wielkie zamiłowanie do leczenia i pomagania ludziom, dlatego postanowiła zostać położną. Ta decyzja została podjęta przez oboje małżonków, więc w 1924 roku przenieśli się do Krakowa, tym razem do rodzinnego mieszkania Franciszka. Katarzyna uczyła się nowego zawodu w Szkole Położnych prowadzonej przez dr Adę Markową, chodziła na wykłady, na praktykę do szpitala przy ulicy Kopernika. 2 lipca 1926 roku z wynikiem celującym zdała egzamin i uzyskała dyplom położnej. 30 lipca rozpoczęła praktykę w Mogile.

Od początku swej pracy miała duże uznanie i powodzenie. W 1927 roku zamieszkali w Grębałowie u gospodarzy

**Ta, która umiała kochać**

**Sto lat** – rzeczywiście czas gorących życzeń, czas cichego marzenia, czas rzadko spełniony – za to jakże tęskno śpiewany.

Pamięć żyje dłużej niż sto lat – pamięć ma moc wskrzeszenia. Powołujemy dzisiaj do życia wśród nas niezapomnianą w naszym rodzinnym gronie osobę. Zapraszamy Ją do kilku pokoleń tej samej rodziny, które Jej winny niezmiernie wiele. Chcemy Ją mieć w zasięgu naszych oczu, by raz jeszcze przeżyć Jej jasne, głębokie życzliwością spojrzenie. Pragniemy przybliżyć się do Niej, by ująć Jej dla nas spracowane ręce. Ręce szczodre, ręce niezawodne w geście rozdawania swego serca nam i każdemu wyczekującemu od Niej pomocy i wsparcia.

Ręce błogosławione specjalnym posłannictwem, ręce, którym tysiące razy było dane ujmować pierwszym uściskiem ludzkiej przyjaźni nowego człowieka i przekazywać mu ciepło życzliwej ludzkiej dłoni.

Ileż z nas tutaj obecnych doświadczyło w tamtej właśnie chwili przestąpienia progu przeznaczonej nam z woli Bożej rzeczywistości w Jej nieodzownej obecności i przy Jej jakże serdecznej pomocy. Chcemy sprowadzić z przestrzeni eteru Jej głos.

Jak dzisiaj tęskni się do takich słów, które potrafią otrzeć łzy?

Właśnie o takiej kobiecie mówi Pismo Święte, że „W Jej języku jest leczenie i łagodność i miłosierdzie" EKC 36/2. Niech przemówi do nas Ta, która przebyła już z nami i w nas STO LAT. Niech jeszcze raz opowie o swojej młodości chmurnej i górnej, o swojej doli i drodze do cudnie

ukształtowanego charakteru wielkiej miary, humanisty, wiernego przyjaciela człowieka w jego najbardziej zdanym na łaskę i niełaskę drugiej osoby okresie. Niech zabrzmią raz jeszcze mądre Jej rady rozsypywane, w szczerej prostocie, niesione bez wahania o każdej porze dnia i nocy. Jak zdumiewającym zadziwia nas rozumieniem wielkość znaczenia tych dwóch fundamentalnych pojęć, na których wznosi się ludzka społeczność – mianowicie matki i dziecka. Wartości te stanowiły dla Niej istotny wyznacznik Jej poświęcenia, Jej wspaniale duchowej od początku do końca profesji. Jej asysta dotyczyła najważniejszych momentów w dziejach człowieka. Przyjście na świat i przyjęcie pierwszego promyka słonecznego światła i wejście w krąg łaski przy chrzcielnicy starych i nowych kościołów, łaski zapisu na wiecznej liście dzieci samego Boga.

W tysiącach metryk urodzeń widnieje Jej imię i nazwisko. Kryształowe działania tej, która ma chwalebną cząstkę w budowie społeczności naszego katolickiego Kościoła Świętego. Wśród godnych czci księży, proboszczów okolicznych parafii Jej skromna postawa cieszyła się uznaniem i autentycznym uszanowaniem. To samo stwierdzić należy w odniesieniu do szeregów pokoleń mieszkańców starych wsi wiślanego i krakowskiego obszaru jak i nowego miasta Nowej Huty.

Dla nas ukochana Babcia jest – mimo, że Jej już między nami nie ma – uosobieniem dobra, trwałym obrazem rodzinnej frasobliwości, prawdziwym autorytetem rzeczywistej wartości rodzinnej, spójni i rodzinnej miłości. Wykołysani Jej rękoma i wyrośli przy Jej śpiewanych piosenkach, do dzisiaj odczuwamy ciepło Jej rąk. Jak bezpiecznie pod Jej opiekuńczymi skrzydłami przeszły nam pochmurne dni złowrogich przeżyć !!!

Jak radośnie witaliśmy Ją w progu, kiedy wyczuwając kochającym swym sercem każde zagrożenie, stale gotowa do obrony nas, do pociechy i uzdrowienia.

Dla nas miała zawsze słońce, chociaż go nie było na niebie.

Dla nas miała uśmiech, chociaż Jej serce przygniatał tragiczny smutek.

STO LAT – a jakby wczorajszy dzień. Tak żywa pamięcią, tak droga sercem, tak jest nam zawsze potrzebna i tak zawsze do Niej nam tęskno.

Była miłością – a do miłości wypatrujemy oczy do końca.

Niech trwa miłość w nas , niech dla nas i dla naszych – Jej miłość, Jej umiejętność

kochania, Jej przykład poświęcenia dla nas – stanie się wzorem naśladowania.

***Stanisław Matuła***

## Józef Krasnowolski

(ur. 15 września 1879 w Kwidzyniu, zm. 29 listopada 1939), malarz polski.

Był drugim synem Antoniego Krasnowolskiego (ur. 18 stycznia 1855, zm. 14 sierpnia 1911), pedagoga, filologa i tłumacza oraz Augusty von Thumen (zm. w 1935). Zrazu studiował w Warszawie u Wojciecha Gersona (od r. 1896); w r. 1898 pojawił się w Krakowie jako student Szkoły Sztuk Pięknych, zapoczątkowując krakowską gałąź rodziny. Fascynowało go nie tylko miasto, lecz i jego okolica. Widok Skały Kmity pod Zabierzowem był dla przybysza z pomorskich i mazowieckich równin czymś tak niezwykłym, że swym wrażeniom poświecił cały niemal list do rodziców (z 10 kwietnia 1899 r.): W przeszłym tygodniu robiliśmy wycieczkę do Zabierzowa, do Skały Kmity (...). Jest to jedna z tych czarujących miejscowości, w jakie obfitują okolice Krakowa. Skała Kmity leży w odległości 2 wiorst od stacji. Olbrzym ten ukazuje się niespodziewanie idącym drogą przez las, przez co zyskuje na wrażeniu, to wynurza się od razu w całej swej okazałości. Wysoka na jakie pięć prętów skała w górnej części stoi odosobniona, na kształt wieży. Jedną ścianę ma prawie prostopadłą. Poza nią wznosi się ściana również wysoka, złożona z brył najfantastyczniejszych kształtów. Ogromne głowy piętrzą się wysoko, jedne nad drugimi, utrzymując się własnym tylko ciężarem. Zdaje się, jak gdyby olbrzymi jacyś naznosiwszy z całej okolicy głazów, dla zabawy zbudowali ów dziwaczny pomnik, a po dokonaniu figli, resztę zbywającego materiału porzucili obok. Przerażające w swym nieładzie, przygniata ogromem. Ale był ktoś, co zużytkował ten wspaniały kaprys natury. Objaśnia nas o tym wykuty na przedniej ścianie skały kulawy wiersz (...). Szkoda, ze w pośpiechu zapomniałem zanotować ściślej ortografii. Ale nie mógł pan Kmita lepiej wybrać: połowa tej wysokości wystarczyłaby mu w zupełności na rozbicie łba. Wdrapywaliśmy się na wierzchołek. Ja nawet z zamiłowania zrobiłem to dwa razy. Skała miejscami jest popękana. Od strony północnej pokryta szmatami mchu, sczerniała, to znów biała na płaszczyznach leżących poziomo, lśniąca, śliska. Wejście na sam szczyt dla tych, co nie umieją łazić po górach przedstawia niejakie trudności (...). Do połowy wchodzi się po pochyłości wzgórza z łatwością. Potem już gorzej. Trzeba się wspinać, trzymając się za wystające części skał. Już też na ostatni głaz, leżący bezpośrednio nad przepaścią, nikt z nas nie odważył się wejść, trwoga jest zbyt wielka (...). Malowaliśmy, o ile wiatr chłodny na to pozwalał, skałę z pewnej odległości.

W Szkole Sztuk Pięknych studiował początkowo w pracowni Jacka Malczewskiego (do r. 1900), potem Leona Wyczółkowskiego (1900-1901). Z zachowanych świadectw wynika, że jako student otrzymywał wysokie oceny, wyłącznie celujące i bardzo dobre „z rysunków całych figur z antyków", „z rysunków głów i figur żywej natury", „z rysunków wieczornych przy lampach", „z malarstwa głów z natury", „z aktu akademickiego", „z prób kompozycyjnych", „z anatomii"; jego ówczesne prace były nagradzane (np. w r. 1900/1901 otrzymał „drugą nagrodę za kompozycję, trzecią za akt ranny"). Uczestniczył też w plenerach malarskich, organizowanych przez Jana Stanisławskiego. Na jednym z takich wyjazdów w podkrakowskich Bieńczycach poznał swą przyszłą żonę – piękną wiejską dziewczynę, Salomeę Wiktorię Turbas (1882-1957), córkę zamożnej chłopskiej rodziny – Grzegorza i Salomei z Biernacików. Według rodzinnej tradycji Turbasowie mieli wywodzić się od jeńców tatarskich, osadzonych na roli w XVII lub XVIII w. Ślub odbył się 5 listopada 1902 r. w krakowskim kościele św. Mikołaja, wesele zaś w bieńczyckiej chacie panny młodej. Nie tak słynne, jak ówczesne wesela Włodzimierza Tetmajera, Stanisława Wyspiańskiego i Lucjana Rydla, zgromadziło krakowski świat artystyczny z Leonem Wyczółkowskim na czele i przeszło do rodzinnej legendy.

Jeszcze przed ślubem uzupełniał swe malarskie wykształcenie w Monachium (1901/1902). Nie palił się do tego wyjazdu; jak wcześniej pisał do rodziców, „szkoła monachijska niema wielu u nas zwolenników i zraża do niej przede wszystkim sam jej kierunek, dość niezgodny z naszym"; bardziej pociągały go studia w Rzymie, dokąd by „z wielką radością pojechał", bowiem są tam „szkoły francuskie i angielskie, cieszące się wielkim uznaniem, niezbyt drogie", chociaż „Rządowa Akademia ma być podobno nie wiele warta".

Po powrocie z Monachium i ślubie zamieszkał – do r. 1914 – w chłopskiej chacie w Bieńczycach. Tutaj przyszli na świat jego czterej synowie: Franciszek (ur. 16 kwietnia 1903, zm. 19 kwietnia 1944; obdarzony dużym talentem artystycznym, którego nie zdołał wykorzystać; zmarł w stosunkowo młodym wieku na gruźlicę), Kazimierz (pedagog, biolog), Witold (o naturze poszukiwacza przygód; w młodym wieku z poznaną w Wilnie żoną wyemigrował do Brazylii, gdzie przez pewien czas był prezesem Związku Polaków; próbował uprawiać kawę i zakładać linie autobusowe; mieszkał na odludziu, w dziewiczym lesie, wraz z dziewiątką dzieci – własnych i adoptowanych, korespondując z rodziną aż do śmierci ok. 1957 r.) i Włodzimierz (ur. 29 grudnia 1912, zm. 20 grudnia 1981); w okresie okupacji hitlerowskiej był żołnierzem AK, bezpośrednio po wojnie ukrywał się; potem pracował jako leśnik w Brzegu nad Odrą i w Toruniu oraz jako instruktor w Zakładach Tytoniowych w Krakowie).



W okresie tym kształtowało się ostatecznie oblicze artystyczne Józefa i dominująca tematyka jego dzieł: podkrakowskie pejzaże z pasiastymi, błękitno-rudymi chałupami krytymi strzechą, portrety dziewcząt w krakowskich strojach (najczęściej pozowała mu żona, nie tolerująca innych modelek) i dzieci, zwłaszcza własnych synów. Od r. 1903 zaczął regularnie uczestniczyć w wystawach krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i warszawskiej Zachęty oraz – mniej regularnie – w Poznaniu, Częstochowie, Lwowie i za granicą (m. in. w Pradze, we Wiedniu, w Monachium, Budapeszcie, Kijowie, Dreźnie). Spotykał się z uznaniem krytyków; pochlebne recenzje zamieściły „Tygodnik Ilustrowany", „Świat", „Sfinks", „Życie i Sztuka". To ostatnie czasopismo tak pisało w r. 1905: Pan Józef Krasnowolski, młody malarz krakowski, zwrócił na siebie powszechną uwagę w Warszawie na ostatniej wystawie w Pałacu Sztuki „Madonną Chłopską", która stała się prawdziwym „ewenementem" w naszej historii sztuki. Po raz pierwszy pierwiastki ludowe, etnograficzne, czysto swojskie, udało się stopić w prawdziwie artystyczne elementy, na obrazie na wskroś polskim i oryginalnym. Zadanie nie było łatwem, a p. Krasnowolski bynajmniej go sobie nie ułatwił, biorąc z palety swojej tony jaskrawe, szafranowe, amarantowe, zielone, mniej więcej takie, jakie się widzi na skrzyniach krakowskich i gorsetach dziewczyn bronowickich (...). „Madonnę Chłopską" porwał jakiś amator z wystawy (za dwieście rubli, jak słyszałem) i prawdziwa to szkoda. To dzieło szczęśliwe i zapewne inaugurujące coś w rodzaju epoki w naszym malarstwie, chciałoby się widzieć w jednym ze starszych naszych kościołów warszawskich, gdzie ciekawemu cudzoziemcowi tak mało mamy do pokazania. Najcenniejsze prace powstały po krótkim pobycie w Paryżu (1909). Cieszył się wówczas uznaniem, eksponując swe dzieła wraz z czołowymi twórcami Młodej Polski: w 1911 r. otrzymał II nagrodę na I wystawie sztuki kościelnej w Krakowie (I nagrody nie przyznano) za „Serce Jezusa" (dziś w kościele w Krzesławicach), nieco później – nagrodę we Wiedniu za akty czterech kąpiących się chłopców (zapewne synów). Został członkiem kilku organizacji artystycznych: krakowskiego „Zero", warszawskiego „Odłamu" i wiedeńskiego „Hegebundu". Jego dzieła trafiły do wydanego w Paryżu albumu sztuki polskiej (1912).

Jego sytuacja finansowa była trudna; aby ją poprawić wydał serie pocztówek. W r. 1914 przeniósł się z rodziną z Bieńczyc do Krakowa (mieszkanie przy ul. Kalwaryjskiej 64).

Sukcesy artystyczne przerwała I Wojna Światowa. Zmniejszony popyt na obrazy zmusił go do ulegania gustom klientów; poziom prac obniżył się. Po wojnie podjął pracę w Polskiej Agencji Telegraficznej, w r. 1925 chwilowo przeniósł się z rodziną do Mysłowic, gdzie uczył rysunku w gimnazjum. Stan jego zdrowia stale się pogarszał: wylew (1926) był przyczyną niedowładu palców, rozwijała się jaskra, którą częściowo tylko zahamowała operacja (1934). Ostatni sukces to „Zaszczytne Wyróżnienie" w warszawskiej „Zachęcie" za „Chatę w słońcu" (1931). Pod koniec życia był człowiekiem nieszczęśliwym, zapomnianym przez przyjaciół, z których wierny pozostał mu jedynie rzeźbiarz Bronisław Pelczarski (1878-1951). Przybity wybuchem wojny zmarł 29 listopada 1939 r. Został pochowany na cmentarzu Rakowickim. W ostatnich latach życia Józefa i Salomeę wspierał finansowo ich syn Kazimierz, wówczas początkujący nauczyciel.

Rodzina Krasnowolskich herbu Radwan wywodzi się prawdopodobnie z Pomorza. Pochodzenie nazwiska zdaje się wyjaśniać „Słownik języka polskiego" Lindego: „Krasnowolia jest kubek, albo jak Słowianie nazywają mirnaja czasza albo poczerpało, w które się więcej nie wlewa, jeno pół kwarty wina; czara; czasza od wina".

***Piotr Krasnowolski***



## Cmentarz w Raciborowicach

Kiedy wchodzimy na parafialny cmentarz w Raciborowicach, to urzeka nas jego piękno: układ ścieżyn, ciche mogiły i wysmukłe stare drzewa pochylające swe czoła nad dostojną ciszą minionych epok. Widać zachowany porządek, znać że cmentarz jest w dobrych rękach parafian i osób tu pracujących.

Spacerując między pomnikami nagrobnymi zastanawia nas fakt, że z tak licznych wsi są tu pogrzebani ludzie. Jest to związane z tym, że parafia zmieniała liczbę swych miejscowości. W końcu średniowiecza należały do niej Raciborowice, Zastów, Batowice, Dziekanowice, Mistrzejowice, Bieńczyce, Węgrzce, Boleń, Bosutów, Prusy, Kantorowice, Zesławice i Kończyce. W okresie nowożytnym do parafii w Więcławicach przeszedł Bosutów i Boleń, a pojawia się Baranów i Prawda będąca folwarkiem dworu raciborowickiego. Znaczna większość z nich była własnością kościelną. Bieńczyce u zarania swych dziejów należały do kościoła św. Michała na Skałce, a następnie do prepozyta kolegiaty św. Floriana w Kleparzu. Dziekanowice, Batowice, Zastów, Węgrzce i Mistrzejowice posiadała kapituła katedralna bądź krakowscy biskupi, posiadłościami klasztoru w Mogile były po wykupieniu ich w XV z rąk rycerzy Kantorowice, Zesławice i Wiktorowice. Kończyce jako jedyne w parafii były wsią szlachecką.

W 1827 r. senat Wolnego Miasta Krakowa oderwał od parafii Wiktorowice, Kończyce i Baranów, zwany od początku XX w. Baranówką, a przyłączył Prusy, Sulechów, Bosutów i Boleń. W chwili obecnej parafia jest już terytorialnie bardzo pomniejszona, gdyż zawiera jedynie Raciborowice, Dziekanowice, Kończyce, Batowice, Prawdę i Zastów. Natomiast wokół tej starej, średniowiecznej fary powstały nowe parafie w Prusach, Mistrzejowicach, Węgrzcach i Bieńczycach. Pamiątką po dawnej wielkości prócz ukończonej przez Jana Długosza imponującej świątyni z XV w. są przede wszystkim nagrobki na tutejszym cmentarzu, z których możemy odczytać pochodzenie zmarłych, a także fakt, że osoby z dawnych wsi naszej parafii wyrażają wolę pogrzebania swych ciał właśnie tutaj, jak gdyby zachowując kult wielkiej Matki-Parafii Raciborowskiej, matki okolicznych parafii.

Na cmentarz prowadzi długa, piękna aleja jesionów. Wedle lokalnej tradycji w czasie I wojny światowej Austriacy ścięli wszystkie drzewa w alei piłami na wysokość ok. metra celem odsłonięcia pola ostrzału dla artylerii. Stąd tłumaczy się fakt, że dziś wszystkie one rozrastają się właśnie na tej wysokości, co dodaje im niesamowitego, wręcz wyrwanego z płócien C. D. Friedricha nastroju, szczególnie podczas wieczornego lub porannego wśród mgły spaceru, kiedy wyglądają jak zwarty szpaler gwardzistów Śmierci, stojący na baczność w ostatniej wędrówce człowieka.

### Cmentarz przykościelny

Jak stary jest raciborowski cmentarz? Musiał istnieć od czasu powstania parafii, a więc od co najmniej od XIV wieku, ponieważ pierwszym znanym nam plebanem był niejaki Raynerius w latach 1325-27. Cmentarz przykościelny istniał przez kolejne 500 lat. Plebani byli chowani w świątyni przed ołtarzem. Dla przykładu można podać księdza Hannibala Orgasa, z pochodzenia Włocha, zmarłego 5 lipca 1629 r. czy księdza Walentego Brzostowskiego (zmarł w 1586 r.), którego płyta nagrobna obecnie jest wmurowana w ścianie kruchty kościoła, a przeniesiona została tam spod głównego ołtarza przez ks. Jana Waligórskiego w poł. XIX w. Kruchta, zwana także babińcem, w dawnych czasach była miejscem, gdzie mogły uczestniczyć we mszy ciężarne kobiety, tak, by nie przeszkadzały wiernym omdleniami czy innymi dolegliwościami ciążowymi. A wobec dużej umieralności dzieci przy porodach i w wieku niemowlęcym, kobiety często były przy nadziei. Co smutne, białogłowy zmarłe w czasie połogu nie mogły być chowane w ziemi cmentarnej, lecz za ogrodzeniem. To tam grzebano samobójców, morderców, ba, nawet aktorów. Zawód aktora był uznawany w dawnych czasach za niegodny.

W podziemiach raciborowickiej świątyni jest zamurowane wejście do katakumb, gdzie leżą corpori mortuorum[1], jednak ich otwarcie nie jest wskazane ze względu na to, że mogą się tam znajdować zabójcze gazy – produkty rozpadu zwłok, które są swego rodzaju bombą biologiczną. Przypomnę o zgonach naukowców badających na pocz. XX wieku grobowce egipskich faraonów czy sprawie otwarcia grobu Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu[2].

Cmentarz przykościelny był otoczony parkanem, a czwarta część ogrodzenia należała do tutejszego dworu. Na cmentarzu stała kostnica, która u schyłku XVIII wieku była już mocno zrujnowana. Przykładem pochówku przy kościele może być płyta pamiątkowa, którą wspomniany już pleban Walenty Brzostowski wystawił dla swoich siostrzeńców. Znajduje się ona na zewnętrznej, frontowej ścianie kruchty. Jak brzmi napis, Jan i Mikołaj Rajscy zmarli przedwcześnie (w wieku dziecięcym) „na powietrze", czyli wskutek zarazy i pochowani zostali na prawym rogu kruchty 12 i 14 października 1564 r. Podczas remontu ogrodzenia kościelnego w Raciborowicach za probostwa księdza Józefa Jamroza (proboszcz w latach 1927-1971) parafianie znajdywali w ziemi wiele kości ludzkich. Była to swoista pamiątka po starej nekropolii. Kości ksiądz nakazał składać na jedno miejsce, a następnie pochował je na nowym cmentarzu, który powiększono za niego już po raz czwarty. Po starym cmentarzu na początku XX w. nie było już śladu, o czym możemy się przekonać na zdjęciach z 1906 r. zamieszczonych w książeczce St. Tomkowicza[3].

Trzeba podkreślić, że były też w przeszłości odrębne mogiły dla ofiar zarazy, które umieszczano dla bezpieczeństwa z dala od siedlisk ludzkich. W Zastowie przy strumyku zwanym Jędorkiem jeszcze kilka lat temu świecił ktoś znicz na Wszystkich Świętych. Tam miał być stary cmentarz choleryczny. Rolnicy na okolicznych polach podczas prac polowych znajdują jeszcze zbiorowiska ludzkich kości, co jest zapewne pozostałością tych grobowisk. Takie zapomniane mogiły bywały owiane mgłą niesamowitości. Starsi ludzie wspominają legendę o widmie kobiety, która rzekomo siedziała na kamieniu w lasku za dworem w Dziekanowicach, na miejscu cmentarzyska cholerycznego i czesała długie, rude włosy. Biła od niej nienaturalna poświata, miała na sobie białą, długą koszulę i kiedy ktoś się na nią nocą natknął, idąc polną drogą z Dziekanowic do Kończyc, to uciekając w popłochu przed zjawą długo jeszcze słyszał za plecami jej ponury, grobowy śmiech. W naszych okolicach jest kilka podobnych podań.

### Drugi cmentarz

W Europie przez wieki szalały zarazy, zwane morowym powietrzem, zbierając straszliwe żniwo ludzkich istnień. Wymierały całe miejscowości. Ponoć w sąsiedniej parafii luborzyckiej z 1670 mieszkańców epidemię z 1706 roku przeżyło 16 osób[4]. Trwoga przed tym nieszczęściem obecna jest jeszcze w kościelnej pieśni: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie…". W Raciborowicach przez cztery lata (1678-1682) z powodu grasującej w Krakowie zarazy rezydowała krakowska kapituła katedralna, której notabene Raciborowice przez wieki były własnością. Największymi odnotowanymi plagami w tutejszej parafii były: epidemia Heinego-Medina w 1806 r. (zmarło ok. 113 osób), cholery w 1831 r. (ok. 110 osób) oraz kokluszu i febry w 1798 r. (ok. 100 osób). Z akt wizytacji biskupiej dowiadujemy się, że w 1783 r. parafia ta miała 1860 mieszkańców (dziś natomiast liczy blisko 2500 dusz).

Należy podkreślić, że czasy dawniej były ciężkie, a widmo głodu wielkie, szczególnie w latach nieurodzaju. Przeciętna życia ludzkiego była dużo niższa niż dziś. Na skutek nierozwiniętej opieki medycznej i braku higieny bardzo wysoka była umieralność kobiet przy porodach oraz zgony niemowląt. Sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero w 2 połowie XIX w., kiedy m.in. upowszechniono hodowlę ziemniaków, systematycznie poprawiono jakość usług medycznych i zostały wynalezione szczepionki na choroby zakaźne.

Cmentarze parafialne poczęto wobec mnożących się zaraz przenosić na pewną odległość od świątyń. W zaborze austriackim, gdzie znalazły się Raciborowice, przeniesienia te dokonywały się na podstawie reformy cesarza Józefa II z 1792 r. Nowy cmentarz został jednak założony dopiero przez proboszcza ks. Wojciecha Chwastkiewicza w 1830 r. Już w rok później musiano go powiększyć, ponieważ na epidemię cholery wymarło w parafii ponad 100 osób. W samym czerwcu i lipcu owego roku śmierć zabrała 43 parafian. Ksiądz Chwastkiewicz jako pierwszy pleban został pochowany na nowym cmentarzu przy kaplicy cmentarnej po prawej stronie 4 kwietnia 1834 r. w wieku 65 lat.

Ksiądz Waligórski, któremu parafia zawdzięcza wiele przedsięwzięć renowacyjnych, poświęcił cmentarz na św. Marka w 1845 r., a w 1847 r. postawił na nim kaplicę cmentarną św. Jana Chrzciciela. Chciał też ogrodzić cmentarz, lecz sprzeciwił się temu dwór kapitulny. Istniejąca do dziś stara, drewniana kaplica posiada konstrukcję zrębową i dach w formie kopuły z latarnią. Wewnątrz stoi ołtarz późnobarokowy z obrazem przedstawiającym chrzest Chrystusa w Jordanie. Ten obraz wcześniej wisiał w kościele przy chrzcielnicy.

W 1845 r. parafianie w dowód wdzięczności za ratunek przed cholerą zbudowali ołtarz z obrazem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, który znajduje się z lewej strony nawy, przy wejściu na chór.

Cmentarz powiększono znów za ks. Andrzeja Przybysia, plebana w latach 1877-1893, bo i też parafia się rozrastała, przybywało wiernych. Szczególnie ludną wsią już od średniowiecza były Bieńczyce. Znane są niektóre nazwiska Bieńczycan: w 1391 r. młynarz Pech, w 1400 r. Święch zwany Ryczem i Stańczyk, syn Staszka, karczmarze. W 1470 r. występuje kmieć Mikołaj Król. Co ciekawe to nazwisko do dzisiaj występuje m.in. w Batowicach[5]. Na przełomie XVI i XVII wieku z Bieńczyc należeli do bractwa kościelnego: karczmarz Wawrzyniec Kosturek, Mikołaj Lichota, Bartłomiej Wielgus, Wojciech Biernat, Feliks Chechło, wójt wsi Walenty, wdowa Wrzeszczkowa, Kacper Wierzbięta, Jan Jach, Jan Wcisło, Joanna Wlazłowa, Marcin Dubiel i młynarz Jan Wójcik[6].

Cmentarz parafialny funkcjonował przez kolejne lata. Zaraz przy bramie cmentarnej stoi ceglana kostnica z początków XX wieku, w której także wykonywano zabiegi sekcji zwłok. Za probostwa ks. kan. Stanisława Migasa (1971-2004) w 1975 r. cmentarz został ogrodzony, wyasfaltowano aleje, a na początku lat 90-tych zbudowano nową kaplicę cmentarną. Estetykę i ład nekropolii pielęgnuje obecny proboszcz, ks. Wiesław Cholewa.

### Najciekawsze grobowce

Zwłoki parafian i okolicznych mieszkańców leżą w ziemi naokół kościoła, na nowym cmentarzu od strony Zastowa, ale także w kościele. O tych ostatnich świadczą wmurowane w ścianach pomniki nagrobne. W kościele chowano księży, szlachtę oraz znaczniejszych kmieci.

Można wymienić kamienne inskrypcje Jana Ogończyk Dubieckiego zmarłego w 1767 r., Katarzyny z Marcinkowskich Frankiewiczowej zmarłej w wieku 28 lat w 1881 r., która pozostawiła w boleści męża z trojgiem dzieci, płytę Anny z Lipia, żony niejakiego Linka, prawdopodobnie dzierżawcy Batowic w XVII wieku. Pod Męką Pańską na zewnętrznej, wschodniej ścianie świątyni jest tablica Franciszka Zbroi z Zastowa, doktora nauk medycznych, który jako kapitan Wojsk Polskich dostał się w 1939 r. do niewoli sowieckiej pod Lwowem i został zamordowany w Katyniu w 1940 r., mając dopiero 36 lat. Jeszcze kilka tablic ku czci pomordowanych w katyńskich lasach można odnaleźć na cmentarzu.

Nie istnieje już dziś śliczny pomnik Samuela Bielskiego, przedstawiający dziecko klęczące u stóp Ukrzyżowanego Jezusa, obok św. Jana i Matki Boskiej. Był to trzyletni chłopiec zmarły w 1591 r. Warto tutaj przytoczyć jakże ciepłe i bolesne zarazem epitafium napisane przez jego rodziców, Jana i Agnieszkę Bielskich z Olszowca w ziemi sieradzkiej:

*Tu leży Samuel Bielski w podziemnym namiocie,*
*Który jak śliczny kwiatek uszedł w młodem lecie.*
*Ledwie go srogie Parki na świat wypuściły*
*Widząc w nim coś wielkiego w półtrzecia lat wzięły.*
*Chcąc wpoić sobie w pamięć dziecinę cnotliwą*
*Ojciec osierociały z matką żałośliwą*
*Ku czci Bogu ten obraz z żalem postawili*
*By się tem czujniej Bogu za syna modlili.*
*Żyj z Bogiem wdzięczne dziecię a niewinność Twoją*
*Zostawiaj Panu żałość niewymowną moją!*

Pod tym zabytkiem wisiał inny obraz olejny malowany na drewnie, pochodzący z 1657 r., który przedstawiał klęczącą w bieli dziewczynę. Napis przy nim brzmiał:

*Anna z Brzezia Brzezińska w trzynastu miesięcy,*
*Rodzicom żal: iż z nimi nie pozila wiency.*
*Których miała pochowacz w grob samasz wiszla,*
*W niewinności anielskiej kształtnie z szwiata zeszla.*[7]

Przechodzień odnajdzie na cmentarzu wiele interesujących nagrobków i pomników żołnierzy, tutejszych księży czy dziedziców okolicznych włości. Naprzeciw nowej kaplicy jest zbiorowy grób polskich żołnierzy z sugestywną, potężną rzeźbą ukazującą ofiarnie złożone dłonie. Są tam prochy bądź tabliczki pro memoria m.in. pilota por. Zdzisława Dobrzańskiego, który zginął w 1940 r. nad Francją, pilota st. sierż. Władysława Sowy poległego w 1943 r. w walkach powietrznych nad Maltą czy por. Jan Sędzimira, oficera AK, który zginął w 1944 r. w lasach świętokrzyskich.

Imponują potężne mogiły rodziny Raźnych z raciborowickiego młyna czy Ptaków z Bieńczyc. W pierwszej z nich leży Józef Raźny, syn Józefa młynarza, zmarły w wieku 27 lat w 1906 r. jako filozof IV roku i oficer rezerwy 13 pułku piechoty. Na ścianie grobowca jest zdjęcie tej postaci, mocno już zniszczone. Mogiła Ptaków posiada w sobie ponoć miejsce na 35 trumien i ma kilka metrów głębokości[8]. Leży tam m.in. Franciszek Ptak, poseł na sejm w międzywojniu.

Dzięki ks. Antoniemu Siudzie, plebanowi w latach 1919-1927, znamy opis najstarszych grobowców na parafialnym cmentarzu. I choć część z nich pokonał już ząb czasu i możemy ich nie odnaleźć między nowymi mogiłami, to jednak warto je opisać, bo mówią o ludziach, którzy kiedyś tutaj żyli, a z ich lędźwi powstało wszak nasze pokolenie, a my własne życie sztafetą oddamy następcom. Bo tak oto przemijanie pokoleń przypomina wzburzony pióropusz na grzbiecie fali, która ruszona boskim tchnieniem u początków świata przemierza ocean czasu, ślizgając się po jego powierzchni. Ocean, w którego głębiach drzemią byty już przebrzmiałe i byty przyszłe, czekające na zrodzenie.

Niedaleko kaplicy cmentarnej, w kierunku południowo-zachodnim znajdowała się nagrobna, empirowa płyta Eustachego Belli z 1846 r. Bella był ekonomem w sąsiednim Zastowie i zginął w wieku 33 lat bohaterską śmiercią podczas powstania krakowskiego 21 lutego 1846 r. zasieczony przez austriackich żołnierzy. Stało się to w okolicach ul. Sławkowskiej w Krakowie. Wraz z nim zginął jego sługa i adiutant Antoni Cichy[9]. Bella był ostatnim potomkiem włoskiej rodziny handlarzy suknem mieszkającej w kamienicy przy rynku krakowskim. Przejmującą relację z ostatnich chwil życia zastowskiego bohatera opisują pamiętniki krakowskiej rodziny Louisów. Nie mogłem odnaleźć tejże mogiły, choć jakby na przekór pisało na niej według przedwojennego proboszcza: „wieczna łza w oku – niewygasła pamięć w sercu rodziny i ziomków, którym przodowałeś w walce o wolność przetrwa wszystkie pomniki".



Była także płyta zmarłej w 1859 r. Romualdy z Urlychów Majorowej i Ignacego Urlycha, grób Anieli z Żydusiaków Pietrzakowej z nieznaną datą śmierci, ale z uroczym epitafium. Od strony Prawdy znajdują się zatarte dziś znacznie mogiły prawdopodobnie synów dzierżawcy Dziekanowic: Jana, Stefana i Tadeusza Sawiczewskich, zmarłych w 1874 r. Zbieżność tych zgonów wydaje się być interesująca, gdyż byli to kilkuletni chłopcy. Na myśl przychodzi przeczucie o jakiejś rodzinnej tragedii…

Na południowej ścianie kaplicy cmentarnej była tabliczka zmarłej w 1840 r. Marii Ludwiki Rudowskiej. Do dziś zachował się po tej stronie kaplicy nagrobek Franciszka Mrozowskiego, zmarłego w 1876 r. oraz Józefa Mrozowskiego, byłego oficera Wojsk Polskich z korpusu gen. Dwernickiego z powstania listopadowego, który zmarł w 1887 r. Obok stoi zbiorowy pomnik rodziny Rudowskich, właścicieli Mistrzejowic, wystawiony w 1900 r. Nieopodal jest niedawno odnowiony przez uczniów tutejszej Szkoły Podstawowej im. Jana Długosza grób Władysława Habdank Miłkowskiego, rotmistrza z powstania roku 1863, zmarłego w 1890 r. w Bosutowie. Śladów powstania dopatrujemy się też w ledwie czytelnej inskrypcji na pomniku braci Franciszka i Piotra Wojciechowskich. Z nich ten drugi zakończył życie w styczniu 1863 r. w wieku 24 lat. Grób zrobili pogrążeni w smutku rodzice.

Wiele najstarszych grobowców już niedługo zgryzie ząb czasu, bowiem coraz to mniej czytelne są na nich napisy. To ostatnia szansa zatem by spisać miejsca pochówku i nazwiska zmarłych. Dla przykładu dzięki informacji wieloletniego tutejszego kościelnego i grabarza Antoniego Nawary odnalazłem grób dawnych dziedziców wsi Węgrzce. Znajduje się w nim sześć wykonanych z blachy trumien. Zachował się jedynie napis pod krzyżem o leżącym tu Stanisławie Zaleskim, techniku (1836-1874).

Na koniec umieszczę informację o mogiłach dwóch osiemnastolatek. Pierwsza z nich, Marianna Wiatrowna, zmarła w 1865 r., a pomnik wystawili jej Jakub i Katarzyna Kaszowscy. Druga nazywała się Salomea Zamojszczonka, pochodziła z Bieńczyc i zmarła w 1866 r. Przy tej informacji w rękopisie z Archiwum Parafialnego jest następujący dopisek uczyniony ręką ks. Siudy: „Słyszałem od brata tej „Zamojszczonki", że ją gróbarz wykopał i obdarł". Komentarz do słów tych pominę.

Wiele o przeszłości cmentarza mówią księgi zmarłych, które notują zgony od 1690 roku. Dziś nikt z nas nie pamięta, jak wyglądali i zwali się chłopi, przewracający w trudzie skiby ziemi cztery wieki temu. Że w austerii miał wyszynk niejaki Paulus, że przy Dłubni stały trzy młyny i browar, a zaraz na granicy Kończyc cieszyła oko plebana zarybiona sadzawka. Chłopi racibrowiccy zwali się Wilk, Król, Skoczek, Cichy, Głośny, Pardała, Nawara, Błach, Wójcik, Lata, Mazur, Prażmowski, Sapeta, Chudy, Miśtal, Wróbel, Domagała czy Nowak. Ileż z tych nazwisk wciąż trwa w naszej parafii! Krew tamtych ludzi płynie w krwi żyjących, a rysy twarzy ludzi z starych, przedwojennych fotografii odnajdujemy na obliczach żyjących parafian.

Zmienił się obraz wsi, realia polityczne i społeczne, a nie poddały się czasowi ani nazwiska, ani budynek świątyni. Dusze wszystkich pokoleń parafian jak zżęte kłosy zboża czekają w spichlerzu na przyjście Gospodarza.

Grobowce powstają i trwają, póki trwa pamięć żywych o tych, co odeszli. A kiedy i tych zabraknie, zapomniane mogiły znikają, stapiają się z ponurą, cmentarną ziemią i trawa je pochłania. Na starych grobowcach wyrastają nowe… Zgon zaciera zgon, śmierć dziadków zaciemnia się przez śmierć rodziców… i tak wąż śmierci zjada ogon swój własny, mój Boże.

Pamięć o minionych pokoleniach zachowują natomiast zgromadzone w Archiwum Parafialnym w Raciborowicach księgi metrykalne oraz zbiory archiwów, głównie kościelnych, w których są opisy wsi naszej parafii sprzed wieków.

***mgr Mateusz Wyżga***

Przypisy

[1] *(łac.) ciała zmarłych*

[2] *Na początku lat 70. został otwarty na Wawelu grób króla Kazimierza Jagiellończyka. „Wielu badaczy krypty miało poważne kłopoty ze zdrowiem, a wkrótce zaczęła się czarna seria. Od 1974 r. umierali kolejni uczestnicy otwarcia królewskiego grobowca. Naukowcy byli zdrowymi ludźmi w średnim wieku. Powodem zgonu mógł być grzyb Aspergillus. Zakażenie nim prowadzi do zawału serca i wylewu krwi do mózgu – taka była przyczyna zgonu większości badaczy". (źródło: internet, „Egiptomania w Polsce")*

[3] *Totkowicz S., Raciborowice, Kraków 1906.*

[4] *Domański R., Zarys dziejów ziemi luborzyckiej, Kraków 2002, s. 24.*

[5] *Bogusław Król z Batowic jest od 1998 r. wójtem gminy Zielonki, a Krzysztof Król od dekady jest sołtysem Batowic.*

[6] *Księga bractwa dziadowskiego z 1592 r., rękopis, archiwum parafialne w Raciborowicach.*

[7] *Łepkowski J., Przegląd zabytków z okolic Krakowa, Warszawa 1863, s. 59-60.*

[8] *Przekaz ustny*

[9] *Tu nadmienię, że jakiś nieznany z imienia Cichy z Zastowa pozował Janowi Matejce do jednego z historycznych obrazów. Taką informację znalazłem u O. Kolberga, „Krakowskie"*

## Zagadka plebańskiego wzgórza – dzieje miejscowości Prawda

### 1. Początki dziejów i okres staropolski

Najstarszych dziejów Prawdy należy doszukiwać się w dziejach sąsiednich, o wiele starszych wsi. Niewątpliwie opisywana miejscowość najmocniej związana jest z Raciborowicami, których przysiółkiem, kolonią czy folwarkiem zwano ją od dawien dawna. W przeszłości każda wieś była czyjąś własnością – szlachecką, kościelną lub królewską. Raciborowice znajdowały się w posiadaniu krakowskiej kapituły katedralnej od czasu, kiedy rycerz Racibor z Raciborowic przekazał kościołowi tę wieś, z której następnie kanonicy pobierali dochody. W średniowieczu słychać o bogatych gajach leżących na granicach Kończyc, Zdzięsławic i Pielgrzymowic. Były to w przybliżeniu tereny dzisiejszej Prawdy. Na granicy Książnic, nad starym wąwozem leżał gaj Gołubowiec. Pola między Raciborowicami i Kończycami znajdowały się przy porośniętym zaroślami wzgórzu zwanym Lipową Górą, obok zaś wznosiło się wzgórze Plebanka (dziś ten teren zwie się Plebankami). Dalej granica biegła w stronę przekopu koło pól zwanych Poświętne, przy starej drodze z Kończyc do Pielgrzymowic. Role te należały do plebana raciborowickiego. Granica kończyła się przy Bożej Męce (najprawdopodobniej chodzi tu o nieistniejącą już przydrożną kapliczkę lub krzyż) nieopodal rzeki Dłubni. Duża ilość nazw miejscowych o religijnym charakterze potwierdza, że Raciborowice były przez wieki wsią kościelną. Sam krakowski pamiętnikarz Kazimierz Girtler pisze w połowie XIX wieku, że „(…) lud też tu o wiele nad inne parafie moralniejszy, modli się ze skruchą, nie zbytkuje szalenie (…) odróżniając się czystością odzienia (…)"[1].

Blisko Dłubni szedł główny trakt, dziś rzec by można autostrada z Krakowa do Wielkopolski i Prus, trakt zwany Drogą Słomnicką. Wił się on przez Dziekanowice, Kończyce do Książnic i Zdzięsławic, a więc niedaleko Prawdy.

Początków Prawdy, mimo że jeszcze nie wymienionej z nazwy, śmiało możemy się dopatrywać już w 1464 r. W owym roku, 9 lutego, zapisano wiadomość, że kapituła postanowiła założyć nową wieś w lesie koło Raciborowic. Osadnikom miano przyznać wolniznę. Nie może być mowy o innej wsi, gdyż w średniowiecznych dokumentach kilkakrotnie był wzmiankowany las czy gaj między Raciborowicami, Zdzięsławicami, Pielgrzymowicami i Wiktorowicami. Wszystkie te wsie już istniały, kiedy kapituła postanawia założyć tam nową osadę. Najwcześniejszą jak dotąd wzmiankę z nazwą wsi odnalazłem w dokumencie z 1598 roku. Wówczas przybywa z Pisar do folwarku Prawda zbiegły z powodu ucisku pańszczyźnianego chłop Stanisław Wójcik, syn Jana. Potem Prawda wzmiankowana jest jako wieś, kolonia lub folwark kapitulnego dworu w Raciborowicach.

Czemu powstała Prawda? Z powodów praktycznych. Otóż pola raciborowickiego dworu ciągnęły się wydłużonym pasem w stronę Pielgrzymowic. Podwyższenie terenu i znaczna odległość powodowały zrozumiałe trudności transportowe i dlatego kapituła postanowiła założyć na szczycie Łysej Góry folwark, który nazwano Prawdą. Aby zabezpieczyć właściwe nawożenie pól trzymano w nim bydło. Folwark miał chwile wzlotu i upadku. Za plebana Hannibala Orgasa (1625-1629), księdza rodem z Rzymu, zwanego Orguszem, gospodarstwo księże na Prawdzie popadło w ruinę, budynki niszczały, a pola wyjałowiały, bowiem – jak przystało na człowieka baroku i muzyka – nie przykładał on wielkich starań do gospodarstwa, a nawet zadłużył je u szlachty arendującej we dworze raciborowickim. Kapituła kilkakroć osadzała na Prawdzie nowych mieszkańców. Byli to głównie zagrodnicy, którzy za otrzymaną ziemię byli obowiązani pracować szereg dni w tygodniu na folwarku, opiekować się trzodą i rolą, a także pilnować nocną stróżą dobytku. Jeszcze mój pradziadek Paweł Szczupak służył we dworze za polowego i chodził ze strzelbą jako stróż. Przeglądając stare metryki kościelne wychodzą zeń najstarsze nazwiska Prawdziczan: Aneta Nowakowna (1605), Krzysztof Cichy, nieznany z imienia Głośny, Marcin Szewc (1742), Ignacy Mazur, Marta Rożkowna, Krzysztof Cichy (1760). W 1834 r. gospodarują na Prawdzie rodziny Cypriana Cichego, Józefa Kuśnierza, Mikołaja Kasznika, Macieja Pardały, Wincentego Wiatra, Andrzeja Mazura, Franciszka Pęcaka, Jana Domagały i Pawła Cheriana zwanego Machnikiem. Wówczas chłopi posiadali tam 70 mórg pól, które nazywano: pod zastowskim kopcem, na pielgrzymowskim stoku, nad potokiem, na Plebankach, w jezierku i na klinie.

Między Raciborowicami i Prawdą stała przy drodze nad dołami karczma, zwana „Do Prawdy", w której w 1793 r. miał wyszynk Franciszek Wiatr. W 1787 r. mieszkało we wsi 38 osób. W 1791 stało tam 6 chłopskich chałup i budynki folwarczne, a mieszkańców było już 34 (15 mężczyzn i 19 kobiet).

W końcu XVIII wieku pola Plebanki ciągnęły się drogą zwaną gościńcem więcławskim ku folwarkowi Prawda, dochodząc aż do krzyża, przy drodze nad wąwozami zwanymi dołami. Droga była błotnista, a przejazd do folwarku trudny. Na Plebankach wysiewano na zimę 20 korców żyta i pszenicy, a na wiosnę 17 korców owsa, jęczmienia i prosa.

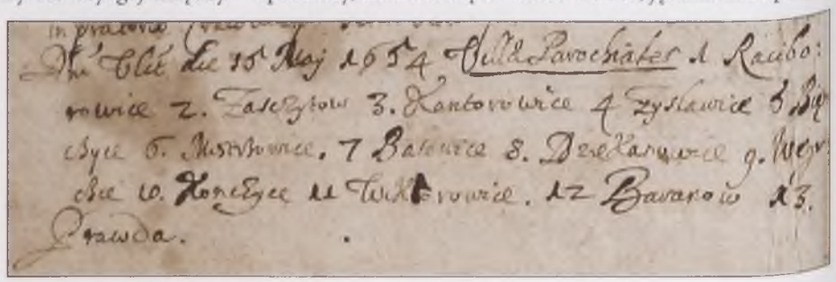

*Fragment rękopisu z XVII wieku z wymienionymi wsiami parafii raciborowickiej, wśród nich Prawda. Archiwum parafialne w Raciborowicach, rękopis Miscellanea scripta.*



### 2. Pod zaborami

Od końca XVIII wieku aż do 1918, czyli na ponad 100 lat Prawda stała się wsią na granicy zaboru rosyjskiego i austriackiego. Mieszkańcy jej mogli patrzeć na lasy pielgrzymowickie jako na inne państwo pod kuratelą carskiej Rosji. Widzieli też budynek straży granicznej, o którym mówili „Post". Ciekawe, czy łatwo było im pogodzić się z myślą, że dobrze znane tereny sąsiedniej parafii więcławskiej, gdzie przecież posiadali rodziny i znajomych, stanowiły już teren innego państwa, w którym używano innego języka, innej wagi czy waluty? Dziś po pielgrzymowskich lasach i „poście" pozostały jedynie nazwy pól.

Okazję do wzbogacenia stanowił dla Prawdzian przemyt międzygraniczny, dzięki któremu część z nich stała się zamożna, a komory i piwnice były pełne wszelkiego rodzaju dobra. Pewnego razu przemytnicy zażartowali sobie ze strażnika rosyjskiego: proponując mu łapówkę, nagle związali i wrzucili biedaka do Dłubni, strzelili w powietrze z jego broni i uciekli. Zwabiony patrol carski wyłowił go z rzeki.

W XIX wieku Prawda niewiele się rozrosła, bowiem do 1880 r. przybyły w niej tylko dwie chałupy – w sumie było osiem, natomiast mieszkańców czterdziestu jeden.



*Rok 1936 – 1938. Dożynki na Prawdzie[2]. Od lewej: Katarzyna Ciepiela, Stanisław Szczupak, Maria Klimas, Piotr Szczupak. Istniała tradycja, że dziewczęta wieszały okrągły wieniec – koronę z kwiatów na klamce u drzwi domu, gdzie mieszkał podobający się im kawaler. To miało oznaczać propozycję ożenku. Czyniły to w jego imieniny. Osobą, która organizowała dziewczyny do różnych tradycyjnych zabaw była Bronisława Szczupak.*

### 3. Międzywojnie i okupacja

Drogi, w całości ziemne, sprawiały duże trudności zarówno dla ruchu kołowego i pieszego, do tego znaczne oddalenie od Raciborowic i wynikłe z tego odosobnienie sprawiło, że wieś zyskała miano lokalnego Zakopanego. Mieszkańcy mieli tam spokój i ciszę, lecz nie było odpowiedniego dojazdu do miasta, młyna czy przywozu węgla.

Znamy z ustnych przekazów układ domów leżących w tej osadzie[3]. Było ich przed 1939 rokiem osiemnaście. Kolejno od strony Raciborowic mieszkali: Wojciech Koziński, Antoni Klimas, Stefan Ciepiela, Wojciech Wiatr, Jakub Koziński, Franciszek Wójcik, Franciszek Wiatr, Jan Ciepiela, Stanisław Luty, Józef Witek, Wojciech Witek, Warmiński, Józef Pardała, Jan Kasznik, Paweł Szczupak, Piotr Rokita, Kacper Szczupak, Józef Raj i Wawrzyniec Stawowski. We wsi znajdowały się tzw. Stopalnioki czyli błonia, gdzie pasano trzodę, dalej psia górka, nieużytki i mokradła. Chłopi rozkupili pomiędzy siebie te tereny. Mieli też ziemię na stoku Łysej Góry, zaś reszta należała do plebańskiego dworu. Trzeba wspomnieć, że jako pastwisko służył także i po wyzwoleniu stary pas graniczny między zaborami.

Mieszkańcy utrzymywali się z rolnictwa. Kobiety na plecach zanosiły na handel do miasta to, co urodziła im ojczysta ziemia. Na święto ubierały się w chusty zwane tybetkami, a mężczyźni odziewali się w sukmany i buty z cholewami. Dzieci chodziły do szkoły w Raciborowicach, co było trudne przy roztopach czy wysokim śniegu. Przed wojną na Prawdzie panowała jak i wokół bieda, kręcili się często złodzieje, którzy nie gardzili ani kurami ani poduszkami.

Kilku mężczyzn z Prawdy walczyło podczas II Wojny Światowej: Maciej Wójcik, Andrzej Raj, Franciszek Wiatr, Tomasz Grela, Feliks Rokita, Franciszek Witek (wrócili z wojny), a Władysław Ciepiela poległ. W 1945 r., kiedy Niemcy zostali wyparci z okolic Krakowa, z Prawdy został zwerbowany jeszcze Stanisław Szczupak, mój dziadek i szedł z frontem do samego Berlina, gdzie zastał go koniec wojny.

W połowie góry przy drodze z Raciborowic do Prawdy, przy wąwozach, było rzekomo nawiedzone miejsce. Rosły tam stare akacje. Opowiadano, że poświęcono nawet tam ziemię, a na drzewie został powieszony obrazek Matki Boskiej, bo inaczej przejść spokojnie nie było można. Cytuję ustną relację: „Tam straszyło, słychać było odgłosy głupie… Przeraża mnie, jak sobie wspomnę, w ogóle nie chcę o tym mówić, w nocy mi się majaczy, to duchy gdzieś na pokucie… Księżyc nagle wielki się robił, pies ogromny z czerwono świecącymi oczami, jęzorem na wierzchu i łańcuchami na szyi wył, człapał i ziajał".

Na koniec tego rozdziału można postawić pytanie: skąd wzięła się tak oryginalna nazwa wsi? Badacz nazw miejscowych Kazimierz Rymut dopatruje się tutaj znaczenia żartobliwego, ironicznego. A może wieś ta była prawdą o ubóstwie prostego człowieka minionych wieków?

### 4. Czas wstrzymany na pewnym zdjęciu

Około 1935 roku na Prawdzie odbyło się wesele Józefa Kaczorowskiego z Agnieszką Sikorą, Prawdziczanką. Na tę okoliczność została zaproszona większość społeczności Prawdy i pod kościołem parafialnym w Raciborowicach zrobiono pamiątkowe zdjęcie. Dzięki żyjącym osobom, które pamiętały to wydarzenie, udało się wyrwać z anonimowej masy większość postaci, dzięki czemu zdjęcie może ożyć w naszych oczach. Bohaterowie fotografii zostaną poniżej



*W pierwszym szeregu, kolejno od lewej:*
*1. Franciszka Ciepiela (ur. 1920), żoneniona z Franciszkiem Poznańskim (Pazdańskim) z Kończyc. Mieszkali na Prawdzie.*
*2.Maria Szczupak z domu Pardała (ur. 27.07. 1890, zm. 22.07.1957), córka Józefa i Marii Szewczyk z Zesławic, żona Pawła, mego pradziada, urodzona na Prawdzie, dobra matka, wychowała 8 dzieci: Franciszkę, Marię, Piotra, Zofię, Bronisławę, Stanisława, Jana, Józefa i Jadwigę (zmarłą w wczesnym dzieciństwie).*
*3.Paweł Szczupak – (ur. 07.02.1888 r. w Kantorowicach, zmarł 09.07.1959), ożeniwszy się na Prawdzie z Marią Pardała 09.07.1913 r. wykupił z zadłużenia 6 mórg „Pardałówki". Wziął go do pracy dzierżawca majątku w Raciborowicach Józef Skowron jako polowego. Dostał strzelbę i pilnował na Prawdzie 300 morgów dworskiego pola przed złodziejami. Dzięki niej mógł też upolować zające, a dzieci miał w domu ośmioro, zatem żołądków do nasycenia dosyć. Paweł Szczupak służył w wojsku austriackim jako brygadzista przy budowie fortów Twierdzy Kraków w Batowicach i Węgrzcach, umiał „szprechać" po niemiecku, z czego zostało mu powiedzenie: „hab keine alle Liebe frei". Prowadził handel z przemytnikami z zaboru rosyjskiego. Pamiątką po tym zostały mu wojskowe mundury i broń.*
*4.Agnieszka Sikora, córka Tomasza Sikory. Rodzinny dom Sikorów stał na Prawdzie, w miejscu gdzie dziś jest działka Nosalów. Na zdjęciu jej ślub z Józefem Kaczorowskim. Po ślubie poszła do miasta. Tomasz Sikora miał też dzieci: Antoniego, Wiktorię (zwana Wiktą), Kunegundę, Jadwigę (żona Pawła Witka) i Katarzynę.*
*5.Józef Kaczorowski*
*6.Katarzyna Sikora, córka Tomasza, najmłodsza z sióstr, tu jako druhna. Wyszła za Kulę z Węgrzc, tam też żyła do śmierci.*
*7.Andrzej Rokita, tu drużba, ojciec Stanisława z Zastowa. Urodzony i zmarły na Prawdzie. Zmarł w lecie 1954 r. Jego brata, Feliksa żołnierze AK zastrzelili na drodze zwanej Solorką (droga polna z Zastowa do dworskich pól w Raciborowicach). Leżał 200 metrów od drogi. Po południu ludzie załadowali go na sanie (było to w wigilię) i zawieźli do domu. W grupie żołnierzy były osoby m.in. z Raciborowic i Mogiły.*
*W drugim szeregu, od lewej:*
*8.Stanisław Nawara z Raciborowic, kościelny i grabarz, ojciec kościelnego Antoniego Nawary. Nie widział na jedno oko. Miał ponoć pseudonim „Psiantel Trompetek". Przed nim przez długi czas jako kościelny służył Wojciech Koziński z Prawdy, który sprawił sobie gumowe buty, by cicho stąpać po kościele w czasie nabożeństwa.*
*9.Kunegunda Sikora, córka Tomasza. Wyszła za Nosala z Węgrzc, mieszkali na Prawdzie. Nosal był wdowcem po Jadwidze Pardale z Sikorów, siostrze Kunegundy, wdowie po Mateuszu Pardale. Kunegunda urodziła 3 synów: Stanisława, Józefa i Gienka. Paweł Szczupak przymawiał Tomaszowi Sikorze: „nadajecie Tomasie na zięcia Nosala, a już drugą córkę mu dajecie". Paweł postrzegał Tomasza trochę jak służącego i przedpotopowego, gdyż zaprzęgał do prac polowych krowy. Kiedy po Tomaszu gospodarkę objął Piotr Nosal to rozwinął ją, miał 2 konie, sanie, bryczkę, zakupił pola na pielgrzymowickim zboczu.*
*10.(nieco z tyłu, w chusteczce) Cicha z Prawdy. Wyszła za Jana Ciepielę. Był on rostrucharzem, handlował końmi. Mieszkali na Prawdzie, mieli 3 synów i 2 córki.*
*11.Siostra Tomasza Sikory, żona Bosackiego. Mieszkała w Krakowie na ul. Basztowej, urodzona w Mydlnikach. Osoba na zdjęciu za nią z dzieckiem nie rozpoznana, możliwe że żona Antoniego Sikory, stojącego za nią po lewej.*
*12.Bosacki z Krakowa.*
*13.(nieco w tyle za Bosackim, w chusteczce) Jadwiga Luty, wyszła za Wawrzyńca Bąka z Dziekanowic, gdzie mieszkali. Nazwisko Bąk sięga na terenie tej parafii średniowiecza i występuje do dzisiaj.*
*14.Jadwiga Sikora, wyszła za Wojciecha Witka z Prawdy.*
*15.Agnieszka Witek - zmarła jako panna. Byłą córką Józefa z Prawdy. Zmarł ów Józef jako w sowim czasie najstarszy mieszkaniec na Prawdzie. Agnieszka mieszkała z siostrą Marią przy drodze do Zastowa (dziś mieszka tam Szlachta). Obie były starymi pannami. Dom wybudował im brat Franciszek Witek. Był saperem jako żołnierz w wojnie obronnej w 1939 r. Wówczas nauczył się fachu budowlanego, w czym był biegły. Po wojnie stawiał domy. Jego żoną była Maria Szczupak z Prawdy. Kiedy budowali sobie dom, to po ciężkim dniu pracy Maria dawała mężowi i pomocnikowi (Stanisławowi Szczupakowi – kowalowi, memu dziadkowi) sutą kolację i po kwaterce miętówki.*
*16.Wojciech Witek z Prawdy. Obok niego mieszkał jego starszy brat Józef. Tą połać ziemi zwano „witkówką" (nad ziemią Nosala). Dzieci Wojciecha: Jan, Feliks, Franciszek, Piotr, Wojciech i Katarzyna. Żona Wojciecha chodziła z kądzielą (by nie rzec brzydko, że na plotki) do mej prababki Marii Szczupakowej.*
*17.Józefa Raj z Prawdy, żona Leńczuka. (na zdjęciu nieco wyżej w praw od Wojciecha Witka, z białą gwiazdą na piersi) Miała braci: Andrzeja (ponim synowie: Edward – tenorzysta z orkiestry dętej Hejnał z Więcławic oraz Wiesław) i Stefana ( po nim synowie: ks. Julian Raj, Józef, Ryszar, Marian). Mąż Józefy Raj, Andrzej Leńczuk przybył do parafii jako furman u proboszcza Jamroza. Znał się na masarstwie.*
*18.Franciszka Szczupak, ur. 1914, córka Pawła. Wyszła w 1935 r. za Szczepana Cichego z Zastowa (razem na zdjęciu z odpustu w Mogile powyżej), dobrego szewca. Jako prezent ślubny dostali komodę wykonaną przez stolarza z Zastowa, Józefa Cichego, brata Szczepana. Młodzi mieszkali przy drodze z Raciborowic do Zastowa, dziś jest tam posesja Baranów. Cichy w 1939 r. poszedł na wojnę, z której wrócił ciężko chory. W tym czasie Franciszce zmarł 2-letni syn Stefan. Cichy zapadał na zdrowiu coraz bardziej, mówił coraz ciszej i w końcu zmarł na gruźlicę gardła. Potem Franciszka wyszła za Edwarda Kołatkę z Książnic i zamieszkała u niego. Kiedy była w ciąży, poroniła przy podnoszeniu podczas kopań worka z ziemniakami i zmarła.*
*19.Maria Szczupak, córka Pawła, ur. 1916. Do niej chodził przez 8 lat pewien Król z Batowic, ale nic nie wychodził. Maria wyszła za wdowca Jana Zięciaka z Kantorowic. Miała z nim 4 dzieci – Jana, Janinę, Marię i Barbarę.*
*20.Tomasz Sikora – zapoczątkował ród Sikorów na Prawdzie. Wcześniej przyszedł z Mydlnik lub Balic na Prawdę do czworaków, gdzie pracował jako stróż. Był dobrym rymarzem, kręcił skóry z byków na chomąta, lejce i liny. Wołał na krowy „hot, hot, hot!", po staropolsku jeździł orać dwoma krowami. Jego krowy nazywały się Gwiazda i Czerwona. Najstarsze znane, dziś nie istniejące budynki na Prawdzie to czworaki i stajnie dworskie. Chowano tam źrebięta i młode krowy dworskie. Mój dziadek pamięta ruiny zabudowań dworskich, przed wojną wybierał stamtąd cegły na dom dla swej siostry Franciszki. Ruiny znajdowały się do góry za Nosalem, bardziej w stronę Rokity, na lewo. Rosły tam stare akacje. Tomasz zmarł przed wojną. Miał dzieci: Antoniego, Wiktorię, Kunegundę, Agnieszkę, Katarzynę.*
*W trzecim szeregu, od lewej:*
*21.Franciszek Szczupak, ur. 1914 r. (stoi na brzegu lewego słupa ogrodzenia)*
*22.Wiktoria Sikora, siostra Kunegundy, żona Wojciecha Witka*
*23.Obcy, gość weselny*
*24.Nierozpoznana kobieta*
*25.Antoni Sikora, syn Tomasza, ożeniony z Katarzyną Witek, córką Wojciecha. Uważany na Prawdzie za porządnego człowieka, bogaty, dobry handlowiec. Miał pseudonim „psiakrew jucha", gdyż często takiego przerywnika używał. Był niskiego wzrostu. Zatrudniał kilku ludzi do obierania owoców w sadach w Sieborowicach, Zagórzycach i Łuczycach. Miał skład owoców na Prawdzie. Woził Żydom do sklepów w Krakowie owoce i warzywa i miał na tym dobry interes. Antoni Sikora miał dzieci: Stanisława, Stefana, Czesława, Piotra, Antoniego i Janinę. Jest podanie o Antonim takie: w pewną zimową noc zakołatał do domu Pawła Szczupaka i wołał: kumotrze, kumotrze! (Paweł trzymał jedno z jego dzieci do chrztu), chodź szybko, bo chałupa cała mi trzeszczy, nie wiem, co robić! Mieszkał wówczas w starej, podpartej drągami chałupie ze strzechą, na którą nawaliło dużo śniegu. W domu była żona i malutkie dzieci. Paweł zawołał na synów: zbudźta się chłopy, bierzcie drabiny! – zrzucili nadmiar śniegu zażegnując niebezpieczeństwo.*
*26.Regina Rokita z domu Nawara z Batowic*
*27.(nad Reginą Rokitą) Nierozpoznany mężczyzna.*
*28.Piotr Rokita (na zdjęciu wysoki, pod wąsem) mąż Reginy. Jego ojciec pytał Reginy: Rejna, nie chciałabyś mojego Petra?*
*29.(w prawo skosem w dół od Piotra Rokity) Maria Witek, zmarła za panny.*
*30.(w prawy skos od Marii Witek, w chusteczce, nieco przysłonięta) Jadwiga Szczupak z Kantorowic, siostra Pawła (który jest na zdjęciu na pierwszym planie – wyraźne podobieństwo na twarzach rodzeństwa). Jadwiga wyszła za Stanisława Lutego. Mieli dzieci: Jadwigę, Jana (listonosz, zmarł w Krzesławicach), Wojciecha, Józefa (zmarł jako kawaler na gruźlicę), Andrzeja, Marię, Salomeę (zwaną Solką).*
*31.(za Jadwigą Szczupak skosem w dół, w czarnej chuście) Salomea Luty, córka Jadwigi. Wyszła za Andrzeja Raja z Prawdy.*
*Szereg zaczynający się pod prawym słupem bramy i idący od prawej do góry, do ostatniego szeregu:*
*32. (nad Tomaszem Sikorą, ubrany w sukmanę) brat Tomasza Sikory, przybył na wesele z Mydlnik lub Balic.*
*33.Żona wyżej wymienionego.*
*34.Wojciech Luty (na zdjęciu z zakrytą częściowo twarzą). Z jego życiem łączy się smutna historia. Na miejscu, gdzie dziś znajduje się dom Jana Sikory, dawniej mieszkali Kasznikowie: mieszkał stary kawaler Jan Kasznik, jego brat Tomasz, też kawaler, zmarły wcześniej na czerwonkę i jego dwie siostry Katarzyna i Maria, stare panny. Pewnego razu Kasznik jechał przez pole Lutego wozem z owsem. Luty zastąpił mu drogę i woła: „nie pozwolę ci przejechać!" Kasznik siedział na furze, a przy nim był Piotr Nosal. Luty zaś miał za świadka Pawła Szczupaka, pradziada mego. Wziął Luty nóż, Kasznik zaś będąc pod wpływem alkoholu chciał go widłami postraszyć. W pewnej chwili Luty błyskawicznie podskoczył i dziabnął go nożem w ramię. Kasznik się rozjuszył i pognał za Lutym. Na skarpie wiktorowskiej doszło do szamotaniny i Luty przebił Kasznikowi brzuch, aż się trzewia pokazały. Wtedy Nosal zawołał przerażony: „Wojtek, aleś trafił..." Wracali razem z pól. Kasznik wciąż powtarzał: „Wojtek, aleś wpadł, aleś się dostał." A Luty na to: „A g... żem się dostał!" Kasznik doszedł do swej stodoły, położył się pod nią i zanim lekarz z ośrodka zdrowia w Batowicach dojechał, wykrwawił się na śmierć. Jako że było to podczas II wojny światowej, Luty został aresztowany przez granatową policję, następnie zginął w Oświęcimiu. Zdołał przysłać do domu tylko jeden list. Jako ostatnia z rodu Kaszników zmarła Katarzyna Kasznik. Opiekowała się nią Katarzyna Wiatr, żona Wojciecha. Natomiast Wiatrowa miała synową Janinę po synu Józefie, wdowę. Janina wyszła za Czesława Sikorę, syna Antoniego i wnuka Tomasza.*
*35.(w lewo nad Lutym, przy krawędzi słupa, stojący na baczność, w białej koszuli) Wawrzyniec Stawowski, ojciec Jana. Jego żona to Wiktoria (Wichta) Gurbiel z Raciborowic. Jego pseudonim brzmiał „hej sakra", po kolędzie odgrywał Turka.*
*36.Obcy.*
*37.(w lewo do góry, w chusteczce, nad dziewczyną z białą gwiazdą) Wiktoria Stawowska, żona Wawrzyńca.*
*38.(za Stawowską, pół twarzy zasłonięte) Helena Franczak, córka Jadwigi z Pielgrzymowic, służąca u Piotra Rokity.*



*Rok 1936-1938. Dożynki na Prawdzie. Od prawej: Zofia Szczupak z Batowic, dziecko, Katarzyna Klimas, Stanisław Szczupak (z harmonią), Bronisława Szczupak, Franciszek Pardała, Piotr Szczupak, Antoni Sikora (powozi), Jan Szczupak.*

opisani w przyjętym przez autora porządku. Zdjęcie to wraz z opisem jest niesłychanie cennym źródłem do poznania dziejów lokalnej społeczności w okresie międzywojnia. Zważywszy na mogący zaistnieć subiektywizm relacji ustnych zastosuję zasadę de mortuis aut bene, aut nihil i przemilczę ciemniejsze światłocienie uwiecznionych ludzi.

**5. Ku samodzielnemu bytowi**

Po II wojnie światowej Prawda skazana była na samodzielność. W okolicznych wsiach widać było postęp – elektryfikacja, telefonizacja, gazyfikacja, budowa dróg, zaś Prawda była zapomnianym zaściankiem. Mieszkańcy chcieli nadążać za postępem i postanowili upomnieć się o swoje. Organizowali po domach zebrania wiejskie. Lokalizacja tej miejscowości na uboczu pozwoliła jej mieszkańcom na większe zżycie się z sobą i organizację. Wypracowywano na zebraniach działania ku polepszeniu bytu, wysyłano delegacje w sprawach rozwoju infrastruktury, powoływali komitety budowy wodociągu czy gazociągu. Delegacje Prawdy wchodziły też w skład ogólnogminnych komitetów (np. Gminny Komitet Budowy Wodociągów Wschód). Ponieważ Raciborowice jako macierzysta wieś nie utożsamiały się w pełni z problemami swego przysiółka, jego społeczność postanowiła przypomnieć, że istnieje. Był to początek lat 80-tych XX wieku. Na jednym z zebrań wyborczych sołtysa Raciborowic Prawdziczanie obecni w ilości ok. 90% mieszkańców uprawnionych do głosowania wybrali sołtysem Henryka Dziwisza, swego obywatela. Okazało się, że wybór nie jest ważny, gdyż obsługujący zebranie urzędnicy gminni popełnili błąd formalny. Jednak Prawdziczanie nie dali za wygraną i w końcu naczelnik gminy Michałowice zgodził się na wybór podsołtysa Prawdy.



*Rok 1938. Prawdziczanie na odpuście w Mogile. Od lewej: Paweł Szczupak, Franciszka Cicha z d. Szczupak, córka Pawła, Szczepan Cichy, Katarzyna Sikora, żona Antoniego. Tutejsi mieszkańcy otaczali Mogilę specjalnym kultem. Zakurzone buty to znak pieszego pokonania odcinka kilkunastu kilometrów między Prawdą i opactwem cysterskim. Odpust mogilski był okazją do modlitwy przed cudownym Jezusem Ukrzyżowanym, możliwością nabycia okolicznościowych kukiełek i cudaków dla dzieci i panien, a także spotkania znajomych z szerszej okolicy. By zdążyć na sumę Prawdziczanie musieli wyruszyć jeszcze przed świtem. Podobnie wyruszali z artykułami spożywczymi na handel do Krakowa. Kobiety na plecach dźwigały bańki z mlekiem, jaja i warzywa, które na placu kleparskim kupowali mieszczanie.*



Została nim Zofia Dziwisz. Wówczas sołtysem Raciborowic został Stanisław Sikora. Odtąd znów Prawda miała swego przedstawiciela na forum gminy. Kolejnym podsołtysem została Maria Kozińska. Sołectwo Prawda zostało utworzone uchwałą Rady Gminy Michałowice na początku lat 90-tych. Nie posiada ono jednak odrębności terytorialnej w skutek niemożności wytyczenia granicy z Raciborowicami. Sukcesem dla Prawdy było także to, że jej mieszkaniec, Jan Sikora, został przewodniczącym rady gminy Michałowice. Przed nim nikt nie objął tak wysokiego stanowiska w strukturach państwowych. Jan Sikora był sołtysem do 1998 roku, kiedy urząd ten objęła jego żona, Teresa.

Prześledziliśmy zarys dziejów najmniejszej wsi w gminie Michałowice. Zostali ukazani dawni mieszkańcy, więź historyczna Prawdy i Raciborowic, kultura i obyczajowość podkrakowskich chłopów. Okazuje się, że także i małe, leżące na uboczu osady posiadają ciekawe dzieje. Prawda jest atrakcyjna również ze względu na swoje położenie na wzgórzu dominującym nad Krakowem. Walory widokowe są przecudne, zarówno w świetle dnia, wśród szemrzących traw i drzew, jak i w nocy, kiedy rozświetlone zniczami świateł miasto u stóp Prawdy leży jak Goliat u stóp Dawida.

***mgr Mateusz Wyżga***

[1] *Girtler K., Opowiadania, t. 1 (1803-1831), t. 2 (1832– 1857), oprac. Z. Jabłoński, J. Staszek.*

[2] *Okoliczni mieszkańcy mówią „na Prawdzie" a nie „w Prawdzie", pozostałem więc przy oryginalnej wymowie.*

[3] *Rzecz jasna – do przekazów ustnych odnosić się należy z pewnym dystansem*

## Od powietrza, głodu, ognia i wojny…

Klęski elementarne w podkrakowskiej okolicy w nowożytnej Polsce.

Przez wieki nasi przodkowie byli nękani klęskami elementarnymi, których widmo ukazuje stara pieśń kościelna, pełna strachu i boleści, a jest to zawarte nie tylko w jej słowach, ale też w przejmującej, żałobnej melodii. Swoje czarne żniwo zbierało powietrze, czyli wszelakie zarazy, a także głód, pożary i wojny, te ostatnie przetaczając się krwawo przez Polskę od połowy XVII wieku.

W kościele więcławickim jest obraz św. Stanisława Kostki z napisem, że w 1678 r. ochronił od moru całą parafię[1]. Obraz ten był tam już w 1630 r. Czy zdajemy dziś sobie sprawę, jak wielką radość i ulgę musieli czuć nasi dziadowie, że ominęła ich tragedia? Także sąsiednia parafia w Raciborowicach ocaliła się, skoro od roku 1678 przez 4 kolejne rezydowała w niej krakowska kapituła katedralna z powodu szalejącej w mieście zarazy.

Zanim przejdziemy do omówienia epidemii, zarysujemy inne klęski elementarne. Groźna i niesprzyjająca bywała matka natura. Spustoszenia czyniły pożary, wywołane wskutek pioruna lub podpalenia. Szanse na ocalenie i ugaszenie płonących zabudowań, zwłaszcza w czasie suszy były nikłe. Sam kościół w Więcławicach spłonął, skoro konsekrowano go kolejny raz w 1757 r.

Podkrakowscy mieszkańcy cierpieli też z powodu wylewającej Wisły i jej dopływów jak Dłubnia, która rwała mosty, tak że wciąż trzeba było je poprawiać, a występujące z brzegów wody topiły zboża na polach i jarzyny w ogrodach. Taka powódź nawiedziła nasze tereny w 1656 r., kiedy Kraków okupowali Szwedzi. Nie dość było tego, to jeszcze najeźdźca srodze łupił biednych oraz zagłodzonych ludzi z pieniędzy i prowiantu.

Klęski głodu miały przerażające następstwa. Jedna z nich, wywołana tym, że myszy ogromnie się rozpleniły i wyjadły zboża w polach akurat na dzień przed żniwami spowodowała taki głód, że ludzie powyjadali koty, psy, padliny, „na ostatek rżnęli ludzi i ciała ludzkie jedli i umarłym trupom ludzkim wyleżeć się w grobie nie dali" [2]. Tak to wokół Krakowa w 1695 r. niesłychane tłumy myszy pościnały dojrzałe kłosy zboża.

Głód sprowadzały też wojny. Ciągłe przemarsze wojsk wrogich jak i własnych wyczerpywały ludność chłopską. Nieustanne grabieże, kontrybucje, hiberny (czyli zimowanie żołnierzy w chłopskich chatach) były dla ludności nie do wytrzymania. Tym bardziej, że wszelkie glejty i kwity, mające rzekomo świadczyć, że pieniądze za grabież zostaną oddane, były mrzonką. W taki sposób przebywające w Raciborowicach i okolicznych wsiach przez kilka tygodni w 1487 r. wojska zaciężne do tego stopnia złupiły mieszkańców, że ci błagali kapitułę krakowską, by umorzyła im płacenie podatku[3]. Jedna z najdotkliwszych w skutkach wojen była ta z lat 1655-1657, zwana „potopem szwedzkim", po której rzesze chłopów utraciły swój dobytek w naturze i zasoby pieniężne.

Po wojnach i głodzie zwykle pojawiały się zarazy, zwane morowym powietrzem (łac. mors – śmierć). Po „potopie" Kraków nawiedziło morowe powietrze w 1662 i 1677 r. Warto przytoczyć pieśń ułożoną w połowie XVII w. przez ks. Przetockiego, która zobrazuje nam panującą w owych dniach trwogę:

Pieśń i modlitwa do Mikołaja świętego podczas morowego powietrza

*…Źle o nas wszystkich! Dusz naszych wodzowie*
*Zapowietrzeni już mrą kapłanowie:*
*Nie słychać dzwonów, zawarte kościoły,*
*Pustkami szkoły.*
*W miastach na koło, już niemasz zdrowego*
*Człeka, co zarwał jadu morowego*
*Tylko twój kościół mija zła choroba*
*Śmierć y żałoba…*
*…Ciała po polu leżą, a żadnego*
*grabarza nie masz, coby psa głodnego*
*Odegnał od nich, albo schował w grobie*
*O nocney dobie.*
*Jeszcze w twey wiosce nikt się nie morduje*
*Straszną morówką, o mile choruje*
*Chociasz co żywo, choć gęsty trup leci*
*Na nasze śmieci.*[4]

Niestety przy stanie ówczesnej medycyny wszelkie środki poza ucieczką z zarażonej strefy zawodziły. Gasło życie publiczne, a wśród chorych zostawali tylko księża niosący ostatnią posługę, burmistrzowie „powietrzni" i grabarze. Ci ostatni dokonywali przerażających czynów. W 1652 r. w Krakowie panował mór i jak wspomina świadek tych zdarzeń: „Do rozszerzenia zarazy przyczyniali się grabarze, którzy mózgiem zarażonego trupa namazywali bramy i drzwi bogaczy, aby po śmierci ich mogli zabrać im bogactwa i pieniądze" [5].

Z powodu wyniszczenia kraju w czasie drugiego najazdu Szwedów w latach 1702-1709 znów wybuchła epidemia w 1707 i trwała do końca następnego roku, pochłaniając 20 000 ofiar. Na cmentarzu salwatorskim czterech grabarzy dzień i noc zakopywało zmarłych. „Zapowietrzeni" Krakowianie byli chowani wyłącznie poza miastem i to w nocy. Z Krakowa wyrzucano wówczas Żydów, prostytutki, żebraków i włóczęgów. Na czas zarazy walki ustawały. Po tych wypadkach z początku XVIII wieku Kraków z dumnej stolicy stał się miastem prowincjonalnym tracąc 2/3 ludności i długo nie podniósł się z upadku. W 1787 r. mieszkało w nim tylko 9449 osób w 539 domach. Po drugim „potopie" szwedzkim napłynęło do miasta wielu Żydów, którzy opanowali kramarstwo i karczmarstwo[6]. Na koniec dodam, że w połowie XIX wieku w Zastowie znajdowały się jeszcze szczątki okopów, które ludność szwedzkimi zwała[7].

Posiedzenia urzędowe w czasie epidemii przenoszono w miejsca bezpieczne jak wspomnianą kapitułę do Raciborowic, które a 'propos były jej własnością. Do Krakowa łatwy przystęp zaraza miała z Węgier. Domy zarażonych zawarte były skoblami, wrzeciądzami i znaczone białymi krzyżami, zaś domy zmarłych palono. Ciarki przechodzą na myśl o słupach czarnego dymu spowijających horyzont, o owych żałobnych sobótkach, krzykach ludzi, płaczu, wyciu zwierząt…

Mór rozpoznawano po wrzodach zwanych dymienicami i wykwitach skórnych. Ówczesny stan medycyny nie pozwalał na skuteczną ochronę, lekarzom nie ufano. W zarazach dopatrywano się „bicza bożego". Panowała groza i apatia. Poddawano się woli niebios, nie orano, nie siano – po co, skoro oto nadchodzi nieuchronny sierp kostuchy… Ratunku szukano w modlitwie, procesjach i pielgrzymkach do miejsc świętych, wzywano obrońców od zaraz, św. Rozalię czy jak w Więcławicach św. Stanisława Kostkę. A gdy i to nie pomagało, zaczynano bluźnić. Przytoczmy za przykład pełny bólu i zniechęcenia fragment pieśni:

*„Matko miłosierdzia, módl się za nami grzesznymi(…)*
*Bo Syna Twego ciężka i nieznośna ręka!…"*

Wśród zdesperowanych ludzi następowała niepohamowana rozpacz, obłąkanie i zwyrodnienie. Dochodziło do licznych morderstw i samobójstw. Panowało bezgraniczne rozbestwienie. Znieważano kościoły, w których jako w miejscach bardziej bezpiecznych odbywały się dzikie orgie. W smutnym roku 1652 dla „czyszczenia" podpalano miasta, zamki i dwory...

Popatrzmy teraz ponownie na obraz św. S. Kostki w Więcławicach. Wyobraźmy sobie masy ludzi dzień i noc klęczące przed nim i wzywające jego pomocy pieśnią oraz modlitwą, kiedy w pobliżu szaleli czterej jeźdźcy Apokalipsy: czarny Mór, szkielet Głodu, bicz Ognia i miecz Wojny. Ileż zabytków mijamy, nie zdając sobie sprawy, jak wiele brzemienia dziejów zawierają w sobie. A może warto czasem przystanąć pod starym ołtarzem czy kapliczką przydrożną, próbując nie tylko doznać wrażenia estetycznego, lecz zagłębić się w pomrocze dziejów, by odgadnąć intencję fundatora.

***mgr Mateusz Wyżga***

[1] *„S Stanislaus Kostka Soc. Jesu Patronus hujus parochiae Guam a peste hominum Anno 1670 liberavit".*
[2] *Namaczyńska S., Kronika klęsk elementarnych w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1648-1696, Lwów 1937*
[3] *Walawender A., Kronika klęsk elementarnych w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1450-1586, Lwów 1932.*
[4] *Namaczyńska S., Kronika klęsk elementarnych w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1648-1696, Lwów 1937*
[5] *Górny A., Piwarski K., Kraków w czasie drugiego najazdu Szwedów na Polskę 1702-1709, BK, Kraków 1932.*
[6] *ibidem*
[7] *Gazeta Warszawska, 1853 r.*







*fot. Jan Kotyza, lata 30. XX. wieku*

## Ulica Klasztorna

Od najwcześniejszego dzieciństwa ulica Klasztorna zaczynała się dla mnie na maleńkiej stacyjce Mogiła, położonej przy drodze z Krakowa, wśród pól i łąk. Mogiła – zwana Clara Tumba – znana była pod polską nazwą już w 1291 roku. W 1223 roku biskup krakowski sprowadził tutaj ojców Cystersów, którzy zbudowali kościół, istniejący do dzisiaj. Znajduje się w nim kaplica z cudownym, czarnym Jezusem na krzyżu, renesansowy nagrobek Walentego Goślickiego (zmarłego w 1596 roku), barokowa krata z 1650 roku, szereg obrazów z 18. wieku i odkryte w latach powojennych polichromie, dzieła cystersa Stanisław Samostrzelnika, utalentowanego malarza XVI wieku. Wieś od samego początku zasłynęła jako zaplecze warzywno-sadownicze Krakowa. Ten rejon bowiem to bardzo żyzne tzw. iły krakowieckie, na których szczególnie udawały się tytoń i buraki cukrowe. Z uwagi na ten tytoń zbudowano w Czyżynach Zakłady Tytoniowe a w Chybiu powstała Cukrownia, przerabiająca buraki na cukier. Chłopi mogilscy i z okolicznych wsi, pracując na ziemiach Opactwa Cystersów, uprawiali warzywa, hodowali dorodne bydło, zakładali sady a przy każdym z domów był piękny ogród.

Powróćmy do małej stacyjki przy drodze. Była to odnoga linii kolejowej Kraków-Grzegórzki-Kocmyrzów i stanowiła łączność okolicznych mieszkańców z Krakowem. Wożono tędy produkty rolnicze na krakowskie targi i place. Niestety, zburzono stacyjkę w latach 50-tych a linia kolejowa do Kocmyrzowa także uległa likwidacji. Ze stacji Mogiła droga prowadziła obok małego, wiejskiego cmentarzyka, na którym leżą dziś moi Dziadkowie, Ojciec i część mojej Rodziny. Pamiętam, jak w święto 1 listopada na cmentarz ten przychodziły dwie procesje: z Czyżyn i Mogiły, aby wspólnie modlić się nad grobami leżących tu parafian. Prawie naprzeciw cmentarza stała kiedyś piękna willa, należąca do moich wujków: Michała i Franciszka Feretów. Na parterze domu znajdowała się trafika, czyli sklep z wyrobami tytoniowymi. Dr Michał Feret prowadził bowiem hurtownię tytoniową. obaj bracia to niezwykle ciekawe postacie. W czasie II Wojny Światowej należeli do Batalionów Chłopskich i działali w konspiracyjnym podziemiu. W ich domu odbywały się tajne narady Komendy Obwodu BCh. Były też tu składy prasy podziemnej. Inż. rolnik Franciszek Feret został mianowany przez Okręgową Izbę Rolną agronomem na powiat krakowski i jako taki musiał zostać zatwierdzony przez niemieckiego komisarza Ulmana. Dzięki temu mógł szeroko korzystać ze swoich uprawnień aby nieść pomoc nękanym kontyngentami rolnikom z okolicznych wsi. Oczywiście działał w porozumieniu z Komendą Obwo-du BCh. Uratował także wielu ludzi przed wywózką do pracy w Niemczech. Jego brat Michał był z kolei delegatem PCK w Krakowie. Organizował zbiórki pieniężne i żywnościowe dla polskich jeńców wojennych w obozach koncentracyjnych. Po upadku Powstania Warszawskiego zorganizował Komitet Opiekuńczy, pomagający uchodźcom z Warszawy. Wielu z nich mieszkało w chłopskich domach i klasztorze Cystersów. Dom Feretów także musiał zostać zburzony. Dr Michał Feret rozebrał go do fundamentów i przeniósł na zakupioną parcelę w Krakowie. Inż. Franciszek Feret, ożeniony z moją Ciocią, Marylą Dyniówną, zbudował swój dom w ogrodzie Babci, naprzeciw klasztoru w Mogile.

Na samym początku ulicy Klasztornej stała Szkoła Powszechna, w której nauki pobierały wszystkie moje Ciocie i Wujkowie, a także Ojciec, którego dom stał wówczas naprzeciwko szkoły. Dom Dziadków Skibów także nie istnieje, pozostał po nim jeno stareńki krzak bzu, posadzony przed laty przez mojego Ojca.

Obok szkoły była restauracja, której właścicielem był Józef Staszyszyn. On także, razem z bratem Janem, należał do Batalionów Chłopskich. W czasie wojny i w ich restauracji był punkt składowania prasy podziemnej i stąd kolporterzy roznosili ją po okolicznych wsiach. Obaj bracia zginęli śmiercią męczeńską w obozach koncentracyjnych. Restaurację zburzono w latach 50-tych, podobnie jak i budynek szkolny. Idąc dalej w kierunku klasztoru mijało się po prawej stronie tzw. „willę", w której mieszkała jej właścicielka, nazywana we wsi „Panią z willi". Nie pamiętam jej nazwiska. Willa otoczona była ogrodem i sporym parkiem. Wi-lla ta to teraz zaniedbany, niepozorny budyneczek a w parku, dostępnym dla wszystkich, bawią się dzieci z okolicznych blokowisk. I wreszcie blisko willi, oto-czony starym, drewnianym płotem napotykam na prześliczny, zabytkowy, modrzewiowy kościółek z XV wieku. Przebudowano go potem w 16. i 18. wieku. Brały w nim ślub moje Ciocie, a ja byłam wielce zdenerwowaną druhną.

Naprzeciw parafii istniały jeszcze długo po wojnie czworaki dworskie. Był to skromny, kilkumieszkaniowy, parterowy budyneczek fornalski. I on już nie istnieje. Po drugiej stronie drogi, na wprost bramy do klasztoru, stoi dom moich Dziadków Dyniów. Teraz jest mały i niepozorny. Kiedyś otoczony był ogromnym ogrodem, z drzewami owocowymi, warzywnikiem, z ulami i kwiatami. Dziadkowie na końcu tego ogrodu siali też zboże i sadzili ziemniaki. Dzisiaj wielką część tego ogrodu zajmuje Szpital im. Żeromskiego. Ordynatorem na dermatologii w tym szpitalu jest moja kuzynka, dr Monika Mrowiecka, córka Janiny Dyniównej, mojej Cioci. Jej Siostra, Krystyna




*Przed młynem Chwastków w Mogile, początek XX w.*

Świdecka – lekarz internista, przez wiele lat także pracowała w tym szpitalu. Obok domu dziadków stał sobie w ogrodzie maleńki domeczek, w którym mieszkał wuj Franciszek Ryczkiewicz – organista w klasztorze Cystersów. Grał też pięknie na skrzypcach. Po jego śmierci domek został zburzony. Dziś w tym miejscu stoi willa Rodziny Feretów.

Idźmy dalej w kierunku Wisły. Na końcu tej części drogi (do figury), pod murem klasztornym, płynął kiedyś potok, tocząc swoje wody aż pod Pleszów. W tym miejscu stał sobie stary, poczerniały młyn wodny z ogromnym kołem młyńskim. Pamiętam, że stał jeszcze po wojnie. Był to młyn rodziny Chwastków, których szwagierka, Zofia Wojciechowska, została potem żoną mojego Wuja Juliana Dyni. Ich dom stoi do dziś naprzeciw miejsca, gdzie kiedyś pracował młyn. Julian Dynia był absolwentem Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, w klasie organów, i przez długie lata pracował jako organista w klasztorze OO. Cystersów. Wspomagała go śpiewem jego Siostra Helena Dynia-Orzechowska, obdarzona przez naturę pięknym, lirycznym sopranem. Za domem Wujostwa usadowił się, stojący do dziś, tzw. dwór, w którym urzędował Rządca, nadzorujący pracę fornali we wszystkich majątkach Opactwa. I tu kończyła się „bogatsza" część wsi. Z dzieciństwa pamiętam stojące tu domy kryte strzechą, ale otoczone pięknymi, zielonymi ogrodami. Były przy nich ogrodzenia, jakich się nigdzie nie spotyka. Plecione z wikliny i gałęzi. Idąc ku Wiśle przechodziło się obok błoń, na których pasło się bydło. Dziś ten teren to rejon pięknych willi, a dawne błonia to zadbany, zielony teren rekreacyjny. Mostu na Wiśle nie było. Na drugą stronę kursowała długa, drewniana łódź z przewoźnikiem. Chodziło się tu na spacery do lasku Mogilskiego a wałami wiślanymi często wracaliśmy do Krakowa, z odwiedzin u Dziadków. Wokoło rozciągały urokliwe łąki i zagajniki. Powróćmy jednak do domu moich Dziadków Był przed nim mały ganeczek, na którym siadywałam razem z Babcią (Dziadek zmarł w 1942 roku) i Ciociami o szarej godzinie, po zakończeniu wszelkiej pracy w domu i ogrodzie. Droga była przeważnie pusta, zwykła, wiejska. Dopiero zaraz po wojnie położono na niej czerwony klinkier. Przebywałam często w Mogile, bo i często bywałam zaziębiona a powietrze mogilskie dobrze mi robiło. W maju sypałam kwiatki w klasztorze, w lecie „pracowałam" z Babcią w ogrodzie, chodziłam z Ciociami do Lasku i do drugiego mogilskiego młyna Klęków, położonego przy drodze do Kopca Królowej Wandy. Córki młynarza były bowiem przyjaciółkami moich Cioć. Najbardziej jednak lubiłam wrzesień, kiedy w Mogile był odpust. Na prośbę Babci zjeżdżała się cała Rodzina, aby pomóc w zorganizowaniu ogrodowej restauracji odpustowej.. Była zawsze oblegana, z racji świetnego położenia naprzeciw kościoła. Ciocia i Mama piekły, gotowały, smażyły i przyprawiały różne smakołyki. Wujkowie, Dziadek i mój Ojciec przygotowywali lemoniady, usta-wiali beczki z piwem. Znosili też ze strychu domu stoliki i składane krzesła. Otwierano bramę ogrodu i ustawiano stoliki, ławy i inne siedziska. My, dzieci rodzinne, budowaliśmy tymczasem z gro-chowin i badyli przeróżne sza-łasy w dalszej części ogrodu, znosiliśmy do nich przeróżne smakołyki i zabawialiśmy się w Indian i leśnych ludzi. Gdy ktoś wreszcie znalazł dla nas czas, wędrowaliśmy po Klasztornej aby pooglądać kramy z przeróżnymi świecidełkami, kupić coś ładnego i dawno upragnionego, a także aby pojeździć na karuzeli. W moim albumie zachowały się zdjęcia z takich odpustów, obowiązkowo w przedziwnej scenerii odpustowej.

Moi dziadkowie, Apolonia Hora, pochodząca z pobli-skiego Dojazdowa, i Franciszek Dynia, rodem z Rudnej Małej koło Rzeszowa, pobrali się w 1899 roku w Mogile, gdzie pracował dziadek. W 1900 przyszedł na świat ich pierwszy syn, który zmarł po kilku dniach. A potem była moja Mama Aniela (ur. w 1901 roku) i 8-mioro następnych dzieci.

Wszystkie dzieci ukończyły szkoły, zdobyły dobre zawody. Julian został organistą, Wilhelm kierowcą (pracował aż do śmierci w Krakowskich Zakładach Armatur), Janina wraz z mężem Tadeuszem Kapińskim byli mistrzami fryzjerstwa i właścicielami zakładu fryzjerskiego w Krakowie. Maryla Feretowa zdobyła zawód modniarki i przez wiele lat



pracowała z zakładzie kapeluszniczym w Krakowie. Moja Mama została mistrzem krawieckim a Ojciec, Piotr Skiba, zdobył zawód fryzjera. Oboje prowadzili swoje zakłady w Krakowie. Bardzo uzdolniony artystycznie syn Romuald Dynia zginął tragicznie w 1925 roku.. Zmarła też w wieku 12 lat córka Eleonora, zwana Lonią. Ostatni syn, Tadeusz, zmarł w 1919 roku.

Rodzina Dyniów zawsze bardzo związana była z klasztorem. Wuj Babci, ks. Wincenty Stanowski, był tu przez pewien czas przeorem a Julian Dynia – o czym już pisałam – aż do śmierci pracował jako organista. Ojciec Babci był mistrzem stolarskim i także pracował w Klasztorze.

Moja wspaniała Babcia Apolonia, która w czasie okupacji hitlerowskiej pomagała wszystkim swoim dzieciom jak umiała i na ile pozwalały jej możliwości, scalała tę rodzinę jak mogła i jak na to pozwalało jaj zdrowie. Zmarła w 1954 roku i pochowana jest obok swojego męża na mogilskim cmentarzu parafialnym. Ulica Klasztorna, kiedyś zwykła wiejska droga, bardzo się teraz zmieniła. Ale to już całkiem inna historia.

***inż. Jadwiga Skiba***

## Młyn

Wszystko zaczęło się u schyłku lat dwudziestych XX w., kiedy to dwóch braci powołanych do stanu kapłańskiego los rzucił z podbielskich Kobiernic pod królewski Wawel. Jeden z nich – Jan Korzonkiewicz, będąc opiekunem krakowskiej katedry często odwiedzał drugiego – Franciszka, proboszcza w pobliskim Pleszowie. Wielokrotnie podróżując prastarym traktem sandomierskim delektował się pięknem tych ziem i podziwiał zabudowania cysterskiego opactwa. Pewnego razu ze swej bryczki dostrzegł, iż jeden z zakonnych młynów opuszczają dotychczasowi najemcy. Wspomniał swą młodą siostrzenicę – Elżbietę, która z mężem Józefem Klęką prowadziła odziedziczony po dziadkach niewielki młyn w rodzinnych Kobiernicach i zajechał do zarządcy tych dóbr, a upewniwszy się, że młyn wraz z całym parunastohektarowym gospodarstwem jest do wydzierżawienia, sprowadził siostrę Annę Kubicową z mężem Józefem, córką i zięciem oraz ich córkami Ziutą, Polą i malutką Jadzią (Igą) do Mogiły. Niemal od razu przeprowadzona została modernizacja młyna – doprowadzono linię telefoniczną oraz założono turbiny elektryczne, a wytwarzany przez nie prąd służył do oświetlenia młyna, połączonego z nim domu oraz sąsiadującego przez Dłubnię i stawy rybne klasztoru.

Czas biegł, a rodzina Klęków powiększyła się o Marysię i Elę. Lata trzydzieste to prócz zwykłej ciężkiej pracy i towarzyszącym jej chwilom odpoczynku i zabawy także ciężkie ciosy – najpierw choroba i śmierć ks. Jana, którego żegnał na Wawelu sam kard. Sapieha, a potem wiosenne przeziębienie, po przeistoczeniu w zapalenie płuc, zabrało czteroletnią Marysię – nie było wszak popularnych dziś antybiotyków. Rozrasta się także prowadzone gospodarstwo – rozpoczęto sprowadzanie i dystrybucję piwa ze śląskiej Karviny, wytwarzanie wody sodowej i o-ranżady, produkcję dachówki cementowej i wreszcie zakupiona ciężarówka Mercedesa z załadowanym lodem zbieranym na wiosnę z Wisły i przechowywanym w zagłębionej w ziemi lodowni pełniła funkcję współczesnych chłodni na kółkach. Piwo i woda sodowa rozwożone były do mogilskich sklepów i krakowskich restauracji, między innymi do restauracji Państwa Cieczków, która znajdowała się przy ul. Rakowickiej w Krakowie.

Ludziom zmierzającym na spowiedź w pierwszy piątek września 1939 roku wybuch wojny obwieściły nadlatujące samoloty. Choć początkowo wywołały powszechną radość – polskie samoloty stoją na straży mogilskiego nieba – to wkrótce zrzucając swój niszczycielski ładunek na pobliskie lotnisko w Czyżynach wywołały powszechną panikę. Spotęgowało ją wysadzenie mostu na Wiśle w ciągu obecnej ulicy Klasztornej (wybuch był tak intensywny, iż mimo znacznej odległości wypadły szyby w oknach domu i młyna). Panika ta udzieliła się także mym dziadkom – załadowawszy podręczny dobytek ruszyli na wschód. Nie dojechali daleko – już następnego dnia, po nocy w brzeskiej stodole, minęła ich forpoczta niemieckiego Wehrmachtu. Wrócili do domu.



*Przed młynem Klęków w Mogile, rok 1929*

Rozpoczął się nowy rozdział w mogilskim życiu Klęków – okupacja niemiecka.

Niemcy uznali, że zabudowania młyna i domu będą dobrym miejscem na zlokalizowanie kwatery dla swych oficerów. Ta koegzystencja trwała do końca wojny, do zmiany okupanta. Nie obyło się bez ciężkich chwil np. – kiedy to

dorastająca Ziuta na pytanie wyjeżdżającego na urlop do Niemiec młodego żołnierza – co by chciała – odpowiedziała – żeby zebrał swych kolegów i już nie wracał ...

Czas wojny to również odejścia ojca i męża Elżbiety – czterdziestoletnia kobieta została sama z matką, dwoma dorastającymi i dwoma małoletnimi córkami oraz gospodarką na głowie. Ale to też czas przygarnięcia: brata Ludwika z rodziną wysiedlonych z Zakopanego, brata Józefa z rodziną przybyłych z włączonych do Niemiec Kobiernic, szwagra Juliana Brada, dożywiania ukrywającego się Żyda, przedwojennego mogilskiego sklepikarza i wykupu od cysterskiego właściciela gospodarstwa.

To również czas szczęśliwy dla rodziny – zaślubiny dorosłej już Ziuty z Władysławem Żakiem i narodziny Lidii, dla bezpieczeństwa w zamkniętym przez wojsko Zakopanem.

Styczeń 1945 roku przyniósł nowe zagrożenia – wojsko, przed „wyzwolicielami" młode Klęczanki chronić musiał sowiecki oficer, osiedlony we młynie w miejsce oficera niemieckiego. Ale przede wszystkim nowy, „robotniczo-chłopski" system, w którym nie było miejsca dla zaradnych. Rozpoczęły się szykany. Stopniowo zabierano młyn, wytwórnię wody sodowej, rozlewnia piwa przestała istnieć, bo piwo zostało za granicą, wreszcie budowa Nowej Huty zabrała wszystkie nieruchomości. Najdłużej „trzymał" się stary dom i (państwowy już) młyn, opisany przez Bogusławskiego w Krakowiakach i Góralach. Budynek ten przetrwał ponad sto lat, dwie wojny światowe, ale ugiął się przed gospodarką planową wyznaczającą w tym miejscu linię tramwajową i ulicę, choć można było wybudować obok...

Ale okres do 1949 roku to także chwile radości – do Lidii dołączyli bliźniacy – Marek i Józek. Pola poślubiła Zdzisława Machowskiego i wyemigrowała do podkrakowskich Proszowic, a dorosłe już Iga i Ela rozpoczęły studia.

P.S.

Właśnie mija 65 lat od śmierci Józefa Klęki i 30 lat od śmierci Elżbiety Klękowej.

Niniejszy album jest hołdem dla Nich i Innych, którzy mieszkali na tych terenach.

***Lidia Żak z synem Tomaszem Turajem***



*Na zamieszczonym zdjęciu widzimy prawdopodobnie akcję związaną z promocją piwa sprowadzanego z Karwiny na Śląsku Cieszyńskim, robioną w czasie dożynek w Mogile w latach 30. ubiegłego wieku. Fotografia została wykonana przez nieznanego fotografa przed młynem Elżbiety Klękowej, który był połączony z budynkiem, gdzie na pierwszym piętrze znajdowało się mieszkanie, na parterze zaś pomieszczenia gospodarcze, wytwórnia oranżady i rozlewnia piwa. Nieopodal stała lodownia w której przechowywano od marca do sierpnia lód pochodzący z Wisły. Na zdjęciu za stołem od prawej stoją panie: Apolonia Klęczanka, Anna Kubicowa z Korzonkiewiczów, jej córka Elżbieta Klękowa i Ziuta Klęczanka, nazwiska panów nie są znane.*



## Babcia



urodziła się w 1924 r. w Mogile w domu przy ul. Stare Wiślisko 67 (wtedy Mogiła 10). Na świat pomogła jej przyjść Jadwiga Wąsikowska – akuszerka. Mama babci, Marcjanna Siwek ur. w 1885 r. w Czyżynach, dwa razy wychodziła za mąż, po raz pierwszy za Piotra Pitrę. Ślub wzięli w listopadzie 1913 r., ale już w 1914 r. wybuchła wojna i Piotr musiał pożegnać się ze swoją młodą małżonką. W 1915 r. przyszło na świat ich dziecko, chłopczyk, które otrzymało imię po ojcu, ale ten już nigdy nie zdołał go zobaczyć... Mały Piotruś też wkrótce zmarł. Po 6 latach małżeństwa, Marcjanna Pitra ponownie wyszła za mąż w 1920 r. za Jakuba Radoszka z Czyżyn, który miał wtedy 30 lat, ona 35. Urodziła jeszcze 5 dzieci: Annę (1921-2004), Wojciecha (1923-1923), moją babcię Marysię (1924), Jana (1925-2003) i Teresę (1927).

Dzieci chodziły do Szkoły im. Królowej Wandy w Mogile (obecnie chyba Zespół Szkół Specjalnych przy ul. Ptaszyckiego). Tam babcia poznała wiele piosenek m.in.:

*Nasze małe żołnierzyki*
*na placówkach stoją /x3*
*i śpiewają bolszewikom,*
*że się ich nie boją /x2*
*nic a nic.*
*Tam żołnierze zawodowi,*
*tu małe dzieciaki /x3*
*mają tylko do obrony,*
*ducha i kułaki /x2*
*Nic a nic.*
*A choć u nas nie ma broni*
*nawet i połowa /x3*
*będziem bronić choć pięściami,*
*a nie damy Lwowa /x2*
*Nic a nic.*

*„Po śmierci Piłsudskiego"*
*To nie prawda, że ciebie już nie ma,*
*to nie prawda, że jesteś już w niebie,*
*chociaż płacze już cała polska ziemia,*
*cała polska ziemia w żałobie,*
*choć twe serce już w piersiach nie bije,*
*choć opuścił cię twój duch dzielny,*
*w sercach naszych na zawsze ty żyjesz*
*ukochany wodzu nieśmiertelny.*

*„O Wandzie"*
*Leży Wanda w polskiej ziemi*
*co nie chciała Niemca,*
*lepiej zawsze mieć rodaka niźli cudzoziemca,*
*Wanda kraj kochała*
*łzy jej z oczu błysły,*
*nie chcąc zdrady dla ojczyzny*
*skoczyła do Wisły*

Latem dzieci chodziły się kąpać w stawach rybnych znajdujących się na tyłach klasztoru cystersów. Nie wolno było tego robić, chociaż woda nie była tam głęboka. Przeganiał ich zawsze strażnik, który doglądał tego wszystkiego. Raz nawet zabrał ubranie babci koleżance i potem musiała go prosić, żeby jej zwrócił.

Wieczorem od strony stawów rozchodziło się po całej okolicy rechotanie żab.

Na roraty chodziło się do kościoła cystersów, przy którym znajdowało się seminarium. Trzeba było wcześnie wstawać, ale dziewcząt nie trzeba było do tego namawiać, bo w nabożeństwie brali udział studenci seminarium (alumni). Niektórzy z nich byli bardzo przystojni i dziewczęta się w nich podkochiwały.

Na Pierwszą Komunię dzieci nie dostawały prezentów. Rano była msza w kościele i rodzice z dziećmi zasiadali do uroczystego śniadania przy długim stole, który ustawiony był na placu koło kościoła św. Bartłomieja.

We wsi Mogiła były aż 4 młyny. Należały do: Lelity, Chwastka i Żabińskich, Klęków i tzw. „gwoździarnia", przy której znajdowała się ochronka. Młyn Lelitów usytuowany był naprzeciwko domu babci. Do niego płynęła rzeczka (chyba Dłubnia), której koryto biegło zaraz koło domu Radoszków. Ojciec babci trzymał w tej rzece koła wozu, żeby się nie rozeschły. Kiedyś babcia założyła się z koleżanką, że po tym wozie wejdzie na środek rzeki. Wpadła jednak do wody. Nurt był bardzo rwący, bo zaraz dalej był mostek, olbrzymi spad i wielkie koła młyńskie z turbinami. Na szczęście zaraz przed mostkiem babcia zdołała się chwycić powbijanych do dna kołków.

Latem dziećmi Radoszków opiekowała się Małgorzata Konieczny. Była starą panną, ale miała dwóch synów: Wincentego i Józefa. Obu ich straciła na I wojnie świa-

towej. Dostawała za to jakieś śmieszne pieniądze, chyba 13 zł, za które mogła kupić 13 kg cukru. Nie najlepiej wychodziła jej opieka nad dziećmi. Kiedyś babcia oparzyła się wrzątkiem w rękę i zamiast polać to miejsce zimna wodą to Małgorzata posypała je solą! Potem mama nosiła babcie na plecach do lekarza. W Mogile było ich podobno dwóch. Jeden z nich nazywał się Białek, mieszkał koło szkoły i był lekarzem wszechnauk.

Kolejny wypadek z udziałem Małgorzaty miał miejsce chyba w 1929 r. Wtedy do Mogiły na kopiec Wandy przyjechał Mościcki i cała wieś poszła oglądać to wydarzenie (również rodzice babci). Dzieci zostały z opiekunką. Wtedy to małego Janka kopnął w głowę koń. Podobno strasznie to wyglądało, bo w okolicy czoła w czaszce zrobiło się wgłębienie. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Dzieciństwo babci jak i jej rodzeństwa skończyło się w 1937 r., kiedy to zmarła im mama. Ojciec sprzedał dom, a dzieci musiały iść pracować na swoje utrzymanie.

Babci siostra – Teresa, była bardzo zdolna i Gmina ufundowała jej dalsze kształcenie, ale wybuchła wojna...

Bracia Lelonek, o których mówi pan Hajto na stronie internetowej www.nhmz.go.pl, zostali zamordowani we własnym domu w czasie wojny. Podobno rozpoznali złodzieja (złodziei?) i dlatego zginęli. Słyszała to wszystko służąca, która zdążyła się schować na strychu. Bracia byli starymi kawalerami i mieli siostrę, która długo nie mogła wyjść za mąż, nie dlatego, że była szpetna czy coś w tym rodzaju, ale dlatego, że jej matce żaden kandydat na zięcia się nie podobał. W końcu wyszła za mąż za Czorta. Nazwisko było niezbyt udane zwłaszcza, jeśli prowadziło się sklep, więc chyba dlatego Czort zmienił nazwisko na Czowicki.

Na rogu Klasztornej i Ptaszyckiego stał dom Staszyszyna. Teraz biegnie tam linia tramwajowa. Staszyszyn miał siostrzeńca, którego koledzy byli Volksdeutschami. Musieli się czegoś o nim dowiedzieć, albo on im nieopatrznie o czymś powiedział, bo donieśli na niego Niemcom. Aresztowano go i torturowano. Wtedy wyjawił, że jego wujek trzyma na strychu broń. Staszyszyn trafił na Montelupich, skąd już nie wrócił.

Jedna z córek Lelity (tego co miał młyn), miała męża Marczyńskiego, który był pułkownikiem. Na niego też ktoś musiał donieść, bo przyjechali po niego Niemcy, ale zdążył się ukryć. Wobec tego zabrali jego żonę, która była w ciąży. Ponieważ Niemcy mielili we młynie zboże, po znajomości po 3 miesiącach udało się ją wydostać. Jednak jej męża aresztowano i zamordowano.

Druga córka Lelity wyszła za mąż za Siemka. Poznała go w Krakowie. Był I sekretarzem PPS. Po wojnie wyjechali do Wrocławia. Mieszkali przez 3 lata w willi poniemieckiej koło wieży ciśnień na Karłowicach. Potem przenieśli się do Warszawy. Babcia do nich przyjechała w 1946 r. Jechała pociągiem towarowym i nie siedziała w wagonie, tylko całą drogę spędziła na buforze. Tutaj spotkała Karola Kozulę (mojego dziadka, przyjechał z Królina k/Lwowa), z którym wzięła ślub w kościele św. Krzyża we Wrocławiu. I tak już tutaj została.

We Wrocławiu na cmentarzu Grabiszyńskim spoczywa Lelito Włodzimierz (brat Lelitówny), który ożenił się z dziewczyną z Krakowa i osiedlił we Wrocławiu. Marczyńska Zofia (żona zamordowanego pułkownika) też spoczywa na tym cmentarzu, a ich syn mieszka nadal w tym mieście.

Jakub Radoszek (ojciec babci) w 1943 r. trafił do obozu w Buchenwaldzie. Spędził tam dwa lata. Dożył końca wojny, ale 15.05.1945 r. zmarł na tyfus plamisty. Spoczywa na cmentarzu we Freising (kilka kilometrów na północ od Monachium).

***Historie mogilskie opowiedziane przez Marię Radoszek (82 lata), wysłuchane i zapisane przez jej wnuczkę***

***Aleksandrę Erbert.***



*Mogiła, lata 30., fot. Jan Kotyza*



## Czyżyny

**Wspomnienie Świąt Bożego Narodzenia w pierwszych latach budowy Kościoła św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach**

Pierwsze wzmianki o Czyżynach, czy też o „polach czyżyńskich pojawiają się już w 1238 i w 1250 roku. Jednak przez te setki lat istnienia wieś, czy też początkowo może sioło nie posiadała ani kościoła, ani parafii. Czyżyny przynależały do parafii w Mogile nie licząc bardzo krótkiego czasu przynależności do parafii w Pleszowie. Odległość z Czyżyn do Mogiły wynosiła ponad 3 km. Doskonale pamiętam, jak co niedzielę przemierzałem tę trasę początkowo z ojcem i bratem, a potem z różnymi kolegami. Dla nas wówczas młodych chłopców nie było to zbyt uciążliwe. Jak już pisałem w nr. 6-8/2001 „Apostola Czyżyńskiego" moja pierwsza Komunia św. w dniu 18 czerwca 1936 r. była zarazem ostatnią w kościele św. Bartłomieja w Mogile. W roku 1937 pierwsza Komunia Św. odbyła się już w prezbiterium budującego się kościoła św. Judy Tadeusza w Czyżynach.

W 1935 r. po śmierci długoletniego proboszcza parafii w Mogile Ks. Prałata Wojciecha Siedleckiego, Książe Arcybiskup Metropolita Adam Stefan Sapieha na proboszcza parafii w Mogile wyznaczył Ks. Józefa Zastawniaka, który równocześnie został budowniczym nowego kościoła w Czyżynach.

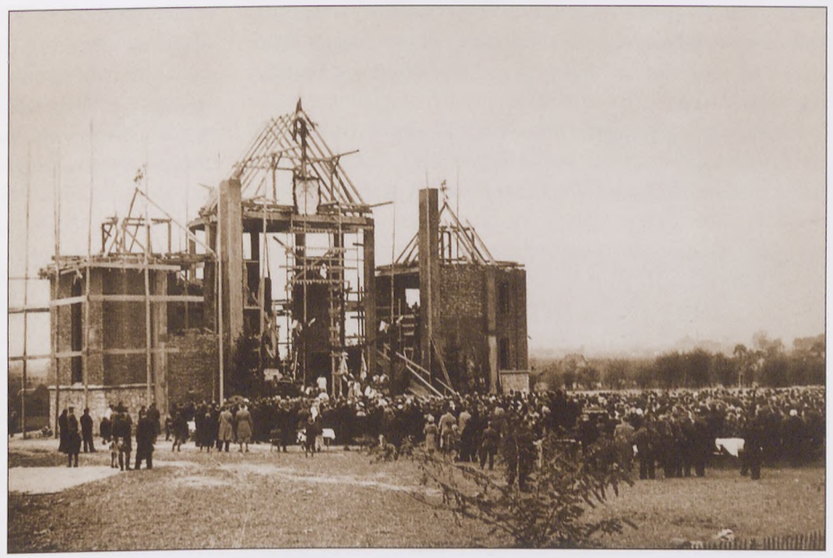

Obecnie pragnę przedstawić jak wyglądał okres Świąt Bożego Narodzenia w Kościele i osiedlu Czyżyny w pierwszych latach budowy kościoła ze szczególnym uwzględnieniem pierwszej Mszy św. Jak wiadomo tempo budowy jak na ówczesne warunki techniczne były wprost niewiarygodne. Po poświęceniu i wmurowaniu kamienia węgielnego, w miarę postępu prac wszyscy zastanawiali się kiedy też odbędzie się upragniona pierwsza Msza św. w prezbiterium nowobudowanego Kościoła. Były przymiarki, aby pierwsza Msza św. odbyła się w dzień Bożego Narodzenia. Pytanie tylko, czy będzie to możliwe do wykonania, bo przecież od poświecenia kamienia węgielnego upłynęło zaledwie dwa miesiące, a prace budowlane były wykonywane w październiku, listopadzie i grudniu, kiedy są deszcze, przymrozki, wichury. Nastrój podniecenia i wyczekiwania udzielał się wszystkim, zarówno dzieciom jak i dorosłym. Pamiętam, że byłem wówczas uczniem czwartej klasy Szkoły Powszechnej. Wracając ze szkoły do domu wraz z kolegami i koleżankami śledziliśmy postępy budowy.

Wreszcie nadszedł dzień 25 grudnia 1936 roku, godzina $7^{00}$ rano. Pomieszczenie małego przecież prezbiterium, kaplicy, częściowo i zakrystii oraz pomieszczenie nad zakrytą na i piętrze szczelnie wypełnione było wiernymi. Cześć północna prezbiterium była „zabita deskami", przez które „hulał" wiatr. Msze św. przy prowizorycznym drewnianym ołtarzu celebrował szczęśliwy budowniczy ks. proboszcz Józef Zastawniak. Nie było jeszcze figury Św. Judy Tadeusza. Po bokach ołtarza postawiono choinki odpowiednio udekorowane bańkami i włosami anielskimi oczywiście nie było oświetlenia elektrycznego ani na choinkach ani też przy ołtarzu i w wybudowanej części kościoła, ponieważ w całym osiedlu Czyżyny jeszcze nie było oświetlenia elektrycznego. Oświetlenie elektryczne zostało w dzielnicy Czyżyny zainstalowane dopiero po wojnie w latach 1946-47, mimo że Czyżyny zostały włączone do miasta Krakowa w czerwcu 1941 r. jako XLIV dzielnica. Na początku zaintonowano jedną z najpiękniejszych kolęd „Wśród nocnej ciszy". Śpiewano ją z wielkim wzruszeniem i donośnie. Tę pierwszą Mszę św. w Boże Narodzenie, jak też następne celebrowano w języku łacińskim. Ministranci odpowiadali też po łacinie. Ewangelia i kazania były oczywiście głoszone po polsku. Po kolędzie „Gloria in exelsis Deo" śpiewano kolędę „Gdy się Chrystus rodzi", a po „Credo in unum Deum" śpiewano „Anioł pasterzom mówił". W czasie komunii św. śpiewano „Z narodzenia Pana dziś", na koniec „Tryumfy Króla Niebieskiego". Wierni wracali do domów po tej pierwszej Mszy Sw. w dzień Bożego Narodzenia 25 XII 1936 r. bardzo uradowani, że wreszcie będą się nabożeństwa odbywać na miejscu w kościele i nie będzie już trzeba chodzić do Mogiły. Od tej historycznej Mszy Św. począwszy w każdą niedzielę odprawiane były dwie Msze Św. Z kolei zaczęto w większe święta odprawiać i Nieszpory, a z czasem w okresie Wielkiego Postu Gorzkie Żale. W końcu maja odbywały się nabożeństwa majowe w kaplicy przy prezbiterium. Dekoracja choinkami i szopką trwała do święta Matki Boskiej Gromnicznej w dniu 2 lutego. Śpiew kolęd kończono również w tym dniu.

Pragnę dodać, że Mszy św. zwanej Pasterką w nocy z 24 na 25 XII w 1936 r. nie było z uwagi na to, że ta pierwsza historyczna Msza św. odbywała się rano w dzień Bożego

Narodzenia, a Ks. Proboszcz Józef Zastawniak odprawiał pasterkę w kościele parafialnym św. Bartłomieja w Mogile. Pasterki odbywały się w następnych dwóch latach tj. w 1937 i 1938 r. Pasterka z 24 na 25 grudnia 1939 r. już się niestety nie odbyła w związku z wybuchem wojny we wrześniu 1939 r. Obowiązywała wtedy godzina policyjna. Pasterka została wznowiona po zakończeniu wojny 1945 r. W Pasterkach brało udział zawsze bardzo dużo wierzących, którzy nie mogli nacieszyć się śpiewaniem tych, jakże przepięknych polskich kolęd.

*Mieczysław Marzec*

***Tekst opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 12 (38)/9 w grudniu 2002 r.***

## Wspomnienia o pierwszych latach budowy kościoła św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach

W numerze 6-8 z 2001 roku opisałem dzieje Kółka Ministrantów przy kościele św. Judy Tadeusza w Czyżynach w latach 1936-1944 r., a w numerze 10 z 2001 r. przedstawiłem dzieje budowy tej świątyni w pierwszych latach 1936-1939 ze szczególnym uwzględnieniem poświęcenia i wmurowania kamienia węgielnego przez Księcia Arcybiskupa Metropolitę Adama Stefana Sapiehę, załączając historyczne zdjęcia z tej Uroczystości oraz przedstawiłem osoby szczególnie zasłużone w pierwszych latach budowy tegoż kościoła.

Obecnie pragnę opisać ciekawe fakty z pierwszych lat budowy kościoła i opowiedzieć jak odbywały się nabożeństwa, gdzie gromadzili się wierni, kto odprawiał msze święte, kto pełnił obowiązki organisty, oraz opisać pierwsze procesje Bożego Ciała z uwzględnieniem trasy procesji, oraz lokalizacji czterech ołtarzy załączając unikalne zdjęcia. Prace przy budowie prezbiterium Kościoła św. Judy Tadeusza przebiegały w niewiarygodnym tempie zważywszy, że w miesiącu lipcu 1936 r. odbyło się poświęcenie placu pod budowę, a po trzech miesiącach w dniu 11 X odbyło się poświęcenie i wmurowanie kamienia węgielnego. Po pięciu miesiącach budowy, w Boże Narodzenie 25 XII 1936 r. została odprawiona pierwsza msza święta. Trzeba przy tym zaznaczyć, że wybudowano nie tylko samo prezbiterium, ale również zakrystię z pomieszczeniem na I piętrze nazywanym wówczas „skarbcem", oraz kaplicę po lewej stronie prezbiterium, gdzie znajdował się ołtarz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, w której znajduje się również witraż ufundowany przez budowniczego kościoła, ks. kanonika Józefa Zastawniaka, poświęcony pamięci żony benefaktora kościoła dyr. Tadeusza Polaczek-Korneckiego, śp. Joanny z Wasilkowskich Polaczek-Korneckiej.

Obecnie pragnę opisać, gdzie gromadzili się wierni w czasie nabożeństw. Prezbiterium kończyło się wówczas w tym miejscu, gdzie dziś przyjmuje się komunię świętą, a więc było bardzo małe. Dzieci w wieku szkolnym stały jak najbliżej prowizorycznego drewnianego ołtarza, dziewczynki z lewej a chłopcy z prawej strony. Kobiety i dziewczęta przeważnie zajmowały kaplicę. Większość mężczyzn stała w prezbiterium oraz w przejściu między zakrystią i prezbiterium, natomiast chłopcy – nastolatkowie i kawalerowie – na schodach do zakrystii i w tzw. „skarbcu". Mimo, że nie było jeszcze erygowania parafii, przez cały czas budowy począwszy od pierwszej mszy świętej w dniu 25 XII 1936 r. nabożeństwa było odprawiane. Kto je celebrował? Jak wiadomo, ks. kanonik Józef Zastawniak był wtedy proboszczem





w Mogile, ale również budowniczym kościoła św. Judy Tadeusza i nie miał w tych pierwszych latach budowy do pomocy żadnego wikarego. Ale byli księża zakonni, Ojcowie Cystersi z klasztoru w Mogile. Dlatego odprawiał msze święte na zmianę z Ojcami Cystersami. W jedną niedzielę odprawiał mszę świętą w kościele parafialnym w Mogile, a wówczas w nowo budującym się kościele św. Judy Tadeusza w Czyżynach celebrował któryś ksiądz od Cystersów. W następną zaś niedzielę odwrotnie, ks. kanonik odprawiał mszę św. w nowo budującym się kościele św. Judy Tadeusza, a któryś z księży Cystersów odprawiał mszę św. w kościele parafialnym w Mogile. Z klasztoru Cystersów w Mogile msze św. celebrował w tych latach następujący Ojcowie: O. Józef Vraćko (krótko), O. Augustyn Ciesielski, późniejszy pierwszy Opat po wznowieniu opactwa w Mogile (krótko), O. Robert Ciszek (b. długo), O. Gerard Matuła (długo), O. Benedykt Matejkiewicz, późniejszy Opat w Wąchocku i prezes całej prowincji zakonów Cystersów w Polsce (długo). Przez pewien czas odprawiał też msze św. ks. wikary Hojdys, który namalował feretron św. Izydora.

Na balkoniku znajdującym się po prawej stronie prezbiterium na wysokości I piętra umieszczona była fisharmonia, na której grał oraz śpiewał względnie inicjował pieśni organista z parafii w Mogile, pan Jan Suder. Jego syn, Kazimierz Suder, to kolega Ojca Św. z Seminarium Duchowego, późniejszy infułat i dziekan dekanatu wadowickiego, a obecnie rezydent-emeryt w Bazylice Mariackiej w Krakowie. Przez dłuższy okres czasu funkcję organisty sprawował też bratanek ks. kanonika – imiennik, Józef Zastawniak. W późniejszych latach obowiązki organisty spełniał też drugi syn pana organisty, niestety nieżyjący już dziś Jan Suder. Ksiądz i organista przywożeni byli z Mogiły dorożką konną. W tamtych latach w Czyżynach było ponad 40 dorożek.

Pierwsze uroczystości Bożego Ciała odbyły się w czerwcu 1937 r. Trasa procesji była następująca: z budującego się kościoła w lewo ulicą Kościelną (obecna nazwa F. Wężyka), następnie w prawo ulicą Wojewódzką (obecna nazwa Al. Jana Pawła II) w stronę obecnego Ronda Czyżyńskiego (którego wówczas w ogóle nie było), z kolei częściowo ulicą Centralną do ul. Kościelnej i do kościoła. Usytuowanie ołtarzy było następujące: pierwszy ołtarz znajdował się przed istniejącym do dziś domem przy ul. Wężyka 2 u państwa W. M. Gawłów i M. J. Korajdów, którzy ten ołtarz urządzali. Drugi ołtarz znajdował się przed wejściem do nieistniejącego już dziś budynku stacji kolejowej Czyżyny, dokładnie naprzeciw budynku przy Al. Jana Pawła II nr 180. Ołtarz ten przygotowywała rodzina naczelnika stacji kolejowej – państwo Książkowie. Trzeci ołtarz znajdował się przed nieistniejącym dziś domem przy ul. Centralnej (250 m od obecnego Ronda Czyżyńskiego w kierunku Al. Pokoju), będącym własnością Państwa Góreckich, którzy ten ołtarz urządzali. Czwarty ołtarz znajdował się przed istniejącym do dziś domem przy ul. Wężyka nr 10, będącym własnością Państwa Czernków, którzy wraz z dziećmi ten ołtarz przygotowywali. W pierwszych latach 1937-1939 r. uroczystość Bożego Ciała świętowano w budującym się kościele parafialnym w Mogile, w niedzielę w środku oktawy. Ksiądz kanonik wychodził z założenia, że wierni z Czyżyn powinni wziąć udział w uroczystościach, w parafii w Mogile. Dlatego też w nabożeństwach niedzielnych w Mogile braliśmy udział nie tylko my, wówczas ministranci, ale również wierni z Czyżyn i Łęgu. W uroczystościach Bożego Ciała w Czyżynach brali udział również parafianie z Mogiły. W tych latach utrzymywana była więź Czyżyn z parafią w Mogile. Dla przypomnienia, a niektórym do wiadomości, podaję, że kościołem parafialnym w Mogile był wówczas kościół św. Bartłomieja a nie bazylika Krzyża Św., która była kościołem klasztornym oo. Cystersów. Dlatego też mieszkańcy Czyżyn brali udział w uroczystościach odpustowych ku czci św. Bartłomieja. Ks. Rafał Szczurowski (w nr 4 „Apostoła Czyżyńskiego" z 2001 r.) w artykule opisującym dzieje parafii św. Judy Tadeusza, wspominał o wielkim benefaktorze budującego się kościoła, dyr. inż. Tadeuszu Polaczek-Korneckim oraz o trzech wysoko postawionych w hierarchii społecznej osobach, nie podając ich nazwisk, a wspominając jedynie, że byli to: prawnik, inżynier i karczmarz. Ja w moich wspomnieniach zamieszczonych w nr 10 „Apostoła Czyżyńskiego" (z 2001 r.) podałem ich nazwiska i zasługi dla budującego się kościoła. Napisałem również, że oprócz w/w osób należy również wspomnieć o mieszkańcach Czyżyn i Łęgu, którzy nie szczędzili środków pieniężnych i w miarę swoich możliwości wpłacali co miesiąc datki na ręce członków Komitetu Budowy Kościoła.

Obecnie pragnę podać jeszcze nazwiska członków Komitetu Budowy Kościoła, których zapamiętałem, a którzy figurują na zdjęciu zamieszczonym w artykule ks. Rafała Szczurowskiego. Byli to panowie: Jan Zbroja, Jan Czernek, Władysław Hajto, Jan Broś, Władysław Gaweł, Wojciech Tyrka, Andrzej Malinowski, Jan Malinowski, Jan Szklarczyk, Stanisław Tynor, Stanisław Moskała, Franciszek Marszałek, Kazimierz Tynor, Wawrzyniec Radoszek, Książek (imienia nie pamiętam, ale był naczelnikiem stacji kolejowej Czyżyny), Ryszard Makowski.

Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że nie wspomniałem wszystkich osób, które były w Komitecie Budowy, ale nie jestem w posiadaniu wykazu wszystkich członków Komitetu, chociaż taki wykaz był i każda rodzina go otrzymała. Po 65-ciu latach trudno mi – mimo dobrej pamięci – wszystkie nazwiska zapamiętać. Pragnę również zaznaczyć, że w pierwszych latach, przy budowie kościoła wiele osób pracowało bezinteresownie, jednak nie potrafię ich szczegółowo tutaj wymienić. Nazwiska niektórych osób pamiętam, ale mam trudności z ustaleniem, które z tych osób pracowały bezinteresownie a które za odpłatnością. Dlatego nie podaję żadnych nazwisk. Uważam, że wszyscy, którzy przyczynili się do budowy tej drogiej naszemu sercu świątyni, czy poprzez datki-ofiary pieniężne czy też poprzez bezinteresowną pracę fizyczną, powinni pozostać we wdzięcznej pamięci obecnych parafian.

*Mieczysław Marzec*

***Fragment tekstu opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 11(37)/5 w listopadzie 2002 r.***

## Święcenie pokarmów

**Wspomnienie o święceniu pokarmów w Wielkie Soboty w okresie przed budową kościoła św. Judy Tadeusza, w czasie budowy, oraz po jej zakończeniu.**

Święcenie pokarmów w latach trzydziestych w Wielkie Soboty, przed rozpoczęciem budowy kościoła św. Judy Tadeusza tj. do Wielkiej Soboty 1936 r. dokonywało się zawsze w samym środku os. Czyżyny, przy obecnej ul. Centralnej naprzeciwko istniejącej i odnowionej ostatnio bardzo pięknie figury św. Floriana u zbiegu z ulicą Woźniców obok istniejącego do dziś domu p.Wójcików (stoi murowany w zieleńcu al. Pokoju), oraz nieistniejącego już domu państwa Tynorów. Po Księdza do święcenia pokarmów



wysyłana była do parafii w Mogile dorożka konna, lub wózek konny. Jako ciekawostkę podaje, że w tych latach w os. Czyżyny było 40 dorożek konnych na ogólną liczbę 300 w Krakowie. Święcenie dokonywane było tylko jednorazowo o godz. $13^{00}$ lub $14^{00}$. Mimo, że od tych czasów, które teraz opisuje, upłynęła już tak ogromna ilość lat, to doskonale pamiętam atmosferę towarzyszącą tym święceniom. Z niecierpliwością oczekiwały ich dzieci i to te najmłodsze, nie chodzące jeszcze do szkoły, jak i już chodzące szkoły. Na czołowe miejsce wysuwał się oczywiście koszyczek. Kupowało się nowy, lub też szukano starego I odpowiednio go odnawiano, malując lub lakierując, ale zawsze musiał być koszyczek z kolorowym szlaczkiem. Koszyczek musiał być wyścielany i to koniecznie białą i do tego mocno wykrochmaloną serwetką. W koszyczku małym, czy też większym obowiązkowo zawsze musiał być bukszpan z listkami w kolorze ciemno-zielonym. Obowiązkowo zawsze musiał być baranek, obojętnie czy był on z gipsu, cukru, ciasta czy też czekolady. Również w każdym koszyku musiały być jajka gotowane w cebulowych łupinach, chleb, sól, chrzan, kawałek kiełbasy i szynki. Te bardzo pięknie przyozdobione koszyczki, niosły do święcenia ubrane w świąteczne stroje rozradowane i uśmiechnięte dzieci, oraz młodzież, a bardzo małe dzieci prowadziły mamy. Oczywiście wszyscy starali się przybyć do święcenia na określoną godzinę, ponieważ jak pisałem na wstępie święcenie pokarmów w tych latach w Wielką Sobotę dokonywane było tylko jeden raz. W czasie budowy kościoła św. Judy Tadeusza jak również po zakończeniu jego budowy, aż do roku 1951 święcenie pokarmów w Wielkie Soboty odbywały się przed kościołem też tylko jeden raz o określonej godzinie. Przez te lata ksiądz był w dalszym ciągu dowożony z Mogiły. Po wybudowaniu budynku plebani w grudniu 1951 r. Budowniczy kościoła ks. Kanonik J. Zastawniak przeniósł się z plebani w Mogile do plebani w Czyżynach. W następnych latach z uwagi na powiększającą się liczbę wiernych w szczególności w związku z budową bloków mieszkalnych Nowej Huty rozpoczęły się częstsze święcenia pokarmów w Wielkie Soboty.

*Mieczysław Marzec*

***Tekst opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 4 (41)/13 w kwietniu 2002 r.***

## Wspomnienie o I Komunii Świętej

W latach trzydziestych i wcześniejszych, kiedy nie było jeszcze ani kościoła ani parafii w os. Czyżyny, dzieci szkolne przystępowały do I Komunii św. w kościele parafialnym św. Bartłomieja w Mogile. Generalną zasadą było, że do I Komunii św. przystępowały dzieci nie z klas II jak obecnie, lecz dopiero uczniowie i uczennice klas III. Do komunii do roku 1937 włącznie przygotowywał o. Józef Vraćko z klasztoru o. o. Cystersów w Mogile z pochodzenia Słoweniec, który w 1938 r. wyjechał do swej Ojczyzny. Wspomniałem już o nim w moich artykułach w Apostole Czyżyńskim nr 6-8/ 2001, oraz w nr 3/2002 pisząc, że był to człowiek o „gołębim sercu" i niezwykłej cierpliwości. Od 1938 r. do I komunii św. przygotowywał o. Robert Ciszek również z Klasztoru o. o. Cystersów w Mogile. Terminy uroczystości ustalono na okres między Wielkanocą a świętem Bożego Ciała. Dlatego też uroczystości komunijne odbywały się w miesiącu maju jak również w czerwcu. Ksiądz Prałat Siedlecki ze względu na swój wiek (ponad 80 lat) nie przygotowywał do I Komunii, nie uczył religii. Ks. Kanonik Józef Zastawniak uczył religii od czwartej klasy wzwyż. W ten dzień, kiedy uczniowie i uczennice z klas III przystępowali do I komunii św. do komunii przystępowali też oczywiście po uprzedniej spowiedzi uczniowie i uczennice klas od IV do VII. Zbiórki do 1936 r. odbywały się w szkole w Czyżynach i następnie pieszo, wszystkie klasy udawały się do kościoła parafialnego św. Bartłomieja w Mogile. Jak było ładnie i bezdeszczowo, to łąkami, które przecież jeszcze do dziś istnieją, albo obecną al. Jana Pawła II i Klasztorną. Dzieci przystępowały do I komunii nie tak jak obecnie w niedziele lub święto – lecz zawsze I. komunie św. przyjmowane były w zwykłym dniu tygodnia. Różnice występowały również i to istotne jeśli chodzi o uczestnictwo osób w uroczystościach komunijnych. Obecnie do jednego dziecka uczestniczy zazwyczaj kilkanaście, a czasem nawet więcej osób. W tamtych latach w uroczystościach pierwszokomunijnych uczestniczyły w zasadzie tylko matki. Ojcowie nie brali udziału nie mówiąc o rodzicach chrzestnych, czy też bliższych lub dalszych krewnych. Również w przeciwieństwie do dziś kiedy to urządza się duże przyjęcia – w tamtych latach z okazji I komunii św. nie urządzano w rodzinach żadnych, ale to żadnych przyjęć. Uczestnicy uroczystości nie otrzymywali też prezentów poza książeczkami do nabożeństw, czy ewentualnie różańców. Jeśli chodzi o stroje, to chłopcy przystępowali do komunii w białych lub czarnych ubrankach ze świecami w rękach, a dziewczynki w białych sukienkach z lilijkami w rękach. Po komunii robiono grupowe zdjęcia osobno chłopcom i osobno dziewczynkom. Ostatnia I. komunia św. dzieci z klasy III Szkoły Czyżyńskiej odbyła się 18 czerwca 1936 r. w kościele Parafialnym Św. Bartłomieja w Mogile. Załączam zdjęcie z tej uroczystości, które zostało zrobione na przykościelnym placu, co widać po charakterystycznym ogrodzeniu, takim jak i dziś, tj. drewno i daszek z gontów, które otacza kościół św. Bartłomieja przy ul. Klasztornej. Jest nas na zdjęciu 20 chłopców w białych i czarnych ubrankach. Ja byłem w tym dniu jednym z nich, klęczę w białym stroju w pierwszym rzędzie, drugi z prawej (bluza w stylu marynarskim). Siedzący na krzesłach przed nami w środku to właśnie budowniczy kościoła św. Judy Tadeusza i pierwszy proboszcz parafii Ks. Kan. Józef Zastawniak, po jego prawej ręce to właśnie ten wspaniały katecheta o. Józef Vraćko, Słoweniec z pochodzenia, zaś po lewej stronie ówczesny kierownik Szkoły Powszechnej w Czyżynach pan Franciszek Marszałek. Nasza klasa po raz pierwszy na zakończenie otrzymała na tym przykościelnym placu kakao i bułki z masłem.

Pierwsza Komunia Św. z dnia 26. V. 1937 r. odbyła się już w prezbiterium budującego się kościoła św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach. Uczestniczyły w niej tak jak w poprzednich latach dzieci z klasy III. Dzieci zgromadziły się w szkole istniejącej do dziś przy ul. Centaralnej, udając się w kierunku kościoła. Na spotkanie im wyszła „mała procesja" na koniec obecnej ul. Wężyka i wprowadziła je do prezbiterium budującego się kościoła. Katechetą przygotowującym do I komunii po raz ostatni był o. Józef Vraćko, Cysters z Mogiły, który jak już wcześniej wspominałem wyjechał do Słowenii. Wówczas wybudowane było zaledwie prezbiterium, nie było jeszcze ani nawy głównej ani naw bocznych. Otwarte duże drewniane wrota pełniły funkcję drzwi. Komunia ta również odbyła się w zwykłym dniu tygodnia. Po uroczystości dzieci podejmowane były drożdżówkami i kakaem w sali Domu Ludowego.

W następnym roku I Komunia Św. odbyła się w dniu 8. VI. 1938 r. Uroczystość ta odbyła się również w zwykłym dniu tygodnia. Katechetą był o. Robert Ciszek cysters z Mogiły. Drożdżówki i kakao po uroczystości w sali gimnastycznej (największej) w szkole przy ul. Centralnej. Uroczystości w następnych latach odbywały się również w zwykłych dniach tygodnia i albo w miesiącu maju lub w miesiącu czerwcu. O ile mnie pamięć nie myli, sądzę, że uroczyste obchody I komunii św. w niedzielę i zawsze w miesiącu maju pojawiły się dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, a w niektórych kościołach nawet na początku lat sześćdziesiątych. To samo dotyczy też przesunięcia wieku przystępowania dzieci do I komunii św. z klasy III na klasę II.

*Mieczysław Marzec*

***Fragment tekstu opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 5 (41)/11 w maju 2002 r.***



## 42. rocznica śmierci ks. Józefa Zastawniaka

W dniu 15 maja br. minęła 42. rocznica śmierci budowniczego i pierwszego proboszcza kościoła św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach Ks. Kanonika Józefa Zastawniaka. W jubileuszowym „Apostole Czyżyńskim" nr 4/2001 z okazji 50-lecia parafii ukazały się trzy artykuły wspominające Jego wielkie zasługi jako budowniczego i pierwszego proboszcza kościoła św. Judy Tadeusza, a mianowicie:

- Artykuł Ks. Kan. Jana Gwizdonia obecnego Proboszcza parafii „Jubileusz Parafii p. w. św. Judy Tadeusza"
- Artykuł Ks. Rafała Szczurowskiego „Dzieje Parafii"
- Artykuł pani Wandy Powroźnik „Sylwetki Proboszczów w Czyżynach". Również ja w nr 6-8/ 2001, 10/2001, 11/2001,

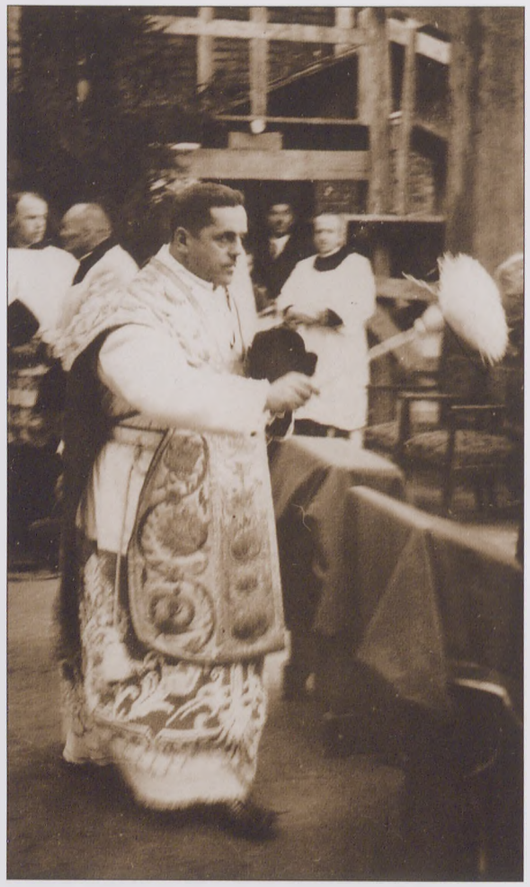

12/200112/2002 pisałem o Nim i wspominałem: poświęcenie placu pod budowę kościoła, poświęcenie i wmurowanie kamienia węgielnego, o Kółku Ministrantów, pierwszej Mszy Św., uroczystości pierwszej procesji Bożego Ciała. Obecnie pragnę przedstawić nie publikowane dotychczas nigdzie, dane Jego życiorysu: daty i miejsca urodzenia, studiów, święceń kapłańskich, pierwszych lat duszpasterskich jako wikariusza przed objęciem probostwa w Mogile, uroczystości 40-lecia kapłaństwa, uroczystości pogrzebowe, załączając unikalne zdjęcia łącznie, ze zdjęciem nagrobka na cmentarzu parafialnym w Mogile.

Józef Zastawniak urodził się 26 września 1893 r. w Gdowie koło Wieliczki w diecezji krakowskiej. Ukończył Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 29 czerwca 1919 r. tj. w dzień Św. Piotra i Pawła w Katedrze na Wawelu z rąk ówczesnego Biskupa Ordynariusza Księcia Adama Stefana Sapiehy. Zdawał ponadto trzy razy specjalistyczne egzaminy „trzyletnie" wszystkie zdane z wynikiem dodatnim. Przez 16 lat, zanim został proboszczem, był wikariuszem w następujących parafiach:

- W okresie od 14.08.1919 do 14.08.1924 r. był wikariuszem w parafii Św. Grzegorza w Ruszczy, obecnie XVIII dzielnica miasta Krakowa
- W okresie od 14.08.1924 do 14.08.1931 r. był wikariuszem w parafii Św. Józefa w Krakowie w Rynku Podgórskim
- W okresie od 14.08.1931 do 14.08.1934 r. był wikariuszem w parafii Najświętszego Salwatora w Krakowie na Zwierzyńcu
- W okresie od 14.08.1934 do 16.08.1935 r. był wikariuszem w parafii Św. Szczepana w Krakowie ul. Sienkiewicza 19.

Na wiosnę 1935 r. umiera długoletni Proboszcz parafii św. Bartłomieja w Mogile Ks. Prałat Wojciech Siedlecki będący równocześnie Dziekanem dekanatu mogilskiego (86 lat życia, 40 lat Proboszcz w Mogile). Dnia 16.08.1935 r. Książe Arcybiskup Metropolita Adam Stefan Sapieha mianował Proboszczem Parafii św. Bartłomieja w Mogile Ks. Józefa Zastawniaka. W zamyśle Księcia Metropolity, Ks. Józef Zastawniak miał być Proboszczem Parafii w Mogile, ale również miał za zadanie, wybudowanie nowego Kościoła w Czyżynach i utworzenie nowej odrębnej parafii. Było to dla Niego bardzo trudne i ciężkie wyzwanie, które na swoje barki w pokorze i z ufnością przyjął i z właściwym Mu zapałem i energią przez szereg lat realizował. Ks. Józef Zastawniak był wspaniałym organizatorem. Posiadał niezwykłą i rzadko spotykaną umiejętność zjednywania wokół siebie ludzi dążących do wyznaczonego celu, którym było wybudowanie nowego Kościoła. Szczegółowe etapy budowy Kościoła Św. Judy Tadeusza i rola w nich Ks. Józefa Zastawniaka były podawane w poszczególnych numerach „Apostoła Czyżyńskiego" z roku 2001 podawanych na wstępie niniejszego artykułu, dlatego też nie będę tu u nich wspominał. Wspomnę natomiast o tych faktach i wydarzeniach, które nie były dotychczas nigdzie podawane, ze szczególnym uwzględnieniem uroczystości pogrzebowych Ks. Kanonika J. Zastawniaka. W uznaniu zasług położonych przy budowie Kościoła Św. Judy Tadeusza, Książę Metropolita Adam Stefan Sapieha w styczniu 1938 r. nadał Ks. J. Zastawniakowi godność Kanonika, stąd też w większe uroczystości nakładał na siebie stosowną pelerynkę kanoniczną. Dekretem Księcia Kardynała Adama Stefana Sapiehy z dnia 15.04.1951 r. erygowana została parafia św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach, a z tym dniem Ksiądz Kan. J. Zastawniak został pierwszym administratorem (proboszczem) tejże parafii. Ostatecznie po wybudowaniu plebani przeniósł się z Mogiły do Czyżyn, na Boże Narodzenie 1951 r. tj. po 15 latach od odprawienia pierwszej Mszy Św., która miała miejsce 25.12.1936 r. Jubileusz 30-lecia Kapłaństwa w czerwcu 1949 r. obchodził Ks. Kan. J. Zastawniak jeszcze w Mogile. Natomiast jubileusz 40-lecia Kapłaństwa obchodził uroczyście w dniu 28 czerwca 1959



już w Kościele i na plebani w Krakowie-Czyżynach. Na tę uroczystość zebrała się cała wspólnota parafialna i bardzo dużo księży. Przy dźwiękach orkiestry zacnemu Jubilatowi życzono błogosławieństwa Bożego w dalszej pracy duszpasterskiej. Dnia 31.03.1960 r. Ksiądz Kanonik na krótko zachorował i nie przychodził do Kościoła. Sprawy kancelaryjne prowadził Ks. Władysław Paciorek pierwszy wikariusz w parafii Św. Judy Tadeusza w Czyżynach. Wikariuszem został od dnia 15.08.1959 r. Dnia 15 maja 1960 r. o godz. $20^{30}$ zasnął w Panu Ks. Kanonik Józef, Zastawniak budowniczy Kościoła Sw. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach oraz pierwszy jej proboszcz, będący równocześnie Vice Dziekanem Dekanatu Mogilskiego. Wiadomość ta okryła żałobą całą wspólnotę parafialną. Bicie dzwonów ogłosiło wspólnocie parafialnej, że jej „Ojciec" nie żyje. Przez 3 dni wierni tłumnie nawiedzali plebanię, aby oddać Mu należny hołd. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniu 18. maja 1960 r. w Kościele Parafialnym Sw. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach. Uczestniczyło w nich 60-ciu księży, ogromna rzesza parafian, przyjaciół i oczywiście członków bliższej i dalszej rodziny. Parafianie przez tak liczny udział okazywali Mu wdzięczność za kościół jaki im zostawił, oraz za trudy jakie w jego budowę włożył. I tak to się złożyło, że w tych uroczystościach pogrzebowych uczestniczył Ekscelencja Ks. Biskup Karol Wojtyła, obecny Papież Jan Paweł II, który prowadził kondukt pogrzebowy pieszo z Kościoła Św. Judy Tadeusza na cmentarz parafialny w Mogile. Warto przy tym zaznaczyć, że dzień pogrzebu 18 maja 1960 był dniem 40-tej rocznicy narodzin ówczesnego od 2-ch lat Biskupa Wojtyły. Kondukt pogrzebowy szedł obecną aleją noszącą Jego imię. Ksiądz Kanonik J. Zastawniak spoczął w głównej alejce cmentarza mogilskiego pomiędzy swoimi poprzednikami Proboszczami parafii mogilskiej, tj. między proboszczem Ks. Leopoldem Siemińskim, zmarłym w 1895 r. i Ks. Prałatem Wojciechem Siedleckim zmarłym w 1935 r. Nad otwartym grobem przemówienie pożegnalne wygłosił mecenas mgr Józef Salwiński, bliski jego współpracownik, o którym wspomniałem w swoim artykule w „Apostole Czyżyńskim" nr 10/2001. W przemówieniu tym powiedział m.in. „Chowamy dziś coś więcej niż ojca, dzisiaj nam nie wypada nic powiedzieć jak tylko Cię przeprosić i to czynimy, a imię Twoje i czyny Twoje głosić będziemy poza wieko trumny". Ja byłem oczywiście uczestnikiem tego niezapomnianego dla mnie pogrzebu. Parafianie w dowód wdzięczności ufundowali Ks. Kanonikowi Józefowi Zastawniakowi tablicę pamiątkową umieszczoną przy wejściu gł. do Kościoła oraz piękny nagrobek na cmentarzu parafialnym w Mogile.

***Mieczysław Marzec***

***Fragment tekstu opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 5 (41)/13 w maju 2002***

## Wspomnienia o szkolnictwie w latach 1929-1939

Obecnie pragnę przedstawić wspomnienia o szkolnictwie obejmujące okres przed budową jak i w czasie budowy kościoła Św. Judy Tadeusza z os. Czyżyny. Na wstępie przedstawiam krótki rys historyczny szkolnictwa w ówczesnej wsi Czyżyny. Początki sięgają II połowy XIX wieku, a mianowicie: 2 maja 1876 r. Cesarsko-Królewska Rada Szkolna Krajowa orzeczeniem nr 4172 postanawia utworzenie szkoły w Czyżynach „jednoklasowej, pospolitej, etatowej". Zlokalizowano ją w środku wsi u włościanina Franciszka Basia. Prawdopodobnie była ona przy obecnej ulicy Woźniców nr 14, gdzie do dziś mieszka rodzina Aleksandra Basia. Powyższe orzeczenie CK Rady ustaliło, że do tej szkoły należą dzieci z Czyżyn i przysiółka Łęgu. Zapisywanie do szkoły szło dość opornie, tak, że do 13 XII 1876 r. Zapisało się tylko 28 chłopców z Czyżyn i 22 dziewczyny. W dniu 13 XII 1876 r. o godz. 7-ej rano odbyła się Msza Św. w kościele parafialnym Św. Bartłomieja, którą odprawił Ks. Kanonik Pietrzykowski. Po 3-ch latach z uwagi, że dotychczasowe pomieszczenie szkolne było bardzo małe dnia 29 III 1879 r. rozpoczęto budowę nowego większego i murowanego już budynku szkolnego na pograniczu Czyżyn i Łęgu przy obecnej ulicy Sołtysowskiej. Budynek wybudowano bardzo szybko, bo już 4 XI 1879 r. W dniu 7 XII 1879 r. został poświęcony, przez Ks. Proboszcza Leopolda Siemińskiego z kościoła parafialnego Św. Bartłomieja w Mogile. Przez 22 lata szkoła ta w dalszym ciągu była szkołą jednoklasową. Reskryptem Rady Szkolnej Krajowej z dnia 15 VII 1901 r. przekształcono ją od dnia 1 IX 1901 r. na szkołę dwuklasową. Nauka w tym budynku szkolnym trwała aż do 1930 r. czyli przez 51 lat. Dnia 2 VII 1929 r. rozpoczęto budową nowej 7-klasowej Szkoły Powszechnej w Czyżynach, w tym miejscu gdzie dziś się znajduje tj. przy obecnej ulicy Centralnej. inicjatorem budowy szkoły był Franciszek Marszałek, który objął obowiązki kierownika szkoły w starym budynku od września 1928 r. Zawiązano komitet budowy. Z prośbą o objęcie protektoratu, przedstawiciele komitetu poprosili Księcia Arcybiskupa Metropolitę Adama Stefana Sapiehę, który protektorat przyjął, oraz ofiarował na budowę nowej szkoły kwotę 10 000 zł. Była to na ówczesne czasy bardzo duża kwota. Budowa przebiegała bardzo szybko, bo już w dniu 22 IX 1930 r. to jest po 14-tu miesiącach odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie nowej szkoły. Poświęcenia dokonał Książę Arcybiskup Metropolita Adam Stefan Sapieha.

W uroczystości tej wzięli również udział m. in. ówczesny Wojewoda krakowski Kwaśniewski, Starosta Powiatowy – Orłowski, przedstawiciele różnych organizacji, członkowie Komitetu Budowy, wójt gminy Czyżyny – Jan Malinowski, dzierżawca dworu i członek komitetu inż. Kazimierz Cieślewicz, oraz bardzo licznie zgromadzeni mieszkańcy Czyżyn i Łęgu no i oczywiście dziatwa szkolna. Budynek projektował inż. architekt Morawiecki. Jego dom stoi do dziś (po odrestaurowaniu) przy alei Jana Pawła II nr 178. Załączam fotografię tego budynku z lat 30-tych. Jak na ówczesne czasy, (co widać również na zdjęciu) był to budynek duży 1-no piętrowy, podpiwniczony na całej długości z ce-

gły, otynkowany, kryty dachówką, posiadający wodociąg. Obok był osobny budynek ustępów szkolnych z osobnym wejściem dla dziewcząt i osobnym dla chłopców (stoi nie używany do dziś). Budynek szkolny posiadał 8 wielkich klas szkolnych, bardzo jasnych w tym największą salę gimnastyczną. Przez całą długość budynku biegły korytarze zarówno na parterze jak i na I piętrze.

W budynku oprócz w/w sal szkolnych była jeszcze mniejsza sala zwana „gabinetem", kancelaria kierownika, oraz jego mieszkanie służbowe i „służbówka" tercjana. Pokój zwany „gabinetem" mieścił się na parterze w ostatniej sali na prawo od głównego wejścia. Znajdowały się w nim m. in. mapy fizyczne i polityczne, globusy, obrazy o treści religijnej z Nowego Testamentu, obrazy o treści historycznej, duże cyrkle, kątomierze, wagi i wiele innych przedmiotów potrzebnych przy omawianiu poszczególnych przedmiotów. W ostatnim pokoju po lewej stronie na I piętrze znajdowała się kancelaria kierownika szkoły Pana Franciszka Marszałka. Z tej kancelarii miał wejście do mieszkania prywatnego. Kierownik Franciszek Marszałek był bardzo dobrym nauczycielem i organizatorem. Był wysokiego wzrostu, szczupły, bardzo elokwentny, co uwidaczniało się zarówno w czasie lekcji jak i w czasie różnego rodzaju uroczystości, akademii, czy też okolicznościowych „poranków". Dbał bardzo o szkołę, o jej wyposażenie, jak już wspomniałem wyżej był inicjatorem budowy tej pięknej 7-klasowej szkoły. Był moim nauczycielem i równocześnie wychowawcą w klasach 6-7. Kierował tą szkołą przez 32 lata w tym przez trudne lata wojny i pierwsze 15 lat PRL-u. Największą salą szkolną była sala gimnastyczna. Było w niej aż 5 dużych okien. Odbywały się w niej lekcje gimnastyki, oraz zajęcia z prac ręcznych – chłopcy oprawiali książki, budowali z dykty różne przedmioty, dziewczęta wyszywały, haftowały itp. Ponadto w tej sali odbywały się szkolne przedstawienia, oraz różnego rodzaju akademie i tzw. poranki z okazji Święta 3-go Maja, Święta Niepodległości 11 listopada, Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego, Prezydenta RP – prof. Ignacego Mościckiego, a w ostatnich latach przedwojennych z okazji Imienin Marszałka Edwarda Śmigłego Rydza. W każdej sali lekcyjnej było podium, a na nim „Katedra". Nad nimi znajdował się krzyż, godło państwowe, portrety: Marszałka J. Piłsudskiego i prezydenta I. Mościckiego. Tablica znajdowała się nie na ścianie, lecz na tzw. „trójnogu".



W salach lekcyjnych były duże piece kaflowe w brązowym kolorze. Chłopcy i dziewczęta siedzieli w osobnych rzędach ławek. Dziewczęta siedziały w rzędzie po lewej stronie od wyjścia, a chłopcy po prawej stronie. Środek sali był pusty. W pierwszych rzędach siedzieli uczniowie najniższego wzrostu aż do najwyższych w ostatnich rzędach. Każdy nowy rok szkolny rozpoczynał się uroczystą mszą św. do września 1936 r. w kościele parafialnym św. Bartłomieja w Mogile, a od września 1937 r. już w nowo budującym się kościele św. Judy Tadeusza w Czyżynach. Rozpoczęcie nauki w każdym dniu odbywało się następująco: wszystkie klasy, które rozpoczynały lekcje o 8-ej rano zbierały się na parterze i wspólnie odmawiały modlitwę „Duchu Święty, który oświecasz serca nasze i umysły nasze..." (cytuję początek). Na koniec ostatniej lekcji w każdej klasie była odmawiana następująca modlitwa „Dzięki Ci Boże za świętość tej nauki..." (cytuję początek). Na lekcjach śpiewu, uroczystych akademiach i porankach śpiewano piosenki żołnierskie, przede wszystkim legionowe na cześć Marszałka J. Piłsudskiego jak np.: Pierwsza Brygada; Legiony to; Pierwsza Kadrowa; Jedzie, jedzie na kasztance, siwy strzelca strój; Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały; Maszerują strzelcy; Nie noszą lampasów; Rozkwitały pęki białych róż; Piosnka o Belinie; Hej, hej ułani, malowane dzieci; Jak to na wojence ładnie; O mój rozmarynie rozwijaj się. W latach 1937-1939 śpiewano piosenki o marszałku Edwardzie Rydzu-Śmigłym a mianowicie: My wszystkie dzieci małe i duże oraz Marszałek Śmigły Rydz nasz drogi dzielny Wódz. Przy budynku szkolnym było bardzo duże podwórko, od strony ulicy otoczone akacjami. Na wiosnę, w lecie i we wczesnej jesieni odbywały się na nim lekcje gimnastyki, oraz wszelkiego rodzaju „zbiórki". W czasie przerw, a zwłaszcza w czasie dużej przerwy służyło do wszelkiego rodzaju zabaw i gier. W szkole w tych latach trzydziestych funkcjonował sklepik szkolny. Obsługiwali go najlepsi uczniowie najstarszych roczników. Uczniowie kupowali w nim: zeszyty, bloki szkolne, ołówki, stalówki, farbki, gumy do wycierania itp. Utarg oddawali kierownikowi szkoły Panu Marszałkowi. Przez 2 albo 3 lata wydawano dla najbiedniejszych dzieci ciepłe posiłki, kawę, pieczywo. Był komitet złożony z matek dzieci, które zajmowały się tymi posiłkami. Istniał samorząd klasowy z wójtem na czele. Lekcje religii w tych latach prowadzili:



O. Józef Vraćko – cysters z Mogiły, w numerze 6-8/2000 wspominałem, że uczył mnie w klasach 1-3 i przygotowywał do I komunii św. w 1936 r. Z kimkolwiek o nim rozmawiam wszyscy wspominają go jako człowieka o „głębokim sercu" i niezwykłej cierpliwości.

Ks. Kanonik Józef Zastawniak – proboszcz i budowniczy kościoła św. Judy Tadeusza, oraz

O. Robert Ciszek – również cysters z Mogiły.

Grono pedagogiczne w tych latach stanowili:

Franciszek Marszałek – kierownik szkoły, mój wychowawca w kl. 6-7

Kazimiera Marszałek – żona kierownika, nauczycielka

Zofia Dzióbek – najstarsza stażem w szkole

Kazimiera Maciaszek – wspaniała polonistka, jej uwagi z nowej ortografii wprowadzone w 1936 r., pamiętam do dziś,

Stanisław Dudek – uczył śpiewu, robót ręcznych, gimnastyki, mój wychowawca w kl.5

Jadwiga Dudek – żona Stanisława, uczyła jeszcze przed małżeństwem jako Jadwiga Wojewodzianka, moja wychowawczyni w kl. 3-4

Karolina Nowotarska – moja wychowawczyni w kl. 1-2, wspominam ją z rozrzewnieniem, bo była moją pierwszą nauczycielką.

Józefa Dynowska – zwiedziła wiele krajów, o których wspominała na geografii

Maria Knapik – mnie nie uczyła

Helena Hawrankowa – również mnie nie uczyła.

W latach 1938 – 1939 była w szkole wypożyczalnia książek. Prowadził ją kierownik Pan F. Marszałek. W styczniu 1939 r. oddano do użytku szkoły 4-ro lampowy radioodbiornik wraz z głośnikiem zakupionym z zysku powstałego po zabawie. Głośnik umieszczony był na półpiętrze. Dzieci gromadziły się na parterze, schodach z parteru na I piętro i I piętrze. Chłopcy nosili na głowach czapki tzw. „rogatywki" z daszkiem. Na górze czapki były litery SP, co oznaczało Szkołę Powszechną, oraz cyfrę od 1 do 7 w zależności, do której klasy uczęszczał dany uczeń. Na zakończenie pragnę jeszcze podać, że w tych latach trzydziestych urządzane były wycieczki do Krakowa, gdzie zwiedzano: zamek Królewski i katedrę na Wawelu, muzeum w Sukiennicach, muzeum Czartoryskich. Wycieczki odbywano pociągiem, który jeździł obecną Al. Jana Pawła II, ulicą Mogilską do rzeki Białuchy, skąd trasa pociągu prowadziła na dzielnicę Dąbie i Grzegórzki dojeżdżając do obecnego Dworca głównego. Odbywały się też wycieczki kolejowe do kopalni soli w Wieliczce.

Mimo, że od czasu mojego uczęszczania do tej szkoły upłynęło ponad 60 lat, od początku nauki już nawet 69 lat to zawsze z wielkim rozrzewnieniem i wzruszeniem wspominam te lata. Wspominam ciepło ówczesnych nauczycieli, którzy od dawna już nie żyją, ale pozostali w mej pamięci. Ilekroć idę ul. Centralną lub jadę Al. Pokoju to zawsze kieruje wzrok do tej szkoły. Do ówczesnego budynku w następnych latach dobudowano 2 nowe segmenty i połączono z ówczesnym Domem Ludowym, tworząc w ten sposób całość 4-ro segmentową jako Szkołę Podstawową nr 156w Krakowie, której słusznie z uwagi na zasługi w dniu 24 X 1992 r. nadano imię Księcia Kardynała Adama Stefana Sapiehy.

*Mieczysław Marzec*

***Tekst opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 3 (41)/9 w marcu 2002 r.***

## Dodatkowe wspomnienia o Szkole Powszechnej w Krakowie-Czyżynach

W nr 3/2002 r. „Apostoła Czyżyńskiego" napisałem wspomnienia o szkolnictwie w latach 1929-1939 obejmujące okres przed budową jak i w czasie budowy Kościoła św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach. Na wstępie tych wspomnień nakreśliłem krótki rys historyczny szkoły sięgając aż do jej początku tj. do 2 V 1876 r. Głównym tematem tych wspomnień był jednak okres szkoły w latach 1929-1939. Przy końcu tego artykułu wspomniałem o wycieczkach organizowanych do Krakowa z wymienieniem zwiedzanych zabytków oraz, że odbywano również wycieczki do kopalni soli w Wieliczce. Dodatkowo obecnie podaję, że odbywano również wycieczki do Ojcowa. Jako bardzo charakterystyczną ciekawostkę podaje, że jedną z nich odbyto wozem drabiniastym (takim jakim woziło się zżęte zboże) oraz wózkiem konnym co widać na załączonych 2-ch fotografiach.

Aby ocalić od zapomnienia i dać świadectwo prawdzie po dłuższym zastanowieniu doszedłem do wniosku, aby dodatkowo przedstawić jeszcze niezmiernie trudny, a może nawet najtrudniejszy rok szkolny 1939-1940. Chcę, aby ludzie młodsi, młodzież i dzieci obecnie uczęszczające do tej szkoły (ale nie tylko oni) dowiedzieli się o tym jak to przed 63 laty ówczesne dzieci odbywały wówczas naukę. W latach do 1939 r. zasadą było, że rok szkolny tak jak i obecnie rozpoczynał się 1 września (oczywiście o ile to nie była niedziela). Dzień 1 IX 1939 r. przypadł w piątek, czyli powinien się rozpocząć rok szkolny. Niestety nie rozpoczął się. Jak bowiem wiadomo, w tym dniu Niemcy hitlerowskie napadły zbrojnie na Polskę i rozpoczęła się straszliwa w skutkach II Wojna Światowa, trwająca prawie 6 lat. Większość miast polskich w tym oczywiście i Kraków zostało w tym I dniu wojny bombardowane przez lotnictwo niemieckie już we wczesnych godzinach rannych (5[30]). Mieszkańcy dzielnicy Czyżyny z uwagi na to, że lotnisko było wówczas w Czyżynach i Rakowicach już w tym pierwszym dniu wojny ponieśli śmiertelne ofiary. Dzisiaj, po 63 latach, słyszę jeszcze ten straszliwy warkot lecących bardzo nisko samolotów, wybuchy zrzucanych bomb i widzę nas przerażonych skutkami bombardowań. Byli oczywiście zabici i ranni m. in. zabity mój wujek i ranny brat, który do dziś nosi w sobie nie usunięte odłamki. Uszkodzonych zostało



kilka domów. Na obecnej al. Jana Pawła II zabitych zostało kilkunastu żołnierzy. Oczywiście o rozpoczęciu nauki nie było mowy. W tych pierwszych dniach pamiętnego września, część mieszkańców Krakowa i Czyżyn (jak i innych miast) opuszczało domostwa udając się na Wschód; w tym również ówcześni nauczyciele. Wojska niemieckie wkroczyły do Krakowa w dniu 6 IX 1939 r.. W tym samym dniu budynek szkoły w Czyżynach został zajęty od razu przez wojsko niemieckie. Po kilkunastu dniach wojsko opuściło budynek szkoły i w międzyczasie zaczęli też powracać ci mieszkańcy Czyżyn, którzy opuścili domostwa w tym zaczęli też stopniowo powracać i nauczyciele. W związku z tym nauka w szkole rozpoczęła się dopiero w dniu 21 IX 1939 r. I to jeszcze nie we wszystkich klasach z uwagi na to, że nie wszyscy nauczyciele zdążyli powrócić. W tym dniu nauczanie rozpoczęły 2 nauczycielki, panie: Jadwiga Dudek i Kazimiera Maciaszek w klasach II-V. W dniu 26 września nauczanie rozpoczął kierownik szkoły pan Franciszek Marszałek, oraz jego żona Kazimiera, w dniu 28 września rozpoczął nauczanie pan Stanisław Dudek, a w dniu 3 października Helena Hawrankowa i Maria Knapik. Pierwsze oficjalne zarządzenie niemieckich władz okupacyjnych otrzymała szkoła w dniu 13 X 1939 r. Było to zarządzenie Landrata (czyli starosty) krakowskiego dr Spiesbacha. Zgodnie z tym zarządzeniem władze zezwalały na uruchomienie szkół powszechnych z polskim językiem nauczania. Równocześnie zarządzenie to zabraniało nauczania historii polskiej, geografii politycznej, oraz nauk politycznych. Wprowadzało obowiązkowo udzielanie lekcji języka niemieckiego. Kolejne zarządzenie Landrata z dnia 16 XII 1939 r. polecało usunąć ze szkoły wszystkie dzieci żydowskie. Do szkoły w Czyżynach uczęszczało wówczas 2 uczniów żydo-wskiego pochodzenia. Byli to bracia o nazwisku Wohlfeiler. Ojciec ich miał masarnie w nieistniejącym dziś budynku przy ul. Jutrze-nki. Starszy z braci Leopold chodził razem ze mną do tej samej klasy przez ponad 6 lat. Został zamordowany. Był dobrym uczniem. Zarządzenie to nakazywało usunięcie ze szkół wszystkich podręczników do nauki będących w posiadaniu zarówno uczniów jak i nauczycieli. Przedmiotowe zarządzenie polecało usunąć wszystkie godła i portrety dostojników polskich, znajdujące się w salach szkolnych. Książki z biblioteki szkolnej, dzieci i nauczycieli zostały zamknięte w szafach i opieczętowane. Nauka odbywała się bez książek. 16 III 1940 r. przybyło na kwaterę do tutejszej szkoły wojsko niemieckie zajmując wszystkie sale szkolne na parterze budynku, oraz jedną salę na I piętrze. W związku z powyższym nauka odbywała się w zmniejszonej ilości w 3 kompletach po 3 godziny dziennie tak, aby chociaż w zmniejszonej ilości mogli się uczyć uczniowie z wszystkich klas od I do VII. Rozporządzeniem Generalnego Gubernatora Hansa Franka z dnia 18 IV 1940 r. usunięto ze szkół powszechnych naukę języka niemieckiego. Pozostała ona obowiązkowa w szkołach zawodowych różnego typu. Jak wiadomo okupant niemiecki nie zezwalał na naukę w gimnazjach, liceach i szkołach wyższych.

Tymi wspomnieniami chciałem chociaż w krótkim zarysie przedstawić w jakich warunkach przyszło się nam uczyć w tym wyjątkowo trudnym roku szkolnym 1939/1940, który był zarazem pierwszym rokiem wojny. Zakończenie tego wyjątkowo trudnego roku szkolnego odbyło się w dniu 30 VI 1940 r. Po nabożeństwie w budującym się



kościele św. Judy Tadeusza uczniowie i uczennice otrzymali świadectwa szkolne z tekstem dwujęzycznym tj. w języku polskim i języku niemieckim. Uczennice i uczniowie klasy VII, do której ja wówczas uczęszczałem otrzymali świadectwo ukończenia VII klasowej Szkoły Powszechnej. Razem ze mną ukończyła w tym dniu szkołę Maria Miechowicz, która jako mężatka Maria Pasternak przez długie lata była nauczycielką w tej szkole. Swoje wspomnienia o szkolnictwie powszechnym, czyli jak się to dzisiaj mówi podstawowym kończę na 30 VI 1940 r. Wtedy to zostałem absolwentem tej szkoły. Niemniej na zakończenie pragnę podać jeszcze kilka ważniejszych wydarzeń z dziejów tejże szkoły a mianowicie:

- w czerwcu 1941 r. dotychczasowa wieś Czyżyny zostaje włączona do miasta Krakowa, szkoła staje się szkołą miejską;
- w latach powojennych szkole zostaje, nadany nr 52 i jako taka istnieje przez szereg lat;
- w 90-lecie istnienia szkoły 18 VI 1967 r. nadano jej imię Marii Dąbrowskiej, autorki słynnych „Nocy i Dni";
- w 1973 r. tragiczna dla szkoły decyzja władz miasta i dzielnicy, następuje bowiem likwidacja szkoły. Budynek szkoły oddano Zakładowi Remontowo-Budowlanemu „Oświata". Dzieci młodszych klas mają uczęszczać do szkoły na os. Dąbie, a starszych klas do szkoły nr 103 na os. Kolorowym;
- część mieszkańców osiedla podejmuje długo trwające starania o przywrócenie szkoły z uwagi na to, że wzrosła bardzo znacznie liczba dzieci w nowych blokach przy ul. Wężyka, Centralnej, Narciarskiej; powstają nowe domy jednorodzinne. Zawiązuje się Komitet Rozbudowy Szkoły. Szereg osób podejmuje bezinteresownie pracę fizyczną przy rozbudowie. W księdze pamiątkowej szkoły znajdują się nazwiska osób szczególnie zasłużonych przy rozbudowie i wznowieniu działalności szkoły;
- starania zostają uwieńczone sukcesem 2 III 1991 r. Następuje ponowne przywrócenie szkoły, początkowo dla najmłodszych klas;
- dnia 1 IX 1992 r. szkoła otrzymała nr 156 i rozpoczęła normalną działalność;
- 24 X 1994 r. nadano szkole słusznie imię Ks. Kardynała Adama Stefana Sapiehy. Poświęcenia tablicy pamiątkowej dokonał w zastępstwie Ks. Kardynała Franciszka Macharskiego – ks. Biskup Kazimierz Nycz.

***Mieczysław Marzec***

***Tekst opublikowany w „Apostole Czyżyńskim" nr 4 (41)/11 w kwietniu 2002 r.***



*Podwórko szkoły w Czyżynach 1931/1932 (?)*
*Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej – członkowie i mieszkańcy Czyżyn nad emblematem KSMM.*
*Jan Zbroja, Wojciech Tyrka, ks. Ciesielski, Piotr Tynor, ks. Józef Fračko, wójt Jan Malinowski, Jan Hajto, Kazimierz Tynor (w głębi), Kalinowski, (?), Zofia Broś*
*Stojąca grupa w białych koszulach: Jan Tynor „kowal", Władysław Zbroja, poniżej to: Władysław Hajto, Stanisław Królikowski, Wawrzyniec Radoszek, po lewej stronie emblematu siedzi wśród dzieci Kazimierz Bochenek.*
*Stoją po prawej u góry; najwyższy Józef Salwiński – adwokat, poniżej m.in. Stanisław Ciepiela, Stanisław Czernek, w grupie dzieci po lewej w czapce: Władysław Bujak (piłkarz),po prawej drugi od prawej Andrzej Radoszek.*

## Wspominam...

piękne, słoneczne i ciepłe dni wrześniowe, chłodne już noce a nawet poranne przymrozki, biały szron na trawach, pojawiające się tu i ówdzie wśród żywej jeszcze zieleni barwy żółtawe i czerwone. Jesień, polska złota jesień... Dojrzałe owoce krzewów i drzew, paleta barw nasturcji, maciejki mocny zapach, lwiej paszczki jedwab, floksy, ogrodowe malwy tak nieodłączne dla obrazu wsi. Czerwień jarzębiny, spadające żołędzie przydrożnego dębu i orzeszki buku. Dojrzałe kasztany i skrzydlaki klonów. Żółtawe liście wiązów i bogactwo owoców śliwek, jabłek i grusz.

Coraz bardziej opustoszałe pola i czerń żarłocznych kawek i wron na świeżych skibach roli i trzymającego pług rolnika. Cichnący śpiew rodzimego ptactwa. Nie widać już rozdzierających niebo błyskawic, nie słychać niebieskich armat – piorunów, chociaż

*jesienne słońce pnie się do góry*
*po bladym nieba błękicie,*
*i wiatr jesienny napędza chmury,*
*co płyną deszczem obficie.*

Wspominam mroźną, najmroźniejszą w moim życiu zimę 1928 roku. Mróz osiągnął skalę do 40§ poniżej zera. Życie jakby zamarło. Masowo ginęło ptactwo, zwłaszcza małe sikorki. Wróble, te najbardziej „nasze" ptaki, trzymały się domostw, podkradając się do stodół. Szare kuropatwy i szukające resztek mierzwy końskiej czubate dzierlatki. Za wsią, na polach piękne kolorowe szczygły uwijające się na ostach. Arcydzieła artysty mrozu na szybach zmarzniętych okien. Zmarznięte postacie odrabiających „szarwark", uchodzący za resztkę staropolskiej pańszczyzny, odgarniają śnieg na zasypanych drogach.

Wspominam budzącą życie wsi – wiosnę. Każdy z nas przeżywa ją na swój sposób. Mieszczę tu ośmiowiersz, bo nie sposób opisać jej piękno, gdy

*zabrzmi wieś wiosennym śpiewem,*
*okryje się zielenią świeżą,*
*zaszumi wiatr wiosennym powiewem,*
*zza mórz, wędrowne ptaki bieżą*

*skowronek zawisł na błękicie*
*i pieśń radosną wiosny śpiewa,*
*już wiosna nowe budzi życie,*
*nadzieję w serca ludzkie wlewa.*

Wspominam wreszcie poezję natury każdego spośród przeżytych tu lat mojego dzieciństwa i młodości.

Łąki... wspaniały kobierzec zieleni złocącej się kwitnącymi kaczeńcami wyznaczającymi liczne strumyki i podmokłe zastoje wody. Połać bladoróżowej rzeżuchy, błotnistej niezapominajki, żółtych jaskrów, czerwonawych szczawiów, liliowych dzwonków i chabrów łąkowych...

Rozliczne kępy olszyny, świeża zieleń płaczących wierzb, donośny krzyk czajek, dostojny krok białego bociana, zryw kuropatw i kicanie zająca – to niepowtarzalny obraz nieuprawianej ludzką ręką , w którą wkraczał człowiek tylko na sianokosy lub na letni spacer.

Wspominam srebrzystą rosę poranną na jaśminie i bzach, na białych i pąsowych piwoniach, żółtawo-liliowych irysach biało-różowych stokrotkach, jaskrawą czerwień maków, błękit chabrów i purpurowo-liliowy kąkol w łanach zbóż. I pnący się biały i różowy powój. Przebogaty dar przyrody tej ziemi...

Wspominam ścigający lot czarno-białej jaskółki, majestatyczny, jakby leniwy kolisty, zniżający się ku ziemi lot bociana, rytmiczny, głośny stuk pracowitego pstrego dzięcioła, głos kukułki. Ciszy wieczoru akompaniujące rechotanie żab i nocne pohukiwanie sowy ukrytej w dziupli starej wierzby.

Szczekanie łańcuchowego czworonoga, stróża zagrody.

Wspominam żółte światła naftowych lamp w oknach domów.

xxx

Zabrzmi to jak tren, ale tren najsłuszniej przystoi wsi o nazwie Czyżyny! Całe ich piękno zduszone zostało na zawsze przez beton i stal. Zasnute zabijającym naturę czarnym dymem kominów i ziejącym nieustannym ogniem martenowskich pieców.

Dostojne wiekiem Czyżyny, wieś mojej młodości, przeszła w otchłań dziejów – pozostała tylko we wspomnieniach...

***Stanisław Suder***

***Fragment książki: „Czyżyny – wieś moich wspomnień", Kraków, Wydawnictwo OPAL PG, 1993 r.***



*Walenty Adamczyk z Luborzycy, lata 60. XX w.*



## Z przeszłości Grębałowa

### I Wojna Światowa

W listopadzie 1914 r. Grębałów został całkowicie zburzony przez wojsko austriackie w celu oczyszczenia przedpola przed fortem wobec spodziewanego z tej strony natarcia wojsk rosyjskich. Już od sierpnia tr. – jak zanotował F. Twaróg – „ludność żyła pod ustawiczną grozą ewakuacji, zburzenia i poborów wojskowych" [1]. Jednakże decyzję w tej sprawie (Demolitionsbefehl) podjęto dość późno, co przydało dodatkowych utrudnień i strat i tak już udręczonym mieszkańcom; zostali oni wysiedleni i rozproszeni po rozmaitych miejscowościach głównie wewnątrz pierścienia obronnego twierdzy. Późniejszy kierownik Szkoły w Luboczy podkreślał w swej kronice, że „Ze względu na krótki termin pozostawiony przez władze wojskowe ludność uciekała bezładnie, zabierając ze sobą najniezbędniejsze rzeczy i środki żywności. Nie mając paszy i umieszczenia dla bydła pozbywali się tut. rolnicy inwentarza żywego za marną cenę. Bardzo znaczną ilość zarekwirowało wojsko. Mieszkańcy wyjechali do gmin podmiejskich: Dąbia, Grzegórzek, Czyżyn, Rakowic, i innych w sąsiedztwie nie ewakuowanych [...]. Budynek szkoły w Luboczy został zajęty przez oddziały wojska i żandarmerii".[2] Jak wynika z dalszego ciągu „Kroniki", budynek ten został poważnie zdewastowany. Z tego samego źródła dowiadujemy się też szczegółów akcji przygotowania przedpola: „burzono stodoły, stajnie, domy, wycięto drzewa owocowe i dzikie. Nie szczędzono też płodów pozostawionych w stodołach, strychach i piwnicach, rekwirując do użytku wojska".

Podobny los spotkał wiele innych miejscowości w otoczeniu twierdzy Kraków; oprócz Grębałowa zostało zniszczonych całkowicie 9 wsi. Były to Boleń, Bosutów, Olszanica, Pękowice, Węgrzce, Zesławice, Rząska, Krzyszkowice i Bielany. Natomiast częściowo zniszczono 22 wsie a spośród nich w bliższym i dalszym sąsiedztwie Grębałowa były to Batowice, Lubocza, Kantorowice, Mistrzejowice i Zielonki[3].

Przygotowania do obrony twierdzy Kraków, mimo tak dramatycznych konsekwencji dla ludności Grębałowa okazały się już wkrótce uzasadnione, bo obszar wsi stał się polem bitwy. Wojska rosyjskie zajęły prawie całą wschodnią i środkową Galicję, armia austro-węgierska zmuszona była opuścić stolicę Galicji Lwów, a następnie poddać też twierdzę Przemyśl. Oddziały rosyjskie dotarły na przedpola twierdzy Kraków i zajęły na kilka dni Wieliczkę. Na drugim brzegu Wisły inna armia rosyjska atakowała twierdzę Kraków od strony północnej i północno-wschodniej. Tu broniła się I armia wzmocniona przez 45 dywizję piechoty i 106 dywizję piechoty pospolitego ruszenia. Dnia 12 listopada w twierdzy Kraków zainstalowała się komenda IV armii, a 16 listopada wojska austriackie rozpoczęły kontratak na północ i północny-wschód; 18 i 19 listopada 6 batalionów tych oddziałów dowodzonych przez gen. majora Schwarza atakowało w rejonie Sulechowa i Dojazdowa. 22 listopada inne oddziały dowodzone przez gen. majora Rochetta pod Węgrzcami odpierały silny nacisk napierającego nieprzyjaciela. 26 i 27 tm. oddziały tych generałów wycofały się do twierdzy. 30 listopada nieprzyjaciel postępując od wschodu i północy rozpoczął w godzinach popołudniowych ostrzał artyleryjski warowni Dłubni i Krzesławic. Na co warownie te, a także Grębałów odpowiadały ogniem ze swoich dział; ostrzały wzmocnione były przez baterie ruchome z tych fortów. Walka artyleryjska trwała do 5 grudnia; kontratak wojsk austro-węgierskich z 2 grudnia zakończył się sukcesem. Kolejny wypad 110 i 35 brygady piechoty pospolitego ruszenia dotarł do stacji kolejowej Kocmyrzów, następny kontratak miał miejsce 5 grudnia – 106 dywizja piechoty pospolitego ruszenia osiągnęła wzgórza położone na północ od Kocmyrzowa. Cenną pomoc w tych walkach oddał pociąg pancerny. Ponieważ niebawem walki skoncentrowały się na południu od Wisły aż do Limanowej nieprzyjaciel cofnął się na wszystkich frontach w nocy z 14 na 15 grudnia. Tak więc niebezpieczeństwo zagrażające twierdzy Kraków zostało zażegnane, a później kwietniowa ofensywa mocarstw centralnych rozpoczęta pod Gorlicami doprowadziła do całkowitego załamania się frontu rosyjskiego i przesunięcia go aż do Galicji wschodniej i na daleki Wołyń[4].

Mimo, że sytuacja na przedpolu fortu grębałowskiego była już spokojna, władze wojskowe nadal nie pozwalały na powrót mieszkańców do zniszczonej wsi. W Luboczy, gdzie zburzono 47 domostw, jej ludność wróciła po 5 miesiącach tzn. w kwietniu 1915 r. próbując na nowo zorganizować sobie siedziby, na razie prowizoryczne. Znacznie gorsza była sytuacja Grębałowa, który zniszczono w taki sposób, że – jak pisał F. Twaróg – „wieś ta prawie przestała istnieć". Jak wynika z zapisu w Kronice parafii w Pleszowie, jeszcze w 1916 r. wojsko stawiało przeszkody mieszkańcom Grębałowa, którzy chcieli wrócić do swoich domostw. A jednak Grębałowianie wracali, jak stwierdzał pleszowski proboszcz: „chociaż wojsko nie pozwala, mimo to stawiają sobie lepianki z ziemi, rodzaj chlewików, piwnice i tam mieszkają" [5].

Niebawem mieszkańcy zniszczonych wsi zaczęli występować o odszkodowanie za poniesione straty. Indywidualne starania należy rozpatrywać w szerszym kontekście, ponieważ już na początku marca 1915 r. zawiązał się w Krakowie Obywatelski Komitet Odbudowy Wsi i Miast. Z jednej strony przygotowywał plany odbudowy zburzonych miejscowości[6], z drugiej zaś zaczął wywierać presje na władze, aby nie tylko przystąpić do odbudowy ale także uzyskać odszkodowania za zniszczenia. Nie było to łatwe, władze chciały bowiem prowadzić odbudowę na zasadzie „pożyczek rządowych". Tymczasem Obywatelski Komitet stał niezmiennie na stanowisku konieczności bezzwłocznej wypłaty świadczeń na zasadzie „odszkodowań wojennych"[7]. Zestawiono je w specjalnej broszurze Świadczenia i odszkodowania wojenne, wydanej w Krakowie w 1916 r. Różnorodne zabiegi i wysiłki Komitetu trwały aż do końca wojny, bo przegrywające ją i rozpadające się Cesarstwo Austro-Węgierskie nie kwapiło się z wypłatą odszkodowań[7].

Na innym poziomie takie starania czynił ówczesny dzierżawca Grębałowa Józef Cieślewicz, który w kolejnych pismach do Kapituły zwracał się o jej wsparcie w swych zabiegach u władz wojskowych, które zarekwirowały grębałowski folwark[8].

**Okres międzywojenny**

Zorganizowana odbudowa mogła ruszyć dopiero po odzyskaniu niepodległości. W latach 1918-1920 rekonstrukcją zniszczonych wsi kierował znany krakowski architekt Wacław Krzyżanowski (1884-1954), który był inspektorem odbudowy kraju, a następnie dyrektorem robót publicznych dla odbudowy w Krakowie. Odbudowano wówczas w okolicy około 500 domów zaprojektowanych w formach regionalnych[9].

Po zakończonej odbudowie Grębałowianie postawili na środku wsi kapliczkę Matki Boskiej, prawdopodobnie w roku 1923; przed nią odprawiane były nabożeństwa majowe a także w Wielką Sobotę święcone były pokarmy[10].

Mimo trudnej po wojnie sytuacji materialnej, pojawiła się w 1922 r. idea urządzenia własnej szkoły w Grębałowie, ponieważ szkoła w Luboczy stawała się za ciasna. Odstąpiono jednak od tego pomysłu z uwagi na szczupłość środków. W zamian zobowiązano się pomóc w staraniach kierownika szkoły o wynajem trzeciej sali lekcyjnej[11]. Szkoła w Luboczy im. Stanisława Konarskiego działała w trudnych warunkach, często brakowało pieniędzy na opał i inne konieczne wydatki. Była jednak ośrodkiem starającym się podnieść poziom oświaty i kultury mieszkańców obydwu wsi nie tylko poprzez nauczanie, ale także przez organizowanie różnych zespołów oraz kursów. Trudno stwierdzić w jakim stopniu brała w tym udział młodzież z Grębałowa, wiadomo tylko o uczestnictwie dziewcząt z tej wsi w kursie gotowania zorganizowanym na wiosnę r. 1937 przez nauczycielki Teresę Twarogową i Feliksę Galiszkiewicz. Szkoła urządzała także ceremonie z udziałem ludności obydwu wsi jak poświęcenie szkolnego sztandaru 6 maja 1934 r. bądź organizowała uczestnictwo z uroczystościach państwowych, jak wizyta prezydenta Ignacego Mościckiego w Pleszowie (27 lipca 1929)[12]. Natomiast inicjatywą lokalną było założenie w latach trzydziestych orkiestry, w której grali mieszkańcy Grębałowa.

W latach dwudziestych i trzydziestych wieś Grębałów powiększyła swój areał wskutek częściowej parcelacji i odsprzedawania działek ziemi przez Kapitułę. W ten sposób chłopskie pola doszły do dzisiejszej ulicy Głębinowej. Jednakże uprawa ziemi nie mogła zapewnić utrzymania mieszkańcom wsi, poszukiwali więc pracy poza rolnictwem. Jednak zaledwie kilku z nich pracowało na kolei, czy poczcie, nieco więcej na rozmaitych budowach, np. Fabryki Wyrobów Tytoniowych w Czyżynach w latach 1935-1938. Równocześnie kobiety były zatrudniane podczas prac polowych w majątku dzierżawionym do 1937 roku przez J. Cieślewicza[13].

**II Wojna Światowa**

W czasie drugiej wojny światowej, mieszkańcy Grębałowa, jak wszyscy Polacy, egzystowali w warunkach terroru, niepewności życia i skrajnego niedostatku; starsi Grębałowianie pamiętają jeszcze dotkliwy brak chleba w r. 1941.

Wielu mieszkańców wsi stało się ofiarami tej wojny, uczestnictwo w kampanii wrześniowej przypłacili śmiercią lub pobytem w obozach jenieckich. Zginął na wojnie Jan Przeniosło, w Katyniu został zamordowany por. Antoni Łach. W obozie oświęcimskim śmierć ponieśli: Aniela Walczak, Szymon Podobiński, a także Irena Oliwa, nauczycielka Szkoły w Luboczy. W innych okolicznościach zginęli Władysław Kot, Piotr Pazdalski, Józef Podobiński, Antoni Przeniosło, Józef Ślęzak i Stefan Wróbel.

Zagrożeniem innego rodzaju były wywózki na roboty przymusowe do Niemiec, a także obowiązek kontyngentów żywnościowych.

Ludność żyła pod presją terroru, zwłaszcza, że w pobliskim forcie krzesławickim dokonywane były masowe egzekucje. W latach 1939-1941 stracono tu ogółem 440 osób, przywożonych z krakowskich więzień. Pierwsza egzekucja miała miejsce już w październiku 1939 r.[14] Również nad samym Grębałowem zawisła groźba pacyfikacji, gdy w pociągu kocmyrzowskim postrzelono dwóch „Bahnschutzów". Dnia 28 stycznia 1944 r. na wzgórzu obok drogi prowadzącej do Grębałowa hitlerowcy zamordowali 80 Polaków przywiezionych tu z więzienia na Montelupich, następnie ciała ich zostały wywiezione w niewiadomym kierunku. Miejsce to zostało upamiętnione; jeszcze w czasie wojny symbolicznym grobem ziemnym i krzyżem[15], ostatnio zastąpionym granitowym pomnikiem odsłoniętym 19 czerwca 1995 r.

W czasie wojny wieś objęta była działalnością podziemnych organizacji Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. W jesieni 1944 r. po klęsce powstania warszawskiego schroniło się w Grębałowie kilkudziesięciu mieszkańców stolicy.

**Okres najnowszy**

Okres po 1945 r. przyniósł wielkie zmiany, niektóre z nich były spowodowane czynnikami zewnętrznymi, inne miały własny grębałowski rodowód. W pierwszej grupie należy wymienić budowę kombinatu metalurgicznego rozpoczętą 24 lutego 1949 r. na terenach między Mogiłą i Pleszowem. Później miasto zbliżyło się do wsi a następnie ją zagarnęło, gdy 18 stycznia 1951 r. teren dzielnicy Nowa Huta włączono do Krakowa i w ten sposób Grębałów stał się wiejskim osiedlem w obrębie podwawelskiego grodu.

Bezpośrednią konsekwencją budowy kombinatu był nie tylko fakt, że większość mieszkańców Grębałowa znalazła tam zatrudnienie, ale też powiększyła się liczba jego ludności przez przesiedlenia w latach pięćdziesiątych z terenów zajętych pod budowę kombinatu i miasta Nowa Huta (z Bieńczyc, Krzesławic i Luboczy). Ludność ta została osadzona na części byłych pól dworskich, usytuowanych po południowej stronie kocmyrzowskiej drogi i linii kolejowej.

Dodać tu trzeba, że majątek Kapituły dzierżawiony w latach 1937-1948 przez znaną firmę hodowli roślin Freege, przejęty został przez państwo w 1950 r. Cała duża część ról uprawnych położona po północnej stronie wspomnianej drogi została w zarządzie państwa; był tam początkowo PGR, a następnie Stacja Centrali Nasiennictwa Ogrodnictwa i Szkółkarstwa. W latach pięćdziesiątych pola te zostały podzielone przez drogę (dziś. ul. G. Morcinka) zbudowaną w związku z uruchomieniem w kwietniu 1952 r. cegielni w Zesławicach.



Rozbudowie kombinatu i wznoszonej infrastruktury (m.in. hotele robotnicze) towarzyszyły wywłaszczenia. Wywłaszczenia związane były także z budową cmentarza, który choć w większości położony na polach Krzesławic, nazwę wziął od Grębałowa. Zaczął on funkcjonować od 3 października 1964 roku.

Rozpoczęcie budowy nowych osiedli mieszkaniowych na Wzgórzach Krzesławickich spowodowało, że w tym kierunku zwracała się wieś. Od jesieni 1961 r. zaczęły dzieci z części Grębałowa uczęszczać do filii Szkoły nr 87 w Nowej Hucie, tzw. Szkoły Tysiąclecia. Mieściła się ona wówczas w małym baraku na Wzgórzach. Rozluźniały się więc związki z Luboczą i miejscową szkołą, choć z drugiej strony wspólny ośrodek zdrowia usytuowany w tamtejszym domu gromadzkim nadal wiązał te wsie ze sobą.

Budowa kombinatu odcięła mieszkańców Grębałowa od kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Wincentego w Pleszowie, z którym od wieków byli związani. Początkowo ludność uczestniczyła w nabożeństwach w kaplicy Norbertanek w Luboczy a zwłaszcza w kaplicy w Prusach. Z końcem lat sześćdziesiątych zaczęto organizować duszpasterstwo na Wzgórzach. Msze św. odprawiane były w domu prywatnym w Grębałowie znajdującym się w pobliżu Wzgórz (na Niebyłe). Tu w roku 1977 pasterkę odprawił kardynał Karol Wojtyła. W latach osiemdziesiątych wzniesiono kościół na Wzgórzach pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego, uroczystość jego konsekracji odbyła się 7 czerwca 1987 r.[16]. Grębałowianie licznie uczestniczyli w tej budowie świadcząc zarówno materialnie, jak i własną pracą.

Inny element zmieniający usytuowanie Grębałowa to likwidacja kolei kocmyrzowskiej, w maju 1970 r. skończył się tu ruch pasażerski, a na części jej trasy zbudowano linię tramwajową na Wzgórza Krzesławickie. Inauguracja połączenia tramwajowego w 1968 r.[17], a wcześniej, w 1961 r., otwarcie linii autobusowej nr 122, do Zesławic, jeszcze bardziej związało Grębałów z miastem.

Druga grupa czynników zmieniających naszą wieś to inicjatywy własne jej mieszkańców, a można ich w minionych latach odnotować wiele. Pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem była niewątpliwie elektryfikacja wsi podjęta samorzutnie przez Grębałowian wkrótce po zakończeniu wojny w 1945 r. Przeprowadzono ją całkowicie na własny koszt i stosunkowo szybko, bo już w 1946 r. wieś mogła korzystać z prądu.

Kolejną miejscową inicjatywą była budowa Domu Ludowego prowadzona w latach pięćdziesiątych. Ogólny jej koszt wyniósł 960 tys. zł. Grębałowianie zdobyli poparcie władz dzielnicy, ale przede wszystkim sami licznie i ofiarnie pracowali przy jego budowie. Jak obliczył mieszkający tu wówczas F. Twaróg, ogółem przepracowali oni 99.000 godzin pracy osobistej i 8100 godzin pracy konnej. Uroczyste otwarcie Domu nastąpiło w lutym 1958 r. Tam też znalazło swą siedzibę kino „Balladyna" oraz kilka zespołów. F. Twaróg odnotował w swej „Kronice", że w latach sześćdziesiątych działały tu zespoły: baletowy, plastyczny dla dzieci oraz artystyczny dla młodzieży.

W latach 1972-1976 z inicjatywy mieszkańców przeprowadzono prace nad gazyfikacją osiedla. W 1986 r. związano Komitet do spraw telefonizacji. Dalej, w latach 1989-1990 zbudowano sieć wodociągową, natomiast od kwietnia 1991 przystąpiono do budowy sieci kanalizacji. Ta ostatnia inwestycja połączona z unowocześnieniem dróg osiedlowych jest jeszcze w stadium realizacji.

Opis inicjatyw grębałowskich ostatnich kilkudziesięciu lat byłby niepełny bez wzmianki o klubie sportowym, który skupiał dużą część miejscowej młodzieży. Najpierw, od 1954 r. działał jako rezerwa KS „Budowlani", a od 1964 jako „Grębałowianka", w latach 1986-1989 wzniesiono tu własny budynek klubowy.

Listę zbiorowych inicjatyw zamykają odbywające się właśnie obchody 750-lecia Grębałowa zorganizowane przez Komitet powstały jesienią 1995 r.

Dokonując tego skrótowego tylko przeglądu lokalnych przedsięwzięć należy stwierdzić, że Grębałów jest prężnym osiedlem, który podejmował wiele inicjatyw na rzecz całej społeczności[18].

* * *

Śledząc 750-letnią przeszłość Grębałowa można dostrzec wyraźnie, że ta mała wieś przez wieki pozostawała na uboczu wydarzeń; jeżeli „wielka historia" tu wkraczała, to w postaci wojen i niszczącej obecności wojska. Przez stulecia nie zmieniał się właściwie sposób życia i pracy Grębałowian; dopiero pierwsza połowa XIX w. i wielkie reformy przynoszące najpierw wolność osobistą, następnie uwalniające od pańszczyzny, a wreszcie nadające własność ziemi stworzyły warunki prawne, w których chłopi zaczęli świadomie kształtować swoją przyszłość, zaczęli dostrzegać, jak lepiej żyć i gospodarować. Był to proces powolny i stopniowy ale już wyraźnie dostrzegalny w XIX w., np. gdy chłopi w 1857 r. deklarowali swój finansowy udział w zorganizowaniu szkoły i utrzymaniu jej, a następnie w 1912 r., gdy podjęli wysiłek unowocześnienia uprawy, przez osuszenie niżej położonych gruntów.

Refleksja nad przeszłością „małej ojczyzny" – własnej miejscowości rodzinnej ukazuje trudne życie naszych przodków, pełne ciężkiej pracy i wyrzeczeń, czasem dramatów. To są nasze korzenie, aby należycie je docenić, trzeba lepiej poznać przeszłość. Jej ślady i świadectwa znajdują się zarówno w zapomnianych pamiątkach często niedostrzeganych na codzień. Przechowywane są także w naszej pamięci i wspomnieniach. Należy je zatem utrwalać i spisywać. Niech ten tekst zachęci Czytelników do dalszych takich działań.

***prof. Halina Florkowska-Frančić***

***fragmenty książki „Z przeszłości Grębałowa 1247-1997"***

Przypisy

[1] *Kronika Szkoly w Luboczy, s.3*

[2] *Ibidem. Usprawiedliwiał to postępowanie krakowski „Czas" (nr 549 z 8 XI 1914), pisząc, że „gdy idzie o interes twierdzy, władze muszą postępować energicznie, nawet bardzo bezwzględnie",*

[3] *„Odbudowa Kraju" [Kraków] 1918, nr 7 – 8.397-398*

[4] *Udział twierdzy krakowskiej w operacjach armii polowej, „Czas" nr 361 z 11 VII 1915, artykuł ten był przedrukiem z wiedeńskiego „Militärblatt". Zob. też. J. Bogdanowski, Warownie..., s. 239 oraz J. Ciałowicz, Fortyfikacje na ziemiach polskich w czasie I wojny światowej, „Studia i Materiały do Historii Wojskowości", t. XII, cz. 1; 1966,*

[5] *„Kronika parafii Pleszów", zapis z marca 1916 r.*

[6] *Odbudowa polskiej wsi: Projekty zagród i chat włościańskich opracowane przez grono architektów polskich wydane pod redakcją Władysława Ekielskiego, (B.m.w.)*

[7] *Mimo wydania cesarskiego rozporządzenia o przejęciu gruntów przyfortecznych m.in. Grębałowa przez administrację cywilną, „Reichsgesetzblatt", 24 V 1916, s. 323 i z 22.II. 1917, s. 193.*

[8] *Pisma Cieślewicza do Kapituły, Acta Capituli, AKKK, b. s.*

[9] *Życiorys W. Krzyżanowskiego pióra J. Lepiarczyka, [w:] Polski Słownik Biograficzny, t. XV, 1970, s, 621-623*

[10] *Dodajmy tu również, że znacznie wcześniej, zbudowano inną kapliczkę z figurką Jezusa frasobliwego, (zaznaczona jest na mapie z r. 1829). Mieści się na niej napis: „Boże chroń nas/od podobnego pożaru, jakiemu/w r. 1811/ Małgorzata Raczyńska uległa/Na tę pamiątkę/Marianna Miklewska/possessorka tej wsi/pomnik ten w r. 1868 zbudowała". Kapliczkę odrestaurowali Grębałowianie w r. 1957. Przypomina o tym kolejny napis: „Na pamiątkę 300-lecia odnowienia ślubów Jana Kazimierza/mieszkańcy gromady Grębałów/dla pogłębienia miłości i wierności/ofiarują Królowej Korony Polskiej przebudowę tej figury/Grębałów dnia 5 maja 1957 r." Nie udało się ustalić, kiedy zbudowane zostały dwie inne kapliczki, na tej spod Kantorowic, choć czas zatarł napisy, można jeszcze odczytać nazwisko fundatora Stanisława Bałusa.*

[11] *„Kronika" Szkoły, s. 17.*

[12] *Ibidem, s. 27, 34.*

[13] *Dodajmy tu na marginesie, że płaca kobiety kształtowała się wówczas 80 gr. za dniówkę, (1 kg cukru kosztował wtedy 1 zł).*

[14] *T. Wroński, Fort Krzesławicki – miejsce masowych egzekucji Polaków w Krakowie w latach 1939-1941, Kraków 1981.*

[15] *Relacja mojego ojca Stanisława Florkowskiego.*

[16] *Archiwum kościoła p.w. Miłosierdzia Bożego na Wzgórzach Krzesławickich*

[17] *Historia komunikacji miejskiej w Krakowie 1875-1975, Kraków 1975, s. 11 oraz „Kronika" Szkoły, s. 74.*

[18] *Osiedle Grębałów liczy obecnie (31 marca 1997 r.) 1220 mieszkańców.*



*W czasie dożynek w Grębałowie, 25 sierpnia 1957*



# Lubocza – osada, wieś, osiedle krakowskie 1254-2004

**Od autora**

Bezpośrednim bodźcem do powstania tego opracowania była przypadająca w tym roku 750. rocznica pierwszej udokumentowanej historycznie wzmianki o Luboczy. Krótki czas, jak również spore trudności w ustaleniu wielu faktów, sprawiły, że opracowanie to posiada wiele braków i nie może być traktowane jako całościowe i wyczerpujące przedstawienie historii tej miejscowości. W redagowaniu tej krótkiej monografii uczestniczyło wiele osób, wśród nich szczególnie pragnę podziękować p. Katarzynie Majzerowicz za pełne poświęcenia zaangażowanie się w poszukiwanie materiałów i przeprowadzone rozmowy z mieszkańcami naszej parafii. Zdobyte informacje stanowią istotną część niniejszego opracowania. Dziękuję także Matce Przełożonej Sióstr Norbertanek Pauli Torczyńskiej za przekazane informacje z kronik zakonnych oraz p. Dyrektor Małgorzacie Michalik-Warzecha za udostępnione materiały z archiwum szkolnego.

**1. Lubocza do wybuchu I Wojny Światowej**

Trudno ustalić dokładnie czas powstania osady Lubocza, nie wiadomo też, skąd pochodzi jej nazwa. Pierwsza potwierdzona historycznie wzmianka o Luboczy pochodzi z przywileju księcia Bolesława Wstydliwego wydanego 30 maja 1254 roku w Korczynie. Dokument ten potwierdza wszystkie własności klasztoru Sióstr Norbertanek ze Zwierzyńca powstałego w 1162 r. Wśród wyliczonych 37 wsi znajduje się Lubocza. Odpis tego dokumentu znajduje się w dyplomie króla Zygmunta Starego z 13 grudnia 1527 roku. W 1276 roku wieś została osadzona przez mieszczan krakowskich Henryka i Gerarda na prawie magdeburskim. Wytyczono wówczas centrum zabudowy z owalnym placem utworzonym przez poszerzenie drogi. Oto, co mówi na temat wsi Lubocza Jan Długosz w Liber beneficjorum (1480): Do uposażenia Klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie należy wieś Lubocza na terenie parafii Pleszów. We wsi są łany kmiece, z których każdy płaci po 10 skatów (skat to 10 jaj, 2 sery, 2 koguty). W tej wsi są dwie karczmy z rolami i należą do sołectwa. Jedna z karczm stanowi uposażenie ołtarza Trzech Króli, we wsi są również zagrodnicy, jest folwark i młyn. (J. Długosz, Liber beneficjorum, t. III s. 63)

W 1780 roku wybudowano nowy dwór i folwark.

Według informacji przekazanych przez p. mgr Annę Siatkowską, badającą historię tych ziem, miał przez Luboczę przechodzić Tadeusz Kościuszko, prowadząc tędy w 1794 r. swoje oddziały z obozu w Bosukowie pod Połaniec.

**Szkoła**

Najstarszy przekaz źródłowy odnośnie szkoły w Luboczy pochodzi z 1834 r. W dokumentach Komisji Włościańskiej zajmującej się czynszowaniem chłopów w Rzeczpospolitej Krakowskiej znajduje się wzmianka, że chłopskie dzieci z Grębałowa uczęszczają do szkoły w Luboczy, nauczyciel zaś przychodzi tam z Pleszowa tylko w pewne dni.

Bardzo znaczącym wydarzeniem dla sąsiadujących ze sobą wsi Luboczy i Grębałowa było powstanie stałej szkoły. Pierwszą próbę podjęto na wiosnę w 1857 roku, gdy „gminy Lubocza i Grębałów z parafii Pleszowskiej postanowiły we wsi Lubocza założyć szkołę trywialną". Szkoła ta faktycznie rozpoczęła swoją działalność dopiero 10 lat później, jesienią 1867 roku. W 1880 r. została wybudowana szkoła murowana parterowa, obecnie jest to mocno zniszczony budynek na rogu ulic Łuczanowickiej i Lubockiej.

**Kaplica**

W roku 1885 (co do tej daty nie ma pełnej zgodności w źródłach, występują kilkuletnie rozbieżności) Lubocza wzbogaciła się o małą kaplicę pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, gdzie mieszkańcy gromadzili się na nabożeństwa majowe, czerwcowe i różaniec w październiku, służyła ona również w pewnych przypadkach jako miejsce przechowywania zmarłych przed pogrzebem.

**2. I Wojna Światowa 1914-1918**

W październiku 1914 roku przerwano naukę w szkole. Budynek szkoły przeszedł w ręce oddziałów wojska i żandarmerii. Przebywający tu żołnierze doprowadzili do jego dewastacji. W 1914 roku ze względów strategicznych armii austriackiej, dla oczyszczenia przedpola twierdzy Krakowa, a dokładnie terenów przez fortami w Grębałowie



i Krzesławicach, wieś została w 50% zniszczona, zburzono 47 domów, wycięto drzewa owocowe, zabrano drzewo ze ścian domów do budowy schronów i rowów strzeleckich. Ludność została ewakuowana do przedmieść Krakowa. Ludzie zabierali ze sobą niezbędne rzeczy i żywność. Nie mając paszy i pomieszczeń, pozbywali się inwentarza żywe-

go za marną cenę, a znaczną część zarekwirowało wojsko.

Po odstąpieniu Rosjan od oblężenia na skutek zbliżania się armii pruskiej, po pięciomiesięcznym wysiedleniu w marcu 1915 roku, ludność wróciła do swoich siedzib. Najważniejszą rzeczą było wtedy odbudowanie mieszkań i budynków gospodarczych. Poza dwoma kuźniami Lubocza nie posiadała żadnych zakładów rzemieślniczych. Dwaj stolarze i dwaj szewcy pracowali dorywczo. Na terenie wsi istniały dwa prywatne sklepy spożywcze. Zły stan budynku szkolnego uniemożliwił natychmiastowe rozpoczęcie nauki, nastąpiło to dopiero wiosną 1917 roku. Rada Szkolna mianowała kierownikiem szkoły z dniem 1 maja 1917 roku Franciszka Twaroga, który piastował to stanowisko 37 lat. Nowy kierownik z zapałem przystąpił do odbudowy zniszczonej szkoły.

W walkach na frontach I Wojny Światowej uczestniczyli następujący mieszkańcy Luboczy: Daniel Kasper, Feliks Fraś, Jakub Grzesiak, Stanisław Krupa, Józef Kot, Stanisław Nowak, Antoni Pietruszka, starszy sierżant sztabowy Piotr Wójcik, Wincenty Kot, Piotr Wójcik, Piotr Kot, Kazimierz Ciesielski.

Zginęli podczas tej wojny: Józef Głowa, Piotr Kowal, Szymon Zasada.

**Późniejszy papież Pius XI w Pleszowie**

Dnia 9 września 1918 ks. Jan Skarbek zachorował na hiszpankę (rodzaj ospy). Zaczęła się potem, łamaniem w kościach i ogólnym osłabieniem. Na szczęście nie przyszedł krwotok, jak to się zdarza u wielu podobnie chorych. Dnia 10 września odprawił jeszcze ks. Skarbek mszę świętą, ale 11 września już musiał zostać w łóżku. Tego też dnia przybył do Pleszowa Najprzewielebniejszy Książe Biskup Adam Sapieha samochodem wraz z nuncjuszem papieskim Monsin Rattim (Monsin Ratti był nuncjuszem apostolskim w Warszawie do roku 1921. W 1922 roku wybrany papieżem przyjął imię Piusa XI, zm. 1939 r.). Ks. Nuncjusz zatrzymał się w samochodzie za radą Księcia, a Książe Biskup sam odwiedził ks. Skarbka, nie obawiając się zarażenia chorobą.

**Odzyskanie niepodległości:**

11 listopada 1918 r. odprawiłem w kościele parafialnym pleszowskim nabożeństwo na podziękowanie Bogu za uwolnienie z niewoli stuletniej przeszło, w którym wzięły udział dzieci szkół w parafii i parafianie. Pięknie brzmiała w kościele pieśń po mszy św. „Boże coś Polskę – ...ojczyznę wolną pobłogosław Panie!

**3. Okres międzywojenny 1919-1939**

W czerwcu 1928 roku kierownik szkoły, Franciszek Twaróg, rozpoczął starania o odkupienie starego czworaku dworskiego od Sióstr Norbertanek i o zamianę parceli i gruntu pod tym budynkiem na parcelę szkolną tej samej wielkości. Po dokonaniu transakcji przystąpiono do remontu. Prace restauracyjne zakończono w szybkim tempie. 5 listopada tegoż roku budynek został poświęcony i rozpoczęła się nauka w czwartej sali lekcyjnej. Budynek ten pod koniec lat pięćdziesiątych został rozebrany, stał on na terenie dzisiejszego placu zabaw przy posesji p. Król.

W roku 1928 za radą Księcia Metropolity Adama Stefana Sapiehy przybyły do Luboczy Siostry Norbe-rtanki, aby przez utworzenie ochronki dla dzieci, zapewnić im bezpłatną opiekę i katolickie wychowanie. Na ten cel przeznaczono zdewastowane mieszkanie dawnego rządcy oraz pobliski domek stojący na terenie dzisiejszego oczka wodnego przed plebanią. Remont domu, i całkowite wyposażenie i utrzymanie sióstr wziął na siebie klasztor zwierzyniecki. Fundacja ochronki, dzieło Matki Ksieni Fryderyki Szeligiewicz była wyrazem wdzięczności Bogu, za odzyskanie wsi Lubocza, przywłaszczonej przez wieloletnich dzierżawców Grzymków. 17 października 1928 roku odbyło się poświęcenie ochronki, którego dokonał ks. dr Stanisław Domasik, kanonik katedralny w towarzystwie ks. Franciszka Korzonkiewicza, proboszcza z Pleszowa. W uroczystości uczestniczyła Matka Ksieni w towarzystwie trzech sióstr, nauczycielki ze szkoły w Luboczy wraz z uczniami, naczelnik gminy i wiele matek z dziećmi. W następny dzień zapisało się do ochronki 50 dzieci.

W marcu 1929 roku (jak pisze w Kronice szkolnej F. Twaróg) przyszły wyjątkowe mrozy, dochodzące do minus 35 stopni. Z powodu zamarzania lokomotyw komunikacja była bardzo utrudniona. Mrozy zniszczyły mnóstwo drzew owocowych.

Bardzo doniosłym wydarzeniem była wizyta w dniu 28 lipca 1929 r. Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego, który był honorowym gościem parafii pleszowskiej. W powitaniu, wśród licznych parafian, brały udział dzieci szkolne z Luboczy.

3 maja 1930 r. założona została w Luboczy Ochotnicza Straż Pożarna, przetrwała do 1950 roku, kiedy została wchłonięta przez Hutę.

Ksieni Fryderyka Szeligiewicz uzyskała pozwolenie na otwarcie kaplicy z Najświętszym Sakramentem, którą umieszczono w jednym z pomieszczeń sióstr, po uprzedniej jego przeróbce. 21 września 1931 roku ks. dr Stanisław Domasik dokonał poświęcenia nowej kaplicy, mieszczącej się w tej części dzisiejszej świątyni, gdzie jest chrzcielnica. Odtąd dwa razy w tygodniu przyjeżdżał do kaplicy ksiądz z Pleszowa, by sprawować Eucharystię, a potem uczyć religii w szkole.

6 maja 1934 roku miało miejsce poświęcenie sztandaru szkoły, dokonał go w kaplicy Sióstr Norbertanek ks. proboszcz Franciszek Korzonkiewicz. W uroczystości wzięli udział licznie zgromadzeni mieszkańcy Luboczy i Grębałowa oraz nauczyciele. Druga część uroczystości miała miejsce na podwórku szkolnym, były okolicznościowe przemówienia i program artystyczny.

Na skutek usilnych starań Rady Gromadzkiej doszło do wybudowania w 1936 roku w Luboczy Domu Ludowego, w którym skupiało się życie kulturalne i społeczne, była sala ze sceną i sklep. Pełnił on również funkcję remizy strażackiej. Pieniądze na materiał uzyskano ze sprzedaży części „Błoń". Budową kierowała Rada Gromady na czele z kierownikiem szkoły Franciszkiem Twarogiem i wójtem Luboczy, Piotrem Brosiem i 10 radnymi. W czasie wojny budynek był zajęty przez wojsko niemieckie. Obecnie mieści się w nim ośrodek zdrowia.



W Kronice szkolnej: pod rokiem 1936 Franciszek Twaróg pisze:

Należy zaznaczyć tu nadzwyczaj serdeczny, przychylny stosunek dworu do szkoły, a mianowicie przełożonej ochronki P.P. Norbertanek Ludwiki Dutkiewicz, a także p. Inż. Zbigniewa Więcława, który od lipca 1936 r. objął dzierżawę gruntów należących do dworu w Luboczy. Do ochronki mieszczącej się w osobnym budynku dworskim, prowadzonej obecnie przez S. Alojzę Norbertankę uczęszcza z widoczną w szkole korzyścią kilkadziesiąt dzieci w wieku od 3-6 lat. Ochronka pozostaje na utrzymaniu Klasztoru, rodzice nie opłacają żadnych kosztów. Istnieje też Stowarzyszenie Anioła Stróża przy ochronce, do którego należą dziewczynki z V i VI kl. Nie można jednak zanotować silniejszego ruchu którejś z organizacji starszych i młodzieży.

**4. II Wojna Światowa 1939–1945**

5 września 1939 roku wkroczyły do wsi wojska niemieckie. W październiku 1939 roku szkoła została zajęta przez żołnierzy i przeznaczona na kwatery. Do tego celu wykorzystano prawie wszystkie sale z wyjątkiem mieszkania kierownika Franciszka Twaroga i jednej sali lekcyjnej.

**Początek wojny**

Tak początek wojny wspomina Franciszek Twaróg: Wróciłem po miesięcznej wędrówce uzasadnionej chyba tylko tym, że za swoją pracę nauczycielską i społeczną mogłem spodziewać się represji niemieckich. Zastałem wszystko w porządku, naukę jawną rozpoczęto, choć nauczycielstwo nie miało zabezpieczonego wynagrodzenia, to natychmiast wróciło do pracy. Wieś została zajęta przez Niemców. Musieliśmy opuścić sale szkolne dla wojska, a nauka odbywała się w dwóch salach dworskiego domu. Uczyliśmy się języka polskiego, na podstawie podręcznika „Ster", a poza tym geografii Generalgouvernmentu. To była nauka jawna. Ukryłem bibliotekę szkolną, obrazy, podręczniki, sztandar szkolny i radioaparat, oddawszy wcześniej do gminy nieużyteczne pudło ze zniszczonego, niekompletnego aparatu. (Biblioteka szkolna, była przechowywana w domu P. Zofii i Rudolfa Kudzia, informację tę przekazała ich córka Danuta Tałanda). Nauczycielką w naszej szkole była koleżanka Irena Oliwianka, siostra Jana Oliwy zastrzelonego przez Niemców. Przytuliła się do mojej rodziny z matką, przeniosła z Krakowa wszystkie swoje rzeczy. Aresztowana wkrótce przez Niemców, po krótkim pobycie na Montelupich została przeniesiona do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie „zmarła na tyfus". Podobnie – zmarła też Józia Grzesiak, córka rolnika, wyróżniająca się wśród tutejszych dziewcząt wdziękiem i urodą. Przeziębiła się, stojąc wiele godzin w lodowatej wodzie.

Początek wojny tak wspomina siostra Norbertanka Weronika Capówna: Niemcy weszli do domu Sióstr Norbertanek. Zajęli parter budynku. Uszanowali kaplicę, nie wchodzili do niej. W stosunku do Sióstr zachowywali się poprawnie.

**Czas okupacji**

Grębałów i Lubocza znalazły się na terenie Generalnego Gubernatorstwa i zostały dotknięte szykanami podobnie jak inne polskie tereny. W obozie oświęcimskim poniosły śmierć następujące osoby z Luboczy: Józefa Grzesiek lat 20, Katarzyna Małeta lat 36 i Irena Oliwa, nauczycielka z Luboczy, obóz przeżyły: Julia Nowak i Maria Synowska. W Powstaniu Warszawskim zginęła Zofia Kuś.

Innym sposobem wyniszczania naszego narodu był przymusowy wyjazd na roboty do Niemiec. Do przymusowej pracy zostały wywiezione w głąb Rzeszy następujące osoby z Luboczy: Jan Bańdur, Wincenty Broś, Jan Gaweł, Tadeusz Głowa, Stanisław Kot, Stanisław Kowal, Czesław Kantorowicz, Zofia Krupa, Józefa Kowal, Rozalia Kowal, Jan Kowal, Tadeusz Kowal, Julian Nowak, Władysław Matuszczyk, Maria Sadulska, Jadwiga Zamojska, Władysława Zamojska, Stefan Żmuda, Filip Partyła i Piotr Kuś, który został rozstrzelany w 1944 r. podczas ucieczki. Szlak bojowy z Generałem Andersem przeszedł Stanisław Fraś, za udział w walce pod Monte Cassino został odznaczony krzyżem Virtuti Militari.

Na terenie Luboczy i okolicznych wsi działały oddziały Batalionów Chłopskich, należeli do nich między innymi: Józef Bentkowski, Antoni Radziszewski, Piotr Raźny, Józef Pietruszka, Stanisław Jędras, Jan i Stanisław Partyłowie, Władysław Kwater. Jedną z przeprowadzonych akcji był napad na siedzibę Trauhandera w Mogile (był to urzędnik posiadający spisy inwentarza podlegającego obowiązkowym dostawom), zabrali spisy bydła i trzody, która miała być oddana w obowiązkowym kontyngencie, przywieźli do Luboczy i spalili w piecu chlebowym w domu Jana Kryzy. Dzięki temu przez pewien czas w całej gminie trwał wolny handel mięsem i inną żywnością.

W okresie okupacji w bardzo trudnych warunkach odbywała się nauka, po pierwsze zakres nauczania został mocno okrojony, zniesiono historię, ograniczono naukę języka polskiego i przyrody. Istniał zakaz używania podręczników, dzieciom brakowało lektur, najczęściej czytaną książką był katechizm. Pan Franciszek Twaróg ze swoją żoną Teresą we własnym mieszkaniu organizowali tajne nauczanie w pełnym przedwojennym wymiarze. O czym wspomina na kartach Kroniki szkoły: Oprócz nauki jawnej dla wszystkich dzieci zorganizowałem u siebie tajne nauczanie. Nauka odbywała się w moim mieszkaniu, chociaż było to bardzo niebezpieczne, gdyż z obu stron mieszkania rezydowali Niemcy. Uczyliśmy we trójkę: obok mnie – żona i kolega Maciej Nowara, który uciekł z Reichu, spod Poznania. Przerabialiśmy ostatnią klasę szkoły podstawowej i pierwszą gimnazjalną. Na naukę uczęszczały dzieci z Luboczy i Wadowa. Pewnego sierpniowego dnia, w pustej chwilowo klasie trwała lekcja historii. Na ławkach leżały rozłożone zeszyty i książki. Nagle spostrzegliśmy przez okno zbliżający się niemiecki patrol. Strwożone dzieci ukryły się pod ławkami. Wyszedłem do sieni naprzeciw czterem Niemcom, trzymającym broń wymierzoną we mnie. Przepadłem – pomyślałem sobie. Kto jesteś? Pytają. Nauczycielem – odpowiadam. Przygotowuję wraz z dziećmi klasę na rozpoczęcie nauki. Czy jest tu jeszcze ktoś więcej? Pytają dalej. Jest syn kolegi nauczyciela, pracownik kolejowy z Kocmyrzowa. Niemcy przyszli z posterunku

w Prusach. Okazało się, że jakiś samolot niedawno dokonał zrzutu nad polami, ale Niemcy niczego nie znaleźli i uznali, że ktoś musiał zrzut odebrać i być może ukrył się w sąsiedztwie. Ponieważ nie byli nastawieni na poszukiwanie tajnego nauczania, odeszli nie zajrzawszy nawet do klasy. Nauka w szkole trwała bez przerwy.

**Koniec wojny**

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu Niemców ze wsi. Wieczorem 18 stycznia 1945 roku nadjechała niemiecka artyleria i czołgi. Stanęły z działami zwróconymi na wschód wokół szkoły.

Tak opisuje F. Twaróg ostatni dzień wojny:

Po nieprzespanej nocy, o szóstej rano usłyszałem „Vorvarsts" – Naprzód. W ciągu pół godziny opustoszała szkoła i obejście. W ogrodzie znalazłem zgubiony karabin i porzucone w pośpiechu pociski. Następnego dnia w Luboczy pojawił się pierwszy radziecki czołg, a z nim piechota. We wsi zawrzała walka, w wyniku której rozbite zostały dwa czołgi: radziecki i niemiecki. Zginęło kilku Niemców. Od strzałów niemieckiej artylerii spalił się dom i stodoła – zginął rolnik z Luboczy, był nim Piotr Pyrczak. Niemcy wycofali się do Pleszowa, a potem do Mogiły.

Wycofanie się Niemców i wejście Sowietów, którzy słynęli z rabunku wspomina następująco Siostra Weronika Capówna:

18 stycznia 1945 roku wczesnym rankiem ks. wikariusz rozdał Siostrom i wiernym Komunię św. Tabernakulum zostało puste. Wieczorem tegoż dnia wkroczyło do wsi wojsko sowieckie. Wpadli do domu Sióstr. W kaplicy przewrócili na ołtarzu tabernakulum, zdemolowali ołtarz. Zabrali z niego lichtarze ze świecami, zapalili je i ich światłem poświecali sobie plądrując po domu i strychu budynku. Do domu zwozili rannych, dla których zabrali Siostrom wszystką pościel. Zrabowali wszystko w mieszkaniu, nie oszczędzając habitów i bielizny Sióstr.

**5. Okres powojenny (1945-1985) – kształtowanie się duszpasterstwa w Luboczy**

Po wojnie kierownikiem szkoły pozostaje F. Twaróg, nauka rozpoczyna się w trudnych warunkach. I znowu jak po pierwszej wojnie Franciszek Twaróg podejmuje działalność społeczną, kulturalną i oświatową. Zwrócił uwagę na potrzebę elektryfikacji wsi. Wyłoniono komitet elektryfikacyjny, na którego czele stanął Piotr Partyła, F. Twaróg został sekretarzem, a Józef Pietruszka skarbnikiem. 20 września 1946 r. popłynął w Luboczy prąd elektryczny.

**Kierownik Szkoły Franciszek Twaróg**

Z dniem 31 sierpnia 1954 roku po 37 latach ofiarnej pracy, Kierownik Szkoły Franciszek Twaróg został odwołany z zajmowanego stanowiska. Powodem była odmowa zdjęcia krzyży w szkole. Później już jako zwykły nauczyciel dojeżdżał rowerem z Grębałowa do szkoły w Luboczy i dopiero wtedy, gdy otworzono małą szkołę w baraku na Wzgórzach przeniósł się do niej. Po oddaniu Szkoły nr 98 w os. Na Stokach, jako zastępca dyrektora, pracował w niej do emerytury. Zmarł w roku 1968. Był nauczycielem, ale znał się na wielu rzeczach. Potrafił naprawić zniszczone ławki szkolne i rzeźbić w drewnie. Grał na skrzypcach i uczył hodować jedwabniki. Jest to wyjątkowa postać w całej historii Luboczy.

**Budowa kombinatu metalurgicznego**

Kolejnym wielkim wydarzeniem, które zaważyło na dalszych losach Luboczy, była decyzja o budowie kombinatu metalurgicznego. Rozpoczęcie pierwszych prac ziemnych na terenie Luboczy miało miejsce na wiosnę 1950 roku. Powstanie Nowej Huty i kombinatu zmieniło życie mieszkańców Luboczy, spora część ziemi została zabrana pod budowę, tylko kilka rodzin pozostało przy rolnictwie jako jedynym źródle utrzymania, większość znalazła pracę w hucie, a praca na roli stała się tylko dodatkowym zajęciem. Przypieczętowaniem tych zmian było przyłączenie Luboczy w dniu 1 stycznia 1951 roku do Krakowa. Powstanie kombinatu miało jeszcze jeden skutek dla mieszkańców Luboczy, a mianowicie praktyczne odcięcie od kościoła parafialnego w Pleszowie.

W zaistniałej sytuacji duszpasterze pleszowscy, pragnąc zapewnić mieszkańcom Luboczy możliwość uczestniczenia we mszy świętej i przystępowania do innych sakramentów oraz katechezę, podjęli się dojeżdżania z posługą kapłańską na miejsce.

**Walka o uzyskanie godnego miejsca kultu**

Istniejąca kaplica w domu Sióstr Norbertanek okazała się za mała, by pomieścić nie tylko, jak to było dotychczas, osoby starsze, ale wszystkich pragnących uczestniczyć we mszy świętej. Pojawiła się, więc potrzeba większego pomieszczenia, zrealizowanie jej, jak wykazały dalsze lata, okazało się bardzo trudne i długotrwałe. Część mieszkańców Luboczy w zaistniałej sytuacji włączyła się w walkę o uzyskanie godnego miejsca kultu, podobnie jak to miało miejsce w całej Nowej Hucie. W książce „Na fundamencie Krzyża" redaktor Jan Franczyk tak opisuje wydarzenia, które rozegrały się w Luboczy. 3 marca 1957 roku o godz. $6^{00}$ rano jak pisze przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie w piśmie do Kurii Metropolitalnej: ...grupa rozzuchwalonej ...ludności Luboczy zajęła siłą budynek państwowy, po byłym Komisariacie MO, umieszczając w nim ołtarz i przekształcając go w kaplicę. Budynek, o którym wspomniano w dokumencie, to Dom Ludowy wybudowany przed II wojną światową, kosztem i wysiłkiem mieszkańców. Został on na początku lat pięćdziesiątych zajęty przez władze komunistyczne i przeznaczony na Komisariat Milicji Obywatelskiej. W związku z tym, że komisariat ten miał zostać wkrótce przeniesiony, mieszkańcy Luboczy we wrześniu 1956 r. zwrócili się do Dzielnicowej Rady Narodowej z prośbą, by Dom Ludowy przeznaczyć na kaplicę, gdyż dotychczas użytkowana kaplica w domu Sióstr Norbertanek była zbyt ciasna, a kościół parafialny w Pleszowie był oddalony o 7 km. Na pismo w tej sprawie mieszkańcy nie otrzymali odpowiedzi.

14 lutego 1957 r. Dzielnicowa Rada Narodowa podjęła uchwałę o przeznaczeniu, zwalnianego przez milicję, budynku na Ośrodek Zdro-wia. 17 lutego odbyło się kole-jne zebranie mieszkańców, w trakcie którego 50 głosami „za" wobec 23 głosów „przeciw" przyjęto uchwałę, by przeznaczyć Dom Ludowy na cele kultu. Kolejną petycję mieszkańców Dzielnicowa Rada Narodowa uznała za spóźnioną, tłumacząc się przyjęciem uchwały o przeznaczeniu budynku na Ośrodek Zdrowia.





W takich okolicznościach, 3 marca, w czasie, gdy funkcjonariusze milicji ostatecznie opuszczali Dom Ludowy, mieszkańcy do świetlicy wnieśli ołtarz, a na ścianach rozwiesili 14 obrazów Drogi Krzyżowej. Następnego dnia delegacja z Luboczy udała się do Prezydium DRN, by odebrać klucze do budynku. Kluczy jednak nie otrzymali, natomiast urzędnicy na ten sam dzień zwołali zebranie mieszkańców, którego celem miała być dyskusja i wyjaśnienie sytuacji. Proboszcz Parafii Pleszów, ks. Antoni Góralik, relacjonując to spotkanie podkreślał, że w trakcie dyskusji wszyscy mieszkańcy Luboczy jeszcze raz opowiedzieli się za urządzeniem kaplicy w Domu Ludowym, sugerując, aby władze postawiły odpowiedni barak i tam umieściły Ośrodek Zdrowia.

15 marca 1957 r. mieszkańcy Luboczy skierowali kolejny list, tym razem do Prezydium Rady Narodowej Miasta Krakowa. Przypomnieli w nim dotychczas składane petycje i podejmowane przez lokalną społeczność uchwały. List podpisało 300 mieszkańców. Tego samego dnia, w prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie przeprowadzono rozmowę z ks. Góralikiem, której tematem była kaplica. Poinformowano go, że sprawa została przekazana Miejskiej Radzie Narodowej w Krakowie. W trakcie rozmowy zasugerowano, że Kuria Metropolitalna ma prawo wysunąć wniosek do władz o przydzielenie budynku gromadzkiego na cele kultu religijnego. Kuria skorzystała ze swojego prawa i wystąpiła z wnioskiem dotyczącym przydzielenia budynku. 31 maja 1957 r. z Prezydium Rady Narodowej Miasta Krakowa przyszła odpowiedź odmowna.

27 listopada Kuria otrzymała następne pismo z informacją, że Prezydium zezwoliło na budowę kaplicy w roku 1958. W tej sytuacji 28 stycznia 1958 r. Kuria Metropolitalna zwróciła się do Zarządu Architektoniczno-Budowlanego z prośbą o lokalizację kaplicy w Luboczy. W związku z zaostrzeniem polityki władz komunistycznych wobec Kościoła, decyzji lokalizacyjnej Kuria już nie otrzymała. Dla mieszkańców Luboczy pozostała dotychczasowa mała kaplica w domu Sióstr Norbertanek, na której powiększenie trzeba było czekać jeszcze wiele lat.

**Duszpasterze w Luboczy**

Kolejnym krokiem w procesie kształtowania się duszpasterstwa w Luboczy i jego wyodrębniania się od parafii macierzystej w Pleszowie, był fakt zamieszkania księży wikariuszy w prywatnych kwaterach na tutejszym terenie, by być bliżej tych, którym mieli służyć.

Oto lista księży wikariuszy, a po powstaniu parafii, proboszczów pracujących w Luboczy:

*Ks. Stanisław Dziedzic (1963-1969) – w 1964 r. zamieszkał u p. Jana i Wiktorii Orzechowskich, a później Zdzisława i Zofii Puniewskich

*Ks. Józef Podbiał (1969-1972) – mieszkał u p. Z. Z. Puniewskich

*Ks. Franciszek Juraszek – dawny wikariusz pleszowski (1958-1961), przez kilka tygodni dojeżdżał do Luboczy będąc wikariuszem w kościele Mariackim

*Ks. Władysław Kawczak (25.06.1972-23.06.1974) – mieszkał początkowo w Pleszowie, potem na Wzgórzach i dojeżdżał do Luboczy na rowerze (zm. 10.10.1992 r.)

*Ks. Jerzy Wyporek (23.06.1974-24.06.1981) – mieszkał u p. Stanisława i Marii Wójcików

*Ks. Adam Lisik (28.06.1981-21.10.1984) – mieszkał w domu p. Głowów, dzisiaj Kaczmarczyków, a od czerwca 1984 roku w nowej plebani.

*Ks. Franciszek Piosek (21.10.1984-21.08.1987) od 24.11.1985 r. pierwszy proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie Luboczy

*Ks. Władysław Dyrcz (23.08.1987-24.09.1994)

*Ks. Wiesław Waliczek (25.09.1994-25.09.1998)

*Ks. Stanisław Dolasiński od 26.09.1998

**Nowa szkoła**

W maju 1958 roku szkoła uzyskała 4 nowe sale najęte od OZR-u w Luboczy (Oddział Zaopatrzenia Robotniczego). Był to dawny budynek dworski, a dzisiejsza „Kamienica" przy ul. Marglowej. Istniała potrzeba budowy nowej szkoły, początkowo planowano jej lokalizację w pobliżu Grębałowa, by mogły do niej uczęszczać dzieci z tych dwóch osiedli, z czasem plany uległy zmianie i budowa rozpoczęła się na placu za starą szkołą. W pracę włączyli się czynnie mieszkańcy, w dniu 1 września 1968 roku oddano nowy dobrze wyposażony budynek szkolny.

**Rozbudowa kaplicy i rozwój duszpasterstwa**

W sierpniu 1975 r. przedszkole zostało przeniesione z budynku Sióstr do nowej szkoły, z inicjatywy ks. Jerzego

Wyporka zajęto opuszczone sale i po przebiciu ścian działowych powiększono kaplicę. W kronice klasztornej Sióstr Norbertanek pod datą 20 października 1976 czytamy: kaplicę powiększono na terenie pokojów parterowych, w których niedawno mieściło się przedszkole. Ilość miejsc dla wiernych znacznie się powiększyła, mankamentem było ciasne prezbiterium, brak widoczności ołtarza ze starej części kaplicy i przedsionków. W tym samym roku rozpoczęła się budowa garażu, a później dalszej części plebani. Prace przy budowie posuwały się dalej, mimo licznych trudności i były kontynuowane przez ks. Adama Lisika, który jako pierwszy z kapłanów zamieszkał w niej w czerwcu 1984 roku. Nie cieszył się zbyt długo nowym mieszkaniem, gdyż za kilka miesięcy odszedł z Luboczy.

Wśród parafian zaangażowanych w dzieło budowy na szczególne wyróżnienie zasługuje p. Danuta Satora Tałanda za pomoc w otrzymaniu przydziału materiałów budowlanych, które w tym czasie były bardzo trudne do zdobycia oraz p. Stanisław Faron za wielki wkład pracy.

W dniach od 5 do 6 marca 1983 r. Duszpasterstwo w Luboczy wizytuje ks. Kardynał Franciszek Macharski.

Po objęciu posługi duszpasterskiej przez ks. Franciszka Pioska w październiku 1984 roku rozpoczęła się renowacja elewacji zewnętrznej kaplicy, dobudowano wejście główne i schody od ulicy Lubockiej. Powstaje w Luboczy wspólnota Ruchu Światło-Życie, mają miejsce spotkania w grupach formacyjnych, członkowie uczestniczą w rekolekcjach wakacyjnych, Dniach Wspólnoty, Szkole Animatora.

14 czerwca 1985 roku uroczystości odpustowej ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa i stulecia kaplicy nazywanej „na wsi" przewodniczył ks. Biskup Jan Pietraszko (dziś kandydat na ołtarze) i udzielił bierzmowania.

**Wizyty Metropolity Krakowskiego, Arcybiskupa, a później Kardynała Karola Wojtyły w Luboczy**

• W ramach wizytacji kanonicznej parafii Pleszów ks. arcybiskup Karol Wojtyła 14 marca 1967 roku przybył do Luboczy, odprawił mszę świętą i uczestniczył w spotkaniu z tutejszymi parafianami.

• W lutym 1976 r. w ramach kolejnej wizytacji Pleszowa ks. Kardynał między innymi odwiedził chorych w domach w Luboczy.

**6. Powstanie parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie-Luboczy i jej dzieje**

W dniu 12 listopada 1985 roku Ks. Kardynał Franciszek Macharski, Metropolita Krakowski wydał Dekret erekcji parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie Luboczy, a ks. Franciszka Pioska mianował pierwszym proboszczem. Kościołem parafialnym stała się dotychczasowa kaplica Sióstr Norbertanek. Dekret obowiązuje od dnia 24 listopada 1985 roku.

Drugim proboszczem w Luboczy zostaje mianowany ks. Władysław Dyrcz, który wprowadza zwyczaj corocznych dożynek. 28 lutego 1988 r. ma miejsce w naszej parafii wizytacja kanoniczna ks. bp Stanisława Smoleńskiego. Natomiast 14 kwietnia 1991 r. założone zostało Arcybractwo Straży Honorowej Najświętszego Serca Pana Jezusa, przyjęcia dokonał ks. dyrektor Stanisław Wajdziak, zelatorkami zostały Aniela Pazdalska i Balbina Krzek. 13 października 1991 r. mszy św. ku czci Matki Bożej Różańcowej przewodniczył w 50. rocznicę swoich święceń kapłańskich ks. prałat Jan Hyc wieloletni proboszcz pleszowski. W dniach 27 i 28 marca 1993 r. odbywa się wizytacja kanoniczna ks. bp Kazimierza Nycza.

W czasie pełnienia posługi duszpasterskiej przez ks. Wiesława Waliczka został wymalowany kościół, nastąpiła wymiana centralnego ogrzewania na plebani oraz zostały zamontowane nowe drzwi wejściowe do kościoła, gabloty i boazeria. Nastąpiło także przepisanie gruntu w otoczeniu plebani jako darowizny Sióstr Norbertanek na rzecz parafii.

**Uroczystość poświęcenia i przekazania Sztandaru Szkoły**

11 czerwca 1994 roku odbyło się uroczyste ponowne poświęcenie i przekazanie Sztandaru Szkoły. Ufundowany w 1934 roku i szczęśliwie ukryty w czasie wojny przez kierownika Franciszka Twaroga, po jej zakończeniu wraca do Szkoły, gdzie wisiał w gablocie do początku lat sześćdziesiątych. W ramach walki z religią i Kościołem Katolickim w 1961 roku zostaje usunięta katecheza ze szkół, a wraz z nią sztandar, który znalazł się w pomieszczeniu na węgiel, a następnie zostaje przeniesiony do Sióstr Norbertanek. Przez parę lat był noszony w procesjach, a później wisiał wśród innych chorągwi. Teraz ufundowano nowe drzewce i nowego orła. Uroczystość rozpoczęła się mszą świętą w kościele w Luboczy, sztandar był trzymany przez najstarszych Luboczan, następnie przedstawiciele średniego pokolenia przenieśli go do Szkoły i przekazali najmłodszemu pokoleniu. Młodzież złożyła uroczyste ślubowanie i przejęła Sztandar. „Mam nadzieję, że już nigdy nie zniknie ze szkolnej gabloty, a w pamięci moich uczniów pozostaną haftowane na nim słowa – Ojczyzna, Nauka, Cnota" – powiedziała w swoim przemówieniu p. dyrektor szkoły Małgorzata Michalik-Warzecha.

**7. Najnowsze dzieje parafii**

Wraz z moim przybyciem do Luboczy rozpoczęło się ponowne formowanie wspólnoty Ruchu Światło-Życie. Niezastąpioną pomocą w tym dziele służą do dzisiaj animatorki: Agnieszka Tisończyk z dawnej wspólnoty oazowej w Poroninie oraz Magdalena i Anna Sitko z os. Piastów. Utworzenie wspólnoty oazowej od razu na poziomie młodzieży okazało się niemożliwe. Pozostała więc długa droga pracy z dziećmi w ramach Oazy Dzieci Bożych, skupiającej ministrantów i dziewczęta ze scholii, a dopiero po kilku latach utworzyła się liczniejsza grupa młodzieży. Formacja ta obejmuje systematyczne cotygodniowe spotkania, uczestnictwo w rekolekcjach oraz posługę podczas mszy św. w niedzielę i w tygodniu. W celu umożliwienia większej liczbie osób, a szczególnie dzieciom i młodzieży, uczestnictwa we mszy św. w tygodniu, są one odprawiane naprzemiennie raz wieczór, raz rano.

Pierwszą inwestycją materialną była przeróbka prezbiterium, usunięcie podwójnego ołtarza, umieszczenie odnowionej figury Serca Pana Jezusa w centrum frontowej ściany



i stworzenie miejsca przewodniczenia. Poczynione zmiany pomogły, chociaż częściowo, w piękniejszym kształtowaniu liturgii. Było to również zewnętrzne przygotowanie do przyjęcia Matki Bożej w wędrującej kopii Jasnogórskiej Ikony w dniu 15 i 16 czerwca 1999 r. Rozpoczęły się prace przy dalszym wykańczaniu plebani oraz jej remont, jak również zagospodarowanie otoczenia. Wyrazy wdzięczności za szczególną pomoc w tym dziele należą się p. Benedyktowi Tomczykowi i Marianowi Zieleniakowi. Kolejną pilną sprawą była potrzeba dobudowy nowego prezbiterium, by umożliwić większości zgromadzonych na mszy św. kontakt wzrokowy z ołtarzem, dać możliwość piękniejszego sprawowania liturgii i stworzyć miejsce dla służby liturgicznej. Po prawie dwóch latach przygotowań i prac nad projektem, który bezinteresownie opracowali inż. Henryk Cynk i inż. Ryszard Babczyk oraz dzięki wsparciu p. Ryszarda Kokoszki w poniedziałek 5 maja 2003 roku rozpoczęła się budowa. Kierownikiem prac budowlanych został p. Marian Król. Spośród wszystkich parafian, którzy włączyli się w to dzieło swoją pracą i ofiarą na szczególne podziękowanie zasługują: p. Zygmunt Mikołajczyk, Piotr Wójcik, Stanisław i Ryszard Faron, Mieczysław Hołota, Bogdan Korbiński, Benedykt Tomczyk, Marian Górka, Paweł Kot, Mieczysław Wójcik, Józef Majzerowicz, Waldemar Grabas, Adam Wójcik, Dominik Walczak, i śp. Jan Zydroń. Dzięki wszystkim, którzy podjęli to dzieło budowy, w Niedzielę Palmową mogliśmy sprawować uroczystą Eucharystię w nowym prezbiterium.



To co udało się już zrobić napawa optymizmem, że dzieło to będziemy mogli doprowadzić do końca.

**Prymicje Ks. Bronisława Walczaka.**

W sobotę 7 czerwca 2003 roku w katedrze wawelskiej przyjął święcenia kapłańskie nasz parafianin Bronisław Walczak. W niedzielę Zesłania Ducha Świętego 8 czerwca pierwszy kapłan z naszej parafii ks. Bronisław Walczak na płycie budującego się prezbiterium odprawił swoją mszę św. prymicyjną. W uroczystości tej uczestniczyli licznie parafianie, rodzina i zaproszeni goście.

**Figura Najświętszego Serca Pana Jezusa**

W kronice parafii Pleszów w podsumowaniu roku 1916 znajduje się krótki zapis: „Kupiono feretron sodalistek N. Serca P. Jezusa 440 koron". Fundatorami figurki byli: Katarzyna i Jan Partyłowie, Wiktoria i Piotr Walczakowie, Franciszka i Wincenty Walczakowie, Wiktoria i Piotr Nowak. Feretron Najświętszego Serca Pana Jezusa początkowo był noszony na uroczystościach kościelnych w Pleszowie jako znak ofiarnego uczestnictwa mieszkańców wsi Lubocza w życiu swojej parafii. W 1958 roku, gdy zaczynało się kształtować duszpasterstwo w Luboczy, figura powróciła i była noszona w procesjach przez tutejsze dziewczęta. Podczas spotkania opłatkowego 22 stycznia 1994 r. powstała myśl odnowienia poważnie zniszczonej figury, co zostało zrealizowane na przełomie 1994/1995 roku. 9 czerwca 1995 r. na zakończenie Misji św. miało miejsce jej powtórne poświęcenie. Została umieszczona w prezbiterium pod krzyżem, a po zmianie prezbiterium w adwencie 1998 roku znalazła swoje godne miejsce u szczytu prezbiterium, aby podkreślać tytuł parafii. W nowym prezbiterium figura Najświętszego Serca Pana Jezusa znajduje się w niszy otoczonej starochrześcijańskimi symbolami Chrystusa. Są nimi:

• skrzyżowane greckie słowa Fos-Dzoe (Światło-Życie) wśród pawi – symboli zmartwychwstania;

• pelikan, który według wcześniejszych wyobrażeń, karmi pisklęta własną krwią;

• orzeł, trzymający w swoich szponach smoka, symbolizującego szatana;

• baranek paschalny.

**8. Kapliczki przydrożne w Luboczy**

**Krzyż przydrożny**

Znajduje się on przy skrzyżowaniu ul. Lubockiej i Łuczanowickiej, czyli koło szkoły. Fundatorem krzyża był Jan Kowal. Napis na tabliczce brzmi: Od powietrza, głodu, ognia i wojny – Zachowaj nas Panie 1861 Fund. Jan Kowal „1936" „1986". Powstanie krzyża miało być wyrazem wdzięczności za zniesienie pańszczyzny (w Galicji nastąpiło to w 1848 r.) oraz upamiętniać czasy powstania styczniowego i jego upadek. Data powstania 1861 wydaje się być pomyloną, gdyż w Kronice szkolnej widnieje rok 1864, który wydaje się być bardziej prawdopodobny. Przypuszcza się bowiem, że podczas odnowy krzyża zamieniono czwórkę na jedynkę. Krzyż został odnowiony w 1936 r., a w 1986 r. gruntownie przerobiony z utratą pierwotnego charakteru. Rzeźba ma wartości historyczne i wymaga pilnej konserwacji.

**Figura z krzyżem**

Mieści się w posesji p. Heleny i Eugeniusza Zając, ul. Lubocka 33. Ufundowana w 1900 r. przez właścicieli posesji Jana Nowaka i Stanisława Fraś. Wykonawca: kra-

kowski zakład kamieniarski i odlewniczy. Nie jest znany powód tej fundacji. Krzyż ażurowy, ozdobiony stylizowanymi liśćmi, w centrum figura Chrystusa, pod stopami owalny medalion z wieńcem laurowym i hagiogramem IHS. U podstaw krzyża znajduje się figurka Matki Bożej, otoczonej wieńcem z liści i róż.

**Kapliczka**

Mieści się ona przy połączeniu ul. Lubockiej z ul. Darwina (Bugaj). Obecnie jest odnawiana z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Grębałowa. Nieznana jest data jej powstania. W czterech niszach zostaną umieszczone nowe rzeźby: Najświętszego Serca Pana Jezusa, Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny, św. Stanisława biskupa i męczennika, św. Krzysztofa.

**Figurka – Matka Boża Świata**

Znajduje się ona w posesji p. Janiny Kurzei ul. Lubocka 46. Widoczny jest napis: Fundator tej figury Piotr Nowak i Wiktoryja żona proszą o westchnienie do Boga – R.P. 1888. Pierwotnie znajdowała się w połowie drogi między Luboczą a Pleszowem, otoczona pięknymi wysokimi lipami wśród pól uprawnych. W związku z powstaniem na tym terenie kombinatu została przeniesiona do rodziny fundatorów i odnowiona przez p. Wiesława Kurzeję.

**9. Stroje ludowe i inne zwyczaje w Luboczy**

W przeciwieństwie do sąsiednich wielkich osiedli nowohuckich, gdzie zamieszkali ludzie z różnych stron Polski, w Luboczy przeważają rdzenni mieszkańcy, których korzenie sięgają tu wielu pokoleń. Bliskie sąsiedztwo osiedli, Nowej Huty jak również cała polityka okresu socjalizmu, gdzie świadomie odcinano się od „burżuazyjnej przeszłości", doprowadziła do zaniku i zniszczenia wielu pięknych tradycji.

Już w roku 1962 długoletni kierownik Szkoły w Luboczy, Franciszek Twaróg, dostrzegał to zagrożenie: Strój krakowski ginie stopniowo: sukmany, kaftany i pasy poszły na cmentarz z ich właścicielami, nie ma nawet krawców, którzy by je mogli i umieli uszyć. Dziewczęta niektóre mają jeszcze po swoich matkach barwne gorsety, spódnice, fartuszki... Nie ma już skrzyni krakowskiej z wypisaną na wewnętrznej stronie wieka kroniką rodzinną, wypełnionej poukładanymi pieczołowicie i z szacunkiem strojami, wstęgami, koralami matki i koralową srebrną spinką do koszuli ojca.

Na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia zostały uszyte według tutejszych starych wzorów cztery stroje męskie i pięć żeńskich i trwa batalia, by przełamać te istniejące wśród młodzieży i nie tylko uprzedzenia i jakiś fałszywy wstyd przed ubraniem stroju krakowskiego. Jest to zadanie dla rodziny, parafii i szkoły, by wychowywać do szacunku dla przeszłości, a równocześnie ukazywać potrzebę zachowania i przekazywania naszej rodzimej tradycji. Bycie nowoczesnym, otwartym na Europę i świat nie musi oznaczać odcięcia się od kultury i tradycji swojej małej ojczyzny, jaką jest miejsce, w którym się człowiek urodził, wychował i żyje. Ufam, że ta walka okaże się zwycięska, każdy, kto trochę podróżował, może łatwo zauważyć jak niecekawy i monotonny byłby świat bez odrębności i kulturowego bogactwa poszczególnych krajów i ich regionów. Mam nadzieję, że młode pokolenie odkryje prawdziwą wartość i bogactwo kultury swoich rodzinnych stron. O tym, że jest ona piękna i warta zachowania niech świadczy drobny epizod, o którym opowiedziała mi jedna z dziewcząt naszej parafii; idąc z kościoła w stroju krakowskim zauważyła samochód z zagraniczną rejestracją. Kierowca samochodu zatrzymał się, by specjalnie zrobić jej zdjęcie.

**Zakończenie**

Mam nadzieję, że przekazane tu informacje o miejscowości, w której żyjemy, poszerzą chociaż częściowo wiedzę o przeszłości, tak mocno rzutującej na teraźniejszość. Świadomość 750-letniej historii to podstawa do dumy, ale i wezwanie do tego, aby tej spuścizny wieków nie zmarnować, lecz rozwinąć i przekazać przyszłym pokoleniom. Opracowanie niniejsze traktuję nie tylko jako źródło informacji o przeszłości, ale równocześnie jako zachętę do refleksji, rozmów i poszukiwań, które mogą zaowocować nowymi odkryciami i wyjaśnieniem pewnych prawd z przeszłości, nadal jeszcze owianych tajemnicą. Zbliżająca się rocznica 20-lecia naszej parafii w przyszłym roku być może przyniesie pełniejsze opracowanie. A przede wszystkim pomoże w pełniejszej integracji przez głębsze zaangażowanie w życie parafii.

*ks. Stanisław Dolasiński*


Bibliografia

*1. Kronika Parafii w Pleszowie (1914-2004)*
*2. Kronika Parafii w Krakowie Luboczy*
*3. Kronika Zakonu Sióstr Norbertanek na Zwierzyńcu*
*4. Kronika Szkoły w Krakowie Luboczy (1919-1962)*
*5. „Głos Nowej Huty" nr 44, z 27 października 2000 r.*
*6. Alfons Schletz „Nasza Przeszłość Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce" 1977 Kraków*
*7. Jan L. Franczyk „Na fundamencie Krzyża" 2004 Dom Wydawniczy „Rafael" s. 97-100.*






## Pleszów

Pleszów jest oddaloną o 14 km na wschód od Krakowa wioską o bogatej i ciekawej przeszłości historycznej, a także wielu zasługach dla rozwoju kultury i edukacji na tym terenie.

Pierwsze wzmianki o wsi pochodzą z 1326 roku, ale jak świadczą liczne odkrycia archeologiczne dokonane w czasie budowy Nowej Huty i kombinatu, na terenie Pleszowa i okolicznych wsi już około 5 tys. lat przed naszą erą istniały osady ludzkie.

W licznych jamach spichlerzowych i naczyniach znaleziono ziarna pszenicy, maku, prosa i bobu, odkryto ślady palenisk i szczątki sprzętów domowych. W 1961 roku odnaleziono tzw. „skarb pleszowski", który w glinianym naczyniu zawierał wiele srebrnych przedmiotów oraz monety z czasów Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego, ale także pieniądze arabskie, duńskie, angielskie, niemieckie i inne. Istnieje sugestia, że skarb został ukryty w czasie najazdu Brzetysława Czeskiego (denar Brzetysława Czeskiego wybity w roku 1034 ). Znalezisko to świadczy o zamożności mieszkańców zamieszkujących teren obecnego Pleszowa.

Przedmioty te, oraz inne odnalezione relikty pradziejów Pleszowa i okolic znajdują się w krakowskim Muzeum Archeologicznym. Mieszkańcy tych terenów zajmowali się rolnictwem, bartnictwem, hodowlą zwierząt domowych oraz ptactwa. Mieszkali w domach krytych słomą, bez komina, w których znajdowały się również pomieszczenia dla zwierząt.

Nowszych materiałów historycznych o Pleszowie dostarczają Archiwa Państwowe oraz Kroniki Kościelne.

Jak podawała I Kronika Kościelna (która zaginęła w XVII w.) nazwa wsi prawdopodobnie wywodzi się od słowa „pląsy". Podobno królowie i książęta, jeżdżąc na polowania do Puszczy Niepołomickiej zatrzymywali się w tej właśnie wsi, urządzając sobie tańce. Nazwa ta ulegała kolejnym zmianom: Pląsów przeszło w Plęsów, aż ostatecznie – powstał Pleszów.

Według Jana Długosza i źródeł późniejszych, założycielami Pląsowa miał być ród Łabędziów (pieczętujący się takim herbem). Pierwszy kościół, jak niesie tradycja, wg autora „Kroniki Prawdziwej", wybudowany został za króla Bolesława Śmiałego w 1068 roku. Parafia Pleszowska pod wezwaniem. Św. Wincentego została erygowana w 1226 r. W tym samym czasie powstał też klasztor Cystersów w Mogile. Do parafii tej należały: Pleszów, Grębałów, Krzesławice, Lubocza, Mogiła i Brzegi. Według Długosza (opis z 1480 roku) kościół był drewniany, kryty gontem, wokoło znajdowały się krużganki. Na środku, koło kazalnicy, stały siedzenia dla osób „przedniejszych", a dalej ławki dla gminu. Posadzka wykładana była kostkami drewnianymi. Wokół kościoła rozciągał się cmentarz, na którym rosły drzewa chroniące świątynię od wiatrów.

W okresie ok. XV w. w środku wsi stał kościół, szkoła, plebania, pałac i folwark. Dalej, w kierunku wschodnim stała karczma i rozciągał się staw. Do dziś zachowany jest wielodrożny układ Pleszowa z poszerzeniem placowym w centrum oraz elementy zabudowy historycznej (Kościół Parafialny pod wezwaniem św. Wincentego i Narodzenia NMP, wzmiankowany już w latach 1325-1327, zespół dworski (z XIII-XIV wieku, z wykutymi na wieżycy herbami wszystkich rodów, które były w jego posiadaniu) a także park i cmentarz.

Poniżej, w stronę Wisły, o 2 km od centrum, istniała ok. 1366 roku oddzielna wieś Domaszów, własność sióstr Norbertanek ze Zwierzyńca, która po wielkiej powodzi w 1505 roku zniknęła, a na jej miejsce, na wyżej położonej polanie, wśród lasu, wybudowano przysiółek Kujawy-Kępa. Dalej na południowy wschód znajdował się inny przysiółek – Zalesie, a najbliżej Pleszowa o 1 km od centrum – przysiółek Kopalina. Tak więc wieś składała się z 4 części.

Pierwsza wzmianka o dziedzicach a zarazem kolatorach kościoła pochodzi z 1425 roku (Archiwum kościelne ks. II). Jest nim Jakub Albertus Plebanens de Pleszów, po nim – Mikołaj Szydłowski – kasztelan sandomierski podskarbi koronny.

Późniejsi właściciele Pleszowa to rodziny Pleszowskich, Kościeleckich, Montelupich, Ostrogskich, Sanguszków, a od 1764 roku Czartoryskich i Ponińskich. Później, z początkiem XIX wieku, dobra pleszowskie nabyła rodzina Kirchmayerów.

W XVII wieku i później edukacja dzieci polegała głównie na uczeniu ich zimą, ponieważ latem pomagały rodzicom. W zapiskach z tego okresu można wyczytać: „w czasie wojen szwedzkich kościół, szkoła i plebania zniszczały i opustoszały". Z danych zawartych w inwentarzach powizytacyjnych wynika, że kościół po naprawie dachu i odbudowaniu zniszczonej dzwonnicy był dalej czynny.

Notatka dotycząca szkoły pochodząca z 1791 r. jest zapisem z wizytacji kościoła: „Przy tej parafii ksiądz wikary uczy dzieci, a organista osobno dziewczęta. Ludzie umieją na pamięć dużo pieśni i ładnie śpiewają".

W latach 1800-1806 ówczesny właściciel Pleszowa, Książę Józef Czartoryski, wielki łowczy litewski, wybudował nowy, murowany kościół, szkołę i karczmę.

Od roku 1850 szkoła mieściła się w wynajętym od Piotra Partyły domu prywatnym. Potwierdzeniem zrozumienia u chłopów pleszowskich ważności nauczania dzieci były starania o kupno parceli i wybudowanie „systemem gospodarczym" w 1872 r. murów własnej szkoły. Przez opodatkowanie się chłopów w zależności od ilości posiadanej ziemi i sprzedanie kawałka błoni zdobyto fundusze na budowę. Od tego czasu, aż do 1975 roku, była to szkoła powszechna, najpierw cztero-, później siedmio- i ośmioklasowa. Po roku 1975 szkołę rozwiązano z uwagi na małą ilość uczniów zw. z wyludnieniem wsi.

**Historia polityczna**

Historyczne dzieje obrony Pleszowa nawiązują do najazdów tatarskich z roku 1241 i 1257 – obrabowano wtedy klasztor w Mogile i spalono kościół pleszowski.

Wiadomo, że w 1580 roku Pleszów liczył już 26 zagród kmiecych, 8 zagrodników i 1 chałupnika, a chłopi odrabiali bardzo ciężką pańszczyznę. Buntowali się, ale pokonani, musieli wrócić do pracy dla panów.

Dopiero powstanie kościuszkowskie położyło kres chłopskiej niedoli – wprawdzie Kościuszko przegrał powstanie i chłopi musieli wrócić na pola, ale od tej chwili na arenie dziejowej siła chłopska uznawana była za dynamiczny, czynny ruch – początek ruchów ludowych w naszym kraju.

Jak podaje tradycja, w Pleszowie zatrzymał się Tadeusz Kościuszko, przygotowując się do bitwy pod Racławicami (u gospodarza Rosy, później: Rosiewicza, opracowywał w ogrodzie plan bitwy). W miejscu, gdzie ludność Pleszowa witała naczelnika posadzono lipę, a pod nią umieszczono pamiątkową kamienna płytę, zwaną później ławeczką Kościuszki. Po I wojnie światowej umieszczono ją w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Natomiast w Muzeum Narodowym w Krakowie znajduje się stół, przy którym Kościuszko posilał się i pracował.

Chłopi z okolic Pleszowa coraz częściej organizowali się w walce o swoje prawa i walkę narodowowyzwoleńczą. Przed I wojną światową organizowały się w okolicy Pleszowa drużyny bartoszowe, które później weszły w skład Legionów. W latach powojennych ruch ludowy uległ skłóceniu i rozbiciu, działało około 40 zwalczających się wzajemnie stronnictw politycznych, nie było mowy o żadnym twórczym współdziałaniu ani o rządzie opartym na większości sejmowej. Na czele ruchu ludowego w Polsce wysunął się PSL „Piast" z prezesem Wincentym Witosem na czele. Celem ruchu była walka z sanacją. W 1930 roku w Krakowie odbył się wielki wiec chłopsko-robotniczy „Centrolew", którego przywódców pod zarzutami nielegalnego spiskowania przeciw państwu przewożono do obozu koncentracyjnego w Brześciu. W 1931 w Warszawie zwołano Kongres wszystkich ugrupowań ludowych, uchwalono połączenie 3 oddzielnych ugrupowań ludowych w jedno „Stronnictwo Ludowe" (z przew. Wincentym Witosem). Więźniowie brzescy emigrowali za granicę, a dyktatura sanacyjna stworzyła kolejny obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej – dla politycznych działaczy opozycyjnych zwanych komunistami (ludowcy). W obozie tym przebywało bardzo wielu działaczy z terenów Pleszowa.

**Zarys rozwoju samodzielnego ruchu ludowego na terenach Pleszowa i okolic**

Od 1920 roku istniała na terenach Pleszowa młodzieżowa organizacja, oparta początkowo na statucie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. W 1923 roku, pod wpływem członków Związku Młodzieży rozwiązano Stowarzyszenie i utworzono na jego miejsce Koło Młodzieży, pracujące pod kierownictwem Zarządu z Janem Gajochem na czele. Wkrótce Koło miało już własny sztandar, prowadziło orkiestrę złożoną z 24 instrumentów z kapelmistrzem orkiestry wojskowej i posiadało własną bibliotekę, złożoną z około 1000 książek. W świetlicy zainstalowano radio, które jako nowość na wsi budziło powszechne zainteresowanie; audycji słuchali wszyscy mieszkańcy. Koło prowadziło także chór mieszany i organizowało rozliczne imprezy we własnej sali, przerobionej z dworskiej zajezdni. Około 100 członków działało w poszczególnych sekcjach: muzycznej, dramatycznej, sportowej, wojskowej, gospodarczej oraz w chórze.

28 lipca 1928(29?) roku, za przyczyną proboszcza Franciszka Korzonkiewicza, do Pleszowa zawitał prezydent Mościcki. W uroczystości brała udział młodzież należąca do Koła. Później jednak, w maju 1931 roku, zwołano nadzwyczajne zebranie w celu zmiany statutu z Małopolskiego Związku Młodzieży na Koło Młodzieży Wiejskiej. W gorącej dyskusji ksiądz Korzonkiewicz bronił ideologii sanacyjnego Związku, ale wniosek przeszedł olbrzymią większością głosów. Ruch ten spowodował wściekłość władz sanacyjnych i prześladowania: młodzieży odebrano sztandar, opieczętowano instrumenty muzyczne i zabrano książkę protokołów.

Po wielu nieprzyjemnych wydarzeniach proboszcz Korzonkiewicz opuścił parafię, a jego miejsce zajął ks. Antoni Góralik, i praca w Kole pomału ruszyła. Urządzono świetlicę, zaczął znowu działać chór, dokupiono instrumenty dla orkiestry. Sekcja dramatyczna przygotowywała i grała w okolicznych wsiach przedstawienia, które cieszyły się tak dużą popularnością, że wkrótce zakładano w okolicy nowe koła „Zniczowe" – w Krzesławicach, Grębałowie, Mogile, Łęgu, Wadowie, Grabicach i Biskupicach. Grano m.in. „Krowoderskie Zuchy", „Damy i huzary", „Zemstę" oraz „Jasełka" Rydla.

W Pleszowie zorganizowano wkrótce kurs „agraryzmu" dla powiatu krakowskiego; chodziło o wprowadzenie nowych zasad ustroju gospodarczo-społecznego dla Polski. Przewidywano zniesienie gospodarstw obszarniczych (dworów), i utworzenie gospodarstw chłopskich takiej wielkości, aby każdy właściciel mógł się obejść bez pomocy najemników, celem uniknięcia wyzysku. Gospodarstwa miały stosować wspólne mechaniczne uprawy pól i wspólne zbiory, po których rozliczałyby się ze sobą. Zebranie przerwało wtargnięcie policji i aresztowania uczestników. Mimo szykan i aresztowań, praca oświatowa i polityczna wyraźnie się wzmagała, pojawiali się nowi członkowie i zaangażowani działacze. W 1932 roku Zarząd powiatowy zorganizował w Pleszowie wiec ludowy, z udziałem prezesa Stronnictwa Ludowego Wincentego Witosa, a chłopi znów zaczęli walkę o swoje prawa, między innymi strajkując mimo aresztowań. W 1935 Koło Ludowe w Pleszowie poświęciło sztandar, powstał szereg nowych Kół, a na terenie całego powiatu krakowskiego poświęcono aż 18 sztandarów „Żywią i bronią". Przejawem walki z dyktaturą był trzydniowy strajk chłopski w 1937 roku zorganizowany przez ruch ludowy w całym kraju, który nie przyniósł zwycięstwa a jedynie zwiększył represje chłopów Pleszowa i okolic. Represje, mandaty i więzienia nie złamały chłopów, w zmożonym tempie pracujących i organizujących się. W efekcie powstało 10 Kół Ludowych, 7 Kół Młodzieżowych „Znicz", 9 kółek rolniczych i 4 sklepy spółdzielcze.

W 1939 r. chłopi pleszowscy, podobnie jak cała Polska, zaczęli zdawać sobie sprawę z zagrożenia, jakie nad nimi zawisło. Stąd też w sierpniu 1939 r. zwołano zebranie wszystkich organizacji oświatowych i politycznych, na których postanowiono wykupić bony pożyczki narodowej i wpłacać na Fundusz Obrony Narodowej. I tak Koło Młodzieży i Kółko Rolnicze wykupiło bony pożyczki narodowej po 100 zł, Straż Pożarna i Stronnictwo Ludowe po 50 zł, a poszczególni chłopi po 10 i 20 zł. Jak widać gotowi byli spieszyć z pomocą zagrożonej Ojczyźnie. Niestety nie zmieniło to faktu, że wojska niemieckie zajęły całą Polskę. Niemcy zaczęli organizować administrację i wydawać zarządzenia jak zakaz słuchania radia, pożyczania książek w bibliotekach i nakaz oddania ich władzom, a także zakaz zebrań i zgromadzeń. W związku z tym cała biblioteka Koła Młodzieży Wici została schowana w domu jednego z gospodarzy Władysława Gajocha i zamurowana pod piecem chlebowym. Książki te częściowo wydostawano od 1941 r., pożyczając je do czytania i zespołowi tajnego nauczania. Natomiast książki szkolne przechowywano aż do wyzwolenia w ulu po pszczołach u Jana Gębali. Ukryto też sztandar młodzieżowy i ludowy. Obydwa doczekały wolności.

W Pleszowie w październiku 1939 r. powstaje placówka tajnej organizacji wojskowej pod nazwą Związek Walki Zbrojnej – ZWZ. Jednak wkrótce powołano do życia organizację konspiracyjną pod nazwą ROCH (Ruch Oporu Chłopskiego), który w 1940 r. zrywa z ZWZ i powołuje własne oddziały wojskowe chłopstwa, które od 1942 r. przyjmują nazwę Bataliony Chłopskie. Do zadań wszystkich członków Ruchu Oporu należało podtrzymywanie ludzi na duchu, walka z wrogiem, sabotaż gospodarczy, obrona ludności przed wyniszczeniem, niesienie pomocy rodzinom wiezionych i ukrywających się. W Pleszowie powstała trójka gromadzka i już od stycznia 1940 r. dostawano prasę konspiracyjną „Wieści Ludowe" wydawane w Krakowie. Prasę tę odliczał goniec gminny Wincenty Gajoch ps. Droga i rozwoził ja także do gminy Ruszcza i Wawrzeńczyce. Trzeba zaznaczyć, że było to bardzo niebezpieczne. Niejednokrotnie prasa ta przewożona była w bańkach po mleku lub na wozach pod jarzynami.

Trójka pleszowska w okresie okupacji zorganizowała dwa święta ludowe oraz akademię na rocznicę Trzeciego Maja. Było to organizowane w ścisłym gronie, gdyż groziło dużymi represjami. Były też prowadzone zbiórki pieniężne i żywności. Zebrane zboże było zawożone do młyna Franciszka Lelity w Mogile, a mąkę przekazywano do Krakowa w ramach akcji wieś – miastu. Na terenie Pleszowa i okolicznych wsi rozprowadzane były pisma „Arka", „Ziemia", „Żywią i Bronią", „Przez walkę do zwycięstwa", „Biuletyn informacyjny" i „Dziennik Polski".

Powstaje też pluton bojowy BCH liczący 19 członków, którego pierwszym komendantem był Jan Partyła, a następnie Józef Pyrlik ps. Kruk, który był równocześnie gminnym komendantem Straży Pożarnej w gminie Mogiła. Korzystając z przywilejów strażackich, pod płaszczem Straży Pożarnej przeprowadzono ćwiczenia w terenie. W Pleszowie utworzono też tajną szkołę podoficerską. Szkolenie trwało 6 miesięcy. Uczęszczało do niej 26 osób, z których część ukończyła szkołę w stopniu starszych strzelców, część kaprali, a kilku otrzymało starszych plutonowych. Ponieważ broni nie było za wiele utworzono specjalny oddział, który miał zajmować się rozbrajaniem, a także likwidacją szpiegów wojskowych i rozpoznawaniem wojsk stacjonujących w terenie.

Rozbrojono m.in. 3 Niemców kontrolujących tory kolejowe na linii Kraków-Lwów oraz konwój niemiecki na drodze przed Chem. Zebrano 12 karabinów, kilkadziesiąt granatów i sporą ilość amunicji. Oprócz broni, którą posiadał pluton, wiele osób zdobyło broń na własną rękę i przechowywało u siebie.

Na polecenie władz ROCH-a w Pleszowie została zorganizowana Ludowa Straż Bezpieczeństwa LSB z komendantem Józefem Gajochem s. Walentego ps. Kajak, której celem było czuwanie nad bezpieczeństwem ludności cywilnej, organizowanie pomocy potrzebującym. W 1942 r. został utworzony Oddział Specjalny(O.S) złożony z młodych członków Koła Wiciowego. Komendantem został Franciszek Gaweł ps. Kotek.

Pod koniec wojny w 1944 r. powstała w Pleszowie tajna organizacja PPR. W czasie okupacji przez jakiś czas ukrywało się kilka rodzin żydowskich. Ukrywali się także przez jakiś czas dwaj oficerowie rosyjscy, major jugosłowiański, dwie lekarki rosyjskie, emerytowany oficer WP – członek AK, uciekinier z obozu koncentracyjnego, 2 rannych żołnierzy BCH.

W 1944 r. w sierpniu nastąpiło połączenie oddziałów BCH i AK. Po upadku powstania warszawskiego w Pleszowie zamieszkało ok. 200 osób, którym zapewniono mieszkanie, a także częściowo wyżywienie, kilka osób zostało i zamieszkało na stałe.

*Katarzyna Gajoch-Witaszkowa*

## Jan Gajoch

urodził się 16.10.1900 roku w Pleszowie w rodzinie chłopskiej o tradycjach ludowych i patriotycznych. Był synem Walentego i Katarzyny z d. Buczek.

Jego trudne życie zaczęło się tuż po urodzeniu. Chrzestnymi byli Józefa Gajochowa (żona Piotra – brata ojca) i Jan Jarzyna znany działacz ludowy. Niestety ówczesny proboszcz pleszowski ks. Franciszek Wąsik odmówił chrztu za zaangażowanie polityczne chrzestnego. Ostatecznie mały Jaś 27.10.1900 roku został ochrzczony w Klasztorze Mogilskim.

Od młodości angażował się w pracę społeczno polityczną. W latach 1924-27 był członkiem władz Koła Młodzieży Wiejskiej w Pleszowie, a w latach 1929-33 pełnił funkcję jego prezesa. O jego zaangażowaniu świadczy to, że w latach 1933-37 został prezesem Zarządu Powiatowego ZMW WICI w Krakowie, a w okresie 1934-37 wiceprezesem Zarządu Wojewódzkiego. W tym okresie organizował koła WICI i SL w Mogile, Przewozie, Wadowie, Krzesławicach, Brzegu i Grabiu. Brał czynny udział w kursach, konferencjach i zjazdach Wiciowych. Pisał także artykuły do czasopisma „Znicz". Równocześnie prowadził ożywioną działalność polityczną. Od 1935 do 1939 roku pełnił funkcje prezesa zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego w Krakowie. W 1938 został członkiem Rady Naczelnej SL i delegatem na kongres. Razem z kolegami organizował strajki rolne. W 1933 aresztowany został za udział w demonstracji antysanacyjnej, a także w 1936 roku po wypowiedziach krytykujących dyktaturę rządową podczas poświęcenia sztandaru PSL w Bibicach. W sierpniu 1937 roku przewodniczył zgromadzeniu na Placu Jabłonowskich w Krakowie, które proklamowało strajk chłopski. Jako jeden z organizatorów został osadzony w więzieniu św. Michała. W czerwcu 1937 w kościele parafialnym w Mogile wziął ślub z Zofią Tynorówną z Czyżyn i następnie budują dom, gdzie w czasie wojny rodzą się dwie córki Maria i Zofia.



Działalności politycznej nie zaprzestał po wkroczeniu Niemców. W roku 1940 został zaprzysiężony na członka podziemnego ruchu ludowego i powierzono mu kierownictwo powiatowej trójki politycznej Ruchu Oporu Chłopskiego „ROCH" oraz zorganizowanie pracy konspiracyjnej w powiecie krakowskim. Był współorganizatorem Batalionów Chłopskich. Działał pod pseudonimem „Krzemień". W czasie okupacji był współorganizatorem pomocy dla rodzin uwięzionych profesorów UJ i osób poszkodowanych przez Niemców. W 1940 roku został aresztowany przez okupanta wraz 30 gospodarzami za nieoddanie kontyngentu. Powtórnie aresztowany w 1943 i wywieziony do Ruszczy, skąd z pomocą ekspedientki sklepowej udało mu się uciec. Od 1943 roku należał do komitetu redakcyjnego tygodnika społeczno politycznego ZIEMIA, który wydawany był w Mogile przez 1,5 roku.

Od przed wojny był członkiem Zarządu Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Jedność". Po wyzwoleniu pełnił w dalszym ciągu funkcję prezesa Zarządu Powiatowego PSL i członka Zarządu Spółdzielni „Jedność". W 1945 roku organizuje Polską Akcję Samoobrony BCH w powiecie krakowskim. W latach 1946-47 był prezesem komitetu elektryfikacji swojej rodzinnej wsi.

W związku z działalnością konspiracyjną w czasie wojny już 3.II.1945 roku aresztuje go NKWD. Przesłuchiwany w koszarach wojskowych Kraków-Dąbie, następnie w Bielsku i Wadowicach został dołączony do transportu, który miał być skierowany na Sybir. Po usilnych staraniach kolegów i Zarządu Okręgowego PSL został zwolniony w czerwcu 1945 r. Po zwolnieniu został wybrany na prezesa powiatowego zarządu SL w Krakowie i funkcję tę sprawował do czerwca 1947 r. W 1945 zmienia się nazwa organizacji SL na PSL. W latach 1946-48 jest członkiem Rady Naczelnej PSL, a w latach 1946-47 członkiem Powiatowej i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie. 2.XI.1945 r na rynku krakowskim w czasie uroczystości pogrzebowych prezesa i przywódcy ruchu ludowego Wincentego Witosa, żegna go w imieniu chłopów krakowskich.

W okresie powojennym był jeszcze wielokrotnie aresztowany – w listopadzie 1945 w czasie przemówienia na zebraniu w Swoszowicach wyraził się: „...gdyby nie Witos i Mikołajczyk Polska byłaby 17 republiką Sowiecką. Polska to dojna krowa, którą dojono przed 1939 r., podczas okupacji i teraz jest dojona przez Sowietów..." powiedział. Po interwencjach został zwolniony z powodu choroby i z wolnej stopy odpowiadał przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Krakowie. W 1946 roku wyrokiem sądu został oczyszczony z zarzutów. Był kandydatem na posła do sejmu z ramienia PSL. Na wniosek Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa



Publicznego w Krakowie został skreślony z listy i aresztowany w grudniu 1946 roku. W marcu 1947 został zatrzymany wraz z trzydziestoma prezesami gminnymi i gromadzkimi PSL. W sierpniu 1947 r. został zatrzymany na rozkaz Józefa Światły, w związku z po-dejrzeniem o współpracę z sądzonymi wówczas członkami WIN-u i PSL-u. W listopadzie 1947 r zatrzymany w związku z działalnością antypaństwową. Po wyjściu na wolność został mianowany wiceprezesem tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego PSL w Krakowie. Członkowstwo w odrodzonym PSL-u nie uchroniło go od dalszych aresztowań. Z listy członków stronnictwa został skreślony w 1953 roku. Pozbawiony wolności był jeszcze w lutym 1950 roku, w maju 1950, w październiku 1952 oraz w 1953 roku w Tarnowie, skąd został przewieziony do obozu pracy w kopalni węgla Jawiszowice. W powyższym okresie swojego życia i nieobecności w domu z powodu aresztowań, podczas których był niejednokrotnie torturowany, musiał uciekać i ukrywać się. Jego zdrowie poważnie uległo pogorszeniu. W dalszym ciągu pracował jednak społecznie. Współorganizował a następnie w latach 1958-60 był prezesem Miejskiego Związku Kółek Rolniczych w Krakowie . W 1957 roku był członkiem Zarządu Głównego Chłopskiego Towarzystwa Oświaty i Kultury. Był również członkiem i działaczem ZBOWiD – prezesem koła terenowego w Pleszowie.



*Jan Gajoch w czasie uroczystości pogrzebowych Wincentego Witosa, w Krakowie, 3 listopada 1945*

Należy podkreślić tutaj jak dzielną kobietą była jego żona Zofia. Musiała przeżyć niejednokrotnie z córeczkami wszystkie rewizje i najścia, łomotanie do drzwi Rosjan, UB i Milicji, często zatrzymując ich przed wejściem aby Tatuś miał czas na ucieczkę. Z uwagi na częste nieobecności naszego Ojca spowodowane działalnością polityczną, ukrywaniem się, pobytem w więzieniach, cały ciężar prowadzenia gospodarstwa rolnego, (13 ha) spoczywał na jego żonie!

Rodzina utrzymywała się z pracy na roli do czasu wywłaszczenia pod budowę Kombinatu Huty im. Lenina w latach 1951 i 52 wywłaszczono większość gospodarstwa (ok. 10 ha) i pozostało tylko resztki ziemi i zabudowania.

Tatuś przez jakiś czas pracował jak wielu innych rolników którzy zostali pozbawieni ziemi, jako wozak na terenie Kombinatu. W 1964 roku miał wylew krwi do mózgu oraz zachorował na serce. Do zdrowia już nigdy nie wrócił. W 1966 roku po kilkuletnich staraniach kolegów otrzymał rentę. Po wywłaszczeniu reszty ziemi dom został wyburzony przez Hutę w 1970 roku.

Do końca życia pozostał wierny swoim przekonaniom, a bicie i więzienia zniszczyły jego zdrowie i skróciły życie ale nie złamały jego ducha. Jego wzorem był zawsze Wincenty Witos, którego portret wisiał w naszym domu obok krzyża i reprodukcji „Batorego pod Pskowem". Był autorytetem i przykładem żarliwego patrioty, który dla dobra chłopów i Ojczyzny poświęcił swoją rodzinę i ostatecznie zdrowie, co spowodowało jego przedwczesną śmierć.

Zmarł 17 listopada 1968 roku w wieku 68 lat i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Pleszowie. Żegnała go rodzina wielu przyjaciół i kolegów oraz liczne delegacje chłopów z tak przez niego umiłowanymi zielonymi sztandarami.

Jeden z jego przyjaciół Józef Marcinkiewicz tak powiedział nad trumną: „żegnam Cię na tej wyspie własnej ziemi, której jak Drzymała przed Niemcami Ty słusznie broniłeś przed zalewem przemysłu, twierdząc, że przemysł nie zastąpi chleba! Mimo kończących się sił, wśród odgłosów warczących fabryk, mimo trującego powietrza, wytrwałeś do ostatnich dni, by siać to ziarno w resztki własnej ziemi, jak przedtem siałeś ziarno oświaty i prawdy wśród młodzieży i chłopów polskich".

Stanisław Mierzwa tak zakończył swoją myśl nad grobem kolegi Jana: „Jaśku! Spełniłeś dobrze swoje obowiązki wobec Ojczyzny i wobec polskich chłopów. Do ostatniej chwili stałeś na swoim stanowisku broniąc i uprawiając umiłowaną ziemię. Niech Ci Ona będzie lekką."

Został odznaczony Krzyżem Zasługi z Mieczami, Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945, Odznaką Grunwaldzką a pośmiertnie w 1976 roku krzyżem Batalionów Chłopskich. Jego imieniem nazwano w 1989 roku jedną z ulic Nowej Huty.

***Maria Kornas***

***córka Jana Gajocha, na podstawie materiałów zebranych przez Katarzynę z Gajochów Witaszkową – siostrę Jana Gajocha (również działaczkę i wielką patriotkę) z pisemnych i ustnych relacji kolegów oraz rodziny.***

## Stanisław Gajoch



Urodził się w Pleszowie 1909 roku. Był synem Piotra i Józefy, którzy swoje dzieci – siedmiu synów i córkę – wychowywali w dyscyplinie i w miłości do ojczyzny.

Jak wielu Pleszowian kochał Polskę i swoją wioskę, oddawał szacunek rodzicom, walczył o wolność chłopa i sprawiedliwość, wrażliwy na zakłamania historyczne. Brał czynny udział w każdej uroczystości, czy to w Pleszowie, w okolicznych wioskach czy też w Krakowie. Na zdjęciach przedstawiony jest ze sztandarem, z którym mieszkańcy maszerowali z Pleszowa do Krakowa (tj. koło 15 kilometrów) na każdą uroczystość na kopcu Kościuszki, aby swą obecnością wyrazić swe poglądy..

W czasie wojny, w 1942 roku, ożenił się z Marianną Pyrlikówną. W czasie wojny w 1943 roku budował dom, mimo, że groziło to śmiercią.

Pamiętamy jak zimowymi wieczorami opowiadał różne zdarzenia , m.in. historię o wojsku rosyjskim, które przeprawiało się przez naszą wieś pleszowską. Rosjanie mieli do sprzedaży konia, który był bardzo zaniedbany i bardzo wygłodzony, proponując mojemu ojcu kupienie go za alkohol.

Tatuś lubił konie, znał się na nich, był rolnikiem. Kupił więc za ustaloną cenę wymiany towarowej owego konia. Po trzech tygodniach, kiedy koń wyglądał już na zdrowego, dobrze odżywionego i zadbanego, ci sami Rosjanie „handlowcy" przyszli konia odebrać. Tato mocno zaprotestował i gdyby nie mama, która krzycząc osłaniała tatę, Rosjanie z „pepeszy" zastrzeliliby go na własnym podwórcu.

Wielka odwaga mojego taty bardzo przydała mu się w późniejszych, powojennych czasach komunistycznych.

W 1958 roku przyszło wywłaszczenie. Duże gospodarstwo hodowlane – 8 krów, 500 kur, byki zarodowe, 2 konie itd. – zaczynające się dopiero rozwijać, zaledwie 8-letni sad owocowy, dom jeszcze niewykończony w środku (parkiet mam na pamiątkę do dziś) i czworo dzieci w wieku od 15 do 4 lat było tym, czego rodzice dopiero co zdołali się dorobić. Musieli opuścić dom, zlikwidować gospodarstwo... co począć dalej? To było bardzo trudne. Jaki zawód mieli wykonywać, skoro najlepiej znali się na rolnictwie?

Kombinat obiecywał pierwszeństwo pracy, ale kiedy mama zatrudniła się w hotelu robotniczym jako portierka (jak wiele innych kobiet będących w tej samej sytuacji), gdy przyszła redukcja etatów zwolniono ją jako jedną z pierwszych, gdyż miała pochodzenie kułaczki. Pod hasłem „Niszcz kułaka".

Tatuś musiał podjąć decyzję o kupieniu następnego gospodarstwa, pomniejszonego o połowę, aby mógł wyżywić rodzinę. Kupił więc byłe gospodarstwo rolne w Grębałowie, mieszkaliśmy jednak w bloku ze względu na lepsze warunki.

W latach 1969-1981, po zlikwidowania upraw rolnych, na prośbę ówczesnego proboszcza naszej parafii – Księdza Jana Hyca, Tatuś wynajął pomieszczenia na lekcje religijne. Uczęszczały tam dzieci z okolicznych wsi i osiedli .

Niestety władzom komunistycznym bardzo się to nie podobało. Dostaliśmy eksmisję z mieszkania w bloku, gdyż wg ówczesnych przepisów nie wolno było posiadać dwóch domów mieszkalnych na terenie PRL . Mieliśmy się wyprowadzić wciągu siedmiu dni. Stracił także dobrą pracę, a w końcu i zdrowie, i musiał iść na rentę.

Zdjęcie z pod Pałacu Kultury i Sztuki w Warszawie jest właśnie dowodem szukania sprawiedliwości.

Moje starsze rodzeństwo pamięta, jak po wojnie przyjeżdżał na białym koniu Tatusia przyjaciel z wojska, Kapelan Wojskowy Tadeusz Kruszyński – Dziekan Wydziału Teologii Uniwersytetu Krakowskiego. Jadąc z Krakowa do Pleszowa zatrzymywał się w łanach zbóż podziwiając te urodzaje, które wg ówczesnej propagandy miały być nieużytkami. Podziwiał Pleszowian za pracę i opór.



*Parada w czasie święta ludowego, Pleszów, lata 30. XX. wieku*



## Z pamiętnika Stanisława Gajocha

Urodziłem się 31 stycznia 1909 roku, ale tak naprawdę to żyje dopiero od roku 1914 wczesnej jesieni, a piszę tak dlatego, gdyż nie wiem ani nie pamiętam tego co działo się przedtem natomiast zapamiętałem wieczór który dzisiaj jeszcze widzę jak gdyby to było wczoraj. A było tak: do naszej sieni która była dość obszerna weszło dwóch żandarmów w Chełmach i dali rozkaz mojemu ojcu ze natychmiast ma spakować swój inwentarz i wraz z rodzina przeprowadzić się do przygotowanych kwater. Nasza sień akurat była wypełniona wszystkimi domownikami, bo właśnie była przygotowywana kolacja. Nie pamiętam pakowania, ale moment kiedy znalazłem się już na wozie, było już ciemno słyszałem jeszcze pobekiwanie krów i widocznie zasnąłem. A więc, jak się już dużo później dowiedziałem, była to I Wojna Światowa. Otóż wsie, które znajdowały się w zasięgu obstrzału artyleryjskiego miały być usunięte przez rozebranie względnie spalone. Nasze budynki były już obłożone snopkami zboża i czekano na rozkaz spalenia zaś drzewa, że były za duże, wycięto. Aby nie czyniły zasłony.



*Piotr Gajoch z synkiem Stasiem, Pleszów, 1916 r.*

Tak więc wszystko było przygotowane do obrony Krakowa przed nieprzyjacielem, czyli jak wtedy mówiono przed Moskalem. Ale Moskal nie atakował Krakowa, a był już pod Wieliczka. Ludzie wtedy mówili, iż generał dowodzący został przekupiony przez Austriaków i dał rozkaz odwrotu.

Kraków był twierdzą opasaną nowoczesną fortyfikacją, oddano z tych fortów tylko jeden strzał, a więc późniejszy marszałek Koniew nie był pierwszym, który oszczędził Kraków.

Po trzech miesiącach wróciliśmy do domu i to również pamiętam dobrze. W izbie została tylko jedna ławka z heblowanej deski przybitej mocno do ściany, dzięki czemu się ostała, zaś resztę mebli wyszabrowano. W tym czasie nasza biedna Mama miała na głowie małe dzieci tj. Marysię, Wiktosię, Janka, Staszka, Piotrusia, a w największy mróz, na Św. Wincentego, dołączył do nas jeszcze jeden braciszek, któremu na imię dano Wincenty. Najstarszy brat Józek był wtedy przysłowiową prawą ręką Tatusia. Oni to właśnie posiadali przepustki na wjazd do Pleszowa, mogli więc dowozić słomę, pasze, jak również młócili zboże, w domu przecież zostały trzy krowy – reszta bydła znajdowała się w Kujawach u brata naszego tatusia, Walentego Gajocha.

### Po powrocie z ewakuacji

Był rok 1915, wojna trwała dalej. Do naszego domu schodzili się sąsiedzi, aby o niej opowiadać. Nasza mama czytała na głos prasę: „Rola", „Wieniec i Pszczółka". Bo trzeba przyznać, że nie wszyscy sąsiedzi umieli czytać. Ludzie jednak łaknęli wiadomości z frontu.

Nasz tatuś uczęszczał do gimnazjum Św. Jacka w Krakowie. Nie ukończył jednak studiów, gdyż najmłodszy brat Stanisław, który miał o-dziedziczyć gospodarstwo zachorował na gruźlicę i w krótkim czasie zmarł. Dziadek, czyli ojciec naszego tatusia miał trzech synów i trzy córki; najstarszy syn Walenty ożenił się w Kujawach, jeden z jego synów Jan Gajoch był w rządzie Witosa, /to właśnie jedna z ulic w Nowej Hucie nosi jego imię./ Tatuś przez czternaście lat był wójtem gminy Pleszów. Nie miał lekkiego życia. Trwała przecież wojna a Polska była pod zaborem Austriaków. Austria zaciągała do wojska Polaków a wójt był odpowiedzialny za pobór żołnierza, wydzielenie kwater dla wojska, wyznaczenie podwód /pojazdy konne wraz z woźnica/ jak również utrzymanie porządku w całej gminie. Z tego powodu miał wrogów, gdyż nie mógł wszystkich uchylić przed służbą wojskową czy podwodami. W naszym domu odbywały się zebrania radnych gminy, bywali często żandarmi a także oficerowie. Pewnego razu przyjechał na koniu oficer i zażądał kilku stodół na kwatery dla koni. Ponieważ było po żniwach, więc stodoły były wypełnione zbożem. Na nic zdały się tłumaczenia, oficer, a był to Madziar, wyciągnął szablę i tak rąbnął, że gdyby tatuś nie odskoczył, to miałby rozpłataną głowę. A tak się często zdarzało – wiadomo wojna zawsze ma swoje prawa, tym bardziej, że Polska była pod zaborem austro-węgierskim.

### Rok 1916

Jestem uczniem pierwszej klasy, mam skórzana torbę, elementarz, książkę do liczenia, tabliczkę, rysik. Kierownikiem szkoły był bardzo niedobry pan o nazwisku Zawada, pochodzenia czeskiego, a ludzie mówili na niego „żyd". Może dlatego, że nosił gęstą i nieco przydługawą brodę. Nie zależało mu na nauczaniu dzieci, ale za to dbał o swoje interesy, uczniowie musieli rżnąc sieczkę na ręcznej sieczkarni, jak również wykonywać inne prace w ogrodzie, takie jak plewienie i przygotowanie ziemi do sadzenia roślin. Moją wychowawczynią była wspaniała pedagog

z prawdziwego zdarzenia, pani Helena Ligezianka; drugą nauczycielką była pani Zagurzańska. Zawsze po przyjściu ze szkoły miałem już wyznaczoną stałą pracę: przygotowanie drewna na podpałkę, przyniesienie węgla z piwnicy, potem odrabiałem lekcje i już mogłem pogonić. Ale kiedy była młocka musiałem poganiać konie przy kieracie. Kiedy byłem w szkole, to konie poganiał starszy brat Janek. Tato często brał ze sobą za rączkę mojego młodszego braciszka Piotrusia i obydwaj chodzili za końmi. Przez to stało się wielkie nieszczęście, którego do końca życia wszyscy nie mogliśmy zapomnieć, a najbardziej nasz tato. Piotruś dostał się w przeguby napędowe i poniósł śmierć na miejscu. Ja wtedy wracałem ze szkoły i w drodze dowiedziałem się o tym nieszczęściu.

**Rok 1917, 1918 czyli jak to dzwon oznajmił „Wolność"**

Byłem już uczniem trzeciej klasy. Po modlitwie śpiewaliśmy „Boże wspieraj, Boże chroń nam cesarza i nasz kraj, bo z Habsburgów tronem złonczon i nasz naród i nasz kraj".

Nasz kierownik szkoły widocznie bardzo lubił Austrię, bo kiedy „aniołowie" schowali dzwon kościelny przed Austriakami to on zwołał nas do klasy i groził, że nasi rodzice będą aresztowani, jeżeli dzwon się nie znajdzie. Dzwon się nie znalazł. Jak to się stało, dowiedziałem się dopiero wtedy, kiedy dzwon powrócił na miejsce. Pamiętam jednak, jak dzwon leciał z wieży kościelnej. A było to tak: ludzie nanieśli pod wieżę słomy na wysokość czterech metrów. Z okien wieży wystawały dwie duże belki, po których jak po torach wysunięto dzwon. Dzwon, mimo grubej warstwy słomy, zarył jeszcze częściowo w ziemię. A co się później stało, to dowiedziałem się od tych „aniołów", którzy go schowali. Ale dopiero wtedy, kiedy Polska była już wolna. Pozwólcie, że opiszę to piękne zdarzenie. Ówczesny proboszcz Jan Skarbek, człowiek szlachetnego serca, nie tylko dobry ksiądz, ale wielki patriota, nie chciał stracić dzwonu ani wzbogacać zaborcy w armaty. Kiedy dzwon już znajdował się na ziemi zaprosił dwóch oficerów, którzy byli wyznaczeni do jego konwojowania, suto ugościł i zaproponował, aby dzwon zabrali na drugi dzień, na co oni wyrazili zgodę i odjechali w stronę Krakowa. Tymczasem proboszcz zebrał zaufanych ludzi, którzy musieli złożyć przysięgę, że to co będą czynić tej nocy będzie strzeżone tajemnicą. Jak postanowiono tak też uczyniono.

Jako woźnicę wyznaczono Jana Bandurę i na jego polu w odległości jednego kilometra od kościoła dzwon zakopano. Po tej operacji całą trasę skropiono naftą z domieszką karboliny, żeby psy nie mogły wytropić zakopaliska. Nasz najstarszy brat Józek też brał w tym udział. Dopiero w roku 1918, po uzyskaniu niepodległości, ten sam woźnica w cztery konie zaprzęgnięte do pługa, szukał gdzie jest dzwon, wystawiono prowizoryczną wieżę i dzwon się odezwał. Była to naprawdę piękna uroczystość. Z kościoła wyruszyła procesja z chorągwiami, ksiądz proboszcz Jan Skarbek wygłosił piękne kazanie, a zaczął od słów: „Polska już wolna i ty Święty Florianie jesteś już wolny"... i dzwon się odezwał

**Wróćmy zatem do roku 1917**

Wojna trwała dalej, przyłączyły się do niej państwa ościenne a także Ameryka. Polacy spod zaboru austriackiego walczyli na froncie przeciw Moskalom. Z frontu wracali Polacy inwalidzi z ciężkimi odmrożeniami. Część dostała się do niewoli rosyjskiej. Niemcy także brali Polaków do wojska. Mniej ich zaciągała Rosja. Polacy walczyli przeciwko sobie, a więc brat przeciw bratu.

**Rok 1918**

Tego roku nie potrafię opisać tak dokładnie, ale opiszę to, co utkwiło w mojej pamięci, kiedy miałem 9 lat. Ludzie schodzili się wieczorami i dużo rozprawiali o wojnie. Z frontu nadchodziły różne wiadomości, wielu zginęło z naszej wsi, drogą koło naszego domu wracało wojsko, armaty ciągnięto wołami. Były też samochody, które bardzo różniły się od dzisiejszych, a mianowicie koła nie posiadały opon wypełnionych powietrzem, lecz były na pełnych gumach. W naszym domu kwaterowało 30 żołnierzy austriackich – dokazywaliśmy z nimi, byliśmy przecież dziećmi – wspominam ich mile.

Polacy nie narzekali na Austrię, mieli więcej wolności aniżeli pod zaborem niemieckim czy rosyjskim. W szkole co prawda dalej śpiewaliśmy „Boże wspieraj...", ale w kościele śpiewaliśmy „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki..." Ogólnie Austria nie gnębiła Polaków ale i też nic dla nich nie robiła. Nie budowała dróg ani przemysłu np. w Krakowie były dwie odlewnie kieratów, ale młocarnie musieliśmy sprowadzać z Czech.

Tymczasem na arenie światowej dokonywały się wielkie przemiany polityczne. W Rosji carskiej rządy przejmują bolszewicy, w Niemczech również rosną tendencje do rewolucji, Austria rozpada się, w Polsce coraz głośniej mówi się o wyzwoleniu spod zaborów. Państwa Ententy z Ameryką na czele zmuszają Austrię i Niemcy do kapitulacji. Dużo mówi się u nas o Ignacym Paderewskim, który zaprzyjaźnił się z prezydentem Wilsonem i w dużej mierze przyczynia się do utworzenia Polski niepodległej.

**Polski Zmartwychwstanie, rok 1918 c.d.**

Dzień 11 listopada staje się świętem narodowym. Rozdzwoniły się dzwony z Zygmuntem na czele i trudno jest nawet opisać entuzjazm, jaki opanował naród polski. W tym czasie nie było jeszcze utrwalonej władzy, a co się z tym wiąże były trudności z utrzymaniem porządku publicznego. Tworzyły się bandy rabunkowe. Aby temu zapobiec powołano specjalną straż ochronną, składającą się z kilkunastu ludzi uzbrojonych w karabiny, którzy patrolowali teren od wieczora do rana. Na dzień broń składano w naszym domu. Natomiast w szkole niewiele się zmieniło, pani Helena bardzo była uradowana i dużo opowiadała nam o wolnej Polsce. Kierownik szkoły wcale nie okazywał radości, bardziej dbał o swoje gospodarstwo niż o naukę uczniów. Na przykład uczniów z dwóch klas usadawiał w jednej sali a jako ćwiczenie nakazał nam przepisywanie kilku stron z książki, po czym opuszczał salę na parę godzin.



Pewnego razu tak pozostawione dzieci bez opieki zaprzestały przepisywania i poczęły hałasować krzyczeć i skakać po ławkach. Usłyszał to kierownik. Wpadł z mosiężną linijką i tych zuchwałych brał na stopień i niemiłosiernie bił. Niestety byłem jedną z wielu ofiar tego okrutnego zajścia.

Pan kierownik wypuścił część dzieci do domu, ale ja z innymi musiałem zostać. Mój brat Józek, dowiedziawszy się o całym zajściu, czym prędzej powiadomił naszego tatusia, a ten niewiele myśląc poszedł do Stanisława Partyły, który w tym czasie był wójtem gminy i zrobili kierownikowi awanturę a nas zwolnili z „aresztu szkolnego". Następnego dnia pojechali do kuratorium i zażądali zmiany kierownika. Zaraz po tym zajściu kierownik-sadysta musiał opuścił Pleszów a na jego miejsce przyszedł w niedługim czasie pan Jan Twaróg. Jak się później okazało był to pedagog z powołania.

Pamiętam jego słowa, jakie skierował do nas: „Chciałem swą pracą służyć ojczyźnie i narodowi i w tym celu miałem zamiar wstąpić do wojska. Jednak po krótkim namyśle doszedłem do przekonania, że będąc nauczycielem, będę mógł przygotować młodzież do służenia Polsce. I wam będę chciał wpoić miłość do naszej Ojczyzny. Bo Polska zmartwychwstała, potrzebuje synów i córek, którzy by uczciwie pracowali, a w razie potrzeby byli gotowi jej bronić". Te słowa wbiły się nam głęboko w pamięć i w naszych umysłach rodziło się przeobrażenie świadomości – musimy się uczyć i pracować, aby służyć naszej ojczyźnie. Nowy kierownik nie tylko uczył w szkole, ale objął młodzież opieką pozaszkolną. Organizował różne ciekawe imprezy, przedstawienia młodzieżowe, chóry śpiewu. Młodzież zaczęła lgnąć do niego, widziała w nim nie tylko nauczyciela, ale serdecznego przyjaciela. Wieś zaczęła się przeobrażać. Udział młodzieży w przedstawieniach ujawniał ich utajone talenty. Kto wie czy gdyby mogli się dalej kształcić, może niejeden z nich zostałby artystą z prawdziwego zdarzenia. Na początek wymienię trzech braci Cyganów: Michał, Jan i Stefan – niesamowite zdolności aktorskie – w dodatku obdarzeni pięknym głosem. Także Jan Rozpondek i Piotr Stanek a z dziewcząt Honorata Cyganówna, Maria Nowakówna / Banachówna/. Nie sposób wymienić wszystkich. Młodzież była naprawdę nie tylko zdolna, ale i wartościowa. Przez organizację rosła idea współpracy i współzawodnictwa. Pleszów zaczął promieniować na całą okolice powiatu, a nawet województwa.

**Karczma**

Żeby pisać o Pleszowie muszę się cofnąć do lat, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, a tylko wiem z opowiadania starszych.

A było tak: dwór pleszowski posiadał w rynku dom, na który mówiono karczma. Był to duży budynek murowany. W połowie tego budynku znajdowała się zajezdnia, która posiadała dwie bramy wjazdową i wyjazdową. W tej drugiej połowie znajdowała się duża sień i trzy duże izby. Ponieważ Pleszów znajdował się na trakcie handlowym gdzie przejeżdżało dużo furmanek, więc karczma służyła jako gospoda, gdzie można było przenocować, zjeść obiad czy kolacje, a nawet się zabawić. Furman wjeżdżając do środka mógł się przespać w swoim wozie. Kiedy granica rosyjsko-austriacka znalazła się niedaleko od Krakowa na terenie wsi Kościelniki powstała placówka graniczna zwana „komorą" lub „cłem". Przewóz towaru stał się utrudniony. Dlatego zajezdnia została zlikwidowana. W połowie zajezdni urządzono sklep oraz magazyn a jedną bramę zamurowano... Druga połowa karczmy, którą ja już pamiętam, została w stanie poprzednim tzn. nie posiadała sufitu i brama została nienaruszona. W takim to stanie ową karczmę dzierżawił żyd miejscowy. Kiedy zmienił się właściciel dworu postanowił ową karczmę wystawić na licytację? W tym czasie wójtem gminy był mój ojciec. Postanowił za wszelką cenę tę karczmę wykupić dla gminy. Opowiadał mi mój starszy brat Józek, że kiedy żyd się o tym dowiedział, zawitał natychmiast do ojca błagać go, ażeby odstąpił od tego kupna. Kiedy ojciec stanowczo odmówił, wtedy żyd wyciągnąwszy garść pieniędzy chciał go po prostu przekupić. Ojciec wypchnął karczmarza za drzwi i jeszcze w tym samym dniu załatwił kupno u właściciela. Odtąd dom służył gminie. Znalazło się w nim miejsce na sklep prowadzony przez miejscowe Kółko Rolnicze, salka szkolna, remiza strażacka, a jeszcze później poczta. W takim to stanie dom ten zastał nowy kierownik szkoły, pan Jan Twaróg. Początkowo nowe zajęcia i przedstawienia urządzał w szkole, jednak pomieszczenie to było niewystarczające i należało się rozglądnąć za czymś większym. I wtedy zobaczył zajezdnię. Była to rudera składająca się z czterech ścian bez sufitu, bez drzwi i okien. Po uzgodnieniu z gromadą postanowiono zajezdnię przebudować na świetlicę. Za zebrane pieniądze z przedstawień zakupiono deski w stanie surowym, po czym każdą z nich należało odpowiednio ociosać i dopasować. Młodzież wykonała to z wielkim entuzjazmem. Trzeba przyznać, że pracować mogła wieczorami po codziennych zajęciach. Zanim jednak wyłożono deskami ściany i sufit młodzież musiała wywieść dziesiątki kubików ziemi, bo trzeba było zbudować scenę z prawdziwego zdarzenia z przejściem podziemnym i miejscem na suflera. Kiedy podłoga była gotowa urządzono zabawę, aby w ten sposób zdobyć pieniądze na resztę materiału. I tak to dzięki Panu Kierownikowi, który sam przykładnie pracował, w ciągu jednego roku powstała świetlica ze sceną, która mogła pomieścić wraz z miejscami stojącymi trzystu widzów i około trzydziestu aktorów. Obok świetlicy znajdował się magazyn, który służył w czasie przedstawień jako zaplecze teatralne. W późniejszym czasie była tam umieszczona biblioteka utworzona z książek ofiarowanych przez mieszkańców Pleszowa i przez stopniowe dokupywanie nowych. Kiedy ja byłem bibliotekarzem stan książek liczył ponad 1500.

***Stanisław Gajoch, syn Piotra***

## Pożegnanie z Pleszowem

Aby opisać ten czas wspomnieć należy jak wyglądał Pleszow po latach pięćdziesiątych.

Należy połączyć dwa istotne zagadnienia, iż opuszczając Pleszow wbrew swojej woli żegnaliśmy się nie tylko z inwentarzem i budynkami gospodarczymi, ale z tą wspaniałą atmosferą, w której wzrastaliśmy od urodzenia. W Pleszowie była cała niemalże rodzina, wujkowie, ciocie, cała plejada kuzynów, z którymi tak często spotykaliśmy się nie tylko w święta, ale w zwykłą niedzielę po południu. Starsi siadali przy stole a my dokazywaliśmy na zewnątrz.

Patrząc z perspektywy czasu śmiało można powiedzieć, że polska wieś posiada niepowtarzalny i swoisty urok wspólnego bycia razem jak jedna wielka rodzina. Polska wieś żyje, posiada szkołę, gminę, dom kultury i wreszcie kościół, który tworzy wspólnotę parafialną. Takich wsi nie ma w Ameryce, gdzie farmy są ogromne, ale okolica zieje pustką.

Wracam więc do mojego Pleszowa. Budowę domu wraz z zabudowaniami tato rozpoczął w czasie wojny w 1943 na terenie zwanym „Przymiarki", gdzie powstały pierwsze trzy wielkie piece metalurgiczne. W pierwszej fazie wywłaszczenia straciliśmy 4 hektary ziemi, która rozpościerała się wokół nowopowstającego gospodarstwa. Teren ten wykupiła moja babcia Katarzyna Pyrlik, już jako wdowa po śp. Jakubie Pyrliku, od ówczesnego właściciela dworu pleszowskiego. Budowa nowego gospodarstwa nie była łatwa, bowiem niemiecki okupant wydał zakaz budowania wszelkich jednorodzinnych inwestycji. Tato borykał się z wieloma niebezpieczeństwami, które musiał znieść i tylko Opatrzność Boża, jak mawiał, sprawiła, że dobrnął do końca. Kiedy całe to przedsięwzięcie miało się ku końcowi, w roku 1951, został powiadomiony przez ówczesne władze, że musi opuścić wraz z rodziną dotychczasowe miejsce i przenieść się do bloku mieszkalnego w Nowej Hucie. Nasze gospodarstwo, jak na ówczesne czasy było nie tylko duże, ale i nowoczesne. Była młocarnia, żniwiarka, kosiarka a do wykopywania ziemniaków służyła koparka. W studni zamontowany był motor do pompowania wody. Podobnie jak dziadek Piotr Gajoch, tato zajmował się hodowlą bydła zarodowego i był w ścisłym kontakcie z Instytutem Rolnictwa w Poznaniu. Posiadał dwa piękne konie, bo jak wiemy szczególnie Pleszów z tego słynął. Mama zajmowała się hodowlą kur, a kiedy przyszedł sezon letni, pamiętam do tej pory zapach pieczonej kury w sosie śmietankowym, którym raczyliśmy się przy obiedzie. Obecnie nawet sklepy z tzw. „zdrową żywnością" nie mogą się pochwalić takim produktem, choć cena jest parokrotnie większa, niż cena mięsa wyhodowanego w iście „nowoczesny sposób", nasączonego chemikaliami. Nie sposób przemilczeć parodie ośmieszania polskiego rolnika przez tzw specjalistów od zakładania kombinatów żywnościowych...



*Stanisław Gajoch walczy o sprawiedliwość, Warszawa, 1972 r.*

Ups... znów odbiegłam od tematu. Choć tak naprawdę zlewa się on w całość problemu ciągle aktualnego. Otóż proces wywłaszczenia trwał od 1952 roku aż do momentu ostatecznego opuszczenia domu rodzinnego w dniu 1 grudnia 1961 roku. W międzyczasie tato często wyjeżdżał do Warszawy do ówczesnych władz, aby walczyć o godniejsza zapłatę za zabraną własność. Trudno to było nazwać zaplatą, gdyż była to po prostu grabież mienia okupionego ciężką pracą wielu pokoleń. Ostatecznie było drugie odwłaszczenie, ale tylko budynków, które nie do końca były wykończone wg. planów, gdyż inwestowanie w tej sytuacji było nieopłacalne. O wiele większą wartość dla nas miała zabrana ziemia wraz z dużym sadem. Jednak ponownej wyceny władze odmówiły.

Moi starsi bracia pamiętają pierwsze spychacze i dewastacje zasianych plonów. Jako chłopcy zupełnie nie pojmowali, co się dzieje. Zafascynowani pracą maszyn roboczych, głębokie wykopy jakie powstawały traktowali jako teren zabawy. Do naszego domu przychodzili ludzie różnych zawodów; inżynierowie, oficerowie, zwykli fachowcy, którzy byli opiekunami tzw. „hufców pracy", gdzie służyli junacy wykorzystywani do budowy kombinatu. Młodzi ludzie niekiedy ze zwykłego wybryku chuligańskiego a czasem z ówczesnej propagandy „niszcz kułaka" łamali młode, pięcioletnie drzewka owocowe. Nasz sad liczył wówczas ok. 150 sztuk drzew owocowych. Z czasem i ten problem powoli się unormował.

Po przeciwnej stronie naszego gospodarstwa powstał duży obiekt mieszkalny tzw. baraki dla pracowników. Wbrew opiniom i mitom, jakie krążyły o tych mieszkańcach, że byli to ludzie z biedoty, prości, niepiśmienni, muszę przyznać, że większa część to ludzie przyjaźni, życzliwi i bardzo rozumiejący nasza sytuację. Wręcz szczerze nam współczuli, często przychodzili do nas zaopatrywać się w mleko, owoce, jajka. Często też taka wyprawa po żywność kończyła się dłuższymi posiadami po skończonej pracy.

***Dzieci Stanisława i Marii Gajochow z Pleszowa: Tadeusz, Bolesław, Halina, Joanna oraz wnuki Aneta, Sebastian i Piotr***



Słowa piosenki pt. „Z mego okienka"

*Z mego okienka widać na lewo*
*Ogromne stare z spróchniałe drzewo,*
*Ono dopiero rozkwitnie wtedy*
*Kiedy na świecie nie będzie biedy*
*Ani tułactwa ani żołnierki,*
*Ni ludzkiej krzywdy ni poniewierki,*
*Gdy każdy w swej chacie usiądzie,*
*I jak brat z bratem kochać się będzie.*

*Ref.*
*Bo głód to straszna jest kara z nieba*
*Ojcze nasz daj nam czarnego chleba*
*Zapal słoneczko najświętszą ręką*
*I puść promyczek w każde okienko.*
*A tam na prawo gdzie Boża męka*
*Widać hen pole z mego okienka.*
*A po nim ojciec za pługiem chodzi,*
*A czy zarodzi czy nie zarodzi?*

Autor słów nieznany. Piosenkę tą śpiewała zawsze moja mama Marianna Gajoch. Mam ją nagraną na taśmie wideo.

***Córka Joanna***


*Dom rodzinny Gajochów w Pleszowie*

*Piotr Gajoch z rodziną, Pleszów, lipiec 1928*



## Rodzina Cieślewiczów na terenach Nowej Huty

Historia rodziny Cieślewiczów na terenach obecnej Nowej Huty sięga przełomu XIX i XX wieku, kiedy urodzony koło Gniezna Józef Cieślewicz objął zarząd majątku Wadów i zamieszkał w pałacu zbudowanym w 1874 r. przez Badenich. Wcześniej – ożeniony z Marią Miklaszewską z proszowickiego – mieszkał i pracował w Kościelcu



*Rodzina Józefa Cieślewicza, Wadowie, początek XX. wieku*

Świętokrzyskim, gdzie urodziły się jego dzieci: Władysław (1890), Jadwiga (1892), Józef (1894) i Kazimierz . Józef Cieślewicz gospodarząc w Wadowie, a następnie dzierżawiąc od krakowskiej Kurii Biskupiej majątek Bieńczyce, dał się poznać jako świetny rolnik: wprowadził nowoczesne formy uprawy i maszyny rolnicze. Brał czynny udział w życiu społecznym, uzyskują zaufanie sąsiadów, czego wyrazem był wybór na prezesa Towarzystwa Rolniczego Okręgowego Ziemi Krakowskiej – tę zaszczytną funkcję pełnił do śmierci w 1919 r. We wspomnieniu pośmiertnym żegnano go słowami: „Zmarły, rodem z poznańskiego, pochodzący po matce z rodziny jenerała Dembińskiego, przejął dziedzictwem po swych przodkach gorącą miłość ojczyzny i gotowość do służby krajowi. Uczeń twardej szkoły pruskiej, wyniósł z niej to, co mógł najlepszego: zamiłowanie porządku, karność i sumienność... Przed dwudziestu paru laty osiedliwszy się w Krakowskiem, stanął od razu w szeregu naszych ziemian, biorąc żywy udział w tem wszystkiem, czego wymagało dobro ogółu... Ziemia i jej potrzeby, to było główne zadanie jego życia... Wyjątkowo doprawdy zdarza się, by człowiek tak oddany pracy na roli, miał zarazem umysł tak otwarty na wszystkie inne zagadnienia życiowe...".

Brat Józefa – Wincenty Cieślewicz, wraz z żoną Izabellą z Poznańskich, zarządzał gospodarstwami w Rejowcu, Włostowie i Ujeździe w zaborze rosyjskim, ale starał się przenieść do Galicji, aby umożliwić dzieciom zdobycie wykształcenia. Dlatego w 1910 r. objął posadę ogrodnika w gospodarstwie Zakonu Cystersów, kupił niewielki (stojący do dziś przy ul. Ptaszyckiego) dom i zamieszkał w Mogile. Ich dzieci: Kazimierz-Hieronim (ur. w 1894 r.) i Helena (ur. 1905), uczyły się w Krakowie. Kazimierz ukończył III Liceum im. Jana Sobieskiego i po wojnie (którą spędził internowany w Moskwie) podjął studia na wydziale rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, które ukończył, uzyskując stopień inżyniera rolnika. Jego siostra Helena skończyła pensję i studium ogrodnicze. Po studiach Kazimierz Hieronim Cieślewicz wziął w dzierżawę od krakowskiej Kurii Biskupiej majątek Czyżyny, gdzie zamierzał gospodarować wraz z rodzicami i siostrą. Niestety, zlekceważony atak wyrostka robaczkowego – przy braku łączności i trudnościach komunikacyjnych – spowodował przedwczesną śmierć Wincentego Cieślewicza 24 grudnia 1924 r. Kazimierz chciał rozwinąć uprawę warzyw i owoców dla Krakowa, udał się do dalekiego krewnego, który specjalizował się w ogrodnictwie w podwarszawskim Rakowcu. Tam poznał Zofię Wardecką, z którą wziął ślub w 1925 r.

W tym czasie w Bieńczycach gospodarzyła Jadwiga córka Józefa, która w 1921 r. na Wawelu poślubiła Mieczysława Świerczewskiego. W 1923 r. urodził się im syn Andrzej, a w 1926 r. córka Aleksandra. Dzieci otrzymały imiona na pamiątkę bohaterów „Potopu" Henryka Sienkiewicza. W 1927 r. Jadwiga umarła, a kilka miesięcy później odszedł (wyjechał, dom opuścił?) Mieczysław Świerczewski. Opiekę nad małymi dziećmi Jędrkiem i Oleńką przejął wraz z dzierżawą majątku Bieńczyce – Kazimierz Cieślewicz. W Bieńczycach wraz z dziećmi mieszkały: Maria Cieślewicz (wdowa po Józefie), Izabella Cieślewicz (wdowa po Wincentym) i jej córka Helena Cieślewicz.

Kazimierz Cieślewicz z żoną Zofią mieszkali w Czyżynach. W 1926 r. urodziła się im córka Izabella, w 1930 r. Maria, a w 1934 r. syn Wincenty. W dzierżawionych majątkach Kazimierz Cieślewicz prowadził racjonalną i nowoczesną gospodarkę. W miarę posiadanych środków starał się kupować nowe maszyny: pługi, siewniki, kosiarki, żniwiarki. Tradycyjny kierat zastąpił nowoczesną amerykańską lokomobilą, która z nową młocarnią poprawiła szybkość i warunki pracy przy omłotach. Dbał o modernizację budynków gospodarskich, stodół, obór, stajni, chlewni, szklarni i inspektów. Poprawiał rasę hodowanych krów i trzody chlewnej. Dobre konie w dobrze utrzymanej uprzęży były zaprzęgane przez doświadczonych i lubiących swą pracę fornali do sprawnych maszyn rolniczych i wozów. Starał się prowadzić gospodarstwo, wykorzystując bliskość dużego miasta Krakowa – stąd pomysł na specjalizowanie się w uprawie warzyw takich jak kapusta czy buraki na większych polach Bieńczyc i pomidory, sałata, kalafiory czy wymagające bardziej specjalistycznych zabiegów nowalijki – w Czyżynach. Kazimierz Cieślewicz pełnił obowiązki



wiceprezesa rolniczej spółdzielni „Jedność" w Krakowie, był członkiem zarządu spółdzielczego banku w Krakowie, a także uczestniczył w życiu społeczności czyżyńskiej, sprawował funkcję przewodniczącego komitetu budowy szkoły (1930 r.) i komitetu budowy kościoła pod wezwaniem świętego Judy Tadeusza w Czyżynach. Został podwójcim, a następnie wójtem gminy Mogiła. W 1939 r. pełnił obowiązki pełnomocnika rządu do spraw zaopatrzenia wojska, w Bieńczycach zorganizował punkt dostaw i magazyny. Był patriotą zaangażowanym w organizację społeczności lokalnej i bardzo mocno przeżył klęskę pierwszych dni wojny we wrześniu 1939 r. Doznał szoku, stwierdziwszy fakt szpiegostwa bliskiego współpracownika w gminie – przewożony do szpitala, zginął śmiercią tragiczną. Zofia Cieślewicz została z trójką dzieci, nadal prowadziła dzierżawę majątku Czyżyny. Tu odbywało się tajne nauczanie, tu można było uzyskać pomoc żywnościową i schronienie. Czyżyny stały się tymczasowym domem dla wysiedlonych z Poznańskiego, uciekinierów ze Wschodu i Powstania Warszawskiego, a także punktem rozdziału bibuły konspiracyjnej. Po wojnie, po upaństwowieniu majątku pracowała do emerytury w administracji służby zdrowia w Nowej Hucie. Pomagała w wychowaniu wnuczek bliźniaczek Zosi i Marysi (córek Marii Jarząbek), zmarła w 1981 r.



*Rodzina Kazimierza Cieślewicza, Czyżyny, lata 30. XX. wieku*

Najstarsza córka Zofii i Kazimierza Cieślewicza Izabella ukończyła studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, podjęła pracę w Instytucie Hodowli i A-klimatyzacji Roślin (gdzie?), a następnie w Instytucie Ziemniaka (gdzie?). Pracowała w Grodkowicach, potem w Gdańsku-Wrzeszczu. Specjalizowała się w chorobach wirusowych ziemniaka – z tego zakresu doktoryzowała się i za badania nad tymi chorobami uzyskała między innymi Nagrodę Państwową I Stopnia. Przez wiele lat działała w charytatywnym ruchu katolickim zajmującym się pomocą potrzebującym. Zmarła w 2004 r. – pochowana na cmentarzu w Mogile. Jej pogrzeb zgromadził współpracowników działalności charytatywnej z całej Polski, przybyli także mieszkańcy Czyżyn, Bieńczyc i Mogiły – koleżanki i koledzy, druhny i druhowie z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży.

Młodsza córka Zofii i Kazimierza Maria po wojnie wraz z siostrą i bratem działała w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży w Czyżynach, ukończyła studia w Akademii Ekonomicznej, przez wiele lat, aż do emerytury, pracowała w Pracowni Badawczej Biura „Budostal". Wyszła za mąż za Zbigniewa Jarząbka z Czyżyn. Wychowała córki bliźniaczki: Zofię, która wraz z mężem i córką żyje w Anglii, i Marię, która z mężem i dwójką dzieci mieszka i pracuje w Krakowie.

Najmłodszy – Wincenty – był ministrantem, działał w KSMM, grał w koszykówkę i piłkę ręczną w Budowlanych Nowa Huta, pracował jako pomocnik zbrojarza w ZRI Nowa Huta, zdał maturę w Liceum dla Pracujących w Nowej Hucie, studiował geografię na UJ, działał i pracował w harcerstwie, w turystyce (w Myślenicach, w schroniskach górskich na Turbaczu i na Polanie Chochołowskiej w Tatrach, na Orawie), był przewodnikiem górskim, ratownikiem TOPR, szkolił psy ratownicze. Obecnie na emeryturze w Krakowie. W Tatrach i na Orawie pracował wraz z żoną Alicją. Mają córkę Ewę i dwójkę wnucząt.

Helena Cieślewicz wraz z matką Izabellą (wdową po Wincentym) po śmierci brata Kazimierza we wrześniu 1939 r. prowadziła dzierżawę majątku Bieńczyce. W okresie okupacji dwór w Bieńczycach był miejscem, gdzie prowadzono tajne nauczanie, przepisywano i kolportowano „gazetki", czyli tajną prasę, ukrywano Żydów (wiedziała o tym większość mieszkańców Bieńczyc – nikt nie zdradził), dom był schronieniem dla rodziny wysiedlonej z Poznańskiego i wychowanek rozwiązanego przez Niemców zakładu Sióstr Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. Po wojnie we dworze istniała świetlica Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. W 1949 r. Izabella i Helena Cieślewicz przeniosły się do Czyżyn, a w 1953 r. do zakonu Sióstr Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, gdzie Helena była furtianką. Po 1957 r., kiedy umarła Izabella, Helena wraz wychowanką Teresą wyjechała do Gdańska, gdzie wraz z bratanicą Izabellą Cieślewicz poświęciła się pracy charytatywnej.

Aleksandra Świerczewska ukończyła studia polonistyczne na UJ i wstąpiła do zakonu oblatek. Pracowała w Częstochowie, następnie zorganizowała i wybudowała dom zakonu w Tyńcu, pełniła różne funkcje, między innymi przełożonej zakonu w Polsce i na świecie, zmarła w październiku 2006 r.

Andrzej Świerczewski ukończył rolnictwo na UJ, prowadził gospodarstwa-majątki doświadczalno-hodowlane wraz z żoną Elżbietą (z domu Krawczyk z Bieńczyc), także absolwentką rolnictwa na UJ. Pracowali w Uszycach koło Olesna Śląskiego, w Czulicach pod Krakowem, a najdłużej w Aleksandrówce i Wielopolu koło Nowego Sącza, gdzie stworzyli doskonałą stację doświadczalną, specjalizującą się w hodowli owsów i traw dla potrzeb gospodarki górskiej. W tej pracy pomagała im córka Jadwiga, także po studiach rolniczych.

Najstarszy syn Józefa, Władysław Cieślewicz ukończył

studia prawnicze na UJ i pracował w Jaremczu w dobrach księcia Ksawerego Czartoryskiego. Ożenił się z Heleną z Sypniewskich, która w Żurawnie urodziła syna Wojciecha w 1923 r. Po zakończeniu pracy w Jaremczu z otrzymanego jako premia drzewa modrzewiowego Helena i Władysław Cieślewiczowie zbudowali dom w Grębałowie, majątku dzierżawionym od Krakowskiej Kurii Biskupiej. W Grębałowie urodziły się kolejne dzieci: Józef w 1924 r., Władysław w 1926 r. i Anna w 1928 r. Oprócz prowadzenia



*Przed dworem w Grębałowie*

majątku Grębałów Władysław Cieślewicz pracował w krakowskim Urzędzie Ziemskim. Cieślewiczowie uczestniczyli w życiu wsi – mieszkańcy zapamiętali między innymi pracę Heleny nad organizacją ochronki dla dzieci i opieki w czasie prac polowych, udział w zbiórce pieniędzy i przyczynienie się do ufundowania feretronu świętej Teresy i remontu przydrożnej kapliczki. Pełne temperamentu dzieci wsławiły się posmarowaniem mydłem szyn kolejowych „kocmyrzówki", aby opóźnić dojazd do szkoły, i inscenizacją sceny obrony Częstochowy z „Potopu", w czasie której o mało co nie spłonęły zbiory zboża w stertach, imitujące mury obronne. Władysław Cieślewicz – kapitan rezerwy wojska polskiego – zgłosił się do punktu werbunkowego w ostatnich dniach sierpnia 1939 r., brał udział w walkach z Niemcami, wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną, został zamordowany w Katyniu. Helena z córką Anną przeżyły wojnę w Krakowie, imając się różnych zajęć, między innymi prowadziły sklep warzywny na Kazimierzu. Pomagały przetrwać Żydom. Synowie Wojciech i Władysław ukończyli sławną szkołę rolniczą w Czernichowie, wraz z Józefem działali w konspiracji w AK. Wojciech był w partyzantce w Górach Świętokrzyskich, a Józef w Gorcach. Po wojnie wyemigrowali, ratując się przed aresztowaniem – służyli w armii Andersa we Włoszech. Józef osiedlił się w Anglii, gdzie skończył studia, założył rodzinę i prowadził własną firmę. Władysław i Wojciech osiedli w USA, założyli rodziny. Wojciech był farmerem, potem biznesmenem, Władysław zrobił karierę naukową w Kalifornii – jako specjalista ekonomii złóż na zaproszenie krakowskiej AGH brał udział w spotkaniach naukowych i opracował ekspertyzę dla rządu Jerzego Buzka na temat konieczności renegocjacji umowy o eksploatacji ropociągu. Anna Cieślewicz była po wojnie świetną lekkoatletką – startowała w barwach Harcerskiego Klubu Sportowego w Krakowie, a następnie w Ludowym Zespole Sportowym „Żurawica". Przeniosła się do Rzeszowa, gdzie założyła rodzinę z Mieczysławem Chmielem. Wychowali dwoje dzieci, Annę urodzoną w 1952 r. i Andrzeja urodzonego w 1954 r.

Helena Cieślewicz (wdowa po Władysławie) zweryfikowała u-prawnienia pielęgniarki, zdobyte w wojsku jeszcze w czasie pierwszej wojny, pracowała w służbie zdrowia w Krakowie aż do emerytury. Następnie przeniosła się do Rzeszowa, gdzie przy pomocy córki i synów udało się jej wybudować dom z kaplicą, który w stanie wojennym ukończyła i przekazała władzom kościelnym.

Rodzina Cieślewiczów, która dobrze zapisała się w historii Wadowa, Grębałowa, Bieńczyc, Czyżyn i Mogiły, została przez wydarzenia historyczne rozrzucono po kraju i świecie – dziś młodzi męscy potomkowie tej rodziny żyją w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

***listopad 2006 r.*** ***Wincenty Cieślewicz***



*Kazimierz Cieślewicz z dziećmi Marią i Wincentym*



## Wspomnienia z dawnych lat o rodzie Adamczyków z Luborzycy



*Moja rodzina: dzieci od lewej: Józef Adamczyk, syn Stefana, Fredek i Julek, synowie Karoliny Kubali. Siedzą: Weronika Adamczyk, żona Stefana, Katarzyna Adamczyk (Gąsiorek), matka Rozalii i rodu Adamczyków, Walenty Adamczyk, ojciec rodu Adamczyków. Stoją: Stefan Adamczyk, Helena Adamczyk (Boczkowska), Walenty Adamczyk, Aniela Adamczyk (Wójcik), Antonina Adamczyk (Ludwig).*
*Zdjęcie zrobiono w 1935 roku przed domem rodzinnym w Luborzycy.*

Stanisław Adamczyk, mój pradziadek, zamieszkiwał w Luborzycy w powiecie miechowskim, a obecnie gminie Kocmyrzów-Luborzyca. Nie znam daty jego urodzenia. Jego żona prawdopodobnie była wnuczką Bartosza Głowackiego z Rzędowic, znanego z historii bohatera bitwy pod Racławicami /1794/. Pradziadek mieszkał z rodziną w domu glinianym obok kościoła. Posiadał 3 i pół morgi ziemi włościańskiej. Polska w tamtym czasie była pod zaborami. Powiat Miechów i wsie do niego należące były pod zaborem rosyjskim. Mój ojciec Walenty Adamczyk opowiadał mi o swoim dziadku Stanisławie, jak on organizował chłopów do walki przeciw Rosjanom, jak szykowali kosy by walczyć o wolność Ojczyzny oraz dlaczego walka się nie powiodła. Rosjanie zabrali kosynierów wraz z pradziadkiem do więzienia w Chęcinach koło Kielc. Był rok 1869, późniejszy mój ojciec Walenty, gdy miał 12 lat, a jego brat 14 lat, poszli pieszo odwiedzić swego dziadka w więzieniu, w Chęcinach. Tam ich wpuszczono na widzenie. Dziadek był bardzo ucieszony z odwiedzin wnuków, którzy mu zanieśli chleb, słoninę i ser. Podróż chłopców trwała 2 tygodnie. Po pewnym czasie Rosjanie przewieźli 40 więźniów z Chęcin do Miechowa, gdzie wrzucili ich do studni. Nie wiem, czy w studni była woda i czy wrzuceni do niej byli żywi ludzie. Gdy Polska została wyzwolona, na tym miejscu stanął pomnik poświęcony poległym kosynierom. Na pomniku wypisane były nazwiska zamordowanych, ale nazwiska mego pradziadka nie było wśród poległych. Do dziś nie wiadomo kiedy i jaką śmiercią zmarł. Mój dziadek Wincenty Adamczyk, syn Stanisława, mieszkał w Luborzycy razem z rodziną: żoną Marianną i dziećmi, początkowo w glinianej chacie, w tej samej co jego ojciec Stanisław. Dziadek Wincenty umiał budować drewniane domy. W roku 1863 wybudował dla swej rodziny duży dom z drewna, na tej samej działce na której był pradziadka dom z gliny. Cała rodzina przeniosła się do nowego domu. Dzieci mojego dziadka Wincentego i babci Ma-rianny to byli: Franciszka, Kazi-mierz, Jan, Ignacy i Walenty. Dziadek Wincenty dziedziczył po ojcu ziemię włościańską: 3 i pół morgi oraz dom, który wybudował. Ziemia wtedy należała do: książąt, biskupów, klasztorów i hrabiów. Chłopi otrzymywali od swoich panów małe skrawki ziemi, a za ich użytkowanie musieli odrabiać pańszczyznę. Za ten kawałek ziemi chłop musiał obowiązkowo pracować przez 4-5 dni w tygodniu u swego pana, od którego dostał ten kawałek ziemi. Dziadek Wincenty miał przypisane odrabianie pańszczyzny u księży. Pańszczyzny nie chciał odrabiać, wolał budować domy ludziom. Z tej pracy miał pieniądze, a jego dzieci jadły chleb do syta. Za bojkotowanie odrabiania pańszczyzny dostawał w gminie chłostę, czyli mocne bicie. Pomimo dużego bólu nadal nie odrabiał pańszczyzny. Dzieci tych chłopów, co odrabiali pańszczyznę były głodne, w tych rodzinach chleb był zamykany i wydzielany. Chłopskie ziemie były zaniedbane stąd też plony były niskie. Dziadek Wincenty był bardzo silny i odporny na ból. Zmarł w 1910 roku. Mój ojciec, Walenty Adamczyk urodził się w 1857 roku w Luborzycy, powiat Miechów. Odziedziczył tam po ojcu ziemię włościańską: 3 i pół morgi i dom. Rodzeństwo ojca pożeniło się i odeszło z rodzinnego domu, a mój późniejszy ojciec założył swoją rodzinę w takich to okolicznościach: gdy był z pielgrzymką w Częstochowie zapoznał dziewczynę, która uraczyła go pięknym głosem, śpiewając pieśni do Matki Boskiej Częstochowskiej. Pielgrzymka pieszа do Częstochowy corocznie szła z księdzem, orkiestrą, przeważnie we wrześniu i trwała 20 dni. Ojciec zakochał się w tej dziewczynie, ale czekało go wojsko. W wojsku udawał kilka razy chorego, wreszcie lekarze zwolnili go do cywila. Dziewczyna była z bogatego domu, miała 40 mórg ziemi oraz czworo rodzeństwa. Nazywała się Jadwiga Kułaga. Mieszkała w sąsiedniej wsi. Walenty Adamczyk ożenił się z tą dziewczyną, która w tym czasie miała 22 lata. Po ślubie sprowadził ją do swego domu. Dawniej ludzie byli bardzo pobożni. Księża nakazywali pościć, jeść bez tłuszczu, masła, sera, mleka. Gdy nadchodził adwent i post, kobiety parzyły wrzątkiem garnki, żeby nie było nawet zapachu tłuszczu. Można było tylko używać oleju do jedzenia. Ojciec pomyślał o wybudowaniu olejarni. Wybudował dość dużą szopę z drewna sosnowego, a przyrządy z drewna dębowego do wyciskania oleju. Kupił młynek duży ręczny, który służył do mielenia ziaren oleistych, przeważnie

rzepaku. Wybudował piec, a w nim był obmurowany kocioł, w którym smażono przemieloną młynkiem masę nasion oleistych. Masa ta była trochę mieszana z wodą i ugniatana jak ciasto. W piecu utrzymywano ogień tak, aby była stała temperatura w kotle. Masę należało ciągle mieszać do chwili uzyskania dobrego smaku. Następnie wykładano na serwety i zawijano szczelnie oraz kładziono między zaciski prasy drewnianej, które miały otwór do spływu oleju w naczynia. Na tę prasę nakładało się kliny drewniane, które kilku ludzi uderzało młotami, aby uciskały tę masę oleistą. Tego nie podejmuję się dokładnie opisać. Były też takie skrzynki z przedziałkami, gdzie każdy właściciel miał swój towar osobno. Uzyskiwany olej tą metodą był bardzo smaczny, można go było jeść z chlebem i śledziami do obiadu. Był wyśmienity również do makaronu i ziemniaków. Nieraz kolejka klientów na wyciskanie oleju trwała 3 dni. Ludzie przyjeżdżali z powiatu i czekali z uciechą na swoją kolejkę. Przychodzili przeważnie młodzi ludzie, czekali w domu: w kuchni, w pokoju. Młodzi grali we flirty, starsi opowiadali o duchach. Mieli ze sobą żywność. Wodę na herbatę szykowano w domu gospodarza. Nie było wtedy kina ani radia, to wiele razy takie zapoznanie kończyło się ślubem. Wytwarzanie tego oleju odbywało się przez całą dobę. To był jedyny taki przemysł w powiecie miechowskim. Wpisane jest w urzędzie: „Rok 1895 Przemysł w powiecie Miechów: Olejarnia Walentego Adamczyka" Ojciec ze swoją małżonką kupili 1 i pół morgi ziemi, konia, przyrządy rolnicze, wózek do wyjazdu na wesela lub odpusty do Mogiły lub nawet do innej parafii. Rodzice moi bardzo się cieszyli z tego, że nie trzeba się było starać o wynajęcie koni, a ziemi przybyło i wystarczało jej, żeby konia wyżywić. Aby podziękować Bogu, że im błogosławi, pewnego razu ojciec z małżonką postanowili jechać swoim konnym wózkiem do Krakowa na odpust. Już byli blisko Krakowa, gdy wózek się zepsuł i jechać się dalej nie dało. Była niedziela i wszystkie zakłady nieczynne, więc ojciec miał trudności z naprawą wózka, ale pieniądze zrobiły swoje i znalazł majstra, który naprawił wózek tak szybko, że rodzice zdążyli jeszcze na nabożeństwo. Ojcu dobrze się powodziło. Mimo, że miał bogatych teściów nie korzystał z ich pomocy. Jednak początkowo było ciężko, rodzice mieli już pięcioro dzieci: Mariannę /16 lat/, Piotra, Wojciecha, Teofila i Stanisława /4 lata/. Pewnego razu żona mego taty została zaproszona do swej rodziny jako chrzestna. Poszła z córką Marysią i tam bawiła się przez cały dzień i noc, a nad ranem wróciła do domu, z czego ojciec nie był zadowolony. Nie wypadało iść do łóżka, więc poszła w pole do pracy. Za parę godzin przyszła i położyła się i spała całe popołudnie i noc. Rano nie wstała i nadal spała. Zainteresowało to ojca, który udał się do jej posłania stwierdzając, że jest ona nieprzytomna. Szybko udali się do lekarza oddalonego o 20 kilometrów od zagrody i gdy lekarz był w połowie drogi ona już umarła. Lekarz stwierdził zapalenie opon mózgowych. Córka Marysia, która miała 16 lat, nie podjęła się zająć gospodarstwem domowym i młodszym rodzeństwem. Bardzo rozpaczała z powodu nagłej śmierci matki. Ojciec po roku postanowił się ożenić. Moja mama, Katarzyna Gąsiorek, gdy miała rok i cztery miesiące została osierocona przez swoją mamę Józefę. Ojciec mamy Franciszek Gąsiorek po pewnym czasie ożenił się ponownie. Macocha mojej mamy uczyła dzieci ze wsi czytać, pisać, rachować z jednej książki zwanej „groszówką". Mama nauczyła się czytać i bardzo się cieszyła, nawet była dumna, bo mogła w kościele modlić się z książeczki, co nie było często spotykane. W tych czasach pod zaborami do szkoły mogła chodzić tylko jedna osoba z domu, przeważnie chłopiec, aby mógł napisać list, gdy będzie w wojsku. Ojciec mój umiał pisać i czytać. Był nawet kasjerem w Kółku Rolniczym. Gdy moja mama dorosła, macocha nie chciała jej wydać za mąż, a nawet ganiła ją, ponieważ majątek, czyli ziemia należała po swojej matce do mojej mamy, a ona chciała, aby to gospodarstwo było dla jej dzieci. Mojemu przyszłemu ojcu nastręczano, aby starał się o moją przyszłą mamę, która znała Bartosza Walka (chodziła do oleja, jak mówiono), gdy dowiedziała się o ojcu, nie bardzo jej to pasowało. Tata miał 20 lat więcej od niej i pięcioro dzieci. Sąsiadki mamy namówiły ją, żeby wyszła za Bartosza, ze będzie mieć dobrze, a macocha będzie tak długo robić jej przeszkody, że nie wyjdzie za mąż. Ojciec mój nie chciał majątku. Mama wyszła za ojca i miała bardzo dobrze. Pasierbica Marysia, która była 3 lata młodsza od mojej mamy lubiła ją i nazywała mamą. Młodsze pasierby też tak wołały na moją mamę, a one je szanowała. Ojciec był wtenczas młodszy, dobrze pożenił swoje dzieci, brał pożyczki i osadził córki na dużych gospodarstwach. Jednego z pasierbów Stanisława wyszkolono, został kierownikiem magistratu w Krakowie. Piotr miał gospodarstwo rolnicze. Wojciech wyjechał do Francji, tam się ożenił z Polką. Dobrze mu się powodziło, kupił dom, samochód. Po 12 latach pobytu zażądano od niego przyjęcia obywatelstwa francuskiego. Osoba nie przyjmująca tego obywatelstwa musiała opuścić Francję. Brat przyrodni Wojciech nie przyjął obywatelstwa francuskiego i wrócił do Polski tuż przed II wojną światową. Gdy wjechał na teren Polski, zauważył biedę po ludziach, po gospodarstwach. Chętnie by zawrócił, lecz niestety nie był już młody, miał dwie córeczki małe: 8 10 lat. Późno się ożenił. Po roku kupił kawałek ziemi ze starym domem. Nie mógł nawet konia uchować. Prowadził bardzo ciężkie życie. Córki dorosły, zaczęły pracować a on zachorował i nie miał żadnego wynagrodzenia z Francji, może dlatego, że była wojna. Jego żona pobierała później duże pieniądze i przeżyła ponad 90 lat. Przed wojną było duże bezrobocie, nie było przemysłu, panowała wielka bieda. Kto miał duże gospodarstwo, to nie odczuwał biedy. Złodzieje grasowali zarówno we wsi, jak i w mieście. Pilnowało się dobytku w nocy. U nas w domu złodzieje ukradli chomąta, (to jest uprząż na wyjazdowe konie), wówczas gdy tata, który miał dyżur zasnął. Miało to miejsce przed II wojną światową. Muszę wrócić do wcześniejszych lat. Tak jak wspomniałam w domu Bartosza Walka dobrze się żyło. Olejarnia dawała duży zysk. W 1910 roku hrabia Potocki, obszarnik ziemski ogłosił przez swego potomka Amuro (tak go nazywano), który miał dworek i 100 mórg ziemi w Luborzycy, żeby chłopi nabywali ziemię Potockich w Luborzycy i dalszych terenach, płatne w małych ratach i przez kilka czy kilkanaście lat. Ojciec nabył 12 mórg ziemi. Chciał, aby tę ziemię przydzielono niedaleko od domu. Pojechał więc w tej sprawie do Kielc, do hrabiego Potockiego. Ubrał się w krakowski strój, to znaczy kaftan i sukmanę. Ukłonił się nisko prosząc, aby inżynierowie odmierzyli mu ziemię na wprost domu. Odpowiedź na swoją prośbę uzyskał pozytywną. W sprawie nabycia ziemi chodzili rodzice do dworku Amuro w Luborzycy i tam podpisywali akta nabycia ziemi. Dziedzic Amuro, miał siostrę zwaną „Panienka". Moja mama też w tej sprawie chodziła, a ponieważ była w ciąży, to ta „Panienka" podeszła do rodziców i powiedziała, że gdy się urodzi dziecko, bardzo by się ucieszyła, gdyby ją zaproszono na chrzestną. Rodzice zgodzili się i gdy mama urodziła syna Walka w dniu 11 lutego 1910 roku, to ojciec poszedł do dworu do „Panienki" i zapytał, czy nie zmieniła zdania i czy naprawdę chce być chrzestną jego syna. „Panienka" wyraziła zgodę, więc ojciec mój powiedział, że bardzo się z tego cieszy i ponowił zaproszenie. Chrzestnym brata Walka był siostrzeniec ojca, przystojny i ubrany w krakowski strój. Gdy mój brat był mały, to chodził do swojej chrzestnej. W gimnazjum przyjeżdżał do brata syn Amura i zapraszał go do swej chrzestnej. Później brat Walek czytał dużo książek o tym jak panowie gnębili chłopów i utracił sympatię do panów i przestał odwiedzać chrzestną. Ona natomiast często pytała o niego. Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna, a mój brat Walek był ciężko ranny i leżał w szpitalu w Lublinie, dziwiłam się z mamą, że ludzie uciekający przed Niemcami wracali do swoich domów. Pewnego dnia, gdy z mamą pracowałyśmy w polu blisko drogi, nagle słyszymy głos mężczyzn, którzy głośno wołają: „Walenty Adamczyk jest ranny pod Lublinem". Zbliżyłyśmy się do nich i pytamy o szczegóły, a oni mówią, że im to drudzy przekazali, że gdy będą przechodzić przez tę wieś – Luborzycę, dać znać takim sposobem. Byli to mężczyźni z innych okolic (może nawet mówili, że leży w szpitalu). Brat Walek, gdy tam leżał napisał list do swej chrzestnej, że gdy wyjdzie ze szpitala, to pierwsze kroki skieruje do swej mamy, a drugie do chrzestnej. Ona się cieszyła i wyglądała, lecz niestety Walek słowa nie dotrzymał. Gdy powrócił ze szpitala zajął się organizacją podziemną, a później usunięto z dworku i ziem Amura i chrzestną, a ziemię podzielono między robotników tych co pracowali we dworze i biednych ludzi i rolników posiadających najmniej ziemi. Brat niedawno pisał do mnie, czy mówił mi przez telefon, że jednak źle zrobił, że nie poszedł do niej; że dużo myśli o naszych młodych latach i to go uspokaja i polepsza jego zdrowie. Żałuje, że nie poszedł do chrzestnej, bo ona tak pragnęła i czekała na to spotkanie. Dużo rzeczy człowiek przeoczy, a potem nie da się tego odwrócić. Rodzeństwo moje to: 5 sióstr i 2 braci. Najstarszy brat – Stefan Adamczyk urodził się w 1901 roku. Siostra Rozalia z d. Adamczyk, Chromniak urodziła się w 1903 roku. Siostra Karolina z d. Adamczyk, Kubala urodziła się w 1907 roku. Brat Walenty Adamczyk urodził się w 1910 roku. Siostra Helena z d. Adamczyk, Boczkowska urodziła się w 1913 roku. Siostra Aniela z d. Adamczyk Wójcik urodziła się w 1915 roku. Siostra Antonina z d.Adamczyk, Ludwig urodziła się w 1918 roku.





**Wspomnienia z młodych lat ( fragmenty)**

Rodziców miałam dobrych. Dobrze nas wychowali, uczyli od najmłodszych lat pracowitości i punktualności. Gdy chodziliśmy do szkoły, rano pobudka, później mycie, pacierz i śniadanie. Książki były już w torbie. Nosiło się też kałamarz z atramentem, który wkładano do torby z książkami. W piórniku był ołówek, gumka i obsadka do której wkładano pióro, które kupowało się na sztuki. Najgorszy kłopot był z atramentem, gdy korek zginął, to zwijało się papier i zatykało nim kałamarz. Kiedy szło się do szkoły, to można było zobaczyć coś ciekawego: ślizgawkę lub dużo śniegu. Wówczas torbę rzucało się w śnieg i wywijało się orły na śniegu, a później były od tej zabawy zeszyty lub książki poplamione atramentem. Gumek nie było tak dobrych, aby można było z atramentu wyczyścić plamy. Przeważnie dzieci wycierały zaplamienia chlebem. Zimą odwoził nas sankami brat Stefan, z zaprzężonymi do nich końmi. Po drodze do szkoły zabieraliśmy nauczycielkę. Odległość od naszego domu do szkoły wynosiła półtora kilometra. Brat Stefan nieraz robił nam taką uciechę, że na prostej drodze, gdzie było dużo śniegu szybko zakręcał końmi, sanki się wywracały, my wszyscy w śmiech, zasypani śniegiem, a tornistry musieliśmy zbierać na drodze. Z przygodami dojeżdżaliśmy do szkoły bardzo weseli i szczęśliwi. Po drodze do szkoły na sanki zabieraliśmy również inne dzieci.



*3 Maja 1934 roku w Luborzycy*

Gdy przyszło lato, to ja i Aniela pasłyśmy krowy, które uciekały do innych zagród. Trzeba było je skarcić, czyli niezbyt mocno kijem uderzyć, aby zrozumiały by w szkodę nie wchodzić. Krówki były na naszej głowie przez całe lato. Na początku roku szkolnego dzieci gremialnie uczęszczały do spowiedzi. Podczas spowiedzi ksiądz pytał mnie m.in. pasiesz krówki a może bijesz ? Musiałam się przyznać, że biję, to ksiądz zadał pokutę, że mam przez cały tydzień nie jeść nic z przetworów mlecznych. Na wsi jadało się przeważnie mleczne jedzenie: na śniadanie mleko, chleb z masłem i serem. A tymczasem mama mi daje mleko, chleb z masłem i serem nie wiedząc o tym, że ja mam za pokutę nie jeść tych przetworów przez tydzień. Robiłam wszystko, aby ją wypełnić, nie jadłam przetworów mlecznych, zamiast mleka piję herbatę, zjadam suchy chleb zamiast smarowanego masłem, odmawiam pierożków z serem a zjadam tylko zupę. Najbardziej nie mogłam odżałować tych pierożków z serem, które nadzwyczaj lubiłam. Po tym słabym obiedzie uzupełniam posiłek zielonym agrestem. Dawniej, od kiedy pamiętam była bieda na wsi i w mieście. Ludzie, którzy mieszkali na wsi i mieli mały kawałek ziemi, to przeważnie wstawali bez zegara, bo ich nie było na niego stać i gdy tylko kogut zapiał, to był znak, że będzie wnet świtać. Gospodyni wstawała, gotowała na cały dzień żurek i ziemniaki do niego, pęczek kapusty i gdy się rozwidniło cała rodzina siadała na ławkach dookoła stołu na którym była duża miska z kartoflami, w drugiej misce żurek. O ile rodzina nie była bardzo biedna, to kartofle i żurek były lekko omaszczone skwareczkami z cebulą. Tak 10-cio osobowa rodzina zasiadała do stołu. U biednych ludzi nie było do tego śniadania chleba. Ja pamiętam te czasy, kiedy nasza rodzina jadła z jednej miski, a ja zaczęłam ściągać łyżką z ziemniaków skwareczki, ma takie moje zachowanie zwrócono mi uwagę z czego się bardzo wstydziłam. Moja mama opowiadała takie zdarzenie, że za jej młodych czasów, macocha ugotowała całodzienne wyżywienie i obudziła dzieci, które pojadły sobie i czekają, a tu nie robi się świt. Wreszcie mama mówi: „Dzieci idźcie spać, bo to może być dopiero północek". Tak czasem kogut mylił czas.

Dzieci które chodziły do szkoły musiały pomagać w lecie w polu, a w zimie znów prowadzić inne zajęcia gospodarcze tak, że wieczorem tylko był czas na naukę, na zabawy go nie starczało. Niektóre koleżanki nosiły do szkoły piłki, którymi podczas przerwy bawiły się. Brat Walek jeździł do Krakowa, do Gimnazjum. Pewnego razu zauważył jak ja z Anielą zrobiłyśmy sobie ze szmaty piłkę, a która w czasie zabawy nie odskakiwała od ziemi. Powiedział nam wówczas, że jak narwiemy 2-3 kilogramy agrestu, to może nam kupi prawdziwą piłkę. Nie mogłyśmy się doczekać jego obietnic. Po jakimś czasie przywiózł ukochaną piłkę, niezbyt dużą i nie małą, czym sprawił nam dużą radość. W domu tą piłką nie mogłyśmy się bawić, ale w szkole w czasie przerw, świetnie bawiliśmy się piłką. Nauczyciele nie widzieli, bo urządziliśmy zabawę z tyłu szkoły. Zabawę piłką prowadziły dziewczynki, przeważnie rzucając nią o ścianę szkoły, wykonując różne rzuty i zwroty cielesne. Później na gimnastyce też graliśmy piłką i na przerwach, to były piękne czasy.

Od 5-tej klasy deklamowałam wiersze na Trzeciego Maja i na zakończenie roku szkolnego. Brat Walek nauczył mnie



z akcentem deklamować wiersze. Trzeciego Maja było świętem państwowym i kościelnym, na ten dzień wszystkie dzieci były odświętnie ubrane i szły spod szkoły parami wraz z nauczycielami i rodzicami do kościoła. W naszym marszu uczestniczyła orkiestra, która grała nam w pochodzie i w kościele. Dzieci śpiewały na chórze, ja też należałam do chóru. Śpiewaliśmy pieśni na dwa głosy: „Błysnął poranek, znikły cienie", „Ja swoją duszę wznoszę do Ciebie", „Ojcze, nieba Boże Panie", a na koniec Mszy świętej koleżanka z mojej klasy śpiewała „Ave Maria". Po Mszy świętej cały pochód szedł pod szkołę, gdzie były przemówienia i recytowane wiersze przez uczniów. Ja byłam ubrana po krakowsku i mówiłam długi wiersz. Pamiętam tylko dwie zwrotki:

*O, Ty Polsko, Ojczyzno Ty miła,*
*W katakumbach w podziemiach żyjąca,*
*Wiesz, że skąd Ci to światłość, ta siła,*
*Co przestrachem pierś panów twych trąca.*

*O, nie z Twojej królewskiej purpury,*
*Rozerwanej na troje dziś w strzępy,*
*O, nie z klątwy rzuconej pod chmury,*
*Na kraczące u piersi Twej sępy.*

Moja mama sadziła dosyć dużo ogórków, a brat Stefan dwa razy w tygodniu woził je wozem do Krakowa. Tutaj kupcy kupowali ogórki do sklepów, a panie do obiadu oraz na kiszenie, ponieważ nie było innych warzyw w sprzedaży jak tylko: ogórki, kapusta i ziemniaki. Bardzo lubiłam jeździć do Krakowa, ponieważ podobało mi się to miasto. Zwykle brat Stefan furmanką konną wyjeżdżał z Luborzycy o północy, bo do Krakowa było 20 kilometrów, a wozem konnym wyładowanym po brzegi ogórkami trzeba było jechać 4 godziny. Lubiłam jeździć z ogórkami do Krakowa, z mamą i bratem Stefanem. Przed wyjazdem ubierałam się i kładłam specjalnie na podłodze w przejściu, gdzie nie mogłam zasnąć, bo było mi niewygodnie. Gdy brat Stefan i mama byli gotowi do wyjazdu zrywałam się z posłania i pędziłam do furmanki. Fura była wyładowana ogórkami, aż strach było siedzieć na wozie z obawy o upadek. Droga była brukowana i często trafiały się wyboje, wóz w trakcie jazdy trząsł się, ale nie mógł wywrócić. Pewnego razu jedziemy do Krakowa, ja siedzę na furze, a tu z pola biegnie człowiek do naszego wozu, zauważyłam, że to może być złodziej, tak się zlękłam, że nic nie powiedziałam, a on przybiegł do wozu naszego i zaczął wyciągać worek z ogórkami. Mama krzyknęła: „Stefek, Stefek, złodziej kradnie ogórki!" . Stefan jak nie krzyknie: „Połóż, bo strzelam!", złodziej chciał wyrwać z fury worek z ogórkami, ale to mu się nie udało, bo brat tak je układał, że bardzo trudno było je wyrwać z krypy wozu. Jednak złodziej zdołał zabrać dużą wiązkę kopru i wystrzelił z pistoletu do góry. Złodziejstwo było na każdym kroku, tak w mieście, jak i na wsi. Pamiętam, że od 1928 roku u nas w domu wprowadzono dyżury czuwania – jedna osoba nie spała, tylko czuwała. Złodzieje grasowali i kradli co się dało. Najbardziej we wsi kradli pierzynki, bo prawdopodobnie w domu ich nie mieli. Kradzież ubrań nie wchodziła w rachubę, bo mało kto miał coś porządnego z ubrania. Ja pierzynkę przywiązywałam do nogi, aby tym utrudnić ewentualną kradzież złodziejom. Jak chodziłam do szkoły, to byłam zwolniona z dyżurów. Wiele razy odganiano złodziei. Mieliśmy dwa psy, które pilnowały zagrody i szczekały na podwórku, gdy intruz próbował grasować koło domu. Złodzieje podawali zatruty chleb lub wędlinę i zatruwali te zwierzęta. Pewnego razu siostra Karolina, słysząc szmer wstała w nocy z posłania i poszła do komory. Zobaczyła tam wybite okno i spostrzegła, że złodzieje weszli tędy do komory i ukradli wyjazdowe, nowe chomąta, bardzo drogie. Domyśliliśmy się potem, że gdyby siostra wówczas się nie obudziła, to złodzieje okradliby również mieszkanie. Moja jazda do Krakowa też się przydawała, bo pomagałam składać towar i pilnowałam furmanki, czyli ładunku na wozie i koni. Złodzieje byli tak spoufaleni, że w biały dzień zdejmowali z koni chomąta i okradali furmanki. Bo to była szajka złodziejska tylko z tego żyjąca. Gdy ukończyłam 7 klasę, na akademii z okazji zakończenia roku szkolnego deklamowałam wiersz „O samolubie". Jako jedyna mówiłam wiersz, za którego deklamację otrzymałam gratulacje od nauczycieli: „Ale pięknie powiedziałaś". Ja natomiast już wiedziałam, że nie idę dalej do szkoły. Gdy jeździliśmy z ogórkami do Krakowa, po przyjeździe do tego miasta chodziłam po ulicach i pytałam w domach czy jest potrzebna komuś uczennica do zawodu, lecz żadnej oferty nie otrzymałam. Gdy przyszedł wrzesień, dzieci szły do kościoła (bo tak się zaczynał pierwszy dzień szkolny), a ja pasłam krowy gorzko płacząc, że czeka mnie nędza bez zawodu. Brat Walek nie był w stanie nakładać na mnie, bo sam żył z lekcji, których udzielał. Mógł tylko sobie pomóc uczęszczając na studia. Czas przeznaczałam na prace w polu, na zbieranie grzybów. Bardzo wcześnie wstawałam i z bratanicą przyrodniego brata chodziłyśmy do lasu. Około ósmej godziny wracałyśmy z koszykami pełnymi grzybów, z których mama robiła smaczną potrawę, cześć grzybów mama suszyła.

Ja i siostra Aniela wyszłyśmy za mąż w 1938 roku w tym samym dniu. Można powiedzieć, że wyszłyśmy za mąż po staroświecku. Tak podesłani przez znajomych narzeczeni oraz ślub w krótkim czasie napawał mnie troską o dalsze życie. Gdy szłam do ślubu, w drodze mówiłam do przyszłego męża: „Boję się strasznie biedy". Widziałam, jaką siostra Karolina przechodziła, a ja byłam następczynią. Za rok wybuchła wojna, trzeba było Niemcom dawać kontyngenty, to znaczy zboże, mięso, mleko. Prawie darmo, może nie płacili nawet wcale. Podatki zaś od gruntu, budynków trzeba było płacić. Aby gospodarstwo mogło normalnie funkcjonować, trzeba było kupować narzędzia rolnicze, wyżywić konie i krowy. Ziemia była bardzo zaniedbana i obciążona opłatami i kontyngentem. Ponadto trzeba było pomagać siostrze Helenie, dawać jej trochę zboża, bo też była w krytycznym położeniu. W tak trudnej sytuacji przeżyliśmy II wojnę światową. Dodam do tego, że też w dużym strachu. Należałam z mężem do organizacji podziemnej „Bataliony Chłopskie". Były zebrania prowadzone przez brata Walka, który był dowódcą BCH na powiat miechowski. W naszym domu były drukowane gazetki i wiele zakazanych rzeczy.

Pod koniec wojny przeżyliśmy w wielkim strachu wpadkę doręczyciela podziemnej prasy. Było to tak: doręczyciel po wyjściu z naszego domu udał się do pociągu, w którym został aresztowany przez Niemców. O tym aresztowaniu dali nam znać inni łącznicy, a wówczas szybko wszystkie przyrządy do druku pochowaliśmy w kryjówce, ale lęk był straszny o to, czy łącznik wytrzyma w śledztwie okropne męki i czy ujawni naszą konspirację. Nocą patrzyłam przez okno, a w ciemnościach miałam widzenie, że Niemcy zbliżają się do naszego domu, lecz na szczęście okazało się, że to tylko cienie drzew kołysały się w ogrodzie. Mąż uciekł z domu, a ja z mamą i dziećmi pod dużym strachem pozostaliśmy w domu. Później dowiedzieliśmy się, że w styczniu 1945 roku Niemcy zamordowali naszego łącznika ujętego w trakcie przewożenia naszych gazet konspiracyjnych. Ten zamordowany chłopiec bardzo lubił moją córkę Janię, która w tym czasie miała niecałe 5 lat. Jania stale koło niego nadskakiwała i zadawała różne śmieszne pytania. Bardzo mi żal tego chłopca, przeżył tylko 20 lat. Nieraz mówił do mnie: „Wojna się skończy, pójdę do szkoły", lecz w jej ostatnich dniach zginął z rąk wroga w bohaterski sposób nikogo nie wydając. Mieliśmy szczęście, bo były bardzo duże aresztowania, największe nocą. Jedni drugim dawali znać, że gestapo przyjechało, mężczyźni z domu uciekali, a kobiety zostawały przy dzieciach. Chciałam jeszcze dopisać o tym nazwisku „Bartosz", które przylgnęło do nazwiska naszego rodu Adamczyków, a zaczęło od prababki naszej, a wnuczki Bartosza, która jak rodzinna legenda głosi wyszła za naszego pradziadka Stanisława Adamczyka i po kądzieli nazwisko Bartosza przechodziło na dzieci, wnuki i prawnuki. Nazwisko Adamczyk było w urzędzie i szkole. Pamiętam jak przy różnych okazjach kościelnych, kolęd, orkiestra podchodziła pod dom ojca i grała:

*Bartoszu, Bartoszu,*
*oj nie traćwa nadziei, oj nie traćwa nadziei,*
*Bóg Ci błogosławi, Ojczyznę nam zbawi*
*Bóg Ci błogosławi, Ojczyznę nam zbawi,*
*danasz moja dana, Ojczyzno kochana,*
*danasz moja dana, Ojczyzno kochana*

Ostatnie granie o Bartoszu zakończyło się u brata Stefana w Luborzycy.

***Antonina Ludwig***

***fragmenty „Wspomnień z dawnych lat o rodzie Adamczyków z Luborzycy koło Krakowa"***
***Wydawnictwo ACH! Chromniak, Gostynin 2000***



*Luborzycy, lata 50. XX w., fot. Zdzisław Łabędź*





*To zdjęcie z rodzinnego archiwum Emilii Cuber z d. Szuta z Dojazdowa zostało wykonane ok. 1920 roku, a przedstawia rodziny Sochów oraz Szutów. Pani Emilia tak wspomina swoją rodzinę: „...moja prababcia Maria Socha odrabiała jeszcze pańszczyznę. Pamiętam, że nie było wówczas maszyn i kobiety podsiewały zboże na przetakach, a chłopi zajmowali się uprawą roli za pomocą prostych narzędzi. Dziadek – Tomasz Socha (na fotografii z kapeluszem w dłoniach) był drożnikiem i był dość zamożny. Babcia Magdalena zajmowała się gospodarką domową. Mieli aż siedmioro dzieci, gdyż taka była wówczas moda, ale posiadanie nawet dziesięciorga dzieci nie było wcale czymś wyjątkowym. Co niedzielę słychać było turkot wozów wiozących dzieci do chrztu.. Moja mama Wiktoria (pierwsza od prawej w dolnym rzędzie z dzieckiem na ręku) była najstarsza z całego rodzeństwa, i kiedy wychodziła za mąż, to jej wesele było bardzo huczne. Towarzyszyła jej do ślubu banderia konna dwunastu krakowiaków. Bracia założyli rodziny i wszyscy mieszkali w Krakowie, ale odeszli już do wieczności, tylko ja jeszcze zostałam z synem i wnukami, a nawet doczekałam się prawnuka, który ma 8 lat. Uważam, że małżeństwo moich rodziców było udane, ponieważ żyli z sobą w zgodzie i miłości. Zmarli w tym samym dniu i miesiącu, jednakże mama o dwadzieścia lat później – w 1987 r. Mój mąż zmarł w 1995 r., a ja mieszkam w dużym domu wraz z wnukiem, jego żoną i prawnukiem. Wspominając moich bliskich na fotografii, którzy już nie ma, smutno mi się robi na sercu, ponieważ widać jak życie i czas upływają, lecz Panu Bogu i tak gorąco dziękuję za zdrowie i każdy nowy dzień.".*

## Babciu!

Jak to było przed wojną, kiedy nie było radia i telewizji? Jak wyglądało spokojne życie mieszkańców NH? A może opowiesz mi o posterunku, który znajdował się w Twoim rodzinnym domu?

Koło naszego domu była kamienna droga z bardzo głębokimi dziurami. W Wyciążach znajdowała się czteroklasowa szkoła podstawowa. Moja siostra Stenia jeździła do gimnazjum na Starowiślną, zaś ja dojeżdżałam do Mogiły do siedmioklasowej szkoły. Dojechać można było PKS-em i linią prywatną „Cygan i Regina". Dwa razy dziennie. Bilet z Wyciąż do Krakowa kosztował 1,40 zł.

Przeważnie w każdej wsi był dwór, gdzie pracowali miejscowi. Nie używano maszyn żniwnych, zajmowali się tym kosiarze. Nasze dziesięciomorgowe pole zostało kupione od właściciela ziemskiego z Branic. Po żniwach zboże młóciło się w stodole, w specjalnej maszynie, którą obsługiwało 11 osób.

Do kościoła do Ruszczy chodziłam na piechotę ok. 1,5 kilometra. Jak było wesele to wszyscy goście jechali furmankami do kościoła. Na pierwszej jechała panna młoda z drużbami, dalej pan młody z druhnami. Potem starostowie weselni. Za nimi reszta gości. Tej kawalkadzie towarzyszyła zamówiona orkiestra. Zawsze na wieczór po weselu, gdy ludzie byli już trochę spici zaczynała się bitka. Często musiała interweniować Policja.

Mój ojciec pełnił funkcję komendanta posterunku Policji, który znajdował się w naszym domu przy ul. Jeziorko 2. Zatrudnionych było 4 policjantów. U nas też znajdował się jedyny telefon we wsi. Ludzie w ogóle nie wiedzieli co to jest i jak to działa.



*Rodzina Józefa i Józefy Ryglów z Wyciąż, rok 1932*

Natalko!

Jak zauważyłaś życie wyglądało zupełnie inaczej. Było ciężko, ale miło wspominam tamte czasy.

***Natalia Mrowca, wnuczka pani Kornelii***

## Łuczanowickie wspomnienia

Pani Helena Kotarska – mieszkanka Łuczanowic oraz jej siostra Maria Szybińska podzieliły się ze mną swoimi osobistymi wspomnieniami z dzieciństwa i młodości oraz przekazanymi im przez mamę, nieżyjącą już Wiktorię Luty z domu Gajoszek. Obie panie umożliwiły mi też spotkanie ze swoimi krewnymi, Franciszką i Feliksem Gajoszkami, których opowieści stanowią dopełnienie tych wspomnień.

Sięgając pamięcią wstecz, aż do okresu przełomu wieków, pani Helena i Maria przywołują postać swego dziadka, piwowara Seweryna Lutego – protoplastę łuczanowickiej gałęzi rodziny Lutych. Jako specjalista w dziedzinie piwowarstwa został sprowadzony z Czech do Łuczanowic przez hrabiego Władysława Mycielskiego, który dzierżawił propinacje niejakiemu Haubenstokowi. Znajduje to potwierdzenie we wspomnieniach Andrzeja Mycielskiego, opublikowanych pod tytułem „Chwile czasu minionego". Andrzej jako mały chłopiec lubił z ojcem jeździć bryczką na „Baran", gdzie ojciec załatwiał interesy z dzierżawcą Haubenstokiem, dzierżawiącym od niego prawo do produkcji i sprzedaży wyrobów alkoholowych. Od niego pochodziły trunki sprzedawane na terenie dóbr łuczanowickich, w tym w miejscowej karczmie.

Wnuk piwowara Seweryna, Antoni Luty ożenił się z Wiktorią Gajoszek z Łuczanowic. Wiktoria była jednym z sześciorga dzieci Marii Smołgi z Łuczanowic i Feliksa Gajoszka z Prus. Gajoszkowie mieli trzech synów: Feliksa, Wojciecha i Szczepana oraz trzy córki: Annę, Wiktorię i Rozalię. Mieszkali w sąsiedztwie moich prapradziadków Smołgów, a później moich pradziadków Gawlików. I tak oto dowiedziałam się, jakie pokrewieństwo łączy mnie z „ciocią" Heleną Kotarską. Moja prababka Wiktoria i jej babka Maria były siostrami, obie wywodziły się z nieistniejącego już dziś w Łuczanowicach rodu Smołgów. Poświadcza to topografia działki, która w całości należała kiedyś do jednej rodziny, właśnie do rodziców Marii i Wiktorii. Gdy Maria wyszła z mąż za Feliksa Gajoszka, rodzice przekazali jej w wianie część działki, gdzie nowożeńcy założyli własne gospodarstwo. Maria Gajoszek zmarła wydając na świat siódme dziecko, które urodziło się martwe. Było to w roku 1909, gdy Wiktoria miała 2 lata. Matka została pochowana razem z dzieckiem. Wiktoria była chrześniaczką Wiktorii. Być może imię otrzymała właśnie po swojej cioci. Tymczasem Wiktoria wyszła za mąż za Jana Gawlika z Łuczanowic.

Spośród opowieści przekazanych przez Wiktorię córce Helenie zachowała się jedna z czasów monarchii austro-węgierskiej, dotycząca starszego brata Wiktorii, Feliksa Gajoszka, który jako „hallerczyk" ukrywał się przed żandarmami austriackimi w tzw. „dekonku", czyli kryjówce wykopanej w ziemi na terenie gospodarstwa rodziców.

We wspomnieniach Wiktorii często pojawiała się nazwa „Sodalicja". Ze wstępnych ustaleń wynika, że była to organizacja religijna prężnie działająca przy kościele parafialnym w Ruszczy. Związana była z kultem maryjnym w Niepokalanowie. Jej organem było czasopismo „Rycerz Niepokalanej". Było ono rozpowszechniane wśród parafian. Aktywiści „Sodalicji" nosili specjalne plakietki, będące znakiem przynależności do organizacji. Do aktywnych członków „Sodalicji" z Łuczanowic należeli m.in.: Wiktoria Gajoszek za mężem Luty, Stanisław Pacanek i jego żona Maria z domu Kwater, Piotr Cholawa i jego żona Franciszka z domu Frankiewicz. Działacze „Sodalicji" brali udział w pielgrzymkach, wycieczkach, procesjach i uroczystościach państwowych, np. w procesji żałobnej na Wawel, podczas pogrzebu Józefa Piłsudskiego w 1935 roku. Przy kościele parafialnym w Ruszczy działała też orkiestra, w której Antoni Luty grał na trąbce.

Zdjęcie z lat trzydziestych prezentuje dwie przyjaciółki z czasów panieńskich, członkinie „Sodalicji" z Łuczanowic:



Franciszkę Frankiewicz (po lewej) i Wiktorię w kręgu najbliższych nazywaną familiarnie „Wikcią" (z prawej). W tym okresie cztery łuczanowickie rodziny, wśród nich Kwatrów i Gajoszków, ufundowały feretron w formie posągu wyobrażającego Pana Jezusa Boleściwego. Podczas procesji religijnych panny z rodzin fundatorów, w strojach krakowskich, niosły figurę.

Życie mieszkańców Łuczanowic było związane siłą rzeczy z dworem. Bale dworskie wzbudzały zainteresowanie dzieci chłopskich, przychodzących w okolice pałacu. W dniu balu, gdy na plac przed dworem zajeżdżały wiozące towarzystwo z wyższych sfer powozy, zbierał tam się tłumek gapiów podziwiających eleganckich panów i wykwintne toalety pań. Patrzono przez okno sali balowej wychodzące na park od strony północnej. Hrabiostwo Mycielscy zapraszali również młode, urodziwe i dobrze ubrane córki gospodarzy na bale w charakterze partnerek do tańca dla młodych paniczów. Jedną z nich była również Wikcia.



Dziewczęta ze wsi służyły we dworze w charakterze pomocy kuchennych, pokojówek. Pracowały też na folwarku, w kurniku, w ogrodzie, stajni oraz wykonywały prace dorywcze lub sezonowe np. podczas żniw, czy młocki. Mającą wstęp na pokoje pokojówką starszej pani Mycielskiej była Zofia za mężem Rybkowska, która po opuszczeniu dworu przez Mycielskich do końca życia mieszkała w „pałacu", pełniąc rolę „klucznicy". Dzierżyła klucze do zamkniętych, nieużywanych pomieszczeń dworu. W okresie międzywojennym pokojówkami we dworze były: Katarzyna Luty, Franciszka Kwiecień (za mężem Broś, babcia mieszkająca na ul. Braci Polskich) Rózia i Maria Gilówny (mieszkały na dzisiejszej posesji p. Pienschke) oraz Maria Adamska później za mężem Raźny (siostra dziadka mojego męża). Zaś Natkańcowa, matka p. Raźnej, była wiejską krawcową, lecz nie szyła gorsetów – tak popularnego wśród kobiet w dawnych czasach stroju. Najsławniejszymi gorseciarkami w okolicy były gorseciarki z Pleszowa.

Wiktoria wyszła za mąż za Antoniego Lutego, pochodzącego z zamożnej rodziny, którą było stać na opłacenie mu nauki w przedwojennym czteroletnim gimnazjum. Po ukończeniu szkół terminował u kowala. Do ślubu, (który odbył się dawnym zwyczajem w środku tygodnia w środę) w kościele w Ruszczy, jechał bryczką wypożyczoną ze dworu. W rodzinnej tradycji przetrwała opowieść, jak to w drodze do kościoła w bryczce nowożeńców urwało się koło. Czyżby to był jakiś zły omen?... Jak sobie poradził, nie wiadomo, ale kowalski fach na pewno mu się przydał. Po ślubie osiadł na rodzinnym gospodarstwie Wiktorii. Doczekali się pięciorga dzieci (Maria, Andrzej, Helena, Antoni i Julian). Rodzina utrzymywała się z kowalstwa. Antoni pracował we własnej kuźni, którą postawił w gospodarstwie odziedziczonym przez żonę przy dzisiejszej ul. Bystronia.

W sąsiedztwie Lutych mieszkali: Jan i Wiktoria Gawlikowie, Ziębowie, Konieczni z Żydem Jabramem, naprzeciw Gawlików Wójcikowie a za nimi Wieczorkowie. Każda z tych rodzin jakoś szczególnie utkwiła w pamięci Heleny, córki Wiktorii.

Piotr Wieczorek był stangretem dworskim, na jego podwórzu stało zawsze kilka dorożek i powozów. Jego syn Andrzej, brat Jerzego zginął podczas II Wojny Światowej.

Maria Kwater, wyszła za mąż za Jana Wójcika z Wyciąża, ponoć z zacnej rodziny. Z małżeństwa z Marią – swą pierwszą żoną miał dwoje dzieci, Józefa i Marię, które później wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych. Potem, jako wdowiec z dwójką dzieci ożenił się powtórnie z Zofią Sajką z Prus i miał z nią syna Edwarda. Małżeństwo to nie było zbyt szczęśliwe, bo Jan pił na umór i bił żonę. Często więc widziano go, gdy wracał z pracy pijany. Spał na wozie, a konie same znaną drogą przywoziły pijanego woźnicę do domu. Wtedy zaczynała się awantura, Zofia pakowała manatki, zabierała dzieci i chroniła się u Lutych. Gdy wytrzeźwiał – wracała. Taka sytuacja często się powtarzała. Gdy zmarł, po wojnie Zofia z synem wyprowadziła się do Dojazdowa, a działkę z domem sprzedała moim dziadkom. W ten sposób dowiedziałam się, dlaczego stary, niebieski dom, zapamiętany z dzieciństwa, w rodzinie nazywano „Wójcikówką". Maria Wójcik wyjechała do Ameryki do swoich ciotek, sióstr ojca. Pozostawionym w Polsce krewnym pomagała, przysyłając z Ameryki paczki.

Za Wójcikami, w rejonie dzisiejszego skrzyżowania ulic Godebskiego i Bystronia, mieszkali Konieczni. Z tym nazwiskiem spotkałam się po raz pierwszy podczas opowieści pani Franciszki Gajoszek. Dom rodzinny Franciszki, córki pani Katarzyny Rybkowskiej, którego przedłużenie stanowiła długa zbudowana z desek karczma ze sklepem tzw. trafika, sąsiadował z domem Koniecznych. Dom ten wraz z otaczającą go działką (teren łąk, bądź przylegający do łąk) kupili z kolei moi pradziadkowie (?) Gawlikowie. Kupili go wraz z kłopotliwym lokatorem, który nie chciał się wyprowadzić. Był nim starszy Żyd, prawdopodobnie wcześniejszy dzierżawca karczmy, osadzony tutaj przez hrabiego. Wołano na niego „Jabram" (Jabramowicz?). To jemu właśnie dokuczali synowie Gawlików wraz z kolegami, chcąc go zmusić do wyprowadzki. Płatali mu różne figle: a to wieszali mu garnki na drzwiach, a to podrzucali zdechłe, cuchnące ryby, z pobliskiego stawu. Jak się historia skończyła – nie wiem.

Działka Gawlików, a wcześniej Smołgów, sąsiadowała z karczmą. W 1921 roku karczmę od hrabiego w długoletnią dzierżawę wziął Tomasz Zięba (dziadek pani Franciszki Gajoszek z domu Rybkowskiej), wcielony wbrew własnej woli do armii austriackiej w momencie wybuchu I wojny światowej. Na froncie dostał się do niewoli rosyjskiej w Albanii. Podczas transportu, zdesperowany i zrozpaczony, zdecydował się wyskoczyć z pociągu i wrócić do domu. Dlaczego tak bardzo ciągnęło go do Łuczanowic? Otóż, będąc podwójnym wdowcem, zostawił tutaj siedmioro małych dzieci: sześcioro z pierwszego małżeństwa: Tomka, Kazka, Jędrka, Izydora, Marysię i Kasię a z drugiego małżeństwa Jasia. Córkę Tomasza, Katarzynę pamiętam jako sędziwą już niewiastę a jednocześnie „chodzącą encyklopedię Łuczanowic". Mieszkała samotnie w małym zapadającym się domu tuż przy figurce, niemal w samym centrum wsi. Słynęła z doskonałej pamięci, potrafiła układać i recytować bardzo długie wiersze. Słyszałam też w jej wykonaniu wiersz Stanisława Jachowicza. Sama śpiewała piosenki, znała wszystkie parantele rodzin łuczanowickich. Ponadto miała smykałkę do handlu i z niego głównie żyła, sprzedając płody rolne i owoce, które dostarczali jej znajomi. Pomagała innym w gospodarstwach. Długie lata cieszyła się doskonałym zdrowiem i humorem. Często odwiedzała dom dziadków mojego męża, Adamskich, bawiąc zebranych różnymi opowiastkami, wierszykami i dykteryjkami. Była świetną gawędziarką. A przecież jej samej los nie rozpieszczał. Została sierotą jako mała, dwuletnia dziewczynka. Z wojaczki ojciec Tomasz wrócił do rodzinnej wsi z udarem głowy, którego nabawił się wyskakując z pociągu. Prawdopodobnie widząc ciężką sytuację tego człowieka, wdowca z siedmiorgiem dzieci, hrabia Władysław Mycielski zlitował się i wydzierżawił mu karczmę dworską. Katarzyna wyszła za mąż za Rybkowskiego, zbudowali dom obok karczmy. Ona handlowała w Krakowie, skupowała towar od gospodarzy we wsi, a mąż dowoził jej towar. Ale wybuchła wojna… Panią Katarzynę, wojna zastała w Krakowie, gdzie

przebywała w szpitalu wraz ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, synem Adamem. Gdy rozpoczął się nalot, szpital ewakuowano. Nie mając dokąd pójść, z małym dzieckiem w zapasce wróciła do domu do Łuczanowic. Podobnie zaczęła się wojna dla Wojciecha Gajoszka, który potem został zięciem pani Katarzyny, a teściem jej córki, Franciszki, która wyszła za mąż za Feliksa Gajoszka. Przed wojną ojciec pana Feliksa był pracownikiem poczty w Krakowie, mieszczącej się w budynku naprzeciw Dworca Głównego. Budynek ewakuowano, a pracownicy dołączyli do innych podążających na wschód uchodźców. Doszli, jak się później okazało, aż za Przemyśl. 17 września wojska sowieckie przekroczyły granicę. Polscy uchodźcy wobec nienawiści Ukraińców, w pośpiechu rozpoczęli marsz w powrotnym kierunku – wracali pod okupację niemiecką. Wśród nich był również Wojciech Gajoszek. Wrócił cały i zdrowy, ale boso. Daje to wyobrażenie o trudach kilkutygodniowej tułaczki o głodzie i chłodzie, w ciągłej obawie o życie.

Okupacyjne losy rodziny Rybkowskich należą do najtragiczniejszych w Łuczanowicach. Jadący do Proszowic mąż pani Katarzyny został zastrzelony przez żołnierza niemieckiego. Zostawił pogrążoną w rozpaczy żonę i kilkoro dzieci.

Zapytana o pamiątki z rodzinnego domu przy karczmie, pani Franciszka odpowiedziała, że stare książki czy mszał domowy oraz kalendarze przechowywane w kufrze, prawdopodobnie uległy zniszczeniu. Harmonia i inne sprzęty po ojcu zostały zabrane zaraz po owdowieniu mamy. Pani Katarzyna dopiero w podeszłym wieku, gdy zniedołężniała, opuściła swój coraz bardziej podupadający domek przy figurce i przeniosła się do domu swojej córki. Była bardzo dumna ze swej wnuczki po synu Adamie, Basi, która wyszła za Włocha Augusto i odwiedzała babcię w Łuczanowicach, a czasem zabierała ją do siebie, do domu w górach. Gdy opowiadała mi o panujących tam wygodach była naprawdę szczęśliwa. Domek będący ostatnią pamiątką w pejzażu wsi po łuczanowickiej karczmarce – córce karczmarza Tomasza – został rozebrany.

Syn Wojciecha, Feliks Gajoszek, opowiedział o swojej wojennej, a właściwie okupacyjnej przygodzie. Miał wówczas około 14 lat (ur. 1927). Jasiek Ślęzak z Luboczy, który mieszkał w domu rodzinnym żony, Rozali z Gilów (dziś działka p. Pienschke, po prawej stronie, na rogu ul. Orłowskiego i Bystronia) był furmanem w mleczarni Parowej Dóbr Łuczanowice w Dojazdowie należącej do Andrzeja Mycielskiego. Za wiedzą i cichym przyzwoleniem właściciela, miejscowa partyzantka organizowała transport prowiantu z mleczarni, głównie nabiału, dla partyzantów. Zazwyczaj jeździł Jasiek, ale tym razem, zapił i nie czuł się na siłach. Natknąwszy się na Felka, wsadził go na wóz i kazał jechać. Chłopiec powoził, jadąc w towarzystwie dwóch obcych mu mężczyzn, którzy byli jego przewodnikami i obstawą jednocześnie. Jechali w nocy, mijali uśpione wsie w milczeniu. Gdy dotarli gdzieś za Niepołomice, w okolice puszczy, dwaj tajemniczy panowie, zabrali towar i oddalili się w nieznanym kierunku, ginąc w ciemności. Jeszcze tej samej nocy, chłopiec wrócił cały i zdrowy do Łuczanowic, wypełniwszy powierzone mu zadanie jak należy.

Na pytanie skierowane do moich rozmówczyń i do pana Feliksa, dotyczące osób działających w partyzantce, padają nazwiska: Józef i Piotr Cholawa, Stefan Frankiewicz, Franciszek Adamski, Józef Gawlik, Idziu Zięba, Stanisław Walczak i Świgoń z Wadowa.

Stacjonujący we wsi oddział Niemców z ciubarykami opuścił swoje kwatery a mieszkańcy wsi byli zabierani do robót ziemnych przy okopach w Prusach i „Koskowie". Kończył się rok 1944 i okupant przygotował się do obrony przed nadciągającą Armią Czerwoną. W styczniu 1945 we wsi zaczęli pojawiać się uciekający w popłochu Niemcy. Niektórzy byli zmasakrowani, inni rekwirowali konie i bryki, wozy, wszystko co jeździło. Ostrzegali przed żołnierzami radzieckimi. Wkrótce rozpoczęło się bombardowanie od wschodu, od strony Prus. Mieszkańcy zeszli do schronów, piwnic i tam czekali, aż front się przesunie na południe w kierunku Wadowa, Luboczy. Podczas strzałów z dział jeden pocisk spowodował podpalenie i pożar domu Matuszczyków sąsiadujących z Ziębami. Gdy sąsiedzi wyszli z kryjówek, zobaczyli potężną łunę. Dom wypalił się doszczętnie. Tymczasem do wsi weszli nowi okupanci, rozkwaterowali się po domach i we dworze. Radiotelegrafiści z dwoma radiostacjami zadekowali się u rodziny Antoniego i Wiktorii Lutych oraz u Mikołaja Kwatery – dziadka Andrzeja Kwatery – mieszkającego naprzeciw figurki. Siostra Heleny Kotarskiej, Maria Szybińska, do tej pory nie może zapomnieć widoku prymitywnych barbarzyńców, którzy rozkradali majątek dworski; głównie to co nadawało się do jedzenia: konie, krowy i drób. Do kwatery na ich podwórko potrafili przytaszczyć nawet dworskie ule i „żarli" miód razem z plastrami. Reszty spustoszenia dworu dokonali chłopi po wypędzeniu hrabiów Mycielskich. Niektórzy dali upust najgorszym prymitywnym instynktom – nienawiści i żądzy zemsty, zawiści. Czując się bezkarnie, kobiety obraźliwie potraktowały hrabinę z płaczem żegnającą się z dworem. Chłopi spici bimbrem, niszczyli i rabowali wszystko, począwszy od boazerii, pieców, kafli aż po stołki. Dotychczasowy ład panujący w łuczanowickim świecie oparty na wzajemnym poszanowaniu, runął w gruzy. Szło nowe…

Ze starych mieszkańców dworu pozostali przez jakiś czas jeszcze Anna i Jan Wilczkowie – dawni rządcy majątku, zachowani we wdzięcznej pamięci sióstr Heleny i Marii, w odróżnieniu od wrogiego chłopom i nie lubiącego dzieci Abratowskiego, który wyganiał je z ogrodu, gdzie zakradały się by skosztować owoców (agrest). Byli to zacni ludzie, którzy wiejskim dzieciom wynosili jedzenie ze dworskiej kuchni. Mieszkali w starym, modrzewiowym dworze. Helenka była ulubienicą pani Wilczkowej.

**Informacje dodatkowe:**

* Jan Abratowski – kucharz dworski, mieszkał w domu przy stajniach.

* Jan Ślęzak z Luboczy, ożenił się z Rozalią Gil, a jego kuzyn z Grębałowa Andrzej Gil, ożenił się z Marią Gil.

**Stare Łuczanowickie rodziny**

W Łuczanowicach jak widać, przeplatają się te same nazwiska, ale nie zawsze wynikają z pokrewieństwa:



Kwatry

1. Kwatry: potomkowie to rodzina Sendorków, Kazimierza Kwatra, syna Stanisława, Józefa Kwatra (ul. Braci Polskich)

2. Kwatry: od Jakuba Kwatra „drużnika", Barbara z panny Rylak za mężem Duńczyk – jego wnuczka; Marian Kwater i Bronisława to rodzeństwo dzieci Jakuba, itp.

3. Kwater Stanisław, mąż Bronisławy z domu Gawlik

4. Kwater przy ul. Bystronia; Józef i Maria?, syn Kazimierz: dzieci „Morcina" Kwatra, podobnie jak Maria Gądkowa.

5. Kwater Ryszard, syn „Kudy" Władka ul. Bystronia, Maria Zbrojowa była z domu Kwater, siostra „Kudy", pamiętam dom pod dębem na Godebskiego na wprost „Kaczmorki".

Zięby:

1. Zięby: od Tomasza; ojca p. Katarzyny Rybkowskiej, dziadka p. Gajoszkowej Franciszki, pradziadka p. Ewy Kot, prapradziadka Barbary Kot i prapradziadka jej dzieci. Gajoszkowie ul. Orłowskiego.

2. Zięby lekarze, dziś Rochy.

3. Zięby tzw. „Karbowiaki": nie istnieją, z nich pochodziła matka p. Józefa, Waligóry; Podobińscy; Zięba Karbowiaki – Andrzej właściciel rudery na Godebskiego. Frankiewicza, najdłużej żyjąca kobieta w Łuczanowicach– jeden z Ziębów, lub kilku z nich byli „karbowymi" w lesie dworskim, a więc musiało to być przed I wojną światową roku, gdyż las został wycięty ze względów taktycznych przez Austriaków, dla odsłonięcia przedpola twierdzy Kraków.



*Stanisław Kwater. Zdjęcie zrobione, podobnie jak przyrodniego brata Jana, we dworze, w tym samym pomieszczeniu, rok 1943 lub 1944.*



*Franciszek Kwater około 1936 roku we dworze łuczanowickim.*
*Franciszek Kwater (ur. 1916 roku) został zmobilizowany w 1939 roku jako szeregowy. Dostał się do niewoli rosyjskiej, później został przekazany Niemcom. Został wysłany na przymusowe roboty, gdzie przez ok. cztery lata pracował w gospodarstwach rolnych. Po zakończeniu wojny postanowił wyjechać do Anglii. W ostatniej chwili na zmianę jego decyzji wpłynął list od matki, w którym prosiła, by syn wrócił na gospodarstwo. Jadąc do domu Franciszek wahał się, czy słusznie postępuje. Dopiero widok łuczanowickiego „Kopca Lutrów" położył kres jego rozterce. Pozostałą część życia spędził w rodzinnej wsi. W 1949 roku ożenił się z Marcjanną Walocha.*

4. Zięby: Andrzej, Jasiek Zięba, synowie Idziego: Bronisława Zięba „Krzyżówki" – żona Piotra, matka … Piotra – ul. Skoczylasa. Agnieszka Zięba za mężem Bąk, moja sąsiadka. Matka Ziębowa???, Pazdalską też Ziębówna, żona Kuby?

Frankiewicze:

1. Mietek Frankiewicz, Gajoszki na krzyżówkach; Franciszek Frankiewicz, na krzyżówkach, Frankiewicz Józef ul. Orłowskiego, syn Adam.

2. Frankiewicze, bezdzietni pod kopcem, Szefka, dziś Postolscy.

Inni: Gajoszkowie, Zawadzcy, Kasprzykowie, Gawlikowie, Adamscy

***Wspomnienia spisane przez Annę Adamską na podstawie relacji sióstr: pani Heleny Kotarskiej, pani Marii Szybińskiej, obie z domu Luty oraz państwa Feliksa i Franciszki Gajoszków z Łuczanowic, dnia 24 sierpnia 2006 roku.***



*Rodziny Gawlików i Dabińskich na posesji Wiktorii i Jana Gawlików w Łuczanowicach ok. 1937 roku. W pierwszym rzędzie od lewej stoi Maria Dabińska z domu Gawlik, w drugim rzędzie stoją od lewej kolejno: Zbigniew Dabiński – jej mąż oraz dwaj bracia Marii: Feliks i Jan Gawlikowie. Pozostałe osoby to krewni Zbigniewa Dabińskiego /1906-1940/, który jako oficer Wojska Polskiego wziął udział w kampanii wrześniowej. Wkrótce został aresztowany przez Rosjan i dostał się do niewoli, do obozu jenieckiego w Starobielsku, a stamtąd w 1940 został wywieziony do Charkowa i zamordowany przez NKWD. Być może nigdy się nie dowiedział, że Maria urodziła mu syna Andrzeja. Lata okupacji spędziła w domu rodzinnym w Łuczanowicach, potem wyjechała na Śląsk, gdzie ponownie wyszła za mąż i została nauczycielką w szkole podstawowej.*

*Rodzina Adamskich z Łuczanowic, późne lata trzydzieste. W bujnej letniej zieleni stoją w środku Katarzyna Adamska z Gawlików z córką Marią i synem Franciszkiem.*
*Maria Adamska była pokojówką w łuczanowickim dworze. Franciszek Adamski, cieśla z zawodu, aktywnie działał w ruchu ludowego, przed wojną był członkiem Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici", w Batalionach Chłopskich podczas okupacji działał jako kurier – jego punkt kontaktowy znajdował się w Krzesławicach. W jego rodzinnym domu w Łuczanowicach tajne nauczanie prowadził kierownik szkoły w Luboczy Franciszek Twaróg. Tutaj też ukrywano sztandar łuczanowickiego PSL. Po wojnie Franciszek Adamski pracował jako cieśla przy budowie pierwszych bloków na os. Willowym. Jako portier jednego z hoteli robotniczych na osiedlu Teatralnym był świadkiem walk o Nowohucki Krzyż w 1960 roku. Przez wiele lat będąc sołtysem Łuczanowic pracował społecznie na terenie swojej wsi. Często można było go zobaczyć z teczką jadącego do urzędu. Podobnie jak jego mistrz z Luboczy działał na rzecz elektryfikacji a potem gazyfikacji wsi. Przyczynił się do budowy dróg z nawierzchnią asfaltową, dzięki czemu zaczął tu dojeżdżać autobus.*





*Maria i Stanisław Kwater z synem Antonim przed domem w Łuczanowicach ok. 1930 r. Stanisław Kwater był drugim mężem Marii. Pierwszy, co ciekawe nazywał się również Kwater. Z pierwszego małżeństwa miała dwóch synów Jana (1913) i Franciszka (1916), z drugiego również dwóch synów Antoniego (1925) i Stanisława (1928).*



*Jan Kwater we dworze w Łuczanowicach około 1943 roku*



## Wspomnienia pani Marii Frankiewiczowej z domu Wójcik, żony Stefana

Maria Frankiewicz ze swoich lat dziecięcych i młodości spędzonej w Luboczy, wspomina swego nauczyciela i kierownika miejscowej szkoły, przyjaciela rodziny Wójcików. Była jego wyróżniającą się jego uczennicą.

Od 1941 roku mieszka w Łuczanowicach, w domu rodzinnym męża Stefana Frankiewicza wraz z teściową, która prowadziła w nim sklep spożywczy. Dom był położony przy placu w centrum wsi, tam gdzie dziś znajduje się pętla autobusowa. Bracia męża pani Marii, Stefana, ożenili się i opuścili Łuczanowice. Dwaj z nich, Tomasz i Karol, zamieszkali w Krakowie, a trzeci najpierw otworzył piekarnię w Zakopanem a potem przeniósł się do Tarnowa, gdzie się ożenił. Przed wojną lub przed rokiem 1941 Stefan Frankiewicz pracował w zakopiańskiej piekarni brata.

Widoczni na drugim zdjęciu przesiedleńcy zostali przy-



*Zdjęcie rodziny Wójcików z Luboczy zrobione w 1928 roku w zakładzie fotograficznym w Krakowie. Przedstawia Katarzynę i Franciszka Wójcików oraz ośmioletnią córkę Marię.*

wiezieni ciężarówką, na której znajdowały się również trzy fortepiany. Należały do właściciela zakładu strojenia fortepianów, który opłacił tę podróż. Zabrali ze sobą tylko niewielkie tobołki. Byli wyczerpani podróżą, niepewni swego losu, głodni. Nie posiadali ubrań na zmianę. Przyjazd do Łuczanowic zaproponował Józef Zięba (w pierwszym rzędzie trzeci z lewej), mający rodzinę w Łuczanowicach. Odnalazł w nich swego krewnego, Antoniego Ziębę (Józef był ponoć jego wujkiem lub stryjkiem), ówczesnego sołtysa wsi, który pomógł im zakwaterować się. Tak więc ro-



*Zdjęcie z 1944 roku zostało zrobione na podwórku państwa Marii i Stefana Frankiewiczów w Łuczanowicach. Widzimy na nim gospodarzy, troje innych mieszkańców Łuczanowic oraz trzy rodziny repatriantów z Ziem Wschodnich: Ziębów, Maćkowiaków i Drygajłów, którzy znaleźli schronienie w Łuczanowicach po ucieczce przed napierającą ze wschodu Armią Czerwoną.*

*W drugim rzędzie od prawej: druga Janina Maroszkówna, piąty Stefan Frankiewicz, szósta jego żona Maria. W grupie chłopców po lewej stronie siedzą dwaj bracia z Łuczanowic: Stanisław (drugi od lewej w drugim rzędzie) i poniżej Tadeusz Gawlikowie. Zdjęcie zostało zrobione przez p. Drygajło, klęczącego jako pierwszy w drugim rzędzie po prawej stronie.*

dzina Ziębów trafiła do Marii i Stefana Frankiewiczów, rodzina Maćkowiaków do Maroszków a rodzina Drygajłów do Wiktorii i Antoniego Lutych. Mieszkańcy wsi pożyczali im sprzęty: łóżko, piecyk zwany kozą itp., by mogli przetrwać ten trudny okres. W dniu, gdy zjawili się w domu Frankiewiczów, pani Marii nie było w domu. Często, bowiem jeździła „kocmyrzówką" z Prus do Krakowa w odwiedziny do brata męża, Tomasza, i jego żony, zawożąc produkty spożywcze ze swojego gospodarstwa. Wokół panowała straszna bieda, chłopi zmuszeni byli oddawać kontyngent żywności okupantowi. By zachować dla siebie żywność, zakopywali zboże czy mięso w stodołach lub ogrodzie. Gdy wróciła wieczorem, zastała rodzinę Ziębów siedzącą z tobołkami w stodole. Wydoiła więc krowę i poczęstowała uchodźców świeżym mlekiem i chlebem. Podczas jednej ze swoich wypraw z prowiantem do Krakowa w 1944 roku, na stacji w Prusach została aresztowana przez Niemców wraz z innymi kobietami z Łuczanowic. Działo się to w okresie, gdy armia niemiecka wycofywała się ze wschodu i wiadomo było, że wkrótce front przesunie się w kierunku Prus. Niemcy przygotowywali się do obrony i wykorzystywali miejscową ludność do prac przy kopaniu rowów i sypaniu wałów obronnych. Siłę roboczą stanowili ludzie wytypowani przez sołtysów a także ci, którzy padli ofiarą łapanki. Tak też się stało w przypadku złapanych na stacji w Prusach mieszkanek Łuczanowic. Odebrano im towar i zapędzono je do prac ziemnych przy kopaniu okopów na polach przed dworem i młynem w Prusach. W trakcie prac zjawił się sołtys łuczanowicki, Antoni Zięba, wezwany przez uprzednio przez Niemców i zapewnił kobiety, że jeszcze tego samego dnia wieczorem wrócą do domów. Zgodnie z tym zapewnieniem, wieczorem pani Maria znalazła się w domu.

Gdy od pewnego czasu mieszkańcy Łuczanowic słyszeli dochodzące z daleka odgłosy wystrzałów, nie mieli wątpliwości, że zbliża się front. Wspólnie z sąsiadami i krewnymi



*Aniela Zięba w stroju krakowskim pożyczonym od Marii Frankiewiczowej (z domu Wójcik) przed domem Frankiewiczów Łuczanowicach. Stoi na tle krzewu zwanego przez domowników „bobkiem". Lato 1944 rokuw.*

szykowali schrony ziemne bądź wykorzystywali do tego celu piwnice. Rodzina Frankiewiczów i goszcząca u nich rodzina Ziębów schroniły się u sąsiadów, Adamskich. Z domów, które były wówczas drewniane i w większości kryte strzechą, a więc łatwopalne, wyniesiono sprzęty i meble na wypadek, gdyby doszło do pożaru. Podczas działań bojowych, gdy nad głowami siedzących w schronach świstały kule, zapalił się dom Matuszczyków. Maria Frankiewiczowa pamięta, jak po wyjściu ze schronu, zobaczyła łunę pożaru bijącą od tego właśnie domu, który spłonął doszczętnie. Ucieczka Niemców, kojarzy się pani Marii, podobnie jak innym mieszkańcom Łuczanowic, z utratą konia. Ona i mąż liczyli na to, że ich ślepa kobyłka nie zostanie zarekwirowana. Dla zdesperowanych Niemców już nie miało znaczenia, czy koń jest ślepy czy nie. Liczyło się tylko byle dalej, byle szybciej. Po zakończeniu wojny w 1945 roku rodziny Ziębów, Drygajłów i Mańkiewiczów o-puściły Łuczanowice i udały się na Ziemie Odzyskane.

Mieszkająca w Łuczanowicach od 1941 roku Maria Frankiewicz, zapytana o zabudowania folwarczne, zlokalizowała je bez wahania. Stodoły dworskie znajdowały się na miejscu dzisiejszej piekarni i sklepu a stajnie na miejscu boiska. Obok nich znajdował się domek, w którym mieszkał kucharz dworski Jan Abratowski (Maria wspomina jakiegoś Węglewskiego?). Czworaki stały między stawami. Znajdowały się tam pomieszczenia dla czterech rodzin. Każda z nich zajmowała dużą izbę z wejściem z sieni. Mieszkały tutaj: Krańscy, Bolikowie, Jędrasy oraz Króle. Mieszkańcy czworaków po parcelacji otrzymali działki, „hektary" przy dzisiejszej ul. Bystronia (Krańscy, Króle) i za parkiem (Bolikowie, Jędras), gdzie pobudowali domy i zamieszkali.

***Objaśnienia, informacje dodatkowe:***

** Antoni Zięba był mężem Anny Zięby z domu Gajoszek, siostry Wiktorii Gajoszek za mężem Gajoszek.*

** Szczupak Śmiałkowa, żona Kacpra Śmiałka (z Dojazdowa), nadzorowała kurnik dworski*

** Jędras był woźnicą dworskim, wywoził do Krakowa płody rolne, produkowane w gospodarstwie dworskim Mycielskich – mleko i drób; był też stangretem we dworze, powoził pańską bryczką; jego córki to Teresa za mężem Mordarska, .... za mężem Ruchała oraz śp. Albina za mężem Zawadzka.*

** Ziębowie zwani „Karbowiakami" od nazwy jednego z przodków, który był karbowym w dworskim lesie (las ów przestał istnieć w 1914 roku). Później na tej działce mieszkali Waligórowie a po nich Podo-bińscy. Dziś działka leży przy ul. Godebskiego, naprzeciw dawnych łąk.*

** Rodzina Kwatrów miała dwa stare domy, jeden we wsi przy figurce, a drugi „na łąkach".*

**W dzisiejszym starym centrum Łuczanowic (na pętli), przy starym trójkątnym placu, na wysokości domu Rozali Dyrla, znajdował się głęboki rów lub stawik, w którym topił się mały Stefan Frankiewicz. Stawik był zasilany wodami płynącymi z położonych na zboczach „doliny" pól łuczanowickich oraz wodami płynącymi ze „źródełka" na posesji państwa Paciorków, u wylotu dawnego wąwozu. W relacji pani Marii Broś, długoletniego pracownika klubu, w XV wieku z owego źródełka wypływała rzeczka, w której podczas wojen religijnych utopiono jakieś heretyckie dokumenty lub pisma. W odwecie heretycy spalili kościół w Ruszczy.*

** Mieszkania we dworze otrzymali: Zofia Rybkowska, Sochowie, Kostki, Warzechy.*

** „Morcin" czyli śp. Marcin Kwater (dziadek Wojciecha Gądka, Elżbiety i Barbary; a ojciec ich matki czyli śp. Marii Gąbkowej za mężem Gądek) opowiadał jak podczas budowy nowego skrzydła pałacu (1902 roku) on i inni mieszkańcy Łuczanowic nosili cegłę po drabinach w specjalnych, zbitych z drewna nosidłach. Pracę tę wykonywali nie tylko mężczyźni ale i kobiety – wspomina Anna Adamska, która dowiedziała się o tym od swej teściowej, Katarzyny Adamskiej z domu Gawlik, w młodości wykonującej tę pracę.*

***Anna Adamska***



## Wspomnienia Józefa Frankiewicza – mieszkańca Łuczanowic i jego żony Marii Frankiewicz

### W armii gen. Józefa Hallera, czyli na bojowym szlaku Władysława Frankiewicza



*Uroczystość zaślubin z morzem, Kołobrzeg, rok 1920. Władysław Frankiewicz stoi na tle sztandaru, w dziewiątym – ostatnim rzędzie jako siódmy z lewej.*

Ojciec pana Józefa Frankiewicza, Władysław, został zmobilizowany do armii austro-węgierskiej w ostatnim roku I wojny światowej, w 1918. Walcząc w szeregach armii Franciszka Józefa dostał się do niewoli we Włoszech. Stamtąd przedostał się do Francji, gdzie zaciągnął się do organizującej się armii gen. Józefa Hallera. Pod jej sztandarami przybył do Polski i w Kołobrzegu w 1920 roku wziął udział w „zaślubinach z morzem", gdy Polska po 127 latach uzyskała ponownie dostęp do Bałtyku. Pozostał w służbie wojskowej już w odrodzonej Polsce jeszcze przez dwa lata, do 1921 roku. W tym czasie wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po czym wrócił do rodzinnego domu w Łuczanowicach. Ożenił się z Franciszką z domu Zięba.



*Po prawej stronie w pierwszym rzędzie stoi kapral Władysław Frankiewicz*

Kolejne zdjęcie, tym razem z 1943 roku i ciekawa historia. Widzimy na nim dziewięcioletniego chłopca w ciemnym mundurku w dniu swojej Pierwszej Komunii Świętej, zrobione w przydomowym ogrodzie w Łuczanowicach. Chłopiec nie posiada kciuka u prawej ręki, co zamaskował trzymając świecę. To kalectwo nie przeszkodziło zdolnemu malcowi zostać lekarzem – jednym z dwóch pierwszych



w Łuczanowicach. Jak sobie radził z pisaniem? Otóż trzymał pióro między dwoma palcami, wskazującym i dużym. Ten mały chłopiec to Idziu Zięba, chrześniak Józefa Frankiewicza, a w przyszłości ceniony przez mieszkańców lekarz.

Rodzina Józefa Frankiewicza jest mocno związana z dziejami okupacyjnymi Łuczanowic. Ówczesni mieszkańcy wsi okazali się gościnni dla rodzin, które zostały wygnane z własnych domów przez zawieruchę wojenną. Do takich rodzin należała rodzina Sendorów, rodziców nieżyjącej już śp. Józefy Rutki, którzy mieszkali w sąsiedztwie domostwa państwa Frankiewiczów. Udzielili oni schronienia rodzeństwu Paulusów, do której należeli Florian, jego starszy brat Mieczysław oraz ich dwóm starszym siostrom. Rodzina ta została wysiedlona z własnego gospodarstwa w Poznańskiem. Zostali przywiezieni do Łuczanowic w grudniu 1939 roku lub na początku roku 1940. Mieszkali tutaj aż do zakończenia wojny a w kwietniu 1945 roku wrócili w rodzinne strony. Ich pobyt w Łuczanowicach łączy się z okupacyjną historią rodziny Frankiewiczów. Ojciec Józefa Frankiewicza – Władysław, był człowiekiem wykształconym, ukończył czteroletnie gimnazjum za czasów monarchii austro-węgierskiej, gdzie opanował język niemiecki. Miał także za sobą służbę w armii gen. Hallera, był ponadto osobą wielce szanowaną i poważaną we wsi, nic więc dziwnego, że został wybrany sołtysem. Było to w czasie II Wojny Światowej. Sołtys odpowiadał wtedy za wytypowanie mieszkańców na przymusowe roboty. Władysław Frankiewicz zastosował taktykę uniku i postanowił okupanta wywieźć w pole. Z jego inicjatywy

na roboty zgłaszali się wciąż dwaj ochotnicy. Byli to Józef Kwiecień i Józef Walczak. Rzecz w tym, że obaj byli niepełnosprawni. Ponieważ Niemcy kalek nie przyjmowali, dlatego też obaj jechali rano „kocmyrzówką" z Prus i tego samego jeszcze dnia wieczorem, jako niezdolni do pracy, wracali z powrotem do Łuczanowic. Dzięki temu fortelowi sołtysa nikt z Łuczanowic nie został wysłany na roboty. W 1943 roku Niemcy przejrzeli taktykę sołtysa i pewnego wczesnego ranka, gdy wszyscy spali, trzej gestapowcy zapukali do drzwi domu rodziny Frankiewiczów. Sołtys w bieliźnie wyrwany ze snu, zachował na tle trzeźwy umysł, że zataił swoją świetną znajomość języka niemieckiego bąkając tylko parę słów w tym języku. Wówczas Niemcy posłali po kogoś znającego niemiecki. Tym kimś okazał się mieszkający u sąsiadów Florian Paulus. Tymczasem, oszukani gestapowcy, zaczęli swobodnie rozmawiać między sobą. Z ich rozmowy Władysław zrozumiał, że naradzają się, gdzie go rozstrzelać. Nie było chwili do stracenia. Wykorzystując oczekiwanie na tłumacza, Władysław pod pozorem ubrania się w sąsiedniej izbie, czmychnął przez okno. Rozsierdzeni gestapowcy, postanowili ukarać jego rodzinę. Zabrali jego dziewięcioletniego syna Franciszka i żonę Franciszkę jako zakładników i osadzili ich w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Chłopca wypuścili po miesiącu, zaś żona przebywała w więzieniu aż sześć miesięcy. Ocalona została dzięki czyjejś pomocy. Opuściła więzienne mury na dwa dni przed wywózką do Oświęcimia.

Na tym nie kończą się dramatyczne dzieje rodziny Frankiewiczów i innych mieszkańców Łuczanowic w okresie okupacji. Z osobistych wspomnień Józefa Frankiewicza wyłania się jeszcze inna, pełna dramatyzmu historia. Pewnego dnia, wracając do domu z daleka zauważył uciekającego z domu brata Mieczysława. Ten w biegu rzucił mu ostrzeżenie: „Uciekaj, bo gestapo cię złapie!". Wystraszony, ominął dom i mijając działkę Waligórów puścił się co sił w nogach drogą w dół. Za plecami słyszał ścigającego go gestapowca, a z boku dobiegał go głos pani Maroszkowej wracającej z pola z tobołkiem zieleniny na plecach, która widząc pościg Niemca z wycelowanym w niego karabinem, krzyczała: „Uciekaj, bo cię zastrzeli!". Padło sześć strzałów, Józef padł jak długi na ziemię, ale na szczęście nie od niemieckiej kuli. Biegnąc w momencie wystrzałów, potknął się na wystającym korzeniu akacji i to go uratowało. Gestapowiec pewien, że chłopiec nie żyje, podbiegł do Bogu ducha winnej Maroszkowej, by na niej wyładować swoją agresję. Gdy Niemiec okładał kobiecinę, Józef w mgnieniu oka podniósł się i zniknął mu z oczu. Niebezpieczeństwo zostało tylko chwilowo zażegnane. Następnego dnia, obawiając się pojawić w zakładach niemieckich w Krakowie, gdzie odbywał praktykę zawodową, postanowił ukryć się w … kinie. Wychodząc po seansie z budynku kinowego stanął oko w oko ze swoim niedoszłym oprawcą z poprzedniego dnia. Mimo przerażenia, zachował zimną krew, nie uległ panice. Tamten go nie rozpoznał. Z uczuciem ogromnej ulgi oddalił się. Znowu się udało…

Dokonując bilansu ofiar okupacji w Łuczanowicach Józef Frankiewicz wymienia nazwisko Zięby, który zginął zastrzelony w Posądzy jadąc do Proszowic; dwoje młodych ludzi, którzy padli ofiarami łapanki i zginęli w Oświęcimiu. Byli to Julia Sendor i Szczepan Szydło. Na wojnie zginął też Andrzej Wieczorek, brat Jerzego.

Na wspomnienie zasługuje również piękna dziewczyna z Łuczanowic, zachowana we wdzięcznej pamięci pana Józefa Frankiewicza. To, wychowywana w Krakowie przez ciotkę, Władysława Maroszkówna (siostra pani Janiny Zięby z domu Maroszek), która wraz z koleżanką umożliwiła ucieczkę 18 jeńców rosyjskich z pilnie strzeżonego obozu na Dąbiu.

***24 sierpnia 2006*** ***Anna Adamska***



*Franciszek Frankiewicz (ur. 1873, zm. 1950) na tle swego rodzinnego domu w Łuczanowicach w roku 1937 lub 1938. Dziś dom, który znajdował się przy obecnej ul. Aleksandra Orłowskiego, wiodącej na „Kopiec Lutrów", już nie istnieje. Niegdysiejsza działka rodziny Frankiewiczów należy dziś do p. Postolskiego. Sportretowany na zdjęciu Franciszek Frankiewicz był kowalem u hrabiego Mycielskiego, był też „maszynistą" to znaczy obsługiwał parową młockarnię we dworze.*



## Władysław Walerjan

Urodził się pierwszego dnia listopada 1922 roku w chłopskiej rodzinie we wsi Krzesławice pod Krakowem. Jego matka Maria, z domu Bochenek zmarła gdy miał zaledwie pięć lat osierocając wraz z nim jego dwie siostry – Józię i Zofię.

Jego ojciec Stanisław już nigdy się nie ożenił; poświecił się całkowicie utrzymaniu i wychowaniu trójki dzieci.

Mimo trudnej finansowo sytuacji w domu, dzięki swojemu uporowi, zdolnościom i determinacji, Władysław ukończył szkołę podstawową w Krzesławicach i Bieńczycach, a następnie w roku 1939 gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie.

W okresie okupacji uczęszczał na zajęcia w Państwowej Szkole Technicznej Górniczo-Hutniczo-Mierniczej w Krakowie, w której odbywało się również tajne nauczanie, prowadzone m.in. przez profesorów Akademii Górniczo-Hutniczej takich jak Walery Götel i Marian Mięsowicz. Ukończył tam Wydział Mierniczy, złożył egzamin dojrzałości i w grudniu 1945 roku uzyskał tytuł technika miernictwa.

W latach okupacji, nawiązując do silnych tradycji patriotycznych kultywowanych w jego rodzinie, wstępuje w szeregi „Batalinów Chłopskich" gdzie aktywnie działa do zakończenia wojny. Do jego najbliższych towarzyszy w organizacji należeli wówczas liczni mieszkańcy Bieńczyc: J. Bochenek, E. Hajto, J. Osiadły i wielu innych.

W 1949 roku podejmuje pracę w Hucie im. Lenina, a w roku 1950 rozpoczyna studia w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej przy Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie na Wydziale Budownictwa.

W roku 1954 Władysław Walerjan uzyskuje tytuł inżyniera budownictwa. W tym samym roku na bazie wydziałów politechnicznych AGH zostaje powołana Politechnika Krakowska.

Z nowohuckim kombinatem związał się na całe życie pracując na szeregu odpowiedzialnych stanowiskach przez 45 lat i przechodząc stamtąd na zasłużoną emeryturę.

Całe życie rodzinne spędził u boku swojej żony Zofii (z domu Bieniek), z którą ożenił się w 1948 roku i z którą przeżył 50 szczęśliwych lat wychowując dwójkę dzieci: Basię i Jurka. Mieszkają oni nadal wraz ze swoimi rodzinami w rodzinnych Krzesławicach, a pani Zofia doczekała się już prawnuków.

Władysław Walerjan był człowiekiem wielkiego serca, otwartym i uczynnym dla każdego. Jego pogodne i życzliwe usposobienie powodowało, że jego dom odwiedzało zawsze liczne grono przyjaciół: z okresu okupacji, studiów i z pracy.

Był wiernym, oddanym i kochającym mężem ojcem oraz dziadkiem .

Zmarł 3 sierpnia 1998 roku. Odszedł zbyt wcześnie.

***Anna Barbacka – wnuczka***



*Władysław Walerjan z ojcem Stanisławem, Mogiła, 1937 r.*

## Kapliczki i krzyże przydrożne w Nowej Hucie

Krótki rys historyczny nowohuckich kapliczek i krzyży przydrożnych.

Kapliczki przydrożne fascynują mnie od wielu lat. Są uroczymi, małymi perełkami sztuki ludowej w polskim krajobrazie. I choć w wielu przypadkach są arcydziełami lokalnego rzemiosła artystycznego, znikają na naszych oczach na skutek naturalnego zniszczenia ale również z powodu obojętności, wandalizmu lub braku środków finansowych na ich ratowanie.

Fundatorami kapliczek przydrożnych byli mieszkańcy całych wsi, osiedli, ale równie często osoby prywatne. Stawiane były one na skrzyżowaniach dróg, na rogatkach miast i przy wjazdach do wsi, przy mostach i na brzegach rzek, w centralnym punkcie wsi i w szczerym polu, w domowym ogrodzie i przy ulicy. Najstarsze, średniowieczne, lokalizowano przy pielgrzymich szlakach do klasztorów oraz przy cmentarzach i szpitalach zakaźnych jako tzw. „latarnie umarłych". Miały one kształt słupów z małymi otworami w górnej części gdzie zapalano olejowy kaganek.



*Krzyż w Zesławicach, 2005 r., fot. Adam Gryczyński*

Motywy i intencje budowy kapliczek miały najczęściej podłoże religijne. Fundowane były jako votum wdzięczności Bogu za ocalenie życia lub zdrowia, szczęśliwy powrót z wojny, za wysłuchanie próśb i uratowanie domu od groźnego pożaru, wsi od powodzi, zarazy lub innej klęski. Intencją bywało też powierzenie rodziny opiece świętym patronom. Kapliczki i krzyże miały także charakter pokutny – stawiane jako wynagrodzenie za grzechy. Spotkałem się nawet z kapliczką ufundowaną „za bitkę" – postawioną przez dziedzica lubiącego się pojedynkować, który z kolejnego pojedynku ledwo co uszedł z życiem. W miejscach upamiętniających wydarzenia historyczne lub tragiczne np. rozstrzelanie mieszkańców danej wsi, na samotnych mogiłach żołnierzy, stawiane były drewniane lub kamienne krzyże. Jednym z „najmłodszych" krzyży w Nowej Hucie jest postawiony w 1966 r. przez mieszkańców osiedla Kujawy z okazji millenium chrztu Polski. Na ryngrafie przytwierdzonym do niego wyryto piękne słowa: „Bogu na chwałę, cierpiącym na pociechę, błądzącym jako drogowskaz".

Gdy wiosną 2004 r. podjąłem decyzję o założeniu strony internetowej poświęconej starym nowohuckim kapliczkom i krzyżom przydrożnym, miałem sfotografowane zaledwie 34 tego typu obiekty. Sądziłem wtedy, że brakuje mi jeszcze może kilku kapliczek. Po roku poszukiwań, penetrowania bocznych uliczek osiedlowych i dawnych zabudowań wiejskich odkryłem ich drugie tyle. I do końca nie jestem pewien czy znalazłem wszystkie. Wciąż wierzę, że jeszcze coś mnie zaskoczy. Czekam na odkrycie historii kapliczki, która na starych mapach okolic Krakowa usytuowana była na niewielkim pagórku, przy drodze z Pleszowa do Luboczy, w miejscu gdzie dzisiaj jest kombinat. Mam nadzieje, że znajdę osobę, która opisze mi co się z nią stało gdy zaczęto budować hutę, kto był wcześniej właścicielem działki na której stała.

Czy kapliczki na terenie dzisiejszej Nowej Huty wyróżniają się czymś szczególnym? Czy można powiedzieć, że różnią się od innych kapliczek rozrzuconych na obszarze Krakowa czy nawet całej Małopolski? Oczywiście, pierwsza nasuwająca się odpowiedź to: nie. Są przecież podobne do innych krzyży przydrożnych, figur św. Floriana, Matki Boskiej, św. Jana Nepomucena, których szczególnie w południowej Polsce są setki.

Ale jedno na pewno wyróżnia kapliczki nowohuckie od pozostałych – przetrwały kilkadziesiąt lat tworzenia tu socjalistycznego miasta, w którym miało nie być kościołów, kapliczek oraz innych symboli wiary i tradycji kulturowej naszych przodków. Nie wiem czy to zasługa ludzi, którzy nie pozwolili ich zburzyć, czy pewnej świadomej pobłażliwości urzędników, czy może Opatrzności, ale w granicach dzisiejszej Nowej Huty zachowało się ponad 70 starych kapliczek i krzyży przydrożnych, znaków chrześcijańskiej pobożności. Ich pochodzenie datuje się często jeszcze na XIX wiek, a 6 z nich jest nawet z XVIII w. Nieraz stare drewniane krzyże zastąpione zostały nowymi, bo drewno nie konserwowane niestety zbutwiało, ale ważne że są, że trwają w tym samym miejscu, i że ktoś czasem zapali przed nimi znicze, postawi świeże kwiaty w słoiku.

Kiedyś kapliczki i figury świętych stanowiły jakby drogowskazy, punkty orientacyjne w terenie, tkwiąc pięknie w krajobrazie. Stały najczęściej na skrzyżowaniach dróg, przy wjeździe do wsi i w jej centralnym punkcie, przy mostach i nad brzegami rzek. Teraz otoczyły je nowe budowle. Czasami musiały być przeniesione o kilka metrów gdyż ich usytuowanie kolidowało z nowo wytyczoną drogą lub budową kolektora kanalizacji (jak np. figura Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czyżynach na os. II Pułku Lotniczego czy usytuowana po drugiej stronie Al. Jana Pawła II kapliczka stojąca u wylotu ul. Wysockiej).



Najwięcej kapliczek zachowało się w miejscach, gdzie pozostały enklawy starej zabudowy podmiejskiej czy nawet wiejskiej. I chociaż wyrosły wokoło nowe domy, wille, to figurki otoczone niskim płotkiem lub niewielkim skwerkiem ze starodrzewem przetrwały. Przy niektórych z nich odbywają się jeszcze tradycyjne majówki. Na przykład przy maleńkiej kapliczce w Mogile przy ul. Odmętowej spotyka się co roku w maju chór „Albertinum" działający przy kościele św. Brata Alberta w Nowej Hucie. Wśród czterech 100-letnich lip otaczających kapliczkę odśpiewują pieśni maryjne. Innym zachowanym zwyczajem jest święcenie przy kapliczce pokarmów wielkanocnych. Kultywuje się go do dziś przy kapliczce stojącej nad brzegiem Wisły w Beszczu (koło Łęgu).

Najczęstszym przedstawieniem w nowohuckich kapliczkach jest postać Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej. Jest to figura Madonny stojącej na kuli ziemskiej oplecionej przez węża, którego głowę depce bosą stopą. Figury te ustawione są w Branicach, Czyżynach, Grębałowie (aż 3), Kościelnikach, Łęgu i Wyciążu.

Ale szczególne miejsce wśród nowohuckich kapliczek zajmuje św. Florian, patron wszystkich zawodów mających do czynienia z ogniem. Patronuje więc dzisiaj hutnikom i strażakom. Gdyby dzielnica Nowa Huta miała przybrać sobie jakiegoś świętego patrona na pewno powinien nim być św. Florian. Najcenniejszą figurą wzniesioną ku czci tego świętego jest kamienny postument w Mogile przy ul. Powiatowej.

Obecność św. Jana Nepomucena też ma swoje uzasadnienie. Jako że jest on orędownikiem chroniącym od powodzi, patronem mostów, jego usytuowanie wskazuje miejsca zagrożone kiedyś wylewami Wisły. Figury tzw. Nepomuków znajdują się w Mogile, na obrzeżach dawnych rozlewisk rzeki stanowiącej zagrożenie dla domostw w tym rejonie.

Inni święci usytuowani we wnękach wielopiętrowych kapliczek to najczęściej patroni rodziny fundatorów. Zwyczajowo na frontowych ścianach filara są święci – imiennicy małżonków, fundatorów kapliczki. Ale gdy rodzina była liczna to i świętych było wielu, nieraz i sześciu. Gdy zatarte są podpisy z ich imionami, możemy ich rozpoznać po atrybutach.

Krzyże są szczególnym elementem architektury Nowej Huty. Najpiękniejsze są te drewniane, przedstawiające umęczonego, ukrzyżowanego Chrystusa. Niewątpliwie najcenniejszymi są: przedstawienie pasji czyli męki pańskiej w Łuczanowicach oraz krucyfiks w Kościelnikach. Bogatsza w treści jest pasja łuczanowicka – u podnóża krzyża stoją dwie figurki: po lewej stronie opłakująca śmierć Syna Matka Boska i po prawej – św. Jan Ewangelista.

Tak zwane „Boże męki" przedstawiające ukrzyżowanego Jezusa oraz narzędzia i symbole jego męki są częstym przedstawieniem wśród nowohuckich krzyży. W Pleszowie i Luboczy stoją podobne do siebie drewniane krzyże, być może wykonane przez tego samego artystę. Kiedyś, gdy nie było jeszcze kombinatu, stały one na końcach tej samej drogi wiodącej z jednej wsi do drugiej.

Najlepszymi przykładami tradycyjnej „Bożej męki" na terenie Nowej Huty są krzyż drewniany w Zesławicach i kamienny postument pod żelaznym krzyżem w Mogile na Kępie. Krzyż zesławicki, pochodzący z 1906 r., posiada płaskorzeźbione symbole i narzędzia Męki Chrystusowej na trzech ścianach dolnego słupa. Jest pochylony, mocno zniszczony i wymaga pilnej interwencji konserwatorskiej. Miejmy nadzieję, że wkrótce znajdą się środki na jego uratowanie.

Krzyż na Kępie odnalazłem jako jeden z ostatnich podczas swoich poszukiwań kapliczek na terenie Nowej Huty. Jeszcze do końca lat 50-tych stał przy drodze z Mogiły do Pleszowa. Wtedy droga ta biegła prosto starym traktem pomiędzy kopcem a poaustriackim fortem. Jednakże na początku lat 60-tych, gdy rozpoczęto rozbudowę huty przebudowano też węzeł dróg pod kopcem Wandy. Powstał nowy odcinek ulicy Ujastek poniżej kopca oraz zmieniony odcinek ul. Igołomskiej, otaczającej po łuku powstający plac budowy slabingu. Kapliczka znalazła się w miejscu zaprojektowanych obiektów nowego wydziału huty. Aby ją uratować przed zniszczeniem, została wykopana przez Mateusza Kardasa, właściciela wywłaszczonego pola i przewieziona na inną działkę, na Kępie w pobliżu Lasku Mogilskiego.

Innym odkryciem ostatnich dni było odnalezienie kapliczki, która do czasu budowy kombinatu stała przy drodze z Pleszowa do Luboczy (pisałem o niej na stronie startowej NHMZ licząc na to, że ktoś pamięta jej losy). Według informacji jaką otrzymałem niedawno drogą meilową od anonimowego nadawcy, uratowali ją mieszkańcy Wadowa i Luboczy. Obecnie, od lat 60-tych stoi na podwórku jednego z domów przy ul. Lubockiej.

Szczególnie interesujący jest też unikatowy wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego przedstawiony na blasze, do niedawna umieszczony na drewnianym krzyżu przy ul. Igołomskiej w Ruszczy. Obecnie po konserwacji znajduje się w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa.

Jedną z najstarszych na terenie Nowej Huty jest pochodząca z 1780 r. figurka św. Stanisława Kostki w Wadowie. Opiekujący się nią mieszkańcy chcąc ją upiększyć, pomalowali kamienną postać świętego niebieskimi i żółtymi farbami olejnymi. Spowodowało to odspojenie związanej z farbą warstwy kamienia i liczne ubytki. Na szczęście znalazły się środki finansowe na jej konserwację. W 2004 r. oprócz św. Stanisława Kostki, odnowiono też kamienną figurę św. Floriana w Mogile przy ul. Powiatowej.

Mam nadzieję, że mieszkańcy Nowej Huty dalej będą opiekować się kapliczkami w naszej dzielnicy, oraz że znajdą się środki finansowe na renowację najcenniejszych z nich.

***Czerwiec 2005 r.*** ***Antoni Łapajerski***

## Świat odzyskany

***Gdy rozpoczyna się budowa Nowej Huty, miejscowi chłopi są przerażeni. Na kilka dni przed zbiorem plonów w pole wjechał ciężki sprzęt, ludzie zebrali się na kopcu Wandy, pomstowali głośno.***



*Procesja z Grębałowa do Pleszowa, lata 30. XX w.*

Na początku stycznia 2006 roku, Adam Gryczyński, szef Foto-Galerii w Nowohuckim Centrum Kultury, rozpoczął pracę nad projektem „Nowa Huta – Czas zatrzymany". Myśl o nim towarzyszyła mu od dobrych kilku lat, gdy w trakcie obchodów 750-lecia istnienia Grębałowa (dziś teren Nowej Huty) pokazano mu zdjęcia z początku XX wieku. – Jedno z nich, z połowy lat 30., przedstawiało procesję chłopów z Grębałowa do Pleszowa. Utkwiło mi w pamięci, a w głowie zaświtała myśl: „przecież na tych terenach, przed wybudowaniem socjalistycznego miasta i kombinatu metalurgicznego, żyli ludzie, chłopi, z własną kulturą, tradycjami sięgającymi daleko w przeszłość. Co się z nimi stało? Gdzie pamiątki po nich?" – wspomina Gryczyński. – W tym roku nareszcie udało mi się powrócić do tamtego pomysłu. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania – dodaje.

Pod koniec czerwca 2006 roku, w budynku NCK, przy placu Centralnym, ruszyła pierwsza edycja wystawy, na której można było obejrzeć około pięciuset z przeszło tysiąca zdjęć (dziś jest ich już ponad trzy tysiące), do których udało się dotrzeć twórcy przedsięwzięcia. Jej mottem było zdanie Zbigniewa Herberta: „Naród, który traci pamięć, traci sumienie". Za sprawą ukrytych dotąd w domowych archiwach zdjęć, na nowo ożyła historia Mogiły, Pleszowa, Ruszczy, Czyżyn, Bieńczyc, Grębałowa, Luboczy, Wadowa, Wolic, Chałupek, Kocmyrzowa, Luborzycy, Dojazdowa – wsi, które na początku lat 50. ubiegłego wieku poświęcono pod budowę nowego ustroju; światło dzienne ujrzały twarze ludzi, z których większość dawno już nie żyje, a którym nigdy nie było dane głośno opowiedzieć o tym, co stało się wtedy ich udziałem. – Ta wystawa miała być swego rodzaju pochwałą miłości; miłości do Boga, ludzi, ojczyzny i ojcowizny, tradycji. I przypomnieniem, jak trudno budować kulturę bez ciągłości, jaką krzywdą jest wykorzenienie, wyrwanie ludzi z ich ziemi, tym bardziej, gdy są to chłopi, dla których ziemia to źródło bytu, a „wykorzenienie" to ich życiowa tragedia, a nie metafora – mówi Gryczyński.

### Chłopak z majątku

Wincenty Cieślewicz (rocznik 1934) jest jedną z osób, które udostępniły Adamowi Gryczyńskiemu rodzinne fotografie. – Nasza rodzina wywodzi się z poznańskiego, ale wędrowała „za chlebem", dlatego mój dziadek przeniósł się do Galicji z zaboru rosyjskiego, by umożliwić dzieciom zdobycie wykształcenia. Mój ojciec, Kazimierz, był dzierżawcą majątków Czyżyny i Bieńczyce. Majątek miał dwieście hektarów, stanowił wyposażenie kanoników Kapituły Wawelskiej, zarządzała nim ówczesna Kuria Biskupia – opowiada Cieślewicz. Na jednym ze starych zdjęć, jakie pokazuje, widać małego, jasnowłosego chłopca z rodzicami i dwoma siostrami, w ogrodzie, wśród drzew, przed rodzinnym domem. – Ojciec dbał o to, by powierzony mu majątek rozwijał się jak najwszechstronniej. Sprowadzał maszyny, wprowadzał nowe uprawy, m. in. kapustę, w którą zaopatrywano Śląsk, Zakopane – wspomina. Ziemia, na których postawiono Hutę imienia Lenina i wielkie, robotnicze miasto, była



*Rodzina Kazimierza Cieślewicza, Czyżyny, 1939 r.*

jedną z najurodzajniejszych w Polsce. W latach 20. i 30. XX wieku tereny „nowohuckie" (szczególnie Bieńczyce) stały się „zagłębiem truskawkowym" dla Śląska. Ojciec Wincentego Cieślewicza nie zajmował się jedynie gospodarzeniem: był członkiem zarządu w Banku Spółdzielczym, przewodniczącym rady budowy szkoły w Czyżynach (otwartej w 1930 roku), przewodniczącym rady budowy kościoła w tejże wsi (rozpoczętej w 1936 r., ukończonej w 1939), a przed II wojną światową: wójtem gminy Mogiła.

Kazimierz Cieślewicz zginął tragicznie zaraz na początku wojny we wrześniu 1939 roku. Wówczas Zofia, jego żona, bierze na swoje barki prowadzenie majątku w Czyżynach (choć ma jedynie skończoną szkołę dla „dobrze urodzonych panien"). Część domu zajmuje niemiecki oficer, szef miejscowej policji. Organizuje łapanki, zarządza konfiskaty żywności, nadzoruje dostawy kontyngentów i równocześnie pilnie wysyła do rodziny paczki z żywnością. Mimo to w domu odbywa się tajne nauczanie, zorganizowane przez księdza Jana Mazanka, katechetę z gimnazjum im. Józefy Jotejko, do którego uczęszczały siostry małego Wincentego. W pozostałej części domu zaczyna się robić tłoczno; w miastach panuje głód, z poznańskiego przybywają krewni, wyrzuceni przez okupanta z domu w ciągu pół godziny; zimą 1943 roku Zofia Cieślewicz przyjmuje pod swój dach uciekinierów spod Stanisławowa, gdzie



Ukraińcy dokonali pogromu na Polakach. – Było ich szesnaście osób, w tym dwóch chłopców, blisko dwunastoletnich i jeden szesnastolatek, który uratował się tylko dlatego, że nie wyglądał na swój wiek. U nas została ośmioosobowa rodzina – wspomina Wincenty Cieślewicz. Później przybywają krewni ze zniszczonej w powstaniu Warszawy. 18 stycznia, gdy do miasta wchodzą Rosjanie, jego najstarsza siostra, Izabela, zdaje na kompletach maturę.

### Ministrant śpiewa o Rydzu

Mieczysław Marzec (rocznik 1927) znacznie lepiej niż jego znajomy pamięta przedwojenne czasy. Również wychował się w Czyżynach, a jego ojciec, Jan, pracował jako wulkanizator w fabryce „Semperit". Rodzina była bardzo religijna,



*Koło ministrantów w Czyżynach, rok 1937.*

Mieczysław był ministrantem, duża część zdjęć, które udostępnił Gryczyńskiemu, przedstawia uroczystości religijne. – Przed wojną w naszym życiu liczył się przede wszystkim Kościół i patriotyzm. I ciężka praca. Czyżyny to była wieś na poły rolnicza, na poły robotnicza, dużo ludzi pracowało w Krakowie. Żyli tu i chłopi wielomorgowi i bezrolni, i szewcy, krawcy, działały składy węgla. I ponad czterdziestu dorożkarzy, bo choć do Krakowa jeździła kolej, to przecież czasem trzeba było i bryczką jechać, a zimą saniami. Dorożkarze jeszcze dobrych kilkanaście lat po wojnie mieli tutaj zajęcie – opowiada. Gdy patrzy na zdjęcia, każde z nich zaczyna opowiadać własną historię, którą można by ciągnąć w nieskończoność.

Na zdjęciach są procesje religijne, ale były przecież i defilady, wszystko przepełnione symboliką niepodległościową, powstańczą. To brzmi dziś niewiarygodnie, ale pamiętam, jak w uroczystościach brali udział wiekowi już uczestnicy powstania styczniowego! Mieli specjalne mundury, długie brody; otrzymywali wysokie wynagrodzenia, w urzędach, instytucjach państwowych, wszędzie przyjmowano ich z honorami. Mój ojciec pracował z wnuczką jednego z nich, byłem kiedyś u nich w domu: za stołem siedział starowina z długą brodą... Patrzyliśmy na takich jak on jak w obrazek – mówi Marzec. A w czyżyńskiej szkole podstawowej, pod koniec lat 30. śpiewało się piosenki: „Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi, dzielny wódz, do boju pójdziem z nim, najeźdźców tłuc. Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie ruszy nic, bo z nami jest marszałek Śmigły-Rydz". – Ludzie wtedy mówili: my malujemy płoty, Hitler buduje samoloty – wspomina z nutą gorzkiej ironii w głosie.

Gdy przyszła wojna, Mieczysław miał skończonych sześć klas szkoły podstawowej. Pracował w zakładzie, remontującym samochody, dzięki czemu zyskał na tyle dobre papiery, że nie musiał obawiać się łapanki, ani wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. W 1941 roku poszedł do jednej z działających za zgodą hitlerowców szkół handlowych, na ulicy Senackiej. Po wojnie skończył na Uniwersytecie Jagiellońskim Wydział Prawa i Administracji, a potem całe życie przepracował w księgowości.

### Syn lwowskiego orlęcia

Wiesław Pyczek (rocznik 1931) przekazał Gryczyńskiemu zdjęcia, gdy odbywała się już wystawa „Czas zatrzymany", z nadzieją, że zostaną wykorzystane przy jej następnej edycji. – Mój dziadek pochodził z tak zwanej kmiecej, wielomorgowej rodziny. Ożenił się jednak z kobietą ubogą, bez posagu, i został wydziedziczony. Ojciec mej babki poszedł do powstania styczniowego i nie wrócił, a jej rodzina tak skrupulatnie zajęła się majątkiem, że została z niczym. Dziadek pracował w Bieńczycach, we młynie. W 1915 roku młyn spłonął, dziadek jako robotnik poszedł na ratunek, przywalił go pułap, zginął. Rodzina była wielodzietna, ojciec, jedyny chłopak, uczęszczał do gimnazjum św. Jacka w Krakowie, ale gdy miał bodaj szesnaście lat sprzedał książki i ruszył bić się o Lwów. Później pracował na poczcie, tej obok krakowskiego dworca kolejowego, ale przeszedł na rentę, gdy amputowano mu nogę. Zachorował na gruźlicę, zmarł w 1938 roku – opowiada.

Za zarobione na poczcie pieniądze Jan Pyczek wybudował jednorodzinny dom w Bieńczycach. Po jego śmierci, żona, Stefania, otrzymywała rentę wdowią, dorabiała „krawiecczyzną" i uczyła krawiectwa miejscowe dziewczyny, które wspominały ją z wdzięcznością jeszcze długo po wojnie. Po latach Wiesław Pyczek wydał własnym sumptem broszurkę: „Moje Bieńczyce", którą osobiście rozprowadzał wśród mieszkańców tej nowohuckiej dzielnicy. – To był świat, którego nie zapomnę i nie chciałbym, żeby inni zapomnieli. Rozwijało się na bardzo wysokim poziomie warzywnictwo, sadownictwo. W okresie międzywojnia silnie działały organizacje młodzieżowe, pielęgnujące tradycje narodowe, religijne: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Koło Młodzieży Wiejskiej



*Przed dworkiem w Bieńczycach, lata 30. XX w.*

„Wici", związane z ruchem ludowym, działał klub sportowy „Tęcza". Dawano przedstawienia teatralne. Bardzo silne były więzi z Krakowem (dosłownie, bo słychać tu było bicie „Zygmunta"), miejscowa inteligencja pozwoliła godniej przeżyć tutejszym ludziom czas okupacji – wspomina.

**Ziemia utracona**

Gdy słucham dziś ludzi, którzy opowiadają o „swojej" Nowej Hucie, widzę, ile im odebrano. I na długie dziesięciolecia skazano na milczenie. Mówiono nieprawdę, że miasto i kombinat powstały na nieurodzajnym gruncie, na nieużytkach. Nikt nie pytał, jak ci ludzie wcześniej tu żyli, albo powtarzano: galicyjska bieda, ciemnota. Zdjęcia i dokumenty, które mogłem zebrać, pokazują bogatą kulturę ludową, przedstawicieli miejscowej inteligencji, społeczników, działaczy politycznych. Dziś, wspominając tradycje chłopskie w okolicy Krakowa, mówi się przede wszystkim o Bronowicach, a przecież te „nowohuckie" wsie stanowiły równie bogate źródło ludowych zwyczajów. Przykładowo, w Bieńczycach mieszkał Franciszek Ptak, poseł na Sejm Galicyjski, miał młyn i karczmę, do której zachodził Wincenty Witos, jako rekrut w austriackim forcie w Krzesławicach. Osiemdziesięcioletni dziś Andrzej Ptak, wnuk Franciszka, mieszka na ulicy Kocmyrzowskiej, przez okno widzi blok, który stanął na miejscu domu jego dziadka; Marcjanna z Szafrańskich Ptakowa była pierwszą recenzentką wielu sztuk Wyspiańskiego. Na niektórych



*140. rocznica bitwy pod Racławicami, Pleszów, 1934 r.*

zdjęciach widać ludzi z kosami na sztorc: chłopi co roku obchodzili rocznicę Insurekcji Kościuszkowskiej, organizowali przedstawienia narodowe. Szyto stroje, przebierano się za kosynierów; brało się to stąd, że przodkowie tych ludzi uciekali z zaboru rosyjskiego, z obawy przed represjami za udział w zrywach niepodległościowych. Ich wnuki, prawnuki chowały się w tradycji powstańczej, byli bardzo świadomi swych związków z polskością. To było życie w zawierusze historycznej, losy poszczególnych rodzin splatały się z wielkimi wydarzeniami Są to często dzieje przejmujące. Oto fragment listu z I wojny światowej, który pisał do swej żony, Wiktorii, Jan Jędrszczyk: „Smutno i tęskno, jest mi niedobrze. To tylko za Tobą i przez Ciebie; nie mogę choćby na chwilę zapomnieć Cię w myśli, zapomnieć Twych lic różowych i uroczych oczu...". List datowany jest na rok 1916, następnego roku Jan zginął w bitwie pod Ostricą, leżącą na granicy rumuńskiej. Wiktoria wyszła później za mąż za Jana Bochenka, miała z nim jeszcze trzech synów, oprócz jednego z pierwszego małżeństwa, na którymś ze zdjęć stoją wszyscy przed swoim domem. Gdy przyszedł rok 1950 – wyrzucono ich z niego – Adam Gryczyński z pasją mówi o zdjęciach i ludziach, których pokazują.

**Meblościanka warta pięć hektarów**

Budowa Nowej Huty rozpoczęła się w 1949 roku, latem. W Bieńczycach zajmowano ludziom grunty sukcesywnie. Pamiętam dwa przypadki, w których interweniowała milicja, wyrzucono rodziny z domów, bo nie chciały ich opuścić. Za ziemię płacono 30 groszy za metr kwadratowy, a w tym samym czasie jednorazowy bilet na przejazd tramwajem kosztował prawie dwa razy tyle – opowiada Wiesław Pyczek. Jednak w większości przypadków, choć reakcje były negatywne, ludzie wiedzieli już, że z nową wła-



*Bieńczyce, lata 60. XX w., fot. Robert Kosieradzki*

dzą nie ma żartów, nie chcieli ryzykować, bo i tak znikąd nie było ratunku. Poza tym nie wszyscy tracili: młodym było łatwiej, mogli się kształcić na skalę przed wojną nie spotykaną, znajdowali pracę przy budowie miasta i kombinatu, dostawali mieszkania spółdzielcze, które później mogli wykupić na własność, o standardzie wyższym niż większość chłopskich chat. Gorzej znosili nowe porządki starsi: nie podobała się im przymusowa ateizacja, propaganda, potępiająca w czambuł tradycje II Rzeczypospolitej – walił się ich świat, a oni mogli najwyżej zacisnąć pięści w bezsilnej złości. Zrozpaczeni ludzie wieszali się, rzucali pod maszyny budowlane, siwieli w ciągu kilku dni.

Teściowie Wiesława Pyczka zostali wywłaszczeni z pięciohektarowego gospodarstwa, za pieniądze otrzymane jako należność za grunt (sad i warzywnictwo) kupili jednej z córek meble do mieszkania. On sam wspomina wywłaszczenia nieco inaczej: – 50 metrów przed naszym domem w 1945 roku spadła bomba, ściany popękały, spadły dachówki, budynek był już praktycznie nie do remontu, tym bardziej, że brakowało na to pieniędzy. Ponieważ w Bieńczycach wywłaszczano przede wszystkim z gruntów, ludzie przeżyli lata 50., 60. we własnych, przedwojennych domach. Moja mama w latach 70 dostała przydział na mieszkanie w bloku, w pobliżu kościoła Arka Pana; żal jej było rodzinnego domu, ale gdy przewoziliśmy ją tam, powiedziała: „mogło to być wcześniej". Zwraca jednak uwagę na inne kwestie: – Brałem ślub w 1957 roku, uczestniczył w nim działacz PSL, adwokat, krewny mojej żony; podniósł inicjatywę, by zorganizować spotkanie młodzieży bieńczyckiej, odbyliśmy



parę spotkań w mniejszym gronie, chcieliśmy rzecz całą urządzić w gmachu Teatru Ludowego. Ale gdy okazało się, że mogą być przeszkody ze strony władz, zrezygnowaliśmy. Każda oddolna inicjatywa, szczególnie tycząca tak drażliwej kwestii, nie mogła być wtedy dobrze widziana. Bo tu w myśl władzy była Nowa Huta i nic poza tym.

**Plac Centralny i Karol Wojtyła**

Mieczysław Marzec z Czyżyn w sierpniu 1950 roku pojechał z żoną w dwutygodniową podróż poślubną, do Zakopanego. Bawili się przednio. – Wróciliśmy i widzimy, że na naszym gruncie wszystko już rozwalone, drzewka połamane, siew zniszczony, robotnicy ładują ziemię pod budowę. Teściowi zabrano trzy morgi, widać niewiele, bo nic nie dostał w zamian. Z kolei brat teścia był w czasie wojny w wojsku na Zachodzie, wrócił do Polski, też stracił ziemię, ale powiedział, że grosza nie weźmie – opowiada pan Marzec. W domu rodzinnym mieszkał do 1950 roku, przez parę lat wynajmowali z żoną mieszkanie, wreszcie, w 1958 roku, dostali własne, przy placu Centralnym: dwa pokoje z kuchnią i łazienką (powyżej trójki dzieci przyznawano trzy pokoje). Ludność miejscowa i napływowa stopniowo asymilowała się ze sobą, mimo że na początku było z tym trudno, bo „tutejsi" krzywym okiem patrzyli na przyjezdnych, przyjezdni – na „tutejszych" (których określali pogardliwym mianem „wsiowych", choć najczęściej byli z prowincji). – Moi sąsiedzi z bloku to ludzie napływowi, na mojej klatce rośnie już czwarte pokolenie. Jesteśmy wszyscy nowohucianami, ale dla mnie to podwójnie „mój świat": tu się urodziłem, wychowałem – wyjaśnia.

Pan Mieczysław zaznacza, że nigdy nie był w PZPR, nigdy też nie uważał się za sympatyka ustroju, a jako człowiek religijny szczególnie bolał nad antykościelną propagandą PRL. – Swój rozum jednak mam; w Krakowie przed wojną było ciężko z mieszkaniami, wsie były przeludnione, nie było budownictwa mieszkaniowego, ledwo postawiono jedno osiedle i to dla wojskowych; po wojnie mogłem skończyć studia za darmo, za obronę pracy magisterskiej przysługiwała mi odpowiednia kwota pieniężna, nie miałem nigdy kłopotów z pracą – wyjaśnia swój niejednoznaczny stosunek do Polski Ludowej. Ale jego największą pasją, dawnego ministranta, jest uczestnictwo w życiu Kościoła.

– Moja teściowa była osobą zasłużoną dla budowy kościoła w Nowej Hucie. W 1975 r., gdy zachorowała, złożył jej w domu wizytę kardynał Karol Wojtyła. Zawsze byłem dobrym mówcą, więc i wtedy przyszło mi wygłosić mowę powitalną: „Najczcigodniejszy, najdostojniejszy księże Kardynale, w imieniu domowników i członków rodziny witam Waszą Eminencję w progach tego domu. Jest to wypadek bez precedensu, aby Książę Kościoła, dwudziesty drugi w kolejności purpurat na biskupstwie krakowskim, gościł w progach swych wiernych...". A on słuchał, pochylony jak zawsze. Potem objął mnie w uścisku, powiedział: „Widzę, że pan dobrze zna historię Kościoła..." – wspomina. Pan Mieczysław przez długie lata opisywał przedwojenne Czyżyny na łamach parafialnej gazety: „Apostoł Czyżyński", przestał pisać po śmierci żony.

**Żywot człowieka wywłaszczonego**

Dom w Czyżynach, w którym przed wojną mieszkał z rodzicami i siostrami Wincenty Cieślewicz, kilka lat po wojnie przejęło pomocnicze gospodarstwo rolne przy Hucie im. Lenina. Cieślewiczom pozwolono dalej tam mieszkać, choć dokwaterowano im rodzinę. – W 1951 roku państwo przejęło majątek, mama została w nim kierowniczką, ale bardzo szybko zaproponowano jej pracę koło Kamiennej Góry. Nie zgodziła się, trudno jej było znaleźć pracę w Nowej Hucie, zatrudniła się jako sezonowa pracownica w czyżyńskim monopolu tytoniowym, później znalazła lepszą posadę w jednej z nowohuckich przychodni, na osiedlu C-2 – opowiada Cieślewicz. Jego rodzina miała w Mogile dom i parcelę, zabrano to pod budowę miasta, wypłacono 35 tysięcy złotych. Na terenie obecnego ronda Czyżyńskiego ojciec pana Wincentego miał spore grunty, teren budowlany, wyceniany według ówczesnych stawek na około 800 tysięcy do miliona złotych. Ziemię zabrano pod budowę drogi i wypłacono 32 tysiące złotych, w ratach, przez cztery lata po 8 tysięcy. – Żyło się nam wtedy bardzo biednie, więc gdy krewni sarkali, mama mówiła: cieszę się i z tego, będę miała na zelówki dla Wicka – wspomina.

On sam pasjonował się wówczas harcerstwem, we wrześniu 1945 został przyjęty do drużyny „Huragan", która przed kilkoma miesiącami wyszła „z lasu". – Przed 3 maja 1946



*Wincenty Cieślewicz na stawie w Czyżynach, lata 40.*

roku, w rocznicę ustanowienia Konstytucji, harcerze otrzymali polecenie, by wyprowadzić drużyny poza Kraków, gdyż władze zakazały manifestacji. Jako dzieci nic o tym nie wiedzieliśmy. Tamtego dnia zaspałem na zbiórkę, poszedłem więc na Rynek Główny. Mimo wszystko uformował się pochód, przodem szli harcerze, zebrani z różnych drużyn; obeszliśmy Planty wokół. U wylotu ul. Dunajewskiego leżały dwa zwalone drzewa, wyjechał samochód pancerny, w niebo poszła seria z karabinu maszynowego. Uciekliśmy, rozpędzeni – przywołuje wspomnienia. Rok później do więzienia trafił jego starszy kuzyn, Andrzej Świerczewski, w czasie okupacji żołnierz Armii Krajowej i Batalionów

Chłopskich. Starsza siostra pana Wicentego, a później on sam, mieli problemy z dostaniem się na studia, jako przedstawiciele klasy obszarniczej. W międzyczasie władze zlikwidowały wszelkie niezależne organizacje samorządowe. Gdy rozpoczyna się budowa Nowej Huty, miejscowi chłopi są przerażeni. – Na kilka dni przed zbiorem plonów w pole wjechał ciężki sprzęt, ludzie zebrali się na kopcu Wandy, pomstowali głośno; taki gest to było jak plunięcie w twarz, dla miastowego to nie do wyobrażenia, ale my wszyscy byliśmy chowani w kulcie chleba i ziemi. Niektórzy nie pogodzili się nigdy ze stratą ziemi: jak pewien gospodarz z Bieńczyc, którego wywłaszczono i dano mieszkanie w bloku. Gdy na zabranej ziemi niczego nie zbudowano, pozwolono mu ją uprawiać; stała tam stara szopa na sprzęt. I on w niej mieszkał, bo to było jego życie – opowiada Cieślewicz.

Nie da się już nigdy przywrócić tamtego świata, można co najwyżej ocalić jego pamięć. To jest marzenie Gryczyńskiego, a przede wszystkim ludzi, którzy jeszcze żyją, a którzy na tej ziemi wyrośli. Znają się dobrze, jeszcze sprzed wojny, lub teraz próbują zadzierzgnąć więzi: Wincenty Cieślewicz, Mieczysław Marzec, Wiesław Pyczek. I wielu, wielu innych, często nieznanych już z imienia i nazwiska. Zostały zdjęcia: tak długo nieme, teraz na nowo mogą przemówić.

*Krzysztof Wołodźko*

*Tekst pierwotnie ukazał na stronie internetowej Polskiego Radia – www.polskieradio.pl*



*Marysia Twarożanka z Luboczy, lata 20. XX w.*

## Podkrakowscy Indianie

### Zanim zbudowano Nową Hutę, tu też żyli ludzie

Fotografii jest 600. Za każdą kryje się historia: o sztandarze PSL, ukrywanym przez wojnę na ścianie jako święty obraz albo o babci, która wyganiała z sieni żabę patyczkiem.

Okruszki – mówi o nich Adam Gryczyński – ułamki, z których odtwarza się całą rzeczywistość, całą kulturę, prawdziwe rodzinne sagi. Po prostu archeologia fotografii.

Adam Gryczyński od wielu lat ratuje stare nowohuckie zdjęcia. Archiwizuje je, odnawia i prezentuje na bezpłatnych wystawach w Nowohuckim Centrum Kultury. Dwa miesiące temu poprosił mieszkańców dzielnicy i okolicznych wsi, by udostępnili mu swoje domowe archiwa fotograficzne. Projekt nazwał „Nowa Huta – Czas Zatrzymany". – Skoncentrowałem się na zdjęciach sprzed tzw. lokacji w 1949 r. Przez wiele lat propaganda wmawiała ludziom, że przed budową Nowej Huty tu nie było nic, tylko słoma z butów i galicyjska bieda. A na zdjęciach widać, że to była cała bogata kultura! – tłumaczy.

Postanowił ją odkryć.

Dał ogłoszenie: „Ważny jest nawet najmniejszy ślad, mogący naprowadzić mnie na jakieś zapomniane archiwum fotografii o Nowej Hucie. Oczekuję na odzew i wierzę, że się nie zawiodę!"

Od lutego uzbierał już 600 zdjęć. I jeszcze więcej historii.

### Okruszki przedwojenne

1929 rok. Marysia Twarożanka w stroju krakowskim, który kosztował całą stuzłotową pensję ojca, recytuje wierszyk Ignacemu Mościckiemu i – patrząc mu w oczy – przypina kotylion. Ludzie się potem pytają: „Który to Mościcki?" i słyszą: „Ten z kotylionem".

Franciszek Twaróg, nauczyciel ludowy z Luboczy, gołymi rękami wyciąga z uli plastry miodu, hoduje jedwabniki i uczy młodzież wyprawy futer króliczych.

1932 rok. Piękna panna Łach z Grębałowa uśmiecha się do fotografa uśmiechem Giocondy. Józef Pietruszka i dwaj Piotrowie – Partyła i Wójcik w wolnych chwilach na swoich kolarzówkach zapuszczają się aż do Krynicy.

Ludzie z Pleszowa idą ze sztandarami na Kopiec Kościuszki. Na ramionach jednej z wiejskich kobiet – lis. W dłoniach – futrzana mufka.

Lata 40-te. Na polu stoją Monika i Gienia Grodowskie w białych, komunijnych sukienkach. Siostrzyczki. Jeszcze tego samego roku Gienia się przewróci i obetrze kolanko. Dostanie zakażenia szpiku kostnego…

Dawną ulicą Kościelną w Czyżynach idzie procesja: złote obrazy, kolorowe feretrony, kwieciste spódnice…

Krawczykowie i Andrzej Ptak rozwijają sztandar Polskiego Stronnictwa Ludowego z orłem w koronie i Matką Boską. Całą wojnę przewisiał na ścianie w ramach – jako święty obraz. Na materiale jeszcze widać ślady zagięć.

### Kominek Santi Gucciego

Adam Gryczyński fotografuje od 1968 r. Miał już ponad sto wystaw indywidualnych w Polsce i zagranicą, nakręcił pięć filmów dokumentalnych, został kierownikiem działu





*Od lewej: Piotr Wójcik, Józef Pietruszka, Piotr Partyła Lubocza, 25 czerwca 1932*

fotograficzno-filmowego Nowohuckiego Centrum Kultury oraz członkiem ZPAF i Fotoklubu Rzeczypospolitej. Nowa Huta zawsze kojarzyła mu się z czymś jasnym. Miał cztery lata, mieszkał na poddaszu Pałacu Spiskiego. Do Huty jeździł na odpusty u Cystersów i w odwiedziny do kuzyna na os. Szklane Domy. Zapamiętał windę i dużo światła. Nowohuckie wsie odkrył w 1983 r. Był grudzień, pół roku wcześniej został kierownikiem działu fotograficznego w NCK. Z Urzędu Dzielnicowego dostał zlecenie na dokumentację zabytków Nowej Huty. Podjechała czarna wołga, zapakowało się do niej pięcioro ludzi, pojechali fotografować Luboczę, Kościelniki i Branice. – Spodziewałem się jakichś starych chałup, a zobaczyłem krenelażową attykę i kominek Santi Gucciego – wspomina Adam Gryczyński.

Z wyprawy Wołgą przywiózł do domu 30 zdjęć. Zachwyciły żonę, która właśnie przygotowywała pracę zaliczeniową o ruchu turystycznym w Nowej Hucie. Razem poprzyklejali nowohuckie fotografie do białego brystolu obłożonego ciemną bibułką (czarnych kartonów nie udało się kupić). Żona wzięła je na uczelnię, zdała egzamin i zaraz poszła do szpitala. – Jeszcze wieczorem urodziła córkę Ewelinę. Jednego dnia narodziło mi się i dziecko, i temat – opowiada Adam Gryczyński.

W 1999 r. Nowa Huta obchodziła 50-lecie. Foto-Galeria NCK pokazała wtedy ponad tysiąc archiwalnych zdjęć. Adam Gryczyński obrobił w ciemni prawie połowę z nich. Fotografie Henryka Hermanowicza, Wiktora Pentala, Henryka Makarewicza, Stanisława Gawlińskiego i Jana Zycha – niektóre zupełnie nieznane – obejrzało jakieś dziesięć tysięcy ludzi.

– To był zaledwie niewielki fragment dokumentacji, która uległa przez lata rozproszeniu, a wielu wypadkach nawet całkowitemu zniszczeniu – uważa Adam Gryczyński. By ocalić, to, co pozostało, wymyślił „Czas zatrzymany".

### Na parapecie

Zdjęcia są w komputerze. Na obróbkę każdego z nich Adam Gryczyński poświęcił średnio trzy godziny. Najstarsze, rodziny Kotów z 1890 r., retuszował dwa dni.

Natomiast historie są w dużym zeszycie w twardej oprawie. Daty, nazwiska. Adam Gryczyński prawie nie musi zaglądać do zeszytu.

– Dożynki w Bieńczycach w 1938 roku – mówi. – Wszyscy się śmieją, tylko wójt Ciepiela jakiś niewyraźny, pewnie go wierszem o flaszkę proszą. Tu, w tłumie, jest drugi fotograf. Może to Jan Kowalski z Chałupek? Mój Boże, znaleźć jego archiwum…! O, a ten policjant będzie potem na innych fotografiach.

Bo zdjęcia, choć pochodzą od różnych osób, opowiadają o tym samym świecie.

W wolne weekendy Adam Gryczyński zabiera cyfrowy aparat i zeszyt, drukuje zdobyte fotografie i jedzie – do Grębałowa, Luboczy, Bieńczyc… Pokazuje zdjęcia, a starsze panie z pamięci recytują nazwiska panien, które w procesji niosły feretron. Z szaf i szuflad wyciągają własne pamiątki. Adam Gryczyński układa odbitki na stoliku, na parapecie okna – tam, gdzie dużo światła. Na miejscu je fotografuje. I słucha.



*Dożynki w Bieńczycach, lata 30. XX w.*

To jest Wojciech Żelichowski podczas żniw na polach cysterskich: kopy siana miały kilkanaście metrów, upadek groził złamaniem karku… To klasa pani Marii: dwóch chłopców w pierwszej ławce niedługo potem zmarło na czerwonkę… W tej kapliczce w Luboczy czasem zostawiano na noc zmarłych. We wnęce po zrzuconej przez wiatr rzeźbie Matki Boskiej mieszkała sowa, potrafiła znienacka wylecieć, wystraszyć panią Marię, która przed świtem szła na pociąg do Grębałowa.



*Procesja z Grębałowa do Pleszowa z feretronem św. Teresy, lata 30. XX w.*

A na tym zdjęciu, opatulona chusteczką, jest 69-letnia babcia pani Emilii. Z tyłu pieczęć austriacka i podpis: „Zwierzchność gminy Dojazdów poświadcza tożsamość Maryi Sochowej". Jedyne wspomnienie o niej: jak patykiem wygania żabę z sieni.

– Przy zdjęciach ludzie się otwierają. Zaczynają opowiadać, przypominają sobie rodzinne historie – mówi.

– To jestem ja, to mój tatuś, to szkolna stodoła, a to moje koleżanki: Wikta Błachówna i Władzia Krupianka, którą nazywałam Baka, bo nie umiałam wymówić jej imienia… – powiedziała Maria Zderkowska, kiedy zobaczyła zdjęcie dzieci, w 1929 r. gimnastykujących się na podwórku.

Tak Adam Gryczyński trafił na ślad Franciszka Twaroga, nauczyciela ludowego, który hodował jedwabniki i gołymi rękami wyciągał plastry miodu z uli. Wystawę, ilustrującą jego życie, można właśnie oglądać w Nowohuckim Centrum Kultury. Na sześćdziesięciu zdjęciach widać uczestników kursu wyprawy futer króliczych, młodzież, którą Twaróg zabierał na Kopiec Wandy, przewrócony przez Austria-



*Gimnastyka przed szkołą w Luboczy, lata 20. XX w.*

ków krzyż przydrożny, który podniósł. – To był tytan pracy społecznej i wielki patriota – opowiada Adam Gryczyński. – Stworzył wspaniałą kronikę życia szkoły i wsi. Na kartkach z września 1939 roku litery są rozmazane, jakby pisał przez łzy.

**Okruszki powojenne**

Jest rok 1946. Franciszek Twaróg przekonuje mieszkańców Luboczy do elektryfikacji. Załatwia pieniądze, w polu staje transformator, już we wrześniu w domach błyska światło.

Jest rok 1951. W cysterskich ogrodach młodziutcy alumni ustawiają się w trzech rzędach, naciągają białe szpiczaste kaptury. W środku staje niewysoki ojciec Augustyn Ciesielski, opat klasztoru w Mogile. Niedługo rozdrapie krostkę na skroni, dostanie zakażenia i umrze…

Nieopodal, na polach, junacy już rozbijają namioty z demobilu.

Gospodarze jeżdżą do partii, proszą, żeby nie burzyć wsi. Za hektary ziemi, dorobek całego życia, dostają równowartość zegarka. Wieszają się. W trzy dni siwieją.

Zaczyna działać Huta im. Lenina i Wisłą przez kilka dni płyną śnięte sumy, karpie, okonie… Co pół metra ryba.

Procesje już nie mogą chodzić polami. Przed wizytą Chruszczowa Franciszkowi Twarogowi każą zdjąć krzyż ze szkolnej ściany. Odmawia i zostaje zwolniony. Władze przywracają go dopiero po protestach mieszkańców.

W kronikach filmowych mówi się, że przed budową Nowej Huty była tu tylko galicyjska bieda, analfabetyzm i gnój z butów. A właściwie nic. Nic nie było.

**Zapora**

Dlatego najważniejsze są szczegóły. Lis na ramionach wiejskiej kobiety z Pleszowa. Świetnie skrojony garnitur młodego chłopaka. Rower-kolarzówka. Poranne światło na zbiorowym zdjęciu z uroczystości pod pomnikiem Grunwaldzkim. – Jak wcześnie trzeba wstać, żeby o takiej porze, piechotą, dotrzeć już z Pleszowa do Krakowa? – zastanawia się Adam Gryczyński. I wnioskuje: – Ci ludzie byli przesiąknięci niekłamanym patriotyzmem. Kultywowali tradycje narodowe i religijne. Stanowili zaporę dla systemu i system postanowił ich zniszczyć. Dokonano na nich zamachu, a nikt dotąd nie oddał im sprawiedliwości.

On dał sobie na to trzy lata.

Chce znaleźć jak najwięcej zdjęć, usłyszeć jak najwięcej historii. Ustalić jak się nazywał chłopiec, który na zdjęciu pasie gęsi i jak miała na imię panna Łach, Gioconda z Grębałowa. – Czekam na taki dzień, kiedy na czyimś strychu odnajdę skarb: walizkę pełną zdjęć, negatywów…

Szuka instytucji, które mogłyby finansowo wesprzeć projekt: trzeba wydrukować katalogi wystaw, zrobić powiększenia fotografii, by starsi ludzie mogli na nich rozpoznać swoich znajomych, podarować komuś reprodukcję udostępnionego zdjęcia… Próbował prosić o pomoc miasto i województwo – skutecznie.

Kolejne wystawe z cyklu „Czas zatrzymany" zaplanował na przyszły rok.

– Pokażemy na nich, że zanim zbudowano Nową Hutę, tu kwitła kultura, żyli ludzie. Może dzięki temu damy im choć odrobinę satysfakcji – mówi Adam Gryczyński. – Bo w końcu oni byli tu wcześniej. Jak Indianie przed Amerykanami.

*Katarzyna Kobylarczyk*

***Artykuł ukazał się pierwotnie w „Dzienniku Polskim"***



*Adam Gryczyński przy pracy, 2005 r.*



**Szanowni Państwo!**

Pomysł tegoż przedsięwzięcia adresowany jest do wszystkich mieszkańców Krakowa, ale w szczególności do mieszkańców osiedli wiejskich, na których zbudowano Nową Hutę i Kombinat Metalurgiczny. Skłania do głębszej refleksji nad tym, co już bezpowrotnie minęło, do przypomnienia starszym ludziom czasów ich młodości, a nowym pokoleniom ukazania codziennego życia wsi, utrwalonego na starej fotografii. W zdjęciach z wystawy „Czas zatrzymany" dostrzegamy wyraźnie mocną wiarę w Boga, dbałość o patriotyczne wychowanie i kultywowanie tradycji. Widzimy jak żyło się tu kiedyś zwyczajnie: ludzie organizowali się w różne związki i organizacje społeczne np. Koła Gospodyń, Ochotniczą Straż Pożarną czy Związki Młodzieży Wiejskiej „Wici". Prowadzono rozmaite kursy i szkolenia, jeżdżono na wycieczki krajoznawcze. Skupiano się zawsze wokół osób posiadających w swoim środowisku autorytet. Wystawa jest wielkim wydarzeniem integralnie związanym z Nową Hutą, jest wyrazem naszego stosunku do historii i dorobku poprzednich pokoleń oraz pamięci i szacunku dla tych, którzy żyli i tworzyli przed nami. Jest powrotem do korzeni. Dziś o tożsamości Nowej Huty świadczy fakt, że w kwietniu 1960 roku stając w obronie Krzyża dano wyraźne świadectwo swojej wiary i właśnie tamtych korzeni, dokonując tym samym punktu zwrotnego w świadomości religijnej mieszkańców. Pomysłodawcy tej wystawy – Adamowi Gryczyńskiemu życzymy dalszej, owocnej pracy oraz wytrwałości w poszukiwaniu kolejnych zdjęć, pamiątek i śladów naszej przeszłości.

Dziękujemy bardzo!

*Franciszek Nowak z Grębałowa*

***Fragment przemówienia wygłoszonego podczas otwarcia wystawy dnia 23.06.2006 r. w Nowohuckim Centrum Kultury w imieniu rdzennych mieszkańców wsi, na terenie których powstała Nowa Huta.***

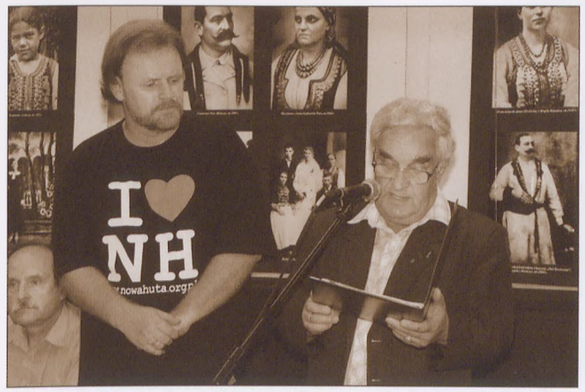


*Otwarcie wystawy „Czas zatrzymany", przemawia Franciszek Nowak z Grębałowa, NCK, czerwiec 2006 r., fot. Grzegorz Boniowski*

***Panie Adamie!***

*BARDZO DZIĘKUJĘ.*

Powinnam to powtarzać codziennie: dziękuję, dziękuję, dziękuję. I jeszcze byłoby mało. Stanął pan na mojej drodze jak dobry Anioł. To było zaledwie kilka miesięcy temu, a ile się od tego czasu wydarzyło. Tyle głębokich emocji. Najpierw ta wystawa w telewizji, potem w Nowohuckim Centrum Kultury, a teraz te zdjęcia na dużym ekranie... Robią wrażenie ogromne. Po śmierci rodziców (mama zmarła 11, tata 16 lat temu) zamknął się pewien etap mojego życia. Często miałam takie wrażenie, jakbym zawsze była dorosła. Dzieciństwa nie było, rodziców nie było, było tylko to, co jest teraz: praca – dom. Na więcej nie starczało czasu i ochoty. To pan sprawił, że wszystko wróciło do właściwych rozmiarów. Wrócili rodzice, dziadkowie, wujkowie, wróciły wspomnienia – piękne wspomnienia. Dzięki fotografiom oni żyją nadal – są ze mną cały czas, a może to ja jestem z nimi?...

Pan ich ożywił... Myślę, że inni ludzie czują podobnie jak ja. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję w imieniu swoim, mojego ojca i dziadków. Proszę do mnie pisać o wszystkich nowych zdjęciach i znaleziskach. Pragnę poznać historię miejsca, gdzie żyli moi przodkowie, a na które teraz wróciłam.

Serdecznie pozdrawiam.

***Elżbieta***

Serdecznie dziękujemy Panu Adamowi Gryczyńskiemu oraz całemu zespołowi ludzi, którzy swoim zaangażowaniem przyczynili się do wydania tej książki. Trudno jest wyrazić swoje opinie słowami, najlepiej więc niech czytelnik sam choć przez chwilę zatrzyma się przy każdej fotografii. Niech poduma, a nawet uroni łezkę i pomyśli, że jeszcze nie jest za późno zachować rodzinne zapiski, zapytać siebie samego, czy nie warto zostawić je dla następnych pokoleń. Aby nie poddawały krytyce tego, co minęło ale były dumne ze swoich przodków i umiały cieszyć się obecnością tych, którzy jeszcze są z nimi. I szczerze wyznać – „spieszmy się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą".

***dzieci Stanisława i Marii Gajochów z Pleszowa:***
***Tadeusz, Bolesław, Halina, Joanna***
***oraz wnuki Aneta, Sebastian i Piotr***

**Publikacja wydana pod patronatem**
**Prezydenta Miasta Krakowa**
**prof. Jacka Majchrowskiego**
**z okazji 750 lecia lokacji**

CRACOVIA
KRAKÓW

750 LAT LOKACJI
1257–2007

**Specjalne podziękowania autorzy niniejszej publikacji składają**
**Radnym z Porozumienia Dzielnic Nowohuckich**
**za życzliwość i wsparcie realizacji projektu „Czas Zatrzymany"**



**Patronat medialny:**

nowa huta non stop!
www.nowahuta.org.pl

FOTOGRAFICZNY biuletyn

www.zyciekrakowa.pl

GŁOS
TYGODNIK NOWOHUCKI

OBYWATEL
www.obywatel.org.pl

DZIENNIK POLSKI

Artykuł Katarzyny Kobylarczyk „Podkrakowscy Indianie" ukazał się pierwotnie na łamach **„Dziennika Polskiego".**

**www.polskieradio.pl**

Artykuł Krzysztofa Wołodźko „Świat odzyskany" ukazał się pierwotnie na stronach internetowych **Polskiego Radia.**

**Dziękujemy Zakładowi Walcowniczemu Profil S.A. za udzielone wsparcie.**

Zakład Walcowniczy
PROFIL S.A.
TEL./FAX: (012) 680 24 00, 680 24 30

***Redakcja:***
*Adam Gryczyński*

***Współpraca:***
*Anna Bubula,*
*Grzegorz Boniowski,*
*Elżbieta Dzikowska,*
*Marian Dzikowski*

***Opracowanie komputerowe zdjęć:***
*Adam Gryczyński*

***Projekt katalogu:***
*Grzegorz Boniowski,*
*Adam Gryczyński*

***Skład i przygotowanie do druku:***
*Grzegorz Boniowski*

***Druk:***
*Premium Partner*
*ul. Kraszewskiego 27*
*30-108 Kraków*
*www.premiumpartner.pl*

***Wydawca:***
*Nowohuckie Centrum Kultury ©*
*Al. Jana Pawła II 232*
*31-913 Kraków*
*www.nck.krakow.pl*

***Wydanie II; poprawione i uzupełnione, kwiecień 2009 r.***

***Nakład 1000 egz.***

***ISBN 978-83-8832-66-6***

*Zamieszczone zdjęcia pochodzą z archiwów rodzinnych mieszkańców terenów, na których zbudowano Nową Hutę i kombinat metalurgiczny oraz ze zbiorów Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego i Biprostalu.*

*Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także skanowanie lub kopiowanie kasiążki lub jej fragmentów na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym narusza prawa autorskie twórców niniejszej publikacji.*

*Fotografia na okładce została wykonana w atelier Józefa Sebalda około 1910 roku, przedstawia Franciszkę z Ptaków Halikową (1890-1911).*



*Pierwszym powodem wydania tego albumu była chęć rozprawienia się z najbardziej absurdalnym mitem jaki kiedykolwiek wymyślono o Nowej Hucie. O tym, że powstała na terenach piaszczystych ugorów i nieużytków. Mitem o ubóstwie i zacofaniu mieszkańców podkrakowskich wsi: Bieńczyc, Czyżyn, Mogiły, Krzesławic, Pleszowa, Grębałowa i Luboczy, na których potem wybudowano socjalistyczne miasto i kombinat metalurgiczny. W ten sposób usiłowano usprawiedliwiać falę wywłaszczeń na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ludziom odbierano ziemię a ówczesne władze państwowe i polityczne wmawiały, że były tu tylko nieurodzajne zagony, galicyjska bieda i stare chłopskie chaty, które należało wyburzyć pod zabudowę nowych osiedli. Tych argumentów używała propaganda PRL-u, lecz na skutek długotrwałej indoktrynacji społeczeństwa jej echa odbijają się do dziś. Wioski spotkała zagłada a rachunek krzywd, choćby symbolicznie, nigdy nie został spłacony. Ludzi, którym za ojcowiznę i urodzajną ziemię płacono jak za garnitur czy zegarek na rękę, skrzywdzono nieprawdopodobnie – pozbawieni swoich gospodarstw musieli rozpocząć życie od nowa. Byli przesiąknięci miłością do Boga i Ojczyzny, kultywowali tradycje narodowe, obywatelskie, ludowe, religijne i rodzinne. Stanowili kłopotliwą zaporę dla systemu i dlatego system ich niszczył. Dokonano na nich zamachu, ale nikt dotąd nie oddał im należnej sprawiedliwości.*

*Chciałem pokazać, że zanim zbudowano Nową Hutę, kwitła tu gospodarka i kultura, żyli wartościowi ludzie. Może dzięki temu damy im i ich rodzinom choć odrobinę satysfakcji – bo oni byli tu wcześniej.*

*Wszyscy, którzy brali udział w projekcie „Czas zatrzymany" pokazali, że warto było zrobić coś dla innych ludzi a zarazem dla siebie. Z potrzeby odkrywania prawdy, miłości, piękna i śladów zagubionej przeszłości oraz dlatego, że żyjemy w mieście wyjątkowym, gdzie można czerpać korzyści nie tylko z supermarketów i stali, lecz także z rodzimej tradycji i kultury.*

*Nowa Huta, listopad 2006* *Adam Gryczyński*

ISBN: 978-83-8832-66-6